



Lech Kostrzewa

FIRMA

NOVAE RES

Lech Kostrzewa

Firma



NOVAE RES

Firma

ISBN: 978-83-8313-762-9

© Lech Kostrzewa i Wydawnictwo Novae Res 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Czarnecka

KOREKTA: Anna Grabarczyk

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

Przypisy.

I

Roman wepchnął identyfikator w czytnik kołowrotu. Kołowrót wydał pisk, a Roman przesunął jego jedno ramię, podążając za nim. W drugim ręku niósł wysoko swoją teczkę, gdyż odstępy pomiędzy metalowymi ramionami były zbyt wąskie, żeby zmieścić się w nich wnoszony bagaż razem z przechodzącym. Pierwszą przeszkodę w dotarciu do miejsca pracy miał już za sobą. Wszedł po kilku stopniach i stanął przed windą. Szybko policzył osoby oczekujące na przejazd. Było ich osiem, więc zabrałby się dopiero w trzeciej turze, gdyż winda mieściła czterech pasażerów. Mimo wszystko postanowił poczekać. Nie śpieszyło mu się do zajęcia miejsca za biurkiem.

Po weekendzie spędzonym poza miastem czuł się wyluzowany. Powrót do firmy w poniedziałek odbierał jako wyjście ze świata rzeczywistego, realnego, niemal przejście w inny wymiar. Musiał mieć trochę czasu, żeby przystosować swoje spojrzenie do optyki firmy, która zasadniczo różniła od pojęć ludzi przechodzących obok prowadzącego do niej wejścia. Ta optyka będzie go obowiązywała przez następne pięć dni, chociaż niekiedy wydłużała się, gdy musiał wykonywać pracę w sobotę czy niedzielę.

Wszedł do windy z trzema osobami z kolejki, która zdążyła się za nim zbierać. Po zdawkowym powitaniu dopełnionym sztucznie ugrzecznionymi uśmiechami jechali na górę, milcząc. Obok Romana stał Jan Raczyk z jego wydziału, ale jemu też chyba nie chciało się zaczynać rozmowy. Dwie panie zmierzały wyżej, obie

z Departamentu Techniki. Roman znał je z widzenia. Były specjalistkami z dziedziny języków orientalnych w wydziale kontroli korespondencji.

On i Raczyk wysiedli na trzecim piętrze, którego środek i oba ogromne skrzydła gmachu zajmował Departament Kontrwywiadu. Skierowali się w lewo, przystając przed przeszklonymi matowymi szybami drzwi, zwanymi śluzą. Roman wsunął w otwór urządzenia elektronicznego na ścianie swój identyfikator i wystukał kod dostępu. Usłyszał brzęczyk i pchnął drzwi. Szli dalej, aż dotarli do rozwidlenia głównego korytarza. Przejścia w lewo i prawo były zamknięte kolejnymi śluzami. Roman powtórzył czynność przy drzwiach z prawej strony i obaj weszli do wydziału.

Pokój znajdował się na końcu korytarza. Roman wszedł do środka, powiesił płaszcz na metalowym wieszaku, a teczkę postawił przy biurku. Pokój był niewielki, kwadratowy. Wyposażenie standardowe: metalowa szafa, biurko, pod oknem niewielka ława z dwoma fotelami, w rogu wieszak na ubrania. Mimo młodego jeszcze wieku Roman zaliczał się do starszych stażem pracowników wydziału, co dawało mu prawo do samodzielnego pokoju. Doceniał ten luksus. Pomijając już, że łatwiej było skupić się w takich warunkach na prowadzonych sprawach, był zadowolony, bo nie musiał dzielić z kimś tych paru metrów kwadratowych. Nie zaliczał się do samotników, ale po latach pracy w firmie zaczynał patrzeć na wszystko z pewnym dystansem, także na tych, którzy razem z nim pracowali.

Jak zwykle pierwszą czynnością było zaparzenie kawy. Roman usiadł wygodnie w fotelu przy lekko uchylonym oknie. Na dworze było już ciepło, mimo że wiosna przyszła tego roku późno. Korony

drzew znajdowały się poniżej wysokości okna pokoju Romana. Lubił na nie spoglądać, zwłaszcza teraz, gdy okrywała je coraz bujniejsza zieleń.

Z teczki wyjął gazetę i oddał się lekturze wydarzeń politycznych w kraju i na świecie. Przeznaczanie czasu na czytanie prasy nie było zabronione, a wręcz zalecane przez przełożonych. Oficerowie kontrwywiadu powinni być otrzaskani w problemach politycznych, w ekonomicznych mniej, bo sprawy były tu bardziej skomplikowane. Tak zwana wiedza ogólna przydawała się w pracy operacyjnej, której zasadniczym przejawem było werbowanie informatorów i prowadzenie spraw. Roman dopił kawę i skrzywił się, gdy jego wzrok zatrzymał się na metalowej szafie. Powoli dochodził do tego, co w firmie nazywano normą psychiczną, czyli po prostu był gotów wziąć się za swoją pracę. Westchnął lekko, powstając z fotela. Podeszedł do szafy i rutynowo sprawdził, czy plomba na drzwiach jest nienaruszona. Plombę stanowił po prostu kawałek plasteliny wciśnięty w kapsel od butelki. Pod nią przeciągnięty był cienki sznurek, a w niej widniała odcisnięta referentka, która pozostawiała wgłębienie z wypukłymi cyframi. Referentka z cyframi przynależała do określonego pracownika. Sznurek przeciągano przez otwory w obu drzwiach szafy metalowej, co miało uniemożliwić jej otworzenie bez naruszenia plasteliny. Roman dziwił się, chociaż nie wyrażał tego głośno, że ten archaiczny system zabezpieczenia – bądź co bądź – ściśle tajnych materiałów utrzymał się do tej pory. Do firmy już dawno wkroczyła współczesność, były elektroniczne śluzy, system łączności komputerowej, nowoczesne środki do podsłuchu i obserwacji, a zabezpieczenie plastelinowe pozostało.

Roman stał przed otwartą szafą i zastanawiał się, z której półki ściągnąć teczkę. Nie miał nic pilnego do zrobienia. Spojrzał na najwyższy poziom. Tam, na kilku innych teczkach, leżała sprawa operacyjna, którą otrzymał z wydziału wschodniego w pierwszej połowie ubiegłego tygodnia. Miała kryptonim Izydor. Zawartość tekturowej zielonej oprawy nie była zbyt imponująca. Roman sięgnął po tę sprawę i po kilka leżących pod nią teczek, głównie informatorów. Całość rzucił wyćwiczonym ruchem na biurko tak, że żadna z nich nie zmieniła swojego położenia. Otworzył teczkę Izydora. Jak na sprawę prowadzoną od trzech lat, te niecałe pięćdziesiąt kartek zawartości nie było szczególnym osiągnięciem, nawet biorąc pod uwagę dłuższe okresy zastoju w pracy Departamentu. Przebiegając wzrokiem kolejne strony, Roman weryfikował treść z wnioskami z pierwszego czytania, które przeprowadził parę dni temu. Nie były one zachęcające. Sprawa została wszczęta na nikłych podstawach. Od informatora uzyskano informację, że figurant, czyli obiekt zainteresowania, na mocno zakrapianej imprezie chwalił się swoimi kontaktami z szefami służb specjalnych z Mińska białoruskiego. Podobno znalazł się wśród nich jakiś generał. Figurant był to biznesmen handlujący z każdym, kogo tylko dało się trochę naciągnąć. Sprawę prowadził w wydziale wschodnim podpułkownik Jan Klepacz. W Departamencie o takich pracownikach mówiło się z racji długiego stażu pracy, że są zrośnięci z firmą. A Klepacz tego stażu miał sporo ponad dwadzieścia lat. Gdyby Romana zapytano o zalety tego doświadczonego oficera, nie potrafiłby ich, poza stażem oczywiście, wymienić.

Izydor nie wyróżniał się niczym szczególnym. W przeszłości dość często wyjeżdżał na wschód. Jednak od około roku, półtora

zaprzestał wyjazdów. Klepaczowi nie udało się potwierdzić informacji o jego przeszłych kontaktach ze służbami z Mińska. Czy miał teraz z nimi kontakty, przebywając stale w Polsce, a do tego mieszkając w środku Warszawy? Było to mało prawdopodobne. Chyba że poprzez łącznika albo po prostu przez telefon. Tym niemniej Klepaczowi udało się uzyskać zgodę na podsłuch telefoniczny Izydora. A to było już coś!

Musiał wcisnąć dużo kitu do wniosku o podsłuch – pomyślał Roman.

Jednak wyniki operacyjne podsłuchu były bardzo nikłe. Ot, rozmowy biznesmena, dość cwane i ostrożnego, gdyż w dzisiejszych czasach nikt mądry nie mówił o konkretach przez telefon. Nawet dokładna analiza i sprawdzenie rozmówców Izydora nic by nie dały, jak to ocenił Roman z treści ogólnego raportu w sprawie.

Już po pierwszym czytaniu Roman domyślił się, dlaczego sprawa trafiła do wydziału zachodniego. Była to typówka, sprawa dęta czy – inaczej mówiąc – nadmuchana. Wiele takich znajdowało się w Departamencie, ale raczej nie wychodziły one poza jeden wydział, który je rozpoczynał i kończył. Ktoś, kto chciał zapunktować albo był w rozpaczliwej sytuacji, dmuchał taką sprawę, czyli spotykał się z jakimś informatorem, a ten przekazywał mu informację. Informację konkretną i obszerną albo ogólną, charakteryzującą się daleko idącymi przypuszczeniami. To było bez znaczenia. Informację przekazaną przez informatora odbierający ją oficer poddawał odpowiedniej transformacji, po czym trafiała na papier. W raporcie uwypuklano stan zagrożenia. Tak powstawała, stosownie do potrzeb, sprawa większego lub mniejszego kalibru. Roman miał

niezachwiane przekonanie, że taki był początek sprawy Klepacza. A jaki okazał się jej koniec?

Dla doświadczonego oka to także wynikało wprost z teczki. Klepacz prowadził w końcu niewielkiego kalibru sprawę przez trzy lata, czym przekroczył granice przyzwoitości i to dwukrotnie. Taką sprawę ciągnie się zazwyczaj rok, jak nakazuje instrukcja operacyjna; no, jeśli jest rozwojowa, wtedy wyjątkowo można przedłużyć ten okres. Za tym, że Klepacz jednak ciągnął swoją sprawę, stała pewnie cicha zgoda naczelnika wydziału wschodniego. W firmie było niewielu oficerów z takim stażem pracy jak Klepacz. Przetrzymał wielu naczelników, dyrektorów i szefów. W końcu nikt już nie wiedział, po co taki ktoś jak Klepacz istnieje w wydziale. Po prostu był. Zdawał się wieczny, zrosnięty z firmą na zawsze, trudno byłoby wręcz wyobrazić sobie Departament bez niego. Prawie wszyscy go tu pamiętali, odkąd zaczęli pracować w firmie. Nikt jednak nie mógł powiedzieć, dlaczego Klepacz wszystkich przetrzymał i stąd brała się obawa, niewytłumaczalna, przed nim wśród wszystkich jego kolejnych zwierzchników. Może nie tyle przed nim samym, ile przed siłą sprawczą, która, jak się wydawało, utrzymywała go na powierzchni przez tyle lat. Toteż Klepacza pozostawiano zazwyczaj samemu sobie. To on wyznaczał swój zakres obowiązków. Wykonywał go też według własnych indywidualnych kryteriów. I tak było ze sprawą Izydor.

Ostatni dokument w teczce stanowiła informacja od informatora, informacja przez niego zasłyszana, z drugiej ręki, że Izydor pojawił się w pobliżu British Council, a raczej, że kręci się przy szefie przedstawicielstwa na Polskę, Johnie Stockwellu. Informacja była zasłyszana, a więc nie do zweryfikowania przez samego Klepacza. To

też typowy zabieg, aby coś z siebie zepchnąć. Na ile należy ocenić prawdziwość tej informacji? Roman nie dałby za nią złamanego szeląga. Ale informacja istnieje, przynajmniej na papierze. Ze strony Klepacza był to zabieg nieelegancki. Reguły gier wewnętrznych stanowiły, aby nie obarczać tak zwanymi spadami innych. Twory takie jak Izydor po prostu kończyły swój żywot w archiwum. Nakręcało to trochę roboty archiwistom, ale bez tego zgnuśnieliby przecież do reszty.

Roman zamknął akta, położył dłonie na biurku i wbił wzrok w przeciwległą ścianę pokoju. Patrzył, nic nie widząc, gdyż intensywnie się zastanawiał, co zrobić ze sprawą. Nie mógł spuścić jej do archiwum, bo dopiero co dostał ją do prowadzenia. Jeżeli obiekt, czyli osoba, naprawdę interesuje oficera kontrwywiadu, to pierwszą rzeczą do zrobienia jest zapewnienie dopływu informacji z bezpośredniego otoczenia takiej osoby. Roman jednak nie uznał Izydora za interesujący obiekt. Z organizacją sieci informatorów zawsze był problem, przede wszystkim czasowy, bo nie da się tego zrobić w tydzień czy w miesiąc. To trwa długie miesiące. Ponadto nie można wrzucić Izydorowi podsłuchu telefonicznego czy zainstalować zwyczajnego podsłuchu w mieszkaniu bądź miejscu pracy, bo poszlaki jego szpiegostwa były zbyt wątle, by nie rzecz – żadne. Nawet gdyby Roman sporządził odpowiedni wniosek do prokuratora generalnego, to i tak jego przełożeni nie nadaliby mu biegu. Tymczasem Roman nie chciał podkolorowywać materiałów, jak to zrobił Klepacz. Przynajmniej nie na tym etapie prowadzenia sprawy. W swojej pracy bronił się przed wkraczaniem bez potrzeby na wyższe poziomy fikcji, obawiał się bowiem, że mógłby utracić z pola widzenia granicę pomiędzy rzeczywistością a konfabulacją,

w jakiej żyła większość firmy. Jeszcze nie teraz. Roman miał wątpliwości, czy jego osobowość oprze się wszechobecnej fikcji. Ale ten moment, kiedy w końcu uzna się za pokonanego, chciał odwlec możliwie najdłużej.

Była jeszcze obserwacja. Roman wzdrygnął się na samą myśl o tym. Obserwacja cieszyła się zasłużenie najgorszą renomą. Na temat jej nieskuteczności krążyły w firmie niezliczone dowcipy. Nieskuteczność to jeszcze mała bieda, najgorsze, według Romana, było palenie spraw. Tak nazywano sytuację, gdy wskutek nieudolności obserwacji obserwowani orientowali się, że mają za sobą ogon. Niektórzy z nich wykazywali dużą inwencję, sprawdzając, czy rzeczywiście są obserwowani. A więc nagle zmieniali kierunek marszu, wchodzili do domu towarowego, gdzie mieli dogodną możliwość potwierdzenia swoich podejrzeń, ukradkiem się oglądając, czy obserwująca ich osoba za nimi idzie. W przypadku zmotoryzowanych wyglądało to równie ciekawie, jeżeli na przykład robili kilka kółek na rondzie. Mówiło się wtedy, że obserwacja dała się rozrobić. Niestety, przypadki takie nie były odosobnione. Dlatego oficerowie kontrwywiadu w poważniejszych sprawach prowadzili obserwację sami, zresztą za zgodą swoich przełożonych. Było to wszakże postawienie problemu na głowie, gdyż jeden z kanonów kontrwywiadu mówił, że to absolutnie niedozwolone, żeby oficerowie prowadzący sprawy sami obserwowali podejrzanych. Jednak jakoś nikt nie uzdrowił tej sytuacji i trwała ona tak od lat. To jeszcze jeden z paradoksów w firmie. Było ich tak wiele, że Roman nie zastanawiał się nad przyczyną powstania czy możliwością naprawienia czegokolwiek, po prostu przyjmował istnienie

określonego stanu do swojej wiadomości. Zresztą nie należało do jego obowiązków wymyślanie projektów racjonalizatorskich.

Pozostawało jedno wyjście: wykorzystać własną siatkę informatorów. O ile, oczywiście, była taka szansa. Aby tak się stało, informator powinien mieć możliwość naturalnego dotarcia do osoby podejrzewanej. Rzecz jasna, to dotarcie mogło być różne. Towarzyskie, jeśli informator miał tego rodzaju kontakty z obiektem, zawodowe czy inne, dające jakąkolwiek sposobność zetknięcia się z taką osobą.

W wydziale zachodnioeuropejskim Roman pracował na kierunku brytyjskim. W zasadzie nie wiadomo, dlaczego ten kierunek pracy wydziału pozostawiono wyodrębniony. Roman sądził, że jest tak głównie z tego powodu, że wywiad angielski powszechnie uważano – co się utarło od lat – za najsprawniejszy na świecie. Zapewne także dlatego, że polskim służbom nie udało się dotychczas nakryć angielskiego szpiega w odróżnieniu od szpiegów większości innych służb europejskich. Tak więc to, co w kontrwywiadzie określano mianem zagrożenia wywiadowczego, w odniesieniu do MI-6¹ pozostawało w sferze mitycznych domniemań o doskonałości tych służb specjalnych.

Roman miał wielu informatorów uplasowanych w różnych dziedzinach i miejscach. Oczywiście takich, które z jakichś względów interesowały kontrwywiad. Przebiegł w myśli kolejno wszystkich informatorów, przywołując z pamięci ich miejsca pracy, kontakty, konotacje rodzinne i towarzyskie. W końcu wyłowił informatora o pseudonimie Tarpan. Był to ważny urzędnik w ministerstwie kultury odpowiedzialny za kontakty z instytucjami ze świata zachodniego. O ile Roman sobie przypominał, Tarpan

okazjonalnie stykał się z pracownikami British Council w Warszawie. Nie było to wprawdzie to, czego chciałby Roman, ale przynajmniej miał jakiś punkt zahaczenia.

Sięgnął po teczkę spotkań z Tarpanem. No tak, nie widzieli się prawie dwa miesiące. Tarpan przynosił informacje, które w żargonie operacyjnym nazywano ogólnorozpoznawczymi. Takiego informatora jak on nie można było wykorzystać do gry naprawdę skomplikowanej, na przykład podesłać obcemu wywiadowi jako potencjalny obiekt do werbunku. Tym niemniej trzeba się zorientować, czy są jakieś szanse skorzystania z niego w sprawie Izydor.

Roman wziął do ręki teczkę personalną Tarpana i odszukał stronę, gdzie były odnotowane numery telefonów do miejsc, w których mógł przebywać, i numer telefonu komórkowego. Po namyśle postanowił zadzwonić na komórkę. Tarpan szybko się zgłosił.

– Dzień dobry, mówi Roman Kowalski. – Nazwisko było oczywiście fikcyjne. – Czy możemy porozmawiać?

Chodziło o to, czy Tarpan może mówić swobodnie przez telefon.

– Dzień dobry. No, wie pan, raczej byłoby trudno. – Co oznaczało, że Tarpan jest w czyimś towarzystwie i należało skrócić rozmowę do minimum.

– Dawno się nie widzieliśmy, myślę, że moglibyśmy się spotkać – kontynuował Roman.

– Tak, a co pan proponuje?

– Może jutro albo pojutrze?

– No, jest z tym pewna trudność. – Tarpan czekał na propozycję terminu spotkania, który by go zadowolił. Jednocześnie sam nie

podawał daty, aby osoba lub osoby, z którymi przebywał, nie poznały umówionej daty ani godziny.

– Może wobec tego za tydzień, w następny poniedziałek?

– Tak, chętnie.

– O jedenastej?

– W porządku. Dziękuję, cześć. – Tarpan przerwał połączenie.

Roman odłożył słuchawkę. Oparł się obiema rękami o biurko. Przez chwilę nie myślał o niczym. Otrząsnął się i zerknął na zegarek. Właśnie dochodziła dziesiąta, a więc pora na śniadanie. Poskładał teczki leżące na biurku i wsunął je do szafy. Zamknął drzwi i przeciągnął sznurek, który umieścił pod plasteliną w kapslu. Następnie skrupulatnie odcisnął referentkę w plastelinie.

No, wszystko jest w zgodzie z regułami. Teraz spokojnie może opuścić pokój.

*

Przeszedłszy przez dwie śluzy, doszedł do głównego korytarza. Przed windą kłębił się tłum śniadaniowiczów. Tym razem Roman postanowił nie czekać na wjazd na górę. Powoli zaczął wchodzić schodami na piąte piętro. To też jedna z zagadek bez odpowiedzi. Dlaczego kantyna mieści się w firmie na przedostatnim piętrze? W każdej innej instytucji jest to parter lub co najwyżej pierwsze piętro.

W strumieniu wchodzących osób przecisnął się przez wąskie drzwi. Kantyna składała się z jednego, ale za to ogromnego pomieszczenia, gdzie jadano posiłki, oraz równie imponującego rozmiarami bufetu. Obsługę prowadziło tu jednocześnie kilka osób.

W długiej kolejce do bufetu dominowały kobiety. Romana zawsze zastanawiało, dlaczego oczekujące panie miały niezmiennie przynajmniej dwukrotną przewagę liczebną nad mężczyznami, skoro w firmie zdecydowanie należały do mniejszości. Do tego tworzyły gorącą atmosferę, studiując uważnie jadłospis znajdujący się na ścianie, a potem żywo dyskutowały z koleżankami, co dzisiaj należałoby zjeść. Wymieniały uwagi, że to pewnie wczorajsze, a to może okazać się niezjadliwe. Mężczyźni tworzyli posępne tło kolejki. Nie wdawali się w rozmowy. Wystarczał im rzut oka na ścianę, aby dokonać wyboru.

Roman wziął dwie kanapki z siekanym mięsem i herbatę. Skierował się z tacą ku stolikom. Dopiero teraz spojrzał na salę. Nie znalazł wolnego stolika, więc podszedł do pierwszego z brzegu, gdzie było zajęte tylko jedno miejsce. Siedział tam mężczyzna o nalanej twarzy z bujną siwą czupryną. Pułkownik Zbigniew Sobierajski, jeden z nestorów Departamentu Techniki, specjalista od zakładania podsłuchów, ostatnio awansowany na stanowisko kontrolera.

– Cześć, Zbyszku. – Roman powitał go, zgodnie ze zwyczajem obowiązującym wśród starszych oficerów, zdrobniałym imieniem. – Można?

– Uhm. – Sobierajski kończył pałaszowanie porcji flaków i nie przerwał tej czynności, żeby przywitać się z Romanem.

Roman, jedząc kanapkę, rozglądał się po sali. Wszystko było tak jak wtedy, gdy wszedł tu po raz pierwszy. Rozkład osób siedzących przy stolikach odpowiadał panującej hierarchii służbowej. Nawet w tym miejscu ustalony, nie wiadomo od kiedy, porządek oparł się na demokracji. Młodzi oficerowie zajmowali stoliki osobno. Jedząc,

rozmawiali z ożywieniem, ale w ich ruchach dawało się zauważyć udawaną nonszalancję, jeszcze niekiedy wymykającą się spod kontroli. Oddzielną grupę stanowili starsi oficerowie, rozmawiający poufale między sobą. Tutaj kontrola odruchów, zachowań była pełna, każdy mówił tylko tyle, ile chciał powiedzieć. Rozmawiano na luźne tematy, niezwiązane bezpośrednio z pracą operacyjną. Inaczej młodzi, którzy wymieniali głośne uwagi o konkretnych sprawach, co spotykało się z dezaprobatą w spojrzeniu bliżej siedzących starszych oficerów lub ich pokiwaniem z ubolewaniem głową. Trzecią grupę tworzyły panie okupujące większość stolików. Najmniej liczne były pary mieszane. Sekretarki i maszynistki, a także kobiety – oficerowie ze swoimi przełożonymi. Panie oczywiście chciały wypaść jak najlepiej i starały się jeść z przesadną elegancją, co niekiedy było tak sztuczne, że wywoływało na twarzy Romana ironiczny grymas. Z kolei ich przełożeni zachowywali się rozmaicie. Jedni nie zwracali uwagi na siedzące obok nich partnerki, nie podtrzymywali rozmowy, czasami czemuś tylko potakiwali. Inni, przeciwnie, całą swoją uwagę poświęcali paniom, jedli, jakby z obowiązku bezustannie prowadząc konwersację. Tę kategorię przełożonych Roman zaliczał do grupy bawidamków. Byli to przeważnie naczelnicy różnych wydziałów logistycznych z Biura Administracyjno--Gospodarczego. W firmie stanowiły one zaplecze wydziałów operacyjnych, przynajmniej tak powinno być zgodnie z regulaminem. W praktyce jednak okazywało się, że logistyka jest ważniejsza niż operacyjni. Tę sytuację czy raczej utrwalony zwyczaj Roman uważał za jeden z największych nonsensów w firmie. Tak więc, jeśli kontrwywiad zużywał papier ksero, co w końcu było oczywiste, nie mógł go zużyć ponad normę ilościową ustaloną przez wydział logistyki na jakąś jednostkę

czasową, gdyż oficerowie nie mieliby na czym pisać czy drukować. A w jaki sposób logistyka ustalała normy zużycia papieru dla kontrwywiadu, tego nikt nie wiedział. Powodowało to konieczność racjonowania papieru w wydziałach operacyjnych. Szczególnie trudne do przetrzymania były końcówki kwartałów. Naczelnicy wydziałów ratowali się jakoś wzajemnie. Ci, którym udało się zaoszczędzić trochę papieru, pożyczali go innym, uzyskując, ma się rozumieć, oprócz obietnicy zwrotu, coś dodatkowego.

– No, może być. – Sobierajski wytarł usta i wąsy serwetką. – Co tam u ciebie, Romku? Jakoś ostatnio nie dajesz nam zatrudnienia.

Roman wyczuł w tych słowach ironię. Rzeczywiście od ponad roku nie przekazał do Departamentu Techniki żadnego zlecenia na założenie podsłuchu. Stawało się to dla niego pewnym problemem, gdyż podsłuch instalowało się w sprawach ważnych, więc jeżeli ktoś nie dawał takiego zlecenia, to znaczyło, że ma kiepskie sprawy.

– Chyba niedługo coś ode mnie dostaniesz – mówiąc to, Roman opierał się raczej na własnych chęciach niż na realnych podstawach.

– Nie ma sprawy, będę czekał. Słuchaj – Sobierajski zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu – podobno ma się coś zmienić w waszym wydziale. – Utkwił czujny wzrok w twarzy Romana.

– Tak? Nie słyszałem.

Reakcja Romana była tak naturalna, że Sobierajski uwierzył, że nic mu nie wiadomo o żadnych nowinkach.

– No dobrze, tylko nie wiesz tego ode mnie – zastrzegł. – Niedługo będziesz miał nowego naczelnika.

Nadal uważnie wpatrywał się w Romana. Oczekiwał na żywszy przejaw zainteresowania, gdyż tylko wtedy byłby skłonny go zaspokoić.

Aby zainteresowanie było dostatecznie mocne, Roman zmusił się do wyrażenia zdumienia. Owszem, interesowało go, kto będzie jego nowym przełożonym, ale nie tak, jak odnosił się do tego Sobierajski. Do spraw dziejących się wewnątrz firmy, niezależnie od jego chcenia lub niechcenia, podchodził bez emocji wewnętrznych, tym bardziej nie przejawiał ich na zewnątrz.

– Co ty powiesz? To chyba niemożliwe? – Wyrażenie powątpiewania miało skłonić Sobierajskiego do dalszych wynurzeń. – Przecież w wydziale wszystko jest w porządku.

Roman zmarszczył czoło na znak, że intensywnie zastanawia się, czy rzeczywiście w wydziale mogło zajść coś takiego, co wymuszałoby zmianę naczelnika.

– Tak, tak, wszystko gra, ale będziesz miał nowego naczelnika. – Sobierajski był lekko zniecierpliwiony naiwnością Romana. – Gadasz tak, jakbyś się wczoraj urodził. A wszystko przecież zależy od tego, kto jest gdzie podwieszony.

Tak, święta racja – przyznał w duchu Roman. Szkoda byłoby jednak jego szefa, Michała Gutowskiego.

Roman nie wiedział dokładnie, kiedy Gutowski zaczął pracować w firmie. Ale było to z pewnością już bardzo dawno temu. Chyba pracuje dłużej od Klepacza. Gutowski był człowiekiem dobrodusznym, jako naczelnik niewiele wymagał od podwładnych. Mimo tylu lat przepracowanych w firmie wierzył w dobrą wolę oficerów, w to, że są zaangażowani w wykonywaną służbę. Jeżeli ktoś nie palił się do pracy, składał to na karb jego chwilowych rozterek, problemów rodzinnych czy innych kłopotów. Zawsze był gotów służyć radą, co z tytułu jego doświadczeń zawodowych mogło okazać się cenną pomocą, gdyby rzeczywiście inni chcieli z tego skorzystać.

Rzecz w tym, że dobre chęci i dobroduszość Gutowskiego wykorzystywano do tego, żeby sztucznie mnożyć i wyolbrzymiać przeszkody w sprawach. Zapewniano sobie w ten sposób pewnego rodzaju błogostan, gdyż poświęcając większość czasu na pokonywanie sztucznych przeszkód, nie trzeba było angażować się w rzeczywistą pracę. W efekcie wydział postrzegano w Departamencie coraz gorzej, a notowania naczelnika słabły. Gutowski wracał z odpraw u dyrektora zamyślony, a jego wygląd wyrażał przygnębienie. Nie potrafił jednak znaleźć recepty na ożywienie wydziału, zmusić ludzi do intensywniejszej pracy, żeby jej wyniki, określane w kontrwywiadzie mianem wymiernych, zaczęły przychodzić.

Aby być sprawiedliwym, Roman musiał przyznać, że i on korzystał z dobroduszości Gutowskiego. Nie przemęczał się w pracy. Nie pamiętał już, kiedy zwerbował ostatniego informatora czy zaczął prowadzić jakąś sprawę. No tak, ostatnio dostał sprawę od Klepacza, ale to się nie liczyło jako efekt własnej pracy. Tym sposobem i on składał się na sumę zmartwień naczelnika. A jako oficer doświadczony, z wieloletnim stażem służby, nie był kontrolowany przez Gutowskiego, który w takich przypadkach liczył na samoświadomość pracownika. Właśnie ta naiwność była zapewne jedną z przyczyn jego nieszczęścia zapowiadanego przez Sobierajskiego.

Kto nastanie po Gutowskim? Doświadczenie podpowiadało Romanowi, że będzie to jeden z nestorów, czyli długowiecznych pracowników firmy. Do wyjątków należało promowanie przez szefów na stanowiska średniego szczebla kogoś, kto nie miał wieloletniego stażu. Wynikało to z tradycyjnego już przekonania,

pielegnowanego od pokoleń, że tylko ktoś z odpowiednim doświadczeniem, pojmowanym jako duża ilość lat przepracowanych w firmie, może w sposób odpowiedzialny kierować zespołem ludzkim w tak delikatnej materii jak kontrwywiad. Była to w połowie prawda. Roman miał na tę kwestię swój pogląd, którego oczywiście nigdy nie wyjawiał, a który sprowadzał się do dosadnego określenia, że kto urodził się głupcem, to głupcem pozostanie do późnej starości. Głoszenie takiego poglądu w firmie byłoby herezją, a niektórzy z jego kolegów odebraliby to jako wycieczkę pod swoim adresem, co zresztą miałyby pewne uzasadnienie.

Wymiana naczelnika wydziału stwarzała okazję do głębszych rozsad na stanowiskach średniego szczebla, dlatego Roman raczej wykluczał, aby szefostwo brało pod uwagę kogoś z wydziału zachodnioeuropejskiego. Poważnych kandydatów nie było tu wielu. Stara gwardia wykruszała się z przyczyn naturalnych, coraz częstsze były przypadki odchodzenia na emeryturę. Ponieważ nominacje zazwyczaj zaskakiwały wyborem kogoś, kogo szeregowi oficerowie nie wyobrażali sobie, by mógł zostać ich zwierzchnikiem, Roman popuścił przez chwilę wodze fantazji, zastanawiając się, co byłoby dla niego w tym przypadku zaskoczeniem.

Jako pierwszy nasunął mu się na myśl pułkownik Janusz Kryłow. Postać uchodząca w oczach młodszych oficerów za legendę kontrwywiadu. Roman jednak znał jego dokonania. Kryłow to po prostu zręczny mitoman, umiejętnie wytwarzający wokół siebie aure głównego aktora kilku spektakularnych osiągnięć kontrwywiadu, których był co najwyżej poślednim uczestnikiem. Kiedyś kierował też wydziałem wschodnim, ale został stamtąd karnie przeniesiony do Biura Analiz. Przyczyną była jego nadmierna skłonność do

alkoholu. Stąd też wzięło się przezwisko Kryłowa – Dzidzius, gdyż pijając wódkę z kieliszka, sącył ją tak jak dziecko pokarm z butelki. Dopóki pił na terenie wydziału, dawano mu spokój. Ale pewnego razu, wracając do wydziału z zakupionym alkoholem, wypuścił nieszczęśliwie spod płaszcza butelkę przed gabinetem szefa głównego, który akurat wychodził w towarzystwie ministra koordynatora. Szef się wściekł. Zarządził badanie na alkoteście, a to wykazało prawie trzy promile wiadomej zawartości w organizmie. Na szczęście dla Kryłowa skończyło się tylko na przeniesieniu. Może nadszedł czas na zmianę koniunktury dla niego i jemu podobnych – myślał Roman.

Sobierajski zbierał się do wyjścia, więc Roman przerwał rozważania:

– Typuję Dzidziusia.

Sobierajski roześmiał się dyskretnie.

– Nie, dla niego kwarantanna jeszcze się nie zakończyła. Nie męcz się, powiem ci. To Maciek Pepsuj.

Zabrał tacę z naczyniami i odszedł od stolika, kiwnąwszy głową Romanowi, zadowolony z wrażenia, jakie pozostawił. Roman rzeczywiście znieruchomiał na chwilę. Potem westchnął głęboko. Nie była to dobra wiadomość, a prawdę mówiąc, była to fatalna wiadomość.

Maciek Pepsuj, noszący przezwisko Popsuj, należał do ludzi, z którymi nikt nie chciał na dłuższą metę mieć bliższych stosunków. On też zaliczał się do grupy długowiecznych, był w stopniu podpułkownika, chociaż według tabel wysługi powinien dawno być pułkownikiem. Jego długi staż w Departamencie Kontrwywiadu to ciągła wędrówka po wydziałach, pobyty kilkuletnie, jednoroczne,

nawet nieprzekraczające roku, powroty do wydziałów, które już kiedyś opuścił, i znowu przymusowa emigracja za kolejną służbę. Powód był jeden, ale zasadniczy. Podpułkownik Pepsuj miał bardzo konfliktowy charakter. Do tego dochodziło jego wewnętrzne przekonanie o swoich niepospolitych zdolnościach strategicznych, jeśli chodzi o pracę w kontrwywiadzie. Ale najgorsze było, że święcie wierzył w swoją nieomylność. To, w połączeniu z wrodzoną kłótnością, powodowało, że nigdzie nie zagrażał miejsca na dłużej. Naczelnik, któremu akurat udało się pozbyć Popsuja z wydziału, organizował w swoim gabinecie dwudniową bibę dla najbliższego otoczenia. Wiedzieli o tym wyżsi przełożeni, ale szanowano tę radość wypływającą przecież z tak uzasadnionych powodów. Z kolei odwrotnie rzecz się miała z naczelnikiem wydziału, do którego przychodził Pepsuj. Nie można było dziwić się skwaszonej minie takiego naczelnika, pracownicy darowywali mu wtedy nieuzasadnione wybuchy złości, którymi wyładowywał się na nich za coś, co nieuchronnie nastąpi i będzie ich wszystkich kosztować dużo nerwów. Pryskały harmonia i spokój, w jakich żył wydział.

Wybór Pepsuja na naczelnika wydziału zachodnioeuropejskiego to szatański pomysł – pomyślał Roman. Nietrudno było przewidzieć, jakim zmianom ulegną warunki pracy w wydziale. Pepsuja nie na darmo zwano Popsujem, gdyż z zaciekłością starał się realizować swoje pomysły, które – co tu dużo mówić – były toporne i nie przewidywały dalszych konsekwencji ryzykownych posunięć w sprawach operacyjnych. A praca w wydziale Romana wymagała ostrożności w planowaniu działań, zwłaszcza teraz, gdy integracja z zachodnią Europą stawała się faktem. Każdy nieprzemyślany ruch

wzbudziłyby u przyjaciół i sojuszników podejrzliwość wobec nowego partnera.

Cóż, trzeba będzie się przystosować do nowych warunków. I tak Romanowi nie pozostawało nic innego. W stosunkach osobistych z Pepsujem byli wobec siebie neutralni; Roman trzymał się od niego z daleka. W wydziale zachodnioeuropejskim Pepsuj pracował już dwukrotnie, także dwa razy gościł w wydziale orientальnym, z którego właśnie odchodził.

Roman odniósł naczynia do okienka i skierował się ku wyjściu. Jedno musi zrobić na pewno. Przyspieszyć tempo pracy i podjąć się czegoś konkretnego, aby Pepsuj, o ile rzeczywiście przyjdzie do jego wydziału, miał jak najmniej powodów do czepiania się.

*

Okazało się, że w wydziale o odejściu Gutowskiego wiedzieli prawie wszyscy. Kiedy Roman odbierał w sekretariacie swoją korespondencję, sekretarka nachyliła się nad biurkiem i szepnęła:

- Czy pan już słyszał, panie Romanie?
- O czym?
- Podobno nasz naczelnik odchodzi.
- Tak, obito mi się o uszy, ale może to tylko plotka.
- Eee, chyba nie tym razem.
- A kto ma przyjść na jego miejsce?
- Nie wie pan? Dzidzius Kryłow.
- Tak? Na pewno?

Sekretarka z przekonaniem pokiwała głową. Roman tę rewelację potraktował z rezerwą. No tak, jak zwykle w takich przypadkach ruszyła karuzela z typowaniami.

Roman zebrał swoją korespondencję z biurka sekretarki i skierował się ku wyjściu, gdy uchylily się drzwi gabinetu naczelnika i wyjrzał z nich Gutowski.

– Cześć, Romku. Zaczekaj. – Wydał polecenie sekretarce i zaprosił Romana do siebie.

Usiedli w głębokich fotelach przy niewielkim stoliku. Gutowski miał wygląd starszego zmęczonego mężczyzny, ale bystre spojrzenie świadczyło, że daleko mu jeszcze do wyczerpania energii duchowej. Roman zauważył nawet pewne ożywienie w jego ruchach, zazwyczaj ociężałych i flegmatycznych.

– Pewnie już słyszałeś? – zaczął rozmowę.

– Jeśli chodzi o pogłoski o twoim odejściu, to tak. – Znali się na tyle długo, że Roman mógł sobie pozwolić na bezpośredniość.

– Rzeczywiście, odchodzę. – Gutowski zamyślił się, jakby starał się dobrać odpowiednie słowa. – Chyba już najwyższa pora. Warunki szybko się zmieniają, a ja jestem człowiekiem z innej epoki. Może gdybym trzymał was bardziej krótko... – Uśmiechnął się.

Roman milczał, nie wiedział, co mógłby powiedzieć w tej sytuacji.

– Zapewne chciałbyś wiedzieć, kto mnie zastąpi? O tym też chyba już wszyscy wiedzą. No więc przyjdzie tu Maciek Pepsuj.

Roman pokiwał głową. Nadzieja, którą wywołała sekretarka, że może to będzie Dzidzius Krywów albo ktokolwiek inny, zgasła.

– Nie martw się, jakoś to się ułoży. – Gutowski chciał pocieszyć Romana. Nawet teraz bardziej niż sobą przejmował się innymi.

– Kiedy to się stanie?

– Jeszcze w tym tygodniu, ale data nie została ustalona.

– Masz jakieś plany?

– Nie, nie myślałem dotąd o niczym konkretnym. Pewne jest tylko to, że odchodzę z firmy.

Oznaczało to, że Gutowskiemu nie zaproponowano żadnej innej posady w firmie. Niekiedy weteranom dawano stanowisko doradcy w Departamencie. Nazywano to fuchą, gdyż doradca pracował na takich samych warunkach jak poprzednio, a doradzanie nie wiązało się z żadną odpowiedzialnością. Dla doświadczonego oficera stanowiło to pewnego rodzaju rozrywkę umysłową, gdy w ciekawszych sprawach opracowywał nowe posunięcia czy też wytyczał kierunki, w jakich powinny iść działania kontrwywiadowcze. Brak takiej propozycji dla Gutowskiego wynikał z prostego faktu, że nikt za nim nie stał, a on sam nie należał do żadnej grupy czy koterii.

Roman odczuł żal. Jakby nie było, przepracowali kupę lat. Może efekty ich pracy nie były nadzwyczajne, ale pracowało się spokojnie, bez pośpiechu. Teraz miało się to zmienić.

– Słuchaj... – Roman chciał okazać Gutowskiemu swoje przywiązanie, ale nie wiedział za bardzo, jak to zrobić. – Chcę, żebyś wiedział, że...

Gutowski machnął ręką.

– Wiadomo, było w porządku – powiedział.

Rozległ się brzęczek telefonu. Gutowski podniósł się, a za nim wstał też Roman.

– No, to na razie. – Gutowski podszedł do telefonu.

Wychodząc, Roman spojrział jeszcze raz na swojego szefa.

Roman zdawał sobie sprawę, że gdy Pepsuj zastąpi Gutowskiego, będzie musiał roztoczyć przed nim wizję jakiejś sprawy. Inaczej zacznie się go czepiać, a jeśli nastąpi to już na początku, trudno będzie doprowadzić stosunki z powrotem do stanu równowagi.

Roman nie miał złudzeń co do tego, że stan jego posiadania nie był nadzwyczajny. Sieć informatorów, których obsługiwał, stawała się niewydolna informacyjnie. Znaczyło to, że większość z nich utraciła możliwości uzyskiwania interesujących kontrwywiad informacji. Przyczyny były różne: zmiana miejsca pracy, utrata kontaktów, niekiedy przejście na emeryturę. Właściwie część informatorów kwalifikowała się do tego, żeby zakończyć z nimi współpracę, a teczki złożyć w archiwum. Z tymi współpracownikami Roman widywał się raczej rzadko, a i tak raporty ze spotkań były krótkie, jednostronicowe. Po prostu nie miał o czym pisać. Ze sprawami, jakie prowadził, było jeszcze gorzej. Oprócz Izidora miał dwie na swoim koncie. Obie znajdowały się w stanie śmierci klinicznej. Nic się w nich nie działo, bo nie było już nic do zrobienia. Podejrzenia o kontakty z obcymi służbami, które stanowiły podstawę wszczęcia tych spraw, nie potwierdziły się. Oczywiście Roman zrobił to, co do niego należało. Przede wszystkim angażował informatorów do wyjaśnienia podejrzeń. W efekcie okazało się, że operacyjne przypuszczenia były nieuzasadnione, czyli osoby, których dotyczyły, nie były szpiegami. Ale takich spraw jest w kontrwywiadzie zdecydowana większość; można nawet powiedzieć, że dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć i jeszcze raz koma dziewięć procent. Rzecz w tym, że rola oficera sprowadza się do wyszukiwania podejrzanych. Jeżeli wyjaśnił jedną sprawę, powinien wszczynać kolejną, gdyż na tym polega istota funkcjonowania

kontrwywiadu. Założenie wydaje się proste: jesteśmy bezustannie narażeni na działalność obcych wywiadów, więc nie może być tak, że oficer kontrwywiadu nie potrafi wychwycić symptomów ich działań. Dlatego ten oficer, który nie miał podejrzeń, uważany był za nieudolnego. A takiemu wcześniej czy później groziło, że zostanie przeniesiony do któregoś z wydziałów logistycznych, czego zasadniczą konsekwencją były niższe zarobki. Chociaż praca w logistyce miała wiele walorów, które można by sprowadzić do tego, że po prostu miało się święty spokój, to jednak utrata dość okazałego dodatku służbowego, jaki otrzymywali pracownicy operacyjni, stanowiła skuteczną zaporę przed opuszczeniem Departamentu.

Mimo że Roman się wzbraniał, pozostało mu tylko jedno wyjście. Należało rozpocząć aktywne działania w Izydorze, czyli – mówiąc żargonem Departamentu – sprawę trzeba było dmuchać. Jednak żeby zacząć to robić, Roman musiał dowiedzieć się czegoś więcej o jej figurancie, Izydorze. Źródłem informacji mógł tu być na początek wyłącznie Klepacz. Tylko czy będzie chciał mówić?

Roman podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił jego numer.

– Cześć, Jasiu. Czy mógłbyś poświęcić mi chwilę czasu? Wiesz, chodzi o sprawę, którą dostałem od was w ubiegłym tygodniu.

– No. – Klepacz nie był zbyt wylewny. – Możesz przyjść – powiedział mrukiwie.

Roman przeszedł służę własnego wydziału, minął rozwidlenie korytarzy i stanął przed służą wydziału wschodniego. Nie mógł użyć identyfikatora, bo i tak nie znał szyfru. Nacisnął guzik urządzenia wbudowanego w ścianę i usłyszał głos sekretarki.

– Słucham?

- Do pana Klepacza – powiedział Roman.

- Już proszę.

Klepacz pojawił się prawie natychmiast. No tak, spieszył się, bo zbliżał się koniec dnia pracy, a tacy jak on uważali za świętokradztwo poświęcenie choćby chwili na pracę po godzinach. I jak tu taki aparat, jak służby specjalne, może być wydajny? Oczywiście w łapaniu szpiegów.

- Chodź. – Klepacz podał rękę Romanowi.

Poszedł przodem, nie oglądając się i nie mówiąc nic więcej. Wydział wschodni miał wiele służ, co było związane z dość skomplikowaną strukturą wewnętrzną. Przeszli jeszcze dwie służy i Klepacz otworzył drzwi po prawej stronie korytarza. Wszedł pierwszy do pokoju, co także było przejawem jego oryginalności. Wskazał gościowi fotel przy ławie, sam zasiadł za biurkiem, masywnym, jeszcze ze starych dobrych czasów, może lat siedemdziesiątych, jak ocenił Roman.

Klepacz miał przed sobą rozłożoną teczkę raczej sprawy niż informatora. Tak sądził Roman na podstawie jej rozmiarów. Naraz Klepacz z trzaskiem zamknął teczkę i ostentacyjnie położył na obwolucie czystą kartkę papieru zapewne po to, aby zasłonić kryptonim sprawy. A ten jak zwykle przesadza – Roman nie był pewien, czy zachowanie Klepacza należy ocenić jako rzeczywistą dbałość o tajemnicę, czy też raczej pokazowy przejaw sumiennego stosunku do przepisów. W końcu teczki spraw, informatorów i wszystkie inne nosiły klauzulę „ściśle tajne”.

- Jasiu, w tamtym tygodniu dałeś mi sprawę – zaczął Roman.

- Nie tobie, ale twojemu wydziałowi. Skąd mogłem wiedzieć, że trafi do ciebie?

Ten początek zapowiadał trudną rozmowę. Taki był jednak Klepacz i Roman nie dał się zaskoczyć.

– W sprawie są dwa ciekawe wątki – kontynuował, przyjmując taktykę pozytywnego wyrażania się o materiałach, choć w jego ocenie na to nie zasługiwały. – Ale nie mogę uchwycić związku pomiędzy Izydorem i służbami z Mińska a British Council.

Klepacz patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

– A po co ci związek? – zapytał w końcu.

– No wiesz, żeby postawić hipotezę i zaplanować działania.

Klepacz zastanawiał się dłuższą chwilę, spuścił wzrok na blat biurka, potem znowu wbił spojrzenie w Romana.

– Może związek jest, tylko ty go nie dostrzegasz?

– Tak, oczywiście, taki związek da się odczytać z dokumentów. – Musiał zgadzać się z Klepaczem, gdyż próba wyjaśniania, że jego materiały są mętne, oznaczałaby koniec rozmowy. – Chodzi o to, czy twoi informatorzy mogliby potwierdzić i uściślić informację o kontaktach Izydora z Mińskiem lub British Council.

– Gdyby mieli takie możliwości, to informacje znalazłyby się w sprawie – powiedział Klepacz dość opryskliwie, bo będąc z natury podejrzliwym, uznał, że ta wypowiedź podważa wiarygodność jego materiałów.

Zapadła cisza. Klepacz nadal patrzył ciężkim wzrokiem na Romana, który wbił spojrzenie w przeciwległy kąt pokoju. Chyba nie da się z niego nic wyciągnąć – myślał. – Bez sensu jest ta rozmowa. Wydawało mu się, że na widok jego zrezygnowania w spojrzeniu Klepacza można było dojrzeć oznaki zadowolenia. W końcu się odezwał.

- Widzisz, sprawa nie jest prosta. - Klepacz zastanawiał się dłużej. - Ale wydaje mi się, że ze znajdujących się w niej informacji można wyciągnąć pewne wnioski.

No, może coś jednak powie - pomyślał z nadzieją Roman.

- Otóż przypuszczam, że Izydor sprowadza z Białorusi duże ilości materiałów ubraniowych. Siedzi przecież w tekstyliach od dawna. Oczywiście, nie na własną firmę, ale na spółki założone przez członków rodziny. To taka gra podatkowa. Eksporterami są białoruskie firmy państwowe, więc materiały są tanie. Nie opłaca się tego sprzedawać u nas, bo zysk byłby nie taki duży. Dlatego spółka kogoś z rodziny odsprzedaje towar Izydorowi, gdyż już wtedy zarabia na podatku. Firma Izydora z kolei eksportuje towar za granicę. Zysk jest podwójny, bo dostaje dobrą cenę, a do tego ma zwrot podatku.

- Jak myślisz, gdzie może sprzedawać?

- Sądzę, że do Anglii, jeśli ma tam dobre układy.

- A co to ma wspólnego z British Council?

- Może nic. Ale obito mi się też o uszy, że szef przedstawicielstwa, Stockwell, pracował kiedyś w branży tekstylnej. Był dyrektorem czy właścicielem firmy w Manchesterze. Ale to nic pewnego. Usłyszałem o tym gdzieś przypadkowo i nie sprawdzałem informacji, bo to nie moja działka - zastrzegł Klepacz.

Proszę, proszę, całkiem interesujące informacje - myślał Roman. - Może nie da się tego złożyć do kupy teraz, ale jest to jakiś materiał wyjściowy do przemyśleń.

Dla Romana było jasne, że Klepacz otrzymał te dane od swoich informatorów. Dlaczego nie zawarł ich w raportach i nie zamieścił w sprawie, to też prosta kwestia. Informacje te z kontrwywiadowczego punktu widzenia były ciekawe i chociaż na

ich podstawie nie dało się jeszcze skonstruować hipotezy, to jednak nakładały obowiązek podjęcia działań, które powinny uzupełnić luki w wiedzy. Tego obawiał się Klepacz. Jako weteran Departamentu uważał, że od czarnej roboty są młodszy oficerowie kontrwywiadu, a jego praca to głównie kontemplowanie przekonania o własnej doskonałości w sztuce zwalczania szpiegów. Bo czyż nie dają mu tego odczuć wszyscy inni, włączając w to przełożonych?

Roman wiedział, że Klepacz zdawał sobie sprawę z tego, że odbierze on właściwie jego przekaz. Rzecz była prosta. Roman ma te informacje umiejętnie wkomponować w raporty ze spotkań z własnymi informatorami. Kiedy informacje znajdują się na papierze, rozpoczyna swoje formalne istnienie. Roman będzie mógł je wykorzystać, a więc sprawdzić ich wiarygodność, uzupełnić i w końcu zbudować hipotezę, w której skonkretyzuje podejrzenie wobec Izydora o współpracę z tym czy z innym wywiadem. I w ten sposób sprawa nabierze rozpędu.

Klepacz mógł przekazać informacje Romanowi bez obawy, że ten sporządzi raport o ukrywaniu przez niego ważnych danych czy też popełni inne podobne głupstwo. Taki postępek spotkałby się z powszechnym potępieniem ze strony oficerów Departamentu, a Roman musiałby liczyć się z izolacją towarzyską. To, co zrobił Klepacz, było często spotykaną w Departamencie praktyką, aczkolwiek motywy chowania informacji mogły mieć różne podłoże. Na przykład dzielono jedną ciekawą informację na kilka części, stopniowo zamieszczając ją kawałkami w różnym czasie w kolejnych raportach jako uzyskiwaną od kilku informatorów, z którymi tak naprawdę nie odbywano spotkań. W ten sposób oficer wytwarzał u przełożonego przekonanie o swojej skuteczności i dociekliwości

przy minimalnym zaangażowaniu, a zaoszczędzony czas przeznaczał na wesołe leniuchowanie.

Ale dlaczego Klepacz przekazał mu informacje? Roman, zwracając się do niego, myślał raczej, że uzyska jakieś refleksje o samym Izydorze, jego zainteresowaniach, skłonnościach czy kręgach towarzyskich, w jakich się obraca. Mogłoby to pomóc w wypracowaniu taktyki, a w tym przypadku byłoby wskazówką kierunków penetracji środowiska Izydora. Otrzymał jednak dość konkretne informacje. Klepacz nie zrobił tego powodowany poczuciem koleżeńskości, a tym bardziej altruizmem. Co jak co, ale te uczucia były mu z pewnością obce. Nie warto się nad tym zastanawiać i tak Roman nie znajdzie odpowiedzi. Trzeba być zadowolonym z tego, co dostał.

Klepacz milczał i spoglądał w okno. Oznaczało to, że wyczerpał temat i uważa spotkanie za zakończone. Żeby to podkreślić, zaczął bębnić palcami po biurku.

– Fajnie, Jasiu. Bardzo mi pomogłeś.

– Cieszę się, Romku. Wiem, że właściwie spożytkujesz to, o czym ci powiedziałem. – Klepacz zdobył się na odrobinę uprzejmości, przypominając jednocześnie Romanowi, jaki obieg powinien nadać informacjom, które właśnie mu przekazał.

Odprowadził Romana do śluzy, chociaż nie było takiej konieczności, gdyż od wewnętrznej strony wyjście nie było zabezpieczone zamkiem elektronicznym.

II

Tym razem Roman nie skorzystał z windy. Szedł na górę po schodach, mając głowę zaprzątniętą myślami. Ten poniedziałek zaczynał się dla niego zupełnie inaczej niż zwykle. Właściwie to nie zauważył, że minęła sobota i niedziela. Przez cały ten czas nie mógł oderwać się od spraw firmy czy raczej od własnego w niej usytuowania.

Pepsuj objął rządy w wydziale już w środę. Nie potrzebował dużo czasu, aby zorientować się w tym, ile warta jest czyja praca. Od razu zaczął przesłuchania pracowników. Każdy miał opowiedzieć, co robi, jak ważne są jego działania, jakie ma to przełożenie na sprawy bądź uplasowanie informatorów. Na pierwszy ogień poszli oczywiście pracownicy najbardziej doświadczeni, którzy, co również było oczywiste, powinni mieć najwięcej do powiedzenia o swojej pracy.

Na Romana kolej przyszła w czwartek. Nowy naczelnik powitał go bardzo uprzejmie. Byli wcześniej po imieniu i to się nie zmieniło, czemu Pepsuj dał wyraz na początku rozmowy. Po krótkim powspominaniu dawnych czasów przeszedł do części zasadniczej spotkania. Poprosił Romana o zreferowanie posiadanych aktywów. Mianem tym określano w firmie ważniejsze sprawy i cenniejszych informatorów. Chociaż Roman był na to przygotowany, prezentacja szła mu jak po grudzie. Rzeczywiście od dłuższego czasu nie mógł się pochwalić jakimś dokonaniem. Wiedział, że Pepsuj właściwie

odczytuje jego słowa. Zbyt długo pracował w firmie, żeby dać się złapać na gładką oprawę mizeroty. Roman miał tę świadomość, dlatego zaczynał czuć się nieswojo, zwłaszcza że Pepsuj nie przerywał mu pytaniami i zdawał się uważnie słuchać.

– No cóż, Romku – zaczął po skończeniu prezentacji – większość twoich spraw to rzeczy przebrzmiałe. Nie ma sensu pielęgnować tego, co zakończone. Daj teraz zatrudnienie archiwistom.

Oznaczało to, że sprawy należy złożyć w archiwum. Sytuacja stawała się dla Romana nieciekawa. Doświadczony oficer, który nie prowadzi kilku spraw, już nawet niekoniecznie ważnych, jest spychany do drugiego szeregu. A z drugiego szeregu trudno przebić się z powrotem do pierwszego. Już łatwiej jest spaść do trzeciego. To prawdziwa katastrofa. Mianem trzeciego szeregu określano grupę nieudaczników wydziałowych. Ci praktycznie byli pozbawieni jakichkolwiek szans na wspięcie się wyżej. Ich życie w wydziale przypominało wegetację, oczekiwanie na przeniesienie do któregoś z wydziałów logistyki, o ile znajdzie się wolne miejsce. Przed oczami Romana zarysowała się straszna wizja. Wyobraził sobie, jak na polecenie jakiegoś gryzpiórka udaje się do hurtowni papierniczej, żeby zakupić ryzy papieru i spinacze. Nie, tego chyba by nie przeżył.

– Jedna z tych spraw jest ciekawa i wykazuje tendencje rozwojowe. – Roman próbował ratować się Izydorem.

– Aha, ta sprawa z wydziału wschodniego – zauważył Pepsuj, który przed ich spotkaniem przekartkował teczkę. – Ale informacje są zbyt skąpe, aby postawić konkretną hipotezę.

– To niezupełnie tak. Poszedłem już do przodu i może wyłoni się coś ciekawego.

Roman zaczął mówić o informacjach, jakie otrzymał do Klepacza. Postanowił rzucić je na szalę, bo była to ostatnia deska ratunku.

- Tak, w tym może coś być - skomentował Pepsuj. - Skąd pochodzą informacje?

- Od jednego z moich informatorów. Spotkanie odbyło się niedawno i nie zdążyłem sporządzić raportu. Dlatego informacje nie znalazły się jeszcze w sprawie - wyrecytował jednym tchem Roman.

- To napisz jak najszybciej raport i mi go przedstaw - polecił Pepsuj.

- Jasne. - Roman w międzyczasie przywołał w pamięci wszystkich informatorów i wynalazł już tego, w którego usta włoży informacje od Klepacza. Powinno to wyglądać na tyle wiarygodnie, aby nie wzbudzić podejrzeń Pepsuja.

- A poza tym - podjął Pepsuj - twoja siatka informatorów nadaje się do wymiany. Przynajmniej większość z nich. - Zaczął mówić podniesionym głosem. - Wydział od dawna nie osiągnął żadnego sukcesu. To musi się zmienić i to szybko. Po to ja tu jestem.

W miarę, jak mówił, zapalał się coraz bardziej. Widocznym objawem tego były drgania żuchwy na policzkach. Z tego właśnie znano w Departamencie Pepsuja. Niebezpiecznie było mu przerywać, gdy wpadał w uniesienie, przekonany nie tylko o swojej racji, ale też o misji, jaką ma do spełnienia.

- Znasz mnie, więc wiesz, że nie będę tolerował byle jakiej pracy, zwłaszcza obliczonej na przetrwanie. Te czasy właśnie się skończyły. Bezpowrotnie. Nikt mi nie powie, że w naszym kraju nie grasują szpiedzy angielscy, francuscy czy inni. Problem polega na tym, że nie potrafimy ich złapać. Zresztą nie chodzi tyle o złapanie, ile

o uzyskanie namiarów na potencjalnych agentów. Dobrze wiesz, o czym mówię. Dlatego oczekuję od oficerów, szczególnie tych doświadczonych jak ty, że nie tylko wykorzystają własne umiejętności, lecz będą je podnosić na wyższy poziom. Bo wyłącznie wtedy można osiągnąć sukces. Wiesz, o jakim sukcesie myślę. Kierownictwo firmy postawiło mnie na czele tego wydziału po to, aby przerwać krąg niemocy, w jakim trwacie od dawna, a ja zamierzam dopilnować, żeby tak się stało. Będą informacje o tym, że ten czy tamten prawdopodobnie jest szpiegiem. Nieważne, czy jest nim naprawdę. My jesteśmy po to, żeby takich informacji dostarczać.

Roman wyszedł z gabinetu Pepsuja przygnębiony. Zaczynały się trudne czasy, a on nie miał na razie recepty na ich przetrzymanie.

Jeszcze w piątek zdażył spotkać się z informatorem o pseudonimie Rudy. Był to biznesmen o dość szerokich kontaktach w Warszawie. Od dawna nie dostał od niego nic ciekawego, ale przypisanie mu informacji, jakie otrzymał od Klepacza, wyglądało naturalnie i nikt nie mógłby podejrzewać Romana o manipulację.

Poniedziałkowy ranek spędził na sporządzaniu raportu ze spotkania z Rudym. Wprawdzie informator nie powiedział nic, co nadawałoby się na zrelacjonowanie, ale konstrukcja informacji na temat Izydora, wkomponowana w kontakty Rudego, nadawała raportowi walory wiarygodności. Zaraz po skończeniu zaniósł dokument Pepsujowi.

*

Dochodziło wpół do jedenastej. Roman schował rozłożone na biurku dokumenty do metalowej szafy, po czym zamknął i zaplombował jej

drzwi. Do spotkania z Tarpanem miał jeszcze pół godziny. Wystarczy, żeby dojść na miejsce przed czasem.

Po wyjściu przed firmę, na Rakowiecką, skierował się w prawo. Szedł wolno, wdychając wiosenne powiewy powietrza. Niekiedy odkłaniał się mijającym go przechodniom. Byli to oficerowie z firmy, którzy kręcili się w jedną i drugą stronę, goniąc za własnymi sprawami. Na tej ulicy chyba zawsze jest ich więcej niż zwykłych ludzi – pomyślał Roman. Powoli doszedł do skrzyżowania Rakowieckiej z aleją Niepodległości. Przeszedł na światłach ulicę. Naprzeciw siebie miał kawiarnię Niezapominajkę. Kawiarnia była usytuowana w narożnym budynku, na parterze, w ten sposób, że jej część mieściła się jeszcze przy Rakowieckiej, a pozostałość miała okna od strony alei Niepodległości, gdzie też znajdowało się wejście pod szyldem z nazwą ozdobioną niebieskimi kwiatami. Wnętrze zajmowały dwie sale, dość duże, ze staromodnymi okrągłymi stolikami. Nie było tu żadnych boksów czy załamań dających gościom poczucie intymności. Kawiarnia miała swój dawny styl, odnosiło się wrażenie, że czas zatrzymał się tu przed jakimiś pięćdziesięciu laty. Nawet parkiet, chociaż odnawiany, był szerniały, co starzy bywalcy odbierali jako dowód na niezmiennosc tego miejsca. Wrażenie to pogłębiał kolor ścian pomalowanych na ciemnoróżowo oraz zwisające metalowe żyrandole ze zwykłymi żarówkami. Okna zasłonięte frankami, które przykrywały zgniłozielone zasłony z adamaszku, dopełniały swojski obraz lokalu.

Kawiarnia Niezapominajka była miejscem wyjątkowym w Warszawie. To tutaj od kilkudziesięciu lat oficerowie Departamentu Kontrwywiadu odbywali spotkania ze swoimi informatorami. Nie wiadomo, kiedy odbyły się pierwsze z nich, co

miałoby może znaczenie dla tych, którzy podjęliby się opisanie historii Departamentu. Nie zastanawiały się nad tym kolejne pokolenia oficerów zdobywających tu swoje dziewicze doświadczenia. To w Niezapominajce spotykali się z pierwszymi zwerbowanymi informatorami. Informację, gdzie najlepiej jest spotkać się z informatorem, otrzymywali od starszych kolegów. I jedni, i drudzy nie zastanawiali się nad tym, dlaczego właśnie tutaj. Po prostu tak było od zawsze. Nikt nie zadawał niepotrzebnych pytań. W ten sposób spotkania oficerów z informatorami w Niezapominajce stały się zwyczajem, może nawet w jakiś sposób uświęconym. Od poniedziałku do piątku kawiarnia tętniła życiem. Od rana do wieczora przez drzwi Niezapominajki wchodzili mężczyźni śpieszący się na spotkanie i naciskając klamkę, dyskretnie rozglądali się na boki. Kiedy już wszystkie tematy zostały przegadane, wychodzili, także rzucając ukradkowe spojrzenia. Były to zachowania właściwe dla tych, którzy wykonywali trudny zawód pracownika służb specjalnych, zachowania, które stały się niejako ich naturalnym odruchem, tak naturalnym, że wręcz go sobie nie uświadamiali. Zachowania te przyswajali informatorzy, zwłaszcza ci doświadczeni, od lat dostarczający swoim oficerom prowadzącym cenne informacje.

Tak więc Niezapominajka stała się jakby częścią firmy, czy raczej Departamentu Kontrwywiadu, gdyż tylko oficerowie kontrwywiadu korzystali z kawiarni. Obowiązywała niepisana zasada, która zakazywała wstępu oficerom innych departamentów. Chociaż tak naprawdę to nikt nikomu niczego nie zakazywał, po prostu utrwalił się taki zwyczaj i może po prostu czuliby się nieswojo w salach zdominowanych przez kontrwywiad. Nie znaczy to, że inni nie

wykorzystywali lokali gastronomicznych do odbywania spotkań. Owszem, była to praktyka powszechna. Lokale konspiracyjne, czyli mieszkania używane do tajnych kontaktów, znajdowały się w mieście w różnych dzielnicach. Ale nie było ich wiele i nie wystarczyłyby do obsłużenia dużej liczby informatorów. Stąd po prostu zwykła konieczność powodowała zasilanie budżetów kawiarni, restauracji i barów. Ale takiego lokalu jak Niezapominajka nie było drugiego w Warszawie. Przykładowo Departament do spraw Zwalczania Przeszłości Zorganizowanej miał swoją restaurację trzeciej kategorii, ale nie pokrywała jej patyna trwającej dziesiątki lat tradycji. Restauracja ta, o nazwie Mezalians, mieściła się z drugiej strony ulicy Rakowieckiej, przy placu Unii Lubelskiej. Przebywało tam jakże inne towarzystwo. Oficerowie ubrani w luźne swetry i kurtki, ich informatorzy, zadający szyku nowobogackim wyglądem, obwieszani złotymi wisiorami, z bransoletami i pierścieniami, z rolexami na grubych przegubach umięśnionych rąk, nie mogli stanowić konkurencji dla dyskretnej elegancji klienteli Niezapominajki. Do tego jeszcze atmosfera spotkań! Głośne rozmowy przy stolikach, stęchła woń, na którą składały się zapachy piwa, wódki, schabowego z kapustą i podobnych potraw. Niekiedy głośne utarczki słowne pomiędzy informatorami należącymi do konkurencyjnych gangów, uciszanymi przez swoich oficerów, a nawet rękoczynny. Wszystko to składało się na obraz Mezaliansu, więc szanujący się oficer kontrwywiadu nigdy nie przekroczyłby progu tej restauracji.

Jak niezbędna dla Departamentu była Niezapominajka, okazało się kilka lat temu. Właściciel kawiarni, wzorem innych restauratorów, zamierzał zmodyfikować lokal, urządzając go

w obowiązującym nowoczesnym stylu. Oznaczało to przeprowadzenie gruntownego remontu. I oto pewnego dnia zdążający do Niezapominajki oficerowie i informatorzy zastali zamknięte drzwi, a na nich napis „Remont, nieczynne do odwołania”. Ten drobny i zwyczajny z pozoru fakt wywołał poważne zakłócenia w pracy Departamentu. Raptownie obniżyła się liczba spotkań, a tym samym spadła liczba informacji, które są podstawą istnienia kontrwywiadu. Zjawisko zaczęło przybierać tak groźne rozmiary, że kierownictwo Departamentu zdecydowało się na interwencję. Nie wiadomo, jakich argumentów użyto, ale skutkiem tego było skrócenie remontu kawiarni oraz zgoda właściciela na niewprowadzanie większych zmian w wystroju sal. Dzięki temu Niezapominajka nadal mogła stanowić zaciszną oazę dla tych, którzy pragnęli otrzymać informacje, i dla tych, którzy chcieli je przekazać.

Roman nacisnął klamkę drzwi i wszedł do środka. Zostawił płaszcz w szatni i skierował się do pierwszej sali. To nie tu było jego miejsce. Większość stolików została już zajęta. Siedziały przy nich przeważnie pary męskie, chociaż dało się dostrzec pary mieszane. Stanowiło to szczególnie charakterystyczny. W Departamencie na palcach jednej ręki można policzyć oficerów, którzy są kobietami. Może dlatego, że jest to trudny zawód, a po części także wpływało to z tradycyjnego przekonania o przynależności tej profesji do świata mężczyzn. Proporcje płci po stronie informatorów kształtowały się podobnie, aczkolwiek odsetek kobiet był tu większy niż u oficerów.

Przechodząc przez salę, Roman objął spojrzeniem siedzące przy stolikach pary. Wszędzie widział znajome twarze. W powietrzu unosiła się woń kawy, papierosów i dymu fajkowego. Patrzone także

na przechodzącego Romana. Widział to, chociaż twarze wyrażały obojętność, a ich wzrok przesuwiał się po nim, jakby był przezroczysty, jakby go tu tak naprawdę nie było. Albowiem do podstawowych zasad konspiracji należało, że oficerowie udawali, że się nie znają. Dlatego nie pozdrawiano się, nawet skiniecie głową byłoby nie na miejscu. Do zachowań oficerów dostosowywali się towarzyszący im przy stolikach informatorzy. Mimo że wielu z nich widziało Romana wielokrotnie w tym miejscu, ich wzrok pozostawał obojętny. Niektórzy patrzyli nawet na niego z udawanym zainteresowaniem, tak jak ogląda się nieznajomego, który nagle wtargnął do cudzego przybytku.

Przebywszy pierwszą salę, Roman przeszedł przez wykusz w murze oddzielający drugie pomieszczenie. Z zadowoleniem zauważył, że stolik przy oknie, który zwykle zajmował, jest wolny. Usiadł w wygodnym krześle z poręczami, plecami do okna. Ta część kawiarni przylegała do ulicy Rakowieckiej. Miał przed sobą całą salę i mógł kontrolować przejście, czyli widział wchodzące i wychodzące osoby. To dawało mu poczucie pewności siebie, gdyż nikt nie mógł go zaskoczyć, a on zawsze zdążył właściwie zareagować w razie jakiejś niespodziewanej sytuacji.

Dyskretnie rozejrzał się po sali. Wszystko było jak zawsze, twarze w większości dobrze mu znane. W oczy rzucała się elegancja przebywających tu gości. Prawie wszyscy byli ubrani w dobrze skrojone garnitury, tylko obcokrajowcy z egzotycznych państw mieli na sobie narodowe stroje. Przy stoliku pośrodku sali siedział major Mietek Dożołowski z jego wydziału, naprzeciwko niego w ciemnym ubraniu, ze śnieżnobiałą chusteczką w butonierce, gestykulował zawzięcie południowiec, z karnacją skóry właściwą dla mieszkańców

południowych Włoch. Był to trzeci sekretarz ambasady włoskiej, Giuliano Mancini, od jakichś dwóch lat współpracujący z firmą. Mietek zadziałał w sposób klasyczny w przypadku południowców, podsunął mu atrakcyjną dziewczynę i seria zdjęć w różnych pozach wystarczyła, aby Mancini zgodził się na współpracę. Zasadniczym bodźcem była obecność w ambasadzie jego żony i dzieci; gdyby pozostali we Włoszech, siła perswazji Dożołowskiego mogłaby okazać się niewystarczająca. Po mimice, gestach i potoku słów wypowiedzianych przez Manciniego widać było, że jest on zaangażowanym informatorem firmy. Chociaż znał dobrze język polski, często wtrącał włoskie słowa dla podkreślenia tego, co opisywał. Górę brał wtedy temperament Włocha, zaczynał gwałtownie gestykulować, a ton jego głosu podnosił się coraz bardziej. „Giuliano, Giuliano, ciszej” – mitygował go Dożołowski. Włoch uspokajał się na chwilę, ale temperament brał wkrótce górę.

Przy jednym ze stolików po lewej stronie, odwrócony plecami do Romana, siedział podpułkownik Henryk Bielecki z wydziału orientального. Naprzeciwko niego zajmował miejsce attaché do spraw kultury ambasady Indii, nobliwie wyglądający Rajiv Nerulami. Ubrany był w garnitur skrojony na modłę narodową, czyli długą marynarkę i koszulę z charakterystyczną stójką. Nerulami delektował się kawą i prowadził spokojną konwersację z Bieleckim. Wyglądali na bardzo dystyngowaną parę, a powagę prowadzonej dyskusji podkreślała spokojna gestykulacja, zapewne adekwatna do wypowiedzianych kwestii.

Jednakże informatorzy cudzoziemcy stanowili mniejszość wśród obecnych na sali współpracowników Departamentu. Przeważnie byli to różnej rangi pracownicy ministerstw, przedsiębiorstw lokujących

swoje interesy za granicą czy też miejscowi zatrudnieni przez obce firmy. Przedział wiekowy zarówno wśród oficerów, jak i ich informatorów nie stanowił tu żadnej prawidłowości. Niespełna trzydziestoletni oficer rozmawiał z około sześćdziesięcioletnim dyrektorem firmy zagranicznej, a wysłużony pułkownik wprowadzał w meandry tajnej współpracy młodego prężnego kierownika z sekcji zagranicznej w ministerstwie gospodarki.

Roman zwrócił spojrzenie na lewą stronę sali. W środku rzędu, pod oknem, stolik zajmowała para, którą widział w tym składzie dopiero po raz drugi. Obok kapitana Mędrackiego z wydziału wschodniego siedział brodaty osobnik ubrany w kurtkę wojskową typu moro. Mimo że pod nią miał śnieżnobiałą koszulę i jaskrawy krawat, nie można było oprzeć się wrażeniu, że dopiero co opuścił czeczeński oddział partyzancki. Tak, z pewnością to Czeczen, ostatnio sporo ich tu przyjechało. Mógłby go przynajmniej nakłonić, żeby na spotkanie wkładał normalną marynarkę – pomyślał bezwiednie Roman.

Jego wzrok przykuła para mieszana siedząca w tym samym rzędzie co Mędracki i jego Czeczen. Przodem do Romana zwrócony był major Klemens Szczawiński z wydziału orientального. Naprzeciwko niego siedziała blondynka z krótkimi włosami, obciętymi nad uszami. Roman nie widział tej pary od kilku miesięcy. Usiłował przypomnieć sobie twarz tej kobiety, gdyż teraz widział tylko fragment głowy, resztę zasłaniały potężne bary Czeczena. W tym momencie do stolika Mędrackiego podszedł kelner, Czeczen odchylił się na bok i Roman w końcu ujrzał całą postać siedzącej blondynki. Jak na jego gust była wyjątkowo atrakcyjną kobietą w wieku około trzydziestu lat, o twarzy pełnej, z wyraźnie

zarysowanym podbródkiem. Skąd Szczawiński ją wytrzasnął? Może jest pracownikiem w jakiejś firmie zagranicznej, raczej zwykłym, bo na menedżera czy przedstawiciela wygląda za młodo. A może pracuje w ambasadzie jako sekretarka czy tłumacz? Możliwość było zbyt dużo, aby Roman mógł trafić, no, gdyby siedzieli bliżej i usłyszałyby fragment ich rozmowy, wtedy nie byłoby problemu. Ale z przyjemnością popatrzył na ładną kobietę, dopóki sylwetka Czeczona znowu nie przesłoniła mu jej widoku.

W przejściu od strony pierwszej sali ukazała się postać Tarpana. Roman odruchowo spojrzął na zegarek, siedem po jedenastej, a więc wszystko w normie. Tarpan omiół wzrokiem drugą salę bez zbytniej natarczywości i skierował się ku Romanowi. Ten uważnie na niego popatrzył. W końcu nie widzieli się już kawałek czasu. Ale w zachowaniu informatora nie zaszły żadne zmiany, przynajmniej nie takie, które udałoby mu się wychwycić na pierwszy rzut oka. Jak zwykle Tarpan wyglądał bardzo solidnie. Ciemny garnitur, biała koszula i błękitny krawat. Lekko szpakowate brązowe włosy, dobrze dobrane okulary i niezbyt obfite wąsy dopełniały zewnętrznego wyglądu informatora. Tarpan był solidnym urzędnikiem ministerstwa kultury, gdzie kierował działem współpracy z zagranicznymi instytucjami rządowymi i pozarządowymi prowadzącymi działalność w Polsce, głównie na niwie kultury, sztuki i w ogóle popularyzowania tradycji i nowoczesności własnych krajów. W sieci informatorów Romana zajmował poczesne miejsce. Przede wszystkim był dostarczycielem informacji o cudzoziemcach przysyłanych do pracy w oddziałach zagranicznych instytucji w Warszawie. Chociaż informacje ograniczały się do personaliów, w najlepszym przypadku do krótkiego dossier, dla Romana znaczyły

bardzo wiele. Do jego obowiązków należało nie tylko tropienie angielskich szpiegów, musiał także wiedzieć, kto przyjechał i czym będzie się zajmował w tej czy innej instytucji. Gdyby nie Tarpan, Roman zmuszony byłby werbować informatora w każdym oddziale zagranicznej instytucji, a to przekraczało jego fizyczne możliwości choćby z tego powodu, że w Warszawie przedstawicielstwa mnożyły się w ostatnich latach w postępie geometrycznym. Drugą kwestią ogromnej wagi, którą Roman miał załatwioną dzięki temu, że posiadał Tarpana, był stały dostęp do kalendarza imprez organizowanych przez instytucje. Oznaczało to, że wiedział, kiedy odbędzie się każde oficjalne spotkanie z udziałem zaproszonych gości, zazwyczaj z różnych zagranicznych przedstawicielstw oraz krajowych oficjeli. Roman mógł się wtedy należycie przygotować, na przykład podesłać na imprezę jakiegoś informatora, puścić ogon za wybranymi osobami, a w przypadku, gdy miał wobec jakiegoś uczestnika imprezy bardziej konkretne podejrzenia, sfilmować go ukrytą kamerą.

Tak, Tarpan był cennym informatorem. Ale, niestety, zanedbywanym, co Roman obiektywnie przed sobą przyznawał. Dlaczego tak się działo? Na to pytanie trudno byłoby mu jednoznacznie odpowiedzieć. Grała tu rolę jego niechęć wobec niektórych zachowań informatora. Tarpan był wieloletnim współpracownikiem Departamentu. Roman otrzymał go w spadku, czyli nie on go zawerbował, lecz współpraca z nim została scedowana przez innego oficera, odchodzącego na emeryturę. Właściwie to Tarpan więcej lat był informatorem, niż Roman miał stażu służby w firmie. To chyba pierwsze zastrzeżenie do niego, może nie w pełni uświadamiane sobie przez Romana. Irytujący był

też sposób bycia Tarpana. Na tyle zróśli się ze swoim podwójnym życiem, że wszystkich wokół podejrzewał o szpiegostwo. Na każdym spotkaniu informował Romana o zachowaniach tych czy innych kolegów z ministerstwa, które świadczyły, jego zdaniem, o posiadaniu lub dużym prawdopodobieństwie posiadania kontaktów z obcymi wywiadami. Właśnie określenia „duże prawdopodobieństwo” permanentnie nadużywał, co szczególnie denerwowało Romana. Na przykład, jeżeli ktoś wyjeżdżał za granicę, aby spędzić wakacje na Antylach lub na Azorach, w oczach Tarpana wiązało się to z wielce prawdopodobnym spotkaniem z mocodawcami z zagranicznego wywiadu. „A po co jechać tak daleko, jeśli można załatwić te sprawy całkiem blisko?” – pytał w swojej naiwności Roman, gdy jeszcze nie poznał dobrze informatora. „Pewnie po to – słyszał w odpowiedzi – żeby agenta gruntownie przeszkolić do zadania specjalnego, dać mu instrukcje i wyposażać w nowoczesny sprzęt do szpiegowania”. No tak, świadczyło to o dobrym przygotowaniu Tarpana przez poprzednika Romana do wypełniania tajnej misji, lecz nie ułatwiało prowadzenia współpracy z informatorem. Z czasem Roman przyzwyczaił się do podejrzeń Tarpana, aczkolwiek niekiedy nie mógł pozbyć się uczucia niesmaku, słuchając tych bzdur. Dla dobra współpracy udawał, że przyjmuje jego wynurzenia za dobrą monetę, nawet wykazywał pewne zainteresowanie opowiadanymi z przejęciem rewelacjami. W rzeczywistości wpadały mu one do jednego ucha tylko po to, żeby natychmiast wylecieć drugim. Nie mógł przecież poważnie potraktować opowiadania Tarpana o adorowaniu przez młodego Greka z Instytutu Kultury Greckiej ładnej sekretarki jako kamuflowanemu przez jakąś rezydenturę wywiadowczą sposobowi

dotarcia do tajemnic w ministerstwie, zwłaszcza jeżeli odbyły się już zaręczyny tej pary. Inną przypadłością Tarpana, do której Roman nie potrafił i nie chciał przywyknąć, były częste wspominki o tym, jak to dobrze współpracowało się z firmą dawniej. Tarpan darzył dużym sentymentem jego poprzednika, z lubością wspominał akcje, w których uczestniczył, czyli – jak mawiał – wykonywał zadania specjalne. Te zadania to dostarczanie kluczy do tych pomieszczeń ministerstwa, gdzie firma widziała celowość założenia podsłuchu, a także dyskretne uczestnictwo w skompromitowaniu sekretarki czy kierownika działu, przy czym oczywiście oficjalna kompromitacja nie następowała, a zebrane materiały służyły tylko do wzmocnienia argumentów przy werbunku takiej osoby. Do tych spraw Tarpan nadawał się szczególnie z uwagi na swoje skłonności ku płci pięknej i posiadany dar kojarzenia biurowych par. Stąd brak takich zadań obecnie uważał za objaw marazmu w funkcjonowaniu firmy, a może tylko samego Romana. Ograniczenie współpracy do spotkań, na których przekazywał kopie materiałów ministerstwa czy jakichś obcych instytucji, uważał za marnotrawienie jego talentu i zaangażowania.

Tarpan z uśmiechem i wyciągniętą ręką podszedł do stolika, przy którym siedział Roman. Zajął swoje zwykłe miejsce, bokiem zwrócony ku prawej stronie sali. Przywitali się, nie podnosząc głosu.

– Dzień dobry, panie Romanie.

– Dzień dobry, panie Zdzisławie. No, nie widzieliśmy się kawał czasu. Miło znowu pana widzieć.

– Ja również się cieszę. Co zamówimy?

Pytanie było retoryczne. Zawsze zamawiali po kawie oraz wytrawne wino. Podobne zestawy konsumpcyjne widziało się przy

każdym innym stoliku. Różnica dotyczyła tylko alkoholu. Mógł to być koniak, whisky lub cokolwiek innego, byle dobrej marki. Wypijano mało lub dużo, ilości zależały od wielu czynników, jak szczególna okazja, na przykład imieniny oficera czy informatora, waga sprawy, którą omawiano przy stoliku, albo po prostu chęć napicia się dla zrzućenia stresu dnia powszedniego. Wysokość płaconych rachunków nie miała tu znaczenia, ponieważ fundatorem zawsze był oficer. Fundusze pochodziły z pieniędzy firmy przeznaczonych na cele operacyjne.

Roman zamówił stały zestaw. Kelner postawił na stoliku kawę i kieliszki z winem. Teraz będzie z oddali czuwał na każde wezwanie do zamiany kieliszków na pełne.

– Nie odzywał się pan tak długo, aż pomyślałem, że zapomniał pan o mnie. A tyle teraz dzieje się ciekawego.

– Tak? – Roman zadał to pytanie, aby Tarpan mógł się wygadać.

– Ciągłe kręcą się u nas cudzoziemcy. Z różnych instytucji, francuskich, niemieckich, amerykańskich. Już dawno nie było takiego ruchu. Przychodzą i zamykają się z moim dyrektorem w jego gabinecie. Siedzą nieraz po parę godzin. O czym mogą tak długo rozmawiać? Przecież wszystkie te sprawy, to znaczy imprezy, spotkania rocznicowe, można załatwić od ręki. W końcu chodzi o to, żeby dostać akceptację naszego ministerstwa, a jest to zwykła formalność. Dwa zdania na arkuszu papieru. Do tego niepotrzebny im dyrektor. Wysyłają pisemko i dostają pisemko. To wszystko. Ale oni jakby się uparli konferować z samym dyrektorem.

– Wie pan, mamy wiosnę, a o tej porze zaczyna się ruch w spotkaniach i oficjalnych imprezach.

– Wszystko się zgadza, ale ja mówię o sposobie załatwiania tych spraw. Nigdy nie mieliśmy takiego natłoku wizyt.

– Jaki z tego wniosek?

– No, u nas w kraju dzieją się różne rzeczy. A oni nie mogą sobie tego poukładać. Kto z kim, dlaczego i po co. Stąd potrzebują informacji z pierwszej ręki. A dyrektor jest dobrze usytuowany politycznie. Zna wszystkie układy. Od niego mogą dowiedzieć się bardzo dużo. Ma przyjaciół w wielu ministerstwach, a nawet i u was.

– Tak, a kogo ma u nas?

– Tego to ja nie wiem, ale słyszałem, jak kazał się łączyć sekretarce z pana firmą.

Pewnie jest na kontakcie, ale z którym wydziałem? – pomyślał Roman.

– To ciekawe. Może się pan przy tym pokręcić? – zapytał. Warto by to było wiedzieć.

– Jasne. Ale jest coś jeszcze. Kierownik Siemiradzki, ten z działu stypendiów zagranicznych, ma chyba poważne problemy. Ostatnio dużo pije. Nawet w pracy. Zauważyłem, że w biurku ma butelkę i jak nikt nie widzi, polewa sobie do szklanki. A w tamtym roku zmienił dwa samochody, oba nowe. Do tego wczasy na Wyspach Kanaryjskich. No, niech pan powie, z pensji urzędnika to by tego nie miał.

Roman odnotował sobie informację w pamięci. Sprawdzi to, bo ktoś taki jak Siemiradzki może się przydać. Na podobnych tematach zeszły im prawie dwie godziny. Roman sporo dowiedział się o starych i nowych problemach damsko-męskich w ministerstwie. Tarpan opatrywał swoje opowiadania własnym komentarzem, oczywiście zahaczając, jak tylko się dało, o możliwy w tym udział

obcych wywiadów. Nie chcąc urazić informatora, Roman z powagą kiwał głową, co miało znaczyć, że aprobuje jego wnioski, ale musi poddać je weryfikacji. Czy Tarpan rzeczywiście traktował bardzo serio swoje podejrzenia? Chyba tak. Roman wielokrotnie obserwował informatora wypowiadającego szpiegowskie kwestie, ale nie zauważył w jego głosie ironii, a przejęcie, z jakim o tym mówił, chyba nie było udawane.

Roman gestem przywołał kolejny raz kelnera. Atmosfera na sali uległa rozluźnieniu. Goście stawali się wskutek powolnego, aczkolwiek ciągłego spożywania dobrych trunków bardziej swobodni. Siedzący przy stolikach zajmowali się sobą, opowiadali jakieś przeżycia, dowcipy, oglądali rodzinne fotografie, jeśli akurat mieli je w portfelu. Panował ciągły ruch. Jedni wychodzili, inni zajmowali wolne miejsca. Pod stołami przekazywano sobie papiery, pewnie kopie dokumentów urzędowych albo zawierające własne zapiski, relacje z wykonanych zadań bądź jakieś cenne informacje, które ktoś przez nieroztropność utrwalił na piśmie. Wszystko to skrzętnie chowali do swoich teczek oficerowie. Czas na analizowanie zawartości całej tej dokumentacji będzie potem. Jeśli w rozmowie padały szczególnie ważne słowa, odnotowywano je w małym podręcznym notesiku lub wprost na serwetce. Słowa są ulotne, a alkohol mógł przecież przyćmić pamięć.

Roman uznał, że nadeszła pora na poruszenie zasadniczego tematu.

– Panie Zdzisławie, a co nowego słysząc w British Council?

– Nic szczególnego. Przez całą zimę był zastój. Chyba ograniczają swoją działalność, bo dawno już nie widziałem wniosku o wyjazd naszych stypendystów do Anglii.

Prowadząc działalność popularyzatorską języka Szekspira, British Council wybierał w Polsce młodych ludzi, przeważnie nauczycieli, których szkolił na miejscu albo wysyłał do Anglii na kilkutygodniowy lub kilkumiesięczny kurs. Kursy organizowano też w innych dziedzinach niż doskonalenie znajomości języka. Podobnie czyniły organizacje z różnych krajów, a dużą aktywność na tym polu wykazywały fundacje niemieckie. W firmie utarł się jednak od dziesiątków lat szczególny sposób patrzenia na wywiad perfidnego Albionu, który celowo uplasowuje się w takich instytucjach jak British Council, skąd kieruje swoje zainteresowania na przyszłe elity obcego kraju, a werbując młodych ludzi, oczekuje cierpliwie na efekty. Podobno było tak kiedyś, ale chyba już dawno, jeszcze przed rozpoczęciem przez Romana pracy w firmie, bo wertując uważnie od wielu lat literaturę fachową, oczywiście tajną, nie zauważył, aby jakiemuś kontrwywiadowi udało się złapać angielskiego szpiega. I to chyba było przyczyną, że nadal tropiono ich z dużą wytrwałością. Roman miał na ten temat swój własny pogląd. Nie rozumiał u przełożonych tej dążności do uchwycenia „angielskiego śladu”. Stało się to jakąś obsesją, punktem honoru, aby przerwać tę dotąd niczym nieskrępowaną szpiegowską działalność gentelmenów w białych rękawiczkach i meloniku na głowie. W ocenie Romana takiej działalności nie było, a jeżeli istniała, to w minionej epoce. Przez lata jego informatorzy usiłowali dowiedzieć się czegoś więcej o domniemanym podwójnym funkcjonowaniu British Council, ale bez żadnych rezultatów. Jednak w ocenie osób kierujących firmą ta instytucja była emanacją angielskiego wywiadu. Dlatego Roman nie mógł powiedzieć, że nic nie widzi, gdyż podważałoby to mit, a raczej istnienie mitu, istnienie ponadczasowe, niezależne od epok

i ustrojów politycznych, wyrażające metafizyczne niemal pragnienie posiadania nieuchwytnego wroga. Wroga, który jest tylko mirażem, a ścigający zdaje sobie sprawę, że nie uda mu się go nigdy schwytać. Mimo tego przekonania będzie zakładał tysiące pułapek, wyteży wszystkie swoje siły intelektualne, wiedząc, że i tak cel jest nieosiągalny.

– Czy przychodzi ktoś od nich do ministerstwa? – kontynuował Roman.

– Właśnie nie. Najwyżej coś przyślą. Zresztą oni nigdy nie byli otwarci na bezpośrednie kontakty. Przecież pan wie.

– A ktoś z pana kolegów w pracy nie ma jakiegoś kontaktu z kimś z instytucji? Niekoniecznie służbowego, no, wie pan, o co chodzi.

Tarpan spojrzał uważnie na Romana. Zainteresowanie British Council było wyraźne, a więc może kroi się coś dla niego.

– Do czego pan zmierza, panie Romanie?

– Szukam kogoś, kto mógłby coś dla mnie zrobić. Rozumie pan, delikatna misja. – Roman nie ukrywał przed Tarpanem swoich intencji, informator i tak je już wyłapał. – Ale do tego potrzebny jest bezpośredni kontakt z kimś z British Council.

– Niestety, nie mogę panu pomóc. Gdyby chodziło o Francuzów czy Niemców, nie byłoby problemu, ale tu... Pamiętaj pan, mówiliśmy wcześniej na ten temat.

Tak, Roman przerabiał już kiedyś tę kwestię z Tarpanem. Problem tkwił w tym, że Brytyjczycy nie byli zbyt otwarci na kontakty z administracją rządową. Ograniczali się do korespondencji. Zgłaszali pisemnie swój wniosek czy też o czymś informowali. Otrzymywali akceptację, również na piśmie, jeśli

przepisy lub zwyczaj tego wymagały. Dlatego tak trudno było informatorom zbliżyć się do tej instytucji i jej pracowników.

– Ale wie pan, co? – Tarpan o czymś sobie przypomniał. – W papierach, jakie panu dałem, jest blankiet zaproszenia. British Council organizuje swój coroczny raut w Victorii. Będzie sporo oficjeli, głównie z wyższych uczelni, ale też z naszych instytucji, na pewno przedstawiciele firm, naprawdę nie wiem, kogo mogą jeszcze zaprosić.

Roman przypomniał sobie. Jak co roku British Council wydawało raut, było to w końcu kwietnia. Dlaczego akurat w tym terminie? Roman tego nie wiedział i chyba nie wiązało się to z jakimś angielskim świętem. Sięgnął do teczki i dyskretnie, pod stolikiem, przekartkował to, co wcześniej przekazał mu Tarpan. Odnalazł zaproszenie na kredowym papierze, z tłoczonym herbem. Popatrzył na nie chwilę i nagle głowę przeszyła mu niespodziewana myśl. Przeszyła i zgasła, tak że nie odczuł nawet emocji, jakie powinny jej towarzyszyć. Tarpan mówił dalej:

– Dostaliśmy pięć zaproszeń in blanco. Tyle samo co zawsze. Z ministerstwa zwyczajowo pójdzie jedna osoba.

– Ktoś od pana?

– Nie, dyrektor departamentu do spraw wspierania kultury polonijnej.

Było to trochę dziwne, gdyż ten departament nie miał nic wspólnego z instytucjami zagranicznymi w Polsce. Na pytające spojrzenie Romana Tarpan wyjaśnił:

– W zasadzie to nie wiadomo, dlaczego na rauty do British Council chodzi dyrektor od spraw Polonii. Przecież właściwym byłby mój dyrektor. Ale tak się jakoś utarło od lat i nikt nie próbował tego

zmienić. Wie pan, to stało się zwyczajem, a zwyczaj zamienia się w prawo, tak jak w Anglii. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do Romana.

– Czyli zostały panu trzy zaproszenia?

– Nie, dwa, bo dyrektor zabiera na przyjęcie małżonkę.

– Co pan z nimi zrobi?

– Z nimi? Z dyrektorem i jego żoną?

– Nie. Oczywiście, że z zaproszeniami.

– Nic. Leżą w szafie i tam zostaną. Sam chętnie bym poszedł, żeby panu w czymś pomóc. No, bo pewnie miałby pan dla mnie zadanie. – Tarpan wykazywał się doprawdy dużą domyślnością. – Ale, niestety, znam tego dyrektora i on mnie zna. Gdyby zobaczył mnie na raucie, mógłbym mieć kłopoty.

– No tak, oczywiście. To nie wchodzi w rachubę, panie Zdzisławie. Z powodu kontaktów ze mną nie może mieć pan żadnych przykrości.

Roman dyskretnie spojrział na zegarek. Pora kończyć spotkanie. Nagle jego uwagę przykuł hałas dochodzący z lewej strony sali. To Czeczen, podnosząc się od stolika, przewrócił krzesło i sięgając po nie, zawadził o sąsiedni stolik, z którego z brzękiem posypało się szkło na podłogę. Resztki kawy prysnęły na żakiet siedzącej ze Szczawińskim blondynki. Jednak ona, co z uznaniem odnotował Roman, ani drgnęła, spokojnym ruchem sięgnęła po serwetki i wytarła żakiet. Szczawiński także zachował kamienną twarz, aczkolwiek pod tą maską z pewnością kłębiła się wściekłość. Czeczen rzucił się ku blondynce, próbował złapać jej dłoń i pochylił się, aby pocałować z przeprosinami, co jednak nie wyglądało zbyt dobrze. Od stolika poderwał się Mędracki, złapał Czeczena pod rękę,

żeby go odciągnąć, ale ten, chyba miał już trochę w czubie i nie zwracał na to uwagi. Blondynka gestami dawała do zrozumienia, że nic się nie stało, Szczawiński ze ściągniętymi rysami twarzy patrzył nieruchomo przed siebie. Głosy na sali ścichły, uwaga wszystkich zwrócona była na to małe zamieszanie. Kątem oka Roman zauważył, że nawet Giuliano zamarł na chwilę z na wpół uniesionymi ramionami w swojej nieustannej gestykulacji. Tak, wydarzenie było niezwykłe. Takie sytuacje w Niezapominajce się nie zdarzały. W końcu Mędracki brutalnie pociągnął za sobą Czczena, który raptownie otrzeźwiał bardziej chyba skonsternowany tym, co zaszło, niż jego ofiara. Wrócił potulnie do stolika, wyciągnął chustkę i obtarł spoconą twarz.

Tacy to po opuszczeniu oddziału powinni przechodzić kwarantannę – skomentował w duchu zajście Roman.

Na salę powróciła normalność. Podniósł się znowu dyskretny gwar rozmów. Roman nie chciał być w skórze Mędrackiego. On i jego Czczen na długi czas staną się w firmie przedmiotem docinków.

Roman uniósł do góry prawą rękę. Czujny kelner skierował się do jego stolika. Roman poprosił o rachunek. Przez czas, jaki potrzebny był kelnerowi na jego wypisanie, umówił się z Tarpanem niezobowiązująco na następne spotkanie. Wymienili parę nic nieznaczących grzecznościowych frazesów. Gdy kelner dyskretnie położył rachunek na stoliku, Roman rzucił nań okiem. Wypisane pozycje różniły się od ich rzeczywistej konsumpcji. Zamiast dwóch butelek wina kelner wpisał dwie lampki luksusowego koniaku, co w rachunku stanowiło tę samą wartość. Tak, o takich rzeczach kelnerom w Niezapominajce nie trzeba było przypominać. Oni także

mieli doświadczenie w tych sprawach. Roman będzie przecież rozliczał się w firmie z kwoty na rachunku, który pokrywał środkami z funduszu operacyjnego. Gdyby do każdego rozliczenia wpisywał dwie butelki wina, wkrótce uznano by go za alkoholika. A tak, dwie lampki doskonałego koniaku przydają spotkaniu odpowiednią oprawę, co wpływa pozytywnie – jak to określano w firmie – na stosunki interpersonalne pomiędzy oficerem a jego informatorem.

Roman uregulował należność i schował dyskretnie rachunek do kieszeni marynarki. Pożegnał się z Tarpanem, ale pozostał przy stoliku. Zgodnie z zasadami informator pierwszy opuszczał miejsce spotkania, a obowiązkiem oficera było obserwować ten moment, głównie w tym celu, aby stwierdzić, czy ktoś za nim nie poszedł. Należało też przestrzegać zasady konspiracji. Roman nie mógł wyjść zatem razem z Tarpanem. Na ulicy byli obcymi sobie ludźmi, a gdyby przypadkowo się spotkali, minęliby się obojętnie.

Odczekawszy pięć minut, Roman opuścił Niezapominajkę. Zaczynało się wczesne popołudnie, więc natężenie porannych i południowych spotkań ustępowało spokojnej atmosferze późniejszych godzin dnia. Oficerowie rozstawali się ze swoimi informatorami, spieszyli do firmy, gdzie mieli nadzieję sporządzić jeszcze dzisiaj raport z informacjami przekazanymi przez cywilnych współpracowników firmy.

*

Roman usiadł przy biurku. Czuł się dobrze. Alkohol wyparował już z organizmu po spacerze, jaki zafundował sobie po wyjściu z Niezapominajki. Poszedł prosto Alejami Niepodległości w stronę centrum, skręcił w ulicę Batorego i Puławską, doszedł z drugiej

strony do Rakowieckiej. Zabrało mu to prawie pięćdziesiąt minut, ale wiosenne wiatry, co prawda gęsto przetykane spalinami samochodowymi, dobrze mu zrobiły.

Zaczął zastanawiać się nad spotkaniem. Właściwie nic się nie zmieniło w stanie jego wiedzy. Upewnił się tylko, że nie można aktywniej wykorzystać Tarpana w sprawie Izydor. Informator będzie mu co najwyżej dostarczać danych o oficjalnych spotkaniach organizowanych przez British Council, osobach delegowanych przez ministerstwo na te imprezy, ale nic ponadto.

Roman schylił się, wyjął z teczki plik papierów, które przekazał mu Tarpan i zaczął je machinalnie przerzucać. Do jego świadomości zaczęła przebijać się myśl, którą zgasił siłą woli w Niezapominajce. Teraz też próbował wzbronić jej wstępu do tej części jaźni, gdzie prowadzone są przemyślenia i rozważania. Jednak opór jego zmniejszał się stopniowo, gdyż podświadomość podpowiadała mu, że prędzej czy później i tak nie obroni się przed poddaniem tej myśli szczegółowej analizie, chociaż w swojej pierwszej, wyrazistej, wręcz nagiej postaci wydawała się tak nieprawdopodobna.

Jak bardzo naruszyłyby reguły gry, gdyby wcielił tę myśl w czyn? Ta myśl, która stanowiła propozycję pewnego działania czy raczej przedsięwzięcia, kłóciła się z podstawową zasadą, jaką był zakaz samowolnego uczestniczenia przez oficera kontrwywiadu w sytuacjach, gdzie mógłby stać się katalizatorem inicjującym powstanie stanu zagrożenia. Zagrożenia rozumianego jako ewentualność spowodowania kłopotów firmy w wymiarze przekraczającym jej wewnętrzne rewiry, a wynikłego z nieakceptowanych wcześniej przez przełożonych działań w otoczeniu zewnętrznym. Skutki zaistniałych wówczas zdarzeń

mogły przybrać wieloraką postać. Pierwszy i podstawowy wiązał się z możliwością przeniknięcia informacji do publicznej wiadomości, a to było to, przed czym firma zawsze broniła się wszelkimi dostępnymi środkami i metodami. Oficera, któremu nawet przypadkowo trafiło się przeprowadzić jakieś działanie w taki sposób, że wiedza o nim przedostała się do mediów, spotykały różne nieprzyjemności, w tym też szykany, ze strony przełożonych, a także kolegów mających w takiej sytuacji dobrą okazję do nabijania się z niego. Prześcigali się w zadawaniu pytań w rodzaju: „Czy byłby pan skłonny udzielić wywiadu popołudniówce, czy raczej tygodnikowi?”. Dopóki winowajcy nie udało się wymazać plamy jakimś znaczącym osiągnięciem, miał nielekkie życie. Cóż więc mówić o wypadku, który został spowodowany przez świadome naruszenie obowiązujących reguł gry? Drugi skutek to spadek notowań wydziału w Departamencie, co znajdowało swój wyraz przy przydziałach premii albo corocznych awansach. Innych skutków mogło być bardzo wiele i zależały one od rodzaju przedsięwzięcia, obiektu lub środowiska, w jakim zostało podjęte nieszczęsne działanie i przebiegu samego zdarzenia.

Dlatego Roman, analizując tę niespodziewaną myśl, rozważał przede wszystkim wszelkie możliwe negatywne aspekty. Co mogło mu grozić, gdyby skorzystał z okazji i udał się na raut organizowany przez British Council w Victorii? Na podstawie tego, o czym dowiedział się od Tarpana, uważał, że nie powinno być niebezpiecznie. Raut organizowany jest dla krajowych notabli i to nie z pierwszego szeregu, a nawet nie z drugiego. Reprezentanci ministerstwa kultury, może jeszcze innego, MSZ-u na przykład, ale średniego szczebla, niewykraczający rangą poza dyrektora

departamentu. Ponadto przedstawiciele uczelni, pewnie rektorzy, dziekani i nauczyciele w jakiś sposób zasłużeni dla Anglików. No i właściciele, szefowie, może menedżerowie firm. Ich obecność też była zrozumiała. Wszystko przecież opiera się na sponsorach. Nie powinno być nikogo, kogo Roman znał i kto znałby jego. Mógłby zatem zachować swoje incognito, a na wszelki wypadek przygotowuje sobie legendę², że jest właścicielem takiej to a takiej firmy, współpracuje z zakładami ze swojej branży, dajmy na to z Leeds. Nie, tak nie będzie dobrze, lepiej wybrać jakieś miasto na północy, może być Edynburg, bo chyba jest mniejsze prawdopodobieństwo, że trafi na kogoś, kto ma kontakty w Szkocji. Jedno, do czego nie wolno mu dopuścić za wszelką cenę, to ujawnienie własnej tożsamości. Ale nie ma prawa do tego dojść. Jest zbyt doświadczonym oficerem, aby nie poradzić sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. A recepta, żeby nie popaść w tarapaty, była bardzo prosta. Być dyskretnym, trzymać się na uboczu, ale tak, by samemu wszystko widzieć.

Dopiero teraz Roman uświadomił sobie, skąd wzięła się u niego zaskakująca myśl o pójściu na raut British Council.

Jak zazwyczaj bywa, wiązało się to z dawnymi przeżyciami utrwalonymi we wspomnieniach. Kiedy był młodym adeptem sztuki kontrwywiadu, przeszedł szczególne szkolenie. Ktoś w firmie wypracował nowatorską metodę, kierując się starą prawdą, że najlepiej dotrzeć do przeciwnika poprzez bezpośrednie zbliżenie. Pod warunkiem, że przeciwnik nie wie, z kim ma do czynienia. I tak oto wybrani młodzi oficerowie Departamentu Kontrwywiadu zostali oddelegowani do Wrocławia. Na ich użytek wynajęto bursę z zapleczem restauracyjnym. Na tym zapleczu, w dwóch salach, najwybitniejsi kelnerzy z najbardziej renomowanych wrocławskich

restauracji szkolili oficerów w sztuce kelnerskiej, a więc, jak trzymamy ściereczkę, w którym ręku, czy ręka powinna być zgięta pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, z której strony podajemy do stołu, jak wlewamy wino, do jakich kieliszków, jaką temperaturę powinny mieć poszczególne alkohole. Uczestnicząc w kursie, Roman nabrał szacunku dla zawodu kelnera. Egzaminy były piekielnie trudne. Zdała je połowa oficerów. Należy wszakże przyznać, że największy odsetek wśród tych, którzy oblali, stanowili zapalczywi degustatorzy trunków dostarczanych w dużych ilościach jako materiał szkoleniowy. Nabyte umiejętności były nie do pogardzenia w życiu codziennym. Roman nawet słyszał, że po odejściu z firmy jeden z uczestników kursu pracował jako kelner.

Ci, którzy przeszli pomyślnie egzaminy, mieli okazję wykorzystać nowo nabyte umiejętności. Zgodnie z planem skierowano ich w bezpośrednią bliskość przeciwnika, przy czym przeciwnikiem byli w tym przypadku pracownicy obcych ambasad, zarówno ujawnieni przez kontrwywiad jako oficerowie rezydentur wywiadowczych, jak i ci, których tylko podejrzewano o taką przynależność. Młodzi oficerowie Departamentu zostali zatrudnieni przez firmy oferujące doświadczone siły kelnerskie na wszelkiego rodzaju uroczystości i imprezy, oczywiście pod cudzymi nazwiskami. Ambasad w Warszawie jest sporo, a każda z nich organizuje w ciągu roku kilka okolicznościowych imprez. Tak więc pracy nie brakowało. Oficerowie w kelnerskich frakach i ze ściereczką w ręku serwowali w salach bankietowych lub ogrodach wino, ser, salami, sałatki. Ich zadaniem było obserwować. Obserwować zachowania osób, które Departament uznał za podejrzane, oraz kontakty, jakie te osoby podejmowały na imprezach. No i oczywiście marzeniem każdego

oficera było dostrzec BPM. Za tymi magicznymi w kontrwywiadzie literami kryło się supertajne działanie szpiegowskie, czyli błyskawiczne przekazanie materiałów. Zgodnie z kanonami, jeszcze dziewiętnastowiecznymi, BPM odbywało się tylko w jednym kierunku. Materiały przekazywał oficerowi obcego wywiadu jego agent. Mogło to mieć różne formy, na przykład poprzez uścisk dłoni, dyskretne wsunięcie małego pakieciku do kieszeni, a nawet przejęcie teczek.

Ponieważ jedno BPM udaje się kontrwywiadowi uchwycić raz na dziesięć, piętnaście lat, marzenie nie spełniło się z powodu rachunku prawdopodobieństwa czy też raczej średniej statystycznej, gdyż na dwa lata przed akcją kelnerską złapano na błyskawicznym przekazywaniu materiałów agenta i oficera obcego wywiadu, niemieckiego, jeśli Roman dobrze pamiętał. Oficera zwolniono, gdyż był, rzecz jasna, dyplomata, a agent dostał, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, dwanaście czy piętnaście lat.

Cała akcja, której nadano kryptonim Kelner, zakończyła się dyskretnie i po cichu, czyli tak, jak ją rozpoczęto. Powodu zakończenia Romanowi oficjalnie nikt nie zakomunikował, czemu nie należało się dziwić, gdyż w firmie było to normalne. Jeżeli przełożony mówi mniej, to znaczy, że nie chce powiedzieć więcej. To dewiza, która w tym zawodzie obowiązuje na całym świecie. Po pewnym czasie dotarły do Romana plotki o tym, jaki był powód przerwania starannie przygotowanego przedsięwzięcia. Jeden z oficerów Departamentu, dość przystojny, zwrócił uwagę w czasie wykonywania swoich obowiązków na jakimś dyplomatycznym party na żonę dyplomaty. I ona zwróciła uwagę na niego. Przerodziło się to szybko w dość bliskie stosunki. Pech chciał, że była to żona szefa

rezydentury wywiadowczej w placówce. Małżonek, mocno zazdrosny, ale opanowany i trzymający nerwy na wodzy z racji wykonywanego zawodu, nie działał pochopnie. Za kelnerem puścił całą tajną obserwację, jaką miał do dyspozycji w ambasadzie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Wkrótce na kliszach fotograficznych utrwalono amanta, jak wchodzi na Rakowiecką i z niej wychodzi. Nie pozostawiało to wątpliwości co do jego rzeczywistej profesji. Kolejny ruch można już było przewidzieć. Ambasador tej placówki złożył wizytę w MSZ-ecie, ostro zaprotestował przeciwko infiltrowaniu ambasady przez oficera firmy przebranego za kelnera i rzucił na stół zdjęcia owego amanta wchodzącego swobodnie do firmy. Nie było sensu zaprzeczać, chociaż oczywiście zajście określono jako nieporozumienie. W sferze dyplomacji sprawa na tym się zakończyła. Konsekwencją dla winnego było przeciągnięcie w czasie kolejnego awansu, to samo spotkało jego przełożonych, których, chociaż w takich przypadkach są bez winy, karze się dla zasady.

Roman otrząsnął się ze wspomnień. Dawne dobre czasy nie powrócą. Kiedy popełniał błędy, wybaczano mu je bez wyciągania konsekwencji służbowych. Był przecież początkującym oficerem. W zamian oczekiwano, że będzie się rozwijał. Nie ganiono za brak efektów. Był czas na wszystko. Na pracę, na spotkania z kolegami w restauracjach, częściej w barach, bo jako początkujący oficer nie miał wysokich poborów. Wypadki, nawet kilkudniowe, na Mazury czy nad morze nie były rzadkością. Wszystko to przeszłość. Przez lata pisał się w górę i w końcu zajął wygodne stanowisko w Departamencie. Trzeba jednak przyznać, że przez ostatnie kilka lat spoczął na laurach. Dlaczego? Chyba sam do końca nie wiedział.

Stracił zapał do pracy. Coraz częściej miewał niewesołe refleksje na temat tego, co robił. Męczyła go podwójna rzeczywistość, w jakiej żył. Jedna rzeczywistość to ta normalna, czyli życie tętniące za bramą firmy. Ludzie zaabsorbowani zwykłymi sprawami, trudnymi, ale zwyczajnymi, wyczuwalnymi niemal za dotknięciem ręki. I ta druga rzeczywistość, rzeczywistość wytwarzana przez firmę. Dawniej był nią zafascynowany, zanurzał się w niej z pasją, niby w nowo odkrywanym świecie, pełnym tajemnic i niespodzianek. Ale teraz ogarniała go apatia. Ten nowy kiedyś dla niego świat doznań stawał się nużącym majakiem. Nierealnym, wynaturzonym odbiciem świata rzeczywistego. Świat śledzonych i śledzących. Świat obcych agentów, informatorów i podsłuchów. Świat podwójnych znaczeń. Gdzie nic nie jest takie, jakie być powinno. I gdzie nigdy nie można być pewnym czegoś do końca, bo reguły gry wyznacza firma. A z reguł tych wynika, że nawet przyjaźń może okazać się pozorna, że to tylko gra inspirowana przez firmę.

Z tego powodu Roman popadł w stan zubożenia. Nie wierzył już, że osiągnie sukces, bo przecież ten sukces, według reguł gry firmy, też mógł być tylko pozorny. Jego pozorność polegałaby na tym, że nie byłoby wiadomo, co się za nim kryje. Teoria dwóch znaczeń dopuszczała przecież możliwość, że sukces tak naprawdę nie zawsze jest sukcesem, gdyż w rzeczywistości firmy niekiedy oznacza porażkę. I Roman już nie pragnął sukcesu, ponieważ obawiał się jego drugiego dna, które przemieniłoby go w klęskę. Ten dystans, jakiego nabrał wobec kreowanych przez firmę znaczeń, w istotnym stopniu rzutował na wykonywaną przez niego pracę. Ograniczał się do wydobywania z siebie minimalnego wysiłku. I tak zaczął wykonywać pozorną pracę. Sprawy prowadził w taki sposób,

aby nie dać powodów do zarzucenia mu bezczynności. Dorzucał więc do nich co jakiś czas papierki, które i tak nie miały znaczenia. A jeśli nawet zawierały konkretne informacje, to Roman nie podejmował wysiłku, by je spożytkować. Tak samo postępował z informatorami. Ograniczył ilość spotkań z nimi, ale nie tak bardzo, żeby można było to wychwycić bez szczegółowej kontroli. Odbierał informacje, przelewał je na papier i na tym poprzestawał. Nie wyciągał wniosków i nie podejmował działań. Przestał werbować nowych informatorów. Zwyczajnie nie chciało mu się gadać z ludźmi, przekonywać ich do podjęcia współpracy z firmą, ukazywać, jak to jest ważne dla wyższych interesów, bezpieczeństwa i temu podobne. Chociaż siła jego perswazji chyba nadal była duża, przecież latami doskonalił ten element swojej pracy. Ale teraz, gdy sam tracił przekonanie o sensie tego, co robi firma, nie mógł zmusić się do podejmowania kolejnych werbunków. Dopóki naczelnikiem wydziału był Gutowski, jakoś to szło. Romanowi udawało się unikać nacisków na zwiększenie własnej wydajności, osiągnięcie tak zwanych wyników, efektywną organizację pracy, którymi to zwrotami posługiwała się firma, próbując wymóc na oficerach zaangażowanie w wykonywaną służbę. Jednak odkąd w wydziale nastał Pepsuj, sytuacja znacząco się zmieniła. W przeciągu ostatnich dni Roman przemyślał te kwestie i doszedł do ważnych wniosków. Pepsuj stanowi zagrożenie dla niego i dla innych starych wyg wydziałowych. To zrozumiałe, gdyż od kogo będzie wymagał jakichś wyników, jeśli nie od doświadczonych oficerów? W pierwszym okresie kierowania wydziałem, powiedzmy od sześciu miesięcy do roku, kierownictwo firmy będzie bezwarunkowo go popierać. Ten, czując się mocny, zacznie wymyślać jakieś działania, których

przeprowadzenie miałoby raptownie przynieść poprawienie wizerunku wydziału. W końcu po to został naczelnikiem. Tylko że Pepsuj jest narwany, nie na darmo nosi przydomek Popsuj, więc prędzej czy później przyjdzie wpadka. I to może być całkiem duża wpadka. Na tyle duża, że Pepsuj będzie musiał zniknąć z pola widzenia, czyli wrócić do szeregu zwykłych pracowników firmy, najpewniej w innym już wydziale. W firmie zgrabnie to określano, mówiąc, że ktoś utracił zdolności kierownicze. Ale zanim do tego dojdzie, Roman był całkowicie w jego władzy. Mógł on, mocą swoich uprawnień, chociaż zapewne nabytych przejściowo, doprowadzić do skierowania Romana do logistyki, a to oznaczało utratę pieniędzy i prestiżu. Za wszelką cenę należało temu zapobiec.

Co mógł zrobić? Nadmuchać sprawę. Do tego wniosku doszedł już wcześniej. To dawało jakąś szansę na przeczekanie trudnych czasów. Pepsuj w końcu się potknie, Roman był tego pewien. Zastąpi go wtedy ktoś rozsądny, a on odzyska spokój.

W rachubę wchodziła tylko sprawa Izydora. Jednak prawie wszystkie znajdujące się w niej informacje dotyczyły kierunku wschodniego, a Roman potrzebował takich, które pozwoliłyby mu skoncentrować działania w obszarze zachodnioeuropejskim.

Ten sposób rozumowania przemawiał za podjęciem przedsięwzięcia, jakie teraz było przedmiotem jego rozważań. Z punktu widzenia oficera kontrwywiadu potencjalny zysk mógłby być niemały. Można więc założyć, że wśród gości na raucie znajdzie się Izydor. To już sporo, ponieważ będzie miał możliwość zaobserwowania jego kontaktów z innymi gośćmi i, co szczególnie ważne, z przedstawicielami British Council. Wprawdzie gości Roman nie znał, ale później będzie mógł ich zidentyfikować na podstawie

fotografii, które zazwyczaj pstrykała obserwacja pod hotelem. Posiadał za to zdjęcia Izydora oraz szefów British Council i mógł ich bez trudu rozpoznać. W wydziale zachodnioeuropejskim, tak jak i w każdym innym wydziale operacyjnym, prowadzono album. Nie był to album wydziałowy, gdyż wspólne fotografowanie się oficerów, nawet na imprezach towarzyskich, obejmował kategoriyczny zakaz. Album zawierał zdjęcia wszystkich cudzoziemców, których wydział już podejrzewał lub mógł podejrzewać w przyszłości o działalność szpiegowską. Byli w nim uwiecznieni na fotografiach przez pracowników obserwacji członkowie rezydentur wywiadowczych ambasad Europy Zachodniej: Francji, Włoch, Hiszpanii, Irlandii, Belgii i innych. Do albumu wpinano też zdjęcia pracowników dyplomatycznych, których w danym momencie nie podejrzewano jeszcze o przynależność do rezydentury, ale przecież można w każdej chwili uzyskać informację, że jednak istnieje związek takiego pracownika z działalnością wywiadowczą. To samo dotyczyło kierownictwa instytucji zagranicznych mających swoje siedziby w Warszawie, szefów i menedżerów zachodnich firm. Gdy któryś z nich wyjeżdżał z kraju, jego fotografię wyjmowano i przekładano do tak zwanego albumu bis, w którym przechowywano zdjęcia czasowo nieobecnych. Czasowo, gdyż nie można wykluczyć, że teraz nieobecny powróci za jakiś okres.

Roman przypomniał sobie fotografie dyrektora przedstawicielstwa British Council, Johna Stockwella, i jego zastępczyni, Jezabel Young. O ile dobrze pamiętał, Stockwell wyglądał na typowego Anglika z jasnobłond grzywką zaczesaną na bok. Mógł mieć trzydzieści kilka lat. Jezabel Young była chyba dużo starsza. Miała krótko obcięte włosy, twarde rysy twarzy, mówiło się

o takich kobietach, że mają męski typ urody. Na pewno nie była urodziwa. Mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Dane co do wieku, miejsca urodzenia, zamieszkania, wykształcenia, stanu rodzinnego, przebiegu kariery zawodowej, skłonności i zamiłowań odnajdzie w wydziałowym dossier. Co do Stockwella, nie było podstaw do podejrzewania go o to, że jest kadrowym pracownikiem MI-6 bądź ich agentem. Oczywiście nie oznaczało to, że nie trzeba zrobić wszystkiego, aby takie podstawy znaleźć. Na razie jednak Departament miał do jego osoby stosunek neutralny, co oznaczało, że wpisano go na końcu listy cudzoziemców podejrzewanych o prowadzenie działań na rzecz obcego wywiadu. Inaczej rzecz się przedstawiała z panią Young. Istniały poszlaki, które nakazywały uważać ją za podejrzaną. Kontaktowała się często z radcą attachatu do spraw kultury ambasady brytyjskiej w Warszawie. Fakt kontaktów nie był sam w sobie czymś dziwnym, przecież British Council i attachat działały na tej samej niwie. Jednak radcę podejrzewano o członkostwo w rezydenturze. Nie dlatego, że przemawiały za tym dowody lub choćby informacje ze źródeł operacyjnych, po prostu Departament zakwalifikował kiedyś stanowisko radcy tego attachatu jako naturalną pozycję do działań wywiadowczych dla MI-6 i tak już zostało. Na tej podstawie szufladkowano wszystkich kolejnych radców. Wydział miał z tym sporo pracy, gdyż radca do spraw kultury utrzymywał zazwyczaj szerokie kontakty w kraju pobytu. Rozpoznawaniem kontaktów radców różnych attachatów zajmowała się cała sekcja w wydziale Romana. Elementem wzmacniającym podejrzenia była informacja, że Jezabel Young kilka lat temu przebywała z misją w Irlandii Północnej z ramienia brytyjskiego ministerstwa kultury. Trudno było uwierzyć, że pobyt w Belfaście

wiązał się z krzewieniem akurat w tym miejscu kultury anglosaskiej. Informacja ta pochodziła ze źródeł niepotwierdzonych. Przypadkowo uzyskał ją polski wywiad działający z pozycji rezydentury placówkowej w Londynie. W sumie posiadane przez wydział informacje czyniły z pani Young osobę podejrzaną, będącą, jeśli nie kadrowym oficerem MI-6, to przynajmniej pozostającą z tą instytucją w bliżej nierozpoznanych związkach, których naturę jednakże można było – wedle kryteriów przyjętych przez firmę – określić z dużym prawdopodobieństwem.

Podejrzenia, zdawałoby się oparte na nikłych podstawach, miały także swój głębszy sens. Departament, sądząc, że ktoś może być agentem lub oficerem obcej służby specjalnej, nie powinien zostać zaskoczony, jeżeli przypuszczenia by się potwierdziły, chociażby i bez jego udziału. Dlatego w interesie firmy leżało rozszerzanie zasięgu podejrzeń, i to bez zbędnej zwłoki, gdyż podejrzenie musiało zaistnieć przed czymś, co postawiłoby Departament w trudnej sytuacji. W ten sposób kierownictwo Departamentu, no i firmy, było należycie zabezpieczone. Oczywiście, jeśli ktoś okazał się szpiegiem, konstatacja stawała się prosta: my wiedzieliśmy o tym od dawna, podejrzewaliśmy tego człowieka, a błąd, którym się zdemaskował, sami wywołaliśmy, został spowodowany naszymi działaniami, zaplanowanymi i realizowanymi długofalowo.

A więc podczas rautu Roman z pewnością rozpozna Stockwella i Young, co pozwoli mu uniknąć niespodzianek. Ponadto będzie miał możliwość obserwowania ich kontaktów. Może uda mu się namierzyć osobę, która ma dobre relacje z Anglikami lub z Izydorem. Zawerbowanie takiej jednostki do współpracy mogło być nieocenioną pomocą dla Romana, ponieważ właśnie brak dotarcia

jego informatorów do tych kręgów czynił go bezradnym. A czas naglił.

Roman zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien zgłaszać się ze swoim pomysłem do Pepsuja. Nie dlatego, żeby ten nie lubił ryzyka, bo przeciwnie, ryzykował niejednokrotnie sporo i to nie całkiem mądrze. Chodziło o to, że Roman po prostu nie był w stanie przewidzieć jego reakcji, gdyby zgłosił się z taką właśnie propozycją. Być może Pepsuj by ją zaakceptował. Jednak równie dobrze mógłby się spotkać z niewybrednymi epitetami pod swoim adresem. I nie byłoby źle, gdyby na tym się skończyło. Znając Pepsuja, Roman nie wykluczał, że poinformowałby o jego pomysle kierownictwo Departamentu. No, wtedy by się zaczęło. Że Roman nie przemyślał sprawy. Że może narazić Departament na kompromitację. Że tak doświadczony oficer powinien głębiej zastanowić się nad tym, co chce zrobić. I tak dalej. W efekcie Romanowi zaczęto by patrzeć na rękę. Z tych przemyśleń należało wyciągnąć wniosek, że przedsięwzięcia nie wolno konsultować z kimkolwiek.

Nie wolno konsultować... Czyli że podjął decyzję? Chyba tak. Roman tkwił nieruchomo za biurkiem. Nie myślał już o stronie operacyjnej tego działania. Na szalę kładł instynkt samozachowawczy. Jeżeli pobyt na raucie zakończy się wpadką, czekają go kłopoty. Jeśli nie, może osiągnąć coś, co pozwoli mu ruszyć sprawę z miejsca.

Wszyscy koledzy Romana zastanawiali się w ostatnich dniach bardzo intensywnie, co zrobić, aby zadowolić Pepsuja. Oczywiście każdy swoje przemyślenia chował dla siebie, żeby nikt go nie ubiegł we wprowadzaniu w czyn odkrywczych myśli. Wprawdzie Roman

mocno wątpił w zaistnienie tej odkrywczości u swoich kolegów, ale nie robiąc nic, pozostanie w tyle.

To przeważyło. Roman rozgarnął papiery leżące na biurku. Wyciągnął zaproszenie z British Council. Wziął pióro i czarnym atramentem starannie wpisał, nie zastanawiając się specjalnie nad wyborem, imię i nazwisko: Zenobiusz Korzeń. Decyzja została podjęta. Roman uspokoił swoje myśli. Teraz pójdą one w kierunku przygotowania się do sobotniego przedsięwzięcia.

III

Dochodziło wpół do piątej. Roman jechał swoim samochodem w kierunku Śródmieścia. Belwederska i Aleje Ujazdowskie nie były zatłoczone jak w zwykły dzień, a ruch uliczny zwiększył swoją szybkość.auta pędziły z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, by naraz gwałtownie zatrzymać się na światłach. Mimo szybkiego pokonywania drogi Roman wolał codzienne korki uliczne. Czuł się bezpieczniej, gdy z prawej i lewej strony nie mijały go w szalonym pędzie inne samochody. Zmuszony do gwałtownych przyspieszeń i hamowań nie uchylał okna, a na zewnątrz było już ciepło i mógłby poczuć na twarzy powiewy wiosennego wiatru. Zwolnił dopiero przed Nowym Światem. Nie dojechał na plac Piłsudskiego przed Victorią. Zaparkował na Czackiego. Następnie szerokim łukiem ominął hotel, idąc w kierunku Wierzbowej. Rozglądał się na boki, szukając budynku dostępnego dla przechodnia, aby wejść do środka. Zatrzymał się przed kilkunastopiętrowym blokiem.

Podszedł do drzwi wejściowych i zadzwonił do mieszkania, które, sądząc po usytuowaniu guzika na tablicy domofonu, musiało znajdować się gdzieś w połowie bloku.

– Słucham. – Z domofonu popłynął altem głos kobiety z wyraźną nutą napastliwości wynikającą zapewne z niespodziewanego zakłócenia spokoju domowego.

- Dzień dobry, z telewizji kablowej. - Roman mówił szybko i pewnym głosem. - Wymieniamy styki na złączach programowych. - Chyba to, co powiedział, było technicznym absurdem. Roman kompletnie nie znał się na ogólnie rozumianej technice, ale bazował na mniemaniu o podobnej ignorancji u kobiet. I nie pomylił się. Cichy brzęczek oznaczał, że wejście stało przed nim otworem.

Wjechał windą na ostatnie, piętnaste piętro. Stamtąd wszedł na półpiętro, które prowadziło już tylko na dach budynku. Stał przed obszernym oknem. Miał stąd dobry widok na frontową stronę Victorii. Z kieszeni płaszcza wyjął lornetkę. Patrząc na front hotelu, wyregulował ostrość widzenia, po czym rozpoczął dokładny przegląd terenu. Niewielki parking przed hotelem był wypełniony niemal całkowicie. Ludzie z obsługi czuwali nad tym, aby nieliczne miejsca parkingowe zajmowały właściwe auta. Skąd oni wiedzieli, kogo należy wpuścić? Roman zastanawiał się nad tym już kiedyś, ale nie doszedł do zadowalających wniosków. Może mieli szósty zmysł? Na samochodach nie były przecież wypisane nazwiska przybywających. To coś jak z tym, że recepcjonista hotelu potrafi bezbłędnie zakwalifikować nowo przybyłego gościa, jeszcze zanim ten wypełni formularz hotelowy.

Roman skierował lornetkę bardziej w prawo, na placyk pomiędzy drogą dojazdową do parkingu a szerokimi schodami wejściowymi. Tak jak należało się spodziewać, obecna była ekipa z Biura Obserwacji firmy. Roman pokręcił głową nad lornetką. Dwa samochody, wysłużony czarny passat i bordowy polonez, stały jeden za drugim. Obok kierowców siedzieli pasażerowie. Wszyscy palili papierosy, wodząc wzrokiem za przejeżdżającymi w stronę parkingu

autami, a potem za wchodzącymi do hotelu przybyszami. Po przyjeździe nowego samochodu notowali coś pilnie, pewnie w notesach, Roman nie mógł tego dostrzec. Następnie przyglądali się uważnie wysiadającym, a gdy ci nikli w drzwiach wejściowych, powracali do notowania. Romana zawsze zadziwiała ta nonszalancja obserwacji. Może nawet nie nonszalancja, ale to wyjątkowe ignorowanie zmian w otoczeniu i stałość w sposobie działania. Tak działała obserwacja trzydzieści, czterdzieści lat temu, a wypracowane wtedy metody okazały się niezmiennie. Na pytanie, dlaczego oni tak robią, Roman nie potrafiłby odpowiedzieć. Przecież sam fakt postoju przed hotelem starego passata i poloneza w otoczeniu luksusowych samochodów musiał wydawać się dziwny. Do tego w każdym z nich dwóch smutnych panów palących papierosa za papierosem. Romanowi przypominało to sceny z filmów szpiegowskich, których akcja rozgrywa się w jakimś państwie latynoamerykańskim.

Przed schodami hotelu spacerowała para. Starszy, siwawy mężczyzna i mało atrakcyjna chuda brunetka. Starali się pozować na zagranicznych turystów, co nie mogło się udać, bo wygląd i ubrania temu przeczyły. Bez wątpienia byli to krajowcy. Mężczyzna trzymał w rękę niewielką kamerę, którą co pewien czas unosił, a wówczas kobieta oddalała się o kilka kroków w stronę schodów. Mężczyzna filmował ją na tle wejścia do hotelu i wchodzących gości. Nawet wtedy nie zachowywali się jak turyści. Nie uśmiechali się, nie szukali nowej perspektywy, wręcz było widać, że robią to z obowiązku. Obserwując ich przez dłuższą chwilę, Roman zauważył, że mężczyzna filmuje przeważnie osoby wychodzące z samochodów z zagraniczną rejestracją lub z oznakowanymi tabliczką

dypłomatyczną. Tu także nic się nie zmieniło od kilkadziesiąt lat. No, może poza sprzętem, dawniej był to pewnie aparat fotograficzny marki Smiena. Obsługa parkingu i hotelu nie zwracała uwagi na tych dodatkowych gości. Pewnie i dla nich stanowili nieodłączny element krajobrazu hotelowego.

Było tak, jak spodziewał się Roman. Obserwacja firmy funkcjonowała przed hotelem. Jak zwykle ktoś złożył wniosek o jej uruchomienie. Nieistotne kto. Równie dobrze mógł to być ktoś z jego wydziału albo z orientalnego. Obserwację uruchamiano dla zasady. Po prostu dlatego, że była i że powinna przynosić jakieś informacje. Nikt nie spodziewał się po niej cudów. Ale jeśli prowadzono sprawę, to jednym z wymogów sztuki było użycie obserwacji. Obserwacja odwdzięczała się, przysyłając zamawiającemu ją pracownikowi Departamentu notatkę z zawartością tego, co udało się jej zaobserwować. Z reguły nie było to wiele warte. Zresztą pracownicy Departamentu unikali zlecenia obserwacji jakichś poważniejszych zadań, bo ryzyko dekonspiracji, czyli spalenia sprawy, zdecydowanie należałoby określić jako duże. A z takiej prostej obserwacji przed hotelem dostawali notatkę i trochę zdjęć, które wpinali do teczki sprawy i wszystko było w porządku. Przełożony nie mógł się przychylić i przeglądając materiały sprawy, musiał przyznać, że oficer prowadzący przeprowadził szereg istotnych działań, w tym w szczególności zastosował obserwację.

Ze składu osobowo-samochodowego obserwacji przed Victorią Roman wyciągnął ważne wnioski. Pierwszy i podstawowy to taki, że w dniu dzisiejszym nie jest prowadzona szerzej zakrojona akcja któregoś z wydziałów Departamentu Kontrwywiadu. Obserwacja przed hotelem to mniej niż jedna sekcja obserwacyjna, czyli jest to

działanie rutynowe. Oznaczało to również, co miało istotne znaczenie dla Romana, że obserwacja nie wprowadziła swoich pracowników do hotelu. Gdyby tak było, musiałyby się wycofać. Teraz sprawa przedstawiała się prosto, wystarczyło ominąć czuwającą przed hotelem obserwację i wejść do środka. Roman nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zostać zarejestrowanym na filmie video.

Usłyszał dźwięk zbliżającej się windy. Schował lornetkę do kieszeni płaszcza i zaczął powoli schodzić z półpiętra. Z windy wysiadło dwóch mężczyzn, na oko osiedlowych lumpów. Skierowali się do miejsca, które opuścił przed chwilą Roman. Z kieszeni kurtki jednego z nich wystawała szyjka butelki wina. Starszy z mężczyzn, w kraciastej czapce, uśmiechnął się, ukazując pieńki żółtoszarych zębów i powiedział: „Zmiana”. Wziął mnie za swojego? – zastanowił się Roman. – Czyżbym z wiekiem upodobniał się do tej kategorii osobniczej?

Zjechał windą na parter i wyszedł z bloku. Szerokim łukiem obszedł Victorię i znalazł się na tyłach hotelu. Mieściło się tu zaplecze, drzwi do różnych magazynów, kuchni i innych pomieszczeń o nieznanym Romanowi przeznaczeniu. Zaczął zacinać drobny deszcz, który przyniósł raptowną zmianę pogody. Wiatr stał się chłodny i przenikliwy. Wcisnął się pod ubranie razem z kroplami deszczu. Zaczynało zmierzchać. Roman postawił kołnierz płaszcza, ale niewiele to pomogło. Stał za hotelowym śmietnikiem. Zastanawiał się, które drzwi prowadzą do kuchni. Ruchu na tyłach hotelu nie było żadnego, zaopatrzenie też pewnie dzisiaj już nie przyjedzie, więc musiał wytypować losowo właściwe wejście. Wreszcie zdecydował się i podszedł do najbardziej okazałego. Nacisnął kłamkę, uchylił drzwi, ale widok był niespodziewany.

Zobaczył ciasne pomieszczenie, na środku stał zniszczony drewniany stół. Na staromodnych krzesłach siedziało dwóch mężczyzn i grało w karty. Jeden ubrany w podkoszulek, z szelkami od spodni, drugi w poplamionej marynarce i w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Nie zwracali na Romana większej uwagi, chociaż zerknęli na niego, gdy uchylał skrzypiące drzwi. Stół i całe pomieszczenie oświetlała żarówka bez klosza, co nadawało wnętrzu na poły nierealny wymiar. Mężczyźni grali chyba w durnia, bo przebijali karty rzucane z głośnym plaskotem na stół przez partnera. No, to druga para męska, jaką spotkałem tego popołudnia – pomyślał Roman. – Co to może oznaczać? Chyba nie przemianę mojej orientacji seksualnej – zachichotał w duchu.

– Panowie – powiedział głośno – ja szukam kuchni.

Mężczyzna w podkoszulku zatrzymał w powietrzu rękę z kartą, spojrzał na niego, potem na partnera, po czym rzucił kartę na stół.

– Moja – powiedział.

Raczej jednak grają w wojnę – zdecydował Roman.

Mężczyzna przy stole zgarnął lewą. Nie odwracając się, kiwnął głową, wskazując kierunek i rzekł:

– Trzecie na lewo.

– Dziękuję. – Roman cofnął się, zamykając za sobą drzwi.

Poszedł we wskazanym kierunku. Szarpnął klamką tym razem już właściwych drzwi, ale były zamknięte. Nacisnął dzwonek.

– Heniu, idź, zobacz, kogo tam niesie. – Usłyszał zza drzwi tubalny głos.

Po chwili zgrzytnął klucz w zamku yeti i drzwi się otworzyły. Na progu stał kucharz, raczej kuchcik, jak pomyślał Roman, gdyż nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat. Ubrany był w biały kitel

sięgający do kolan, rozpięty na piersiach. Uważnie zlustrował intruza.

– O co chodzi? – Romana zdumiało grube, zachrypnięte brzmienie jego głosu wydobywające się z tej małej postaci. Niemal parsknął śmiechem.

– Ja do kierownika, to znaczy do szefa kuchni.

– Zaraz. – Kuchcik chciał zamknąć drzwi, ale Roman mu to utrudnił, gdyż coraz bardziej zacinający deszcz zmoczył mu płaszcz do tego stopnia, że przemoknięcie groziło garniturowi. Włożył stopę pomiędzy drzwi i spoza nich powiedział:

– Poczekam przy wejściu.

Ale Heniu był nieubłagany.

– Nieupoważnionym wstęp wzbroniony – wycharczał przerywanym głosem, usiłując wypchnąć Romana. W końcu mu się to udało. Zgrzytnął klucz i Roman znowu wystawiony był na siekący deszcz. Zapadł już zupełny zmrok. Po pięciu minutach czekania Roman miał dość. Kiedy z determinacją wyciągał rękę, aby ponownie zadzwonić, drzwi się otworzyły.

– Słucham. – W drzwiach stał właściciel tubalnego głosu w nieskazitelnie białym uniformie i wysokim czepcu.

– Chciałbym rozmawiać z szefem kuchni.

– Trzeba wejść głównym wejściem i prosić w recepcji. – Kucharz chciał zamknąć drzwi.

– Nie, nie, ja muszę tutaj. – Roman rozpaczliwie przytrzymał klamkę. – Mam ważną sprawę do pana Ryśka.

Napór kucharza zelżał.

– No, dobrze – powiedział. – Niech pan poczeka.

Nie zamknął drzwi, więc Roman stał w progu, chroniąc się przed deszczem. Za chwilę kucharz pojawił się z mężczyzną, któremu z głębi kuchni wskazał ręką Romana. Mężczyzna szybkim krokiem podszedł do drzwi.

– Kogo ja widzę – rzekł donośnym głosem, uśmiechając się. – Witam, panie Romku.

– Dzień dobry, panie Ryśku.

– Kopeć lat, co pana sprowadza w taką pogodę? – powiedział, patrząc ze współczuciem na przemoczonego Romana.

– Mam jedną sprawę do pana – powiedział Roman, wymownie spoglądając w stronę kuchni, skąd znad blatów kuchennych kucharze rzucali ku nim ukradkowe spojrzenia.

– Jasne. Proszę do mnie. – Pan Rysiek poprowadził Romana przez rewiry kuchni do swojego gabinetu znajdującego się przed wejściem na salę restauracyjną. – Ale pan zmókł. – Podał Romanowi nieduży ręcznik do osuszenia twarzy i włosów.

Szef kuchni był trzydziestokilkuletnim mężczyzną średniego wzrostu, o czarnych włosach i wąsach. Ubrany w ciemny garnitur z muszką przypominał amantów z czarno-białych filmów z pierwszej połowy ubiegłego wieku. Pan Rysiek miał za sobą długą hotelową karierę. Pracował w Victorii jako recepcjonista, potem awansował na kierownika recepcji. Ale jego ambicją było zostać szefem kuchni. To dawało realną władzę w hotelu, drugą po dyrektorze i jego administracji. A pan Rysiek miał zdolności do kucharzenia. Pracując jako kierownik recepcji, ukończył kilkustopniowy kurs mistrza kucharskiego. Wówczas przeszedł do pracy w kuchni, a jego talenty organizatorskie szybko wydzwignęły go w górę, aż zajął upragnione stanowisko szefa kuchni.

Gdy był pracownikiem recepcji, a potem jej kierownikiem, Roman korzystał z jego usług. Jednak pan Rysiek nie stał się nigdy oficjalnym informatorem, to znaczy nie został zarejestrowany w tym charakterze w ewidencji firmy. Jego zobowiązanie do współpracy z firmą leżało w szafie metalowej Romana. Przyczyna była prozaiczna. Romanowi po prostu nie chciało się tworzyć dwóch nowych teczek, które posiadał każdy informator. Pan Rysiek pozostawał więc przez kilka lat informatorem nieformalnym, gdyż tak należało nazwać ten stan faktyczny. Roman wysoko oceniał jego zaangażowanie we współpracę. Pan Rysiek, z natury bardzo komunikatywny, potrafił wyciągnąć sporo informacji od gości hotelowych. Brak rejestracji w firmie powodował zabawne sytuacje. Do pana Ryśka co pewien czas próbowali dotrzeć koledzy Romana z Departamentu doceniający jego naturalne możliwości uzyskiwania informacji, ale spotykali się ze zdecydowaną odmową. Pan Rysiek, stosując się ściśle do wskazówek Romana, który przewidział podchody kolegów, w sposób grzeczny, ale stanowczy odmawiał wszelkiej formy współpracy. Ich kontakty uległy przerwaniu, gdy pan Rysiek rozpoczął pracę w kuchni. Skończyły się jego możliwości przydatne dla Romana. Zaprzestanie kontaktów ze zrozumieniem przyjął pan Rysiek, który był człowiekiem inteligentnym i doskonale wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Ale teraz naprawdę wydawał się ucieszony widokiem Romana.

– To co, panie Romku? Może po jednym?

Nie przejmując się delikatnie wyrażoną odmową, otworzył barek i wyjął courvoisiera. Zapełnił do połowy dwie koniakówki. Rozmawiali przez dłuższą chwilę o starych czasach, jednakże

wyczuwając niecierpliwość Romana, pan Rysiek szybko przeszedł do rzeczy.

– W czym mógłbym panu pomóc?

– Panie Ryśku, chciałem dostać się na górę, do sali bankietowej. Ale wie pan, nie od frontu, lepiej, żeby mnie nikt nie widział.

Pan Rysiek pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, tak – powiedział w zamyśleniu. – Ci od pana z firmy stoją jak zwykle przed wejściem. Niech mi pan powie, czy oni mają noktowizory na kamerach? Bo kręcą też w nocy – zadał pytanie, które zapewne nurtowało go od dawna.

– No, nie wiem, chyba mają, jak kręcą – odpowiadając, Roman zastanawiał się nad pytaniem, gdyż jakoś nigdy o tym nie pomyślał. Rzeczywiście, jeżeli ci z obserwacji filmują w nocy, to chyba muszą mieć sprzęt do tego przystosowany. Spostrzegł, że palnął głupstwo, bo potwierdził panu Ryśkowi, że pod hotelem stoją ludzie z firmy. Chociaż byli widoczni gołym okiem, oficer Departamentu powinien zdecydowanie i w każdej sytuacji zaprzeczać podobnym przypuszczeniom, nawet jeśli kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem.

– Nie chciałby pan wpaść im w oko? – Pan Rysiek spojrzał na Romana. – Niech pan się nie gniewa, tylko zażartowałem. Nie ma sprawy, wprowadzę pana. Przejdziemy do szatni i tam pana zostawię. Tak będzie dobrze?

Roman pokiwał głową. Pan Rysiek, jak każdy dobry informator, był dyskretny. Nie zadawał niepotrzebnych pytań.

Dokończyli pić koniak. Roman zdjął płaszcz z oparcia fotela, gdzie wcześniej go rzucił. Pan Rysiek poszedł przodem. Przeszli bocznym korytarzem i omijając salę restauracyjną, dotarli do recepcji, a potem na półpiętro, gdzie mieściła się szatnia.

– Panie Ryśku, chciałbym skorzystać z pana uprzejmości przy wyjściu z hotelu – powiedział Roman.

– Nie musi mi pan tego mówić. Dzisiaj sobota, więc do drugiej jestem do dyspozycji. – Pan Rysiek skłonił się i odszedł.

*

Roman oddał przemoczony płaszcz szatniarzowi i odebrał numerek. Sprawdził przed lustrem, czy wysuszone włosy dobrze leżą, i ruszył na górę. Roman dobrze znał hotel. Bywał tu wielokrotnie, spotykając się z niektórymi ze swoich informatorów. Chociaż nie uważał hotelu za dobre miejsce do takich spotkań, ulegał tym swoim tajnym współpracownikom, którzy mając dość wysoki status zawodowy czy finansowy, traktowali go raczej jak partnera niż oficera prowadzącego, którego należało słuchać we wszystkim, co dotyczyło współpracy.

Powoli wchodził na piętro. Wtem dostrzegł schodzącego z góry Giuliano Manciniego w towarzystwie dwóch kobiet, brunetki i blondynki. Diabli nadali tego makaroniarza – pomyślał Roman i przybrał obojętny wyraz twarzy. Mancini dostrzegł go i przerwał żywą, jak zwykle, gestykulację, pozostając przez chwilę z uniesionymi do góry ramionami. Miał chyba taki odruch, gdy coś go zdziwiło albo zaskoczyło, a teraz pewnie zastanawiał się, czy nie pozdrowić Romana, a może nawet, czy się z nim nie przywitać. Pierwszy raz widzieli się poza Niezapominajką. Jednak Włocha należało zaliczyć do kategorii bystrych obserwatorów, bo widząc zachowanie Romana, ponowił gestykulację i rozmawiając, właściwie to prowadząc monolog, przeszedł obok niego. Nie zdołał się jednak powstrzymać, aby na podeście schodów nie odwrócić się i za nim

nie spojrzeć. Roman odnotował w pamięci, że Mancini przemawiał do kobiet tą swoją zabawną łamaną polszczyzną, więc obie były tutejsze.

Po wejściu na pierwsze piętro skierował się w prawo. W końcu korytarza drogę wskazywały mu otwarte na przestrzał dwuskrzydłowe drzwi. Przy wejściu stała młoda kobieta z promiennym uśmiechem witająca gości, z których Roman był chyba jednym z ostatnich. Widząc, że kobieta wyraźnie na coś oczekuje, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał jej zaproszenie.

- Pan Korzeń - przeczytała. - Witamy serdecznie, panie Zenobiuszu, i zapraszamy do środka. - Jej radość była tak wyrazista, że Roman przez chwilę dał się zwieść i pomyślał, że Zenobiusz Korzeń musi być ogólnie znaną i szanowaną osobistością. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to on wymyślił tę postać czy raczej jej imię i nazwisko. Człowiek już zatracca się w tej fikcji - nasza go myśl, nim spojrzał po sali.

Wokół siebie widział sporo osób stojących kupkami, ale też osobno. Pośrodku dwa rzędy zestawionych stolików bez krzeseł, co oznaczało, że jest to tak zwany stół szwedzki. Dogadzało to Romanowi, gdyż mógł szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce, a także łatwiej zachowywać anonimowość, o co trudniej byłoby przy biesiadnym stole. Za rzędami stolików stało kilka osób, jedna z nich mówiła coś po angielsku przez mikrofon. Roman bez trudu rozpoznał w przemawiającym szefa przedstawicielstwa British Council na Polskę, Johna Stockwella. Stanął za najbliższą grupką złożoną z trzech osób i zaczął dyskretnie lustrować otoczenie. Gości było sporo, około czterdziestu, pięćdziesięciu osób. To dobrze.

Z pewnością wielu z nich widzi się po raz pierwszy, co zmniejsza ryzyko dekonspiracji niemal do zera. Żadnych znanych twarzy ze świata polityki i mediów. To też dobrze. Towarzystwo w większości krajowe. O ile Roman wyciągał właściwe wnioski z własnej obserwacji, to wśród gości można było wyróżnić dwie podstawowe grupy. Pierwsza, złożona zapewne z intelektualistów, bo do takich należy zaliczyć nauczycieli akademickich, oraz druga, grupa biznesmenów. Rozróżnienie nie było trudne. Intelektualiści, w większości szczupli, w okularach, mężczyźni w lekko wyszarzałych już garniturach, kobiety w sukienkach sprzed kilku sezonów, przyjmowali pozy pełne zadumania czy natężonej uwagi skierowanej w stronę mówcy. Inaczej biznesmeni. Raczej niewysocy, przysadziści, ubrani z przesadną elegancją. Choć starali się, nie udawało im się dłużej niż na chwilę zatrzymać wzroku na centralnej grupie przy mikrofonie. Niespokojnym wzrokiem rozglądali się na boki, przyglądając się innym, jakby szacowali ich roczne dochody. Stojące obok nich kobiety zachowywały się podobnie, a spojrzeniami oceniały toalety innych pań.

Stockwell skończył przemawiać. Intelektualiści zaczęli klaskać, przyłączyli się do nich biznesmeni. Jakiś pan w bordowej muszce zapowiedział, że kilka słów wygłosi dyrektor departamentu kultury polskiego MSZ-u, Jan Dobrowolski. Rozległy się anemiczne oklaski i zaczął przemawiać starszy mężczyzna o wyglądzie doświadczonego dyplomaty. Już po pierwszych jego słowach o brytyjsko-polskich tradycjach kultury i wspólnym dziedzictwie europejskim Roman wiedział, że przemowa zajmie co najmniej kwadrans. Ponownie zwrócił uwagę na otoczenie. Jeżeli Izydor był na sali, to stał w centrum którejś z grup, bo Roman nie mógł go wypatrzeć. Ale

nie ma pośpiechu. Będzie na to czas później. Takie bankiety, jak ten tutaj, trwają średnio trzy, cztery godziny. Roman zamierzał i tak wyjść przed końcem przez nikogo niezauważony.

Urzędnik MSZ-u przeszedł w swojej przemowie do sedna. Zaczął mówić o roli kultury i biznesu w obydwu krajach i ich wzajemnych zależnościach w rozwijaniu kontaktów międzypaństwowych. W sumie chodziło mu o to, co od razu wychwycił Roman, aby biznes wspierał kulturę, oczywiście materialnie, bo jakżeby inaczej. Podał przykłady kilku obecnych na sali biznesmenów. Wszyscy oni świetnie funkcjonowali na rynku angielskim jako przedsiębiorcy, co zaznaczył Dobrowolski. Nie padło jednak nazwisko Izydora. Przemowa doszła do punktu podkreślającego wielkie znaczenie działalności British Council. Oczywiście zasługi na niwie kultury, propagowanie tradycji i idei brytyjskiej demokracji, przybliżanie innym narodom języka kraju Świętego Jerzego i aktywne wspomaganie absolwentów kursów organizowanych przez British Council w zdobywaniu pracy, która miała być też użyteczna innym. Sens logiczny przemówienia był na tyle zwarty, że Roman bez trudu domyślił się ciągu dalszego.

– I dlatego zwracam się do polskich przedsiębiorców tutaj zgromadzonych – kontynuował Dobrowolski – korzystajcie z szerokiej kadry młodych ludzi szkolonych przy udziale tak szacowanej instytucji, jaką jest British Council. Ci młodzi ludzie z różnych części naszego kraju poznali język angielski, znają angielską tradycję i współczesność tego pięknego kraju. Wy osiągnęliście już sukces w biznesie, co bez wątpienia także jest bardzo ważne dla wzajemnych stosunków. Bo przecież rynek brytyjski jest rynkiem wymagającym, od kontrahentów oczekuje się

tam solidności, niezawodności i wielu innych przymiotów, jakie powinny cechować biznesmena. Zatrudniając absolwentów różnych dziedzin, znających język i kulturę brytyjską, pomagacie sobie i swojej obecności na tym najstarszym przemysłowym rynku świata. Dzięki znajomości języka i wiedzy o tym kraju staną się oni dla was nieocenioną pomocą w poruszaniu się nie tylko po muzeach czy w rozrywce, ale też w spotkaniach biznesowych, przy zawieraniu umów handlowych i w tej zwyczajnej codzienności, gdy będziecie przebywać w starej dobrej Anglii.

Mówca zaczerpnął oddechu. Właściwie wypełnił już zadanie, pochwalił Anglię, no i przede wszystkim British Council, wezwał biznesmenów do korzystania z owoców jej działalności. Pozostało mu zwrócić się do intelektualistów słuchających z uwagą jego przemówienia.

- No, tak - odezwał się stojący obok Romana mężczyzna do drugiego, obaj pewnie przedsiębiorcy. - Mamy jasność. I w tym roku musimy wziąć po jednym okularniku. Ale daję słowo, to już ostatni raz. Nie będę więcej zatrudniał darmozjadów.

- Przecież nie po to skończyłeś filologię angielską w Cambridge, żeby teraz wysługiwać się magistrami, no nie? - odezwał się drugi.

Roman spojrział uważnie na ich obu i doszedł do wniosku, że to był jednak żart.

- Tylko że jak przestaniemy ich zatrudniać, skończą się listy polecające do izb handlowych na wyspie - westchnął pierwszy. - Przyznasz, że jednak coś nam dają.

- Tak, dopóki nie wyrobimy sobie sami odpowiednich kontaktów i nie zakotwiczymy się tam na dobre, musimy brać tych ich absolwentów.

- Ale tylko do tego czasu. Wtedy moja kondycja finansowa chwilowo się pogorszy się i zwolnię wszystkich okularników w ramach redukcji.

- Moja też się pogorszy. I mam nadzieję, że tylko na tę krótką chwilę – roześmieli się obaj.

- Szanowni państwo – kontynuował Dobrowolski. – Szczególne słowa podziękowania należą się naszym pedagogom, nauczycielom akademickim tu, w Warszawie, i w całym kraju. To dzięki waszemu zaangażowaniu działalność British Council może się ciągle rozwijać, gdyż przyciągacie do tej wspaniałej instytucji naszą młodzież.

Roman przestał skupiać się na osobie mówcy. Spojrzał na stojące przed nim grupki intelektualistów. Nadal wydawali się zaszuchani, jakby w skupieniu przemyśliwali słowa wypowiedane przez przemawiającego. Roman zastanawiał się, czy czują się obrażeni bądź niedowartościowani tym, że ich zasługi są wzmiankowane na szarym końcu. W systemie kształcenia prowadzonego przez British Council odgrywali przecież zasadniczą rolę. Zajmowali się naborem na kursy, organizowali i prowadzili te, które odbywały się w kraju. Może to duma nie pozwalała im okazywać swojego niezadowolenia. Na pewno nie byli bogaci, a ich praca na rzecz British Council miała w większości charakter społeczny. Co najwyżej mogli spodziewać się zaproszenia do Anglii raz na parę lat, za pół darmo, co i tak tyle kosztowało, że musieli zaciskać pasa sobie i swojej rodzinie przez dłuższy czas. To takie współczesne siłaczkę i siłacze – pomyślał z zadumą Roman. – W każdych czasach będą na końcu i chyba są z tym pogodzeni.

Dobrowolski kończył przemowę, przesyłając uśmiechy do wszystkich zakątków sali. Rozległy się brawa, szczególnie rześiste od

grupek biznesmenów zadowolonych, że część oficjalna spotkania zbliża się ku końcowi. I rzeczywiście, mężczyzna z bordową muszką u szyi podziękował przedmówcom i wszystkim zgromadzonym, których zaprosił na część nieoficjalną.

Zaczął się gwar, z początku cichy, ale szybko narastający. Wszyscy podchodzili do stołów, nakładali na talerze wędliny, sałatki albo brali coś na gorąco.

Roman przeszedł do lewej części sali, gdzie zainstalowano barek alkoholowy. Patrząc na barmankę napełniającą kufle piwem z beczki, poprosił o guinnessa.

- Przecież to angielskie przyjęcie - powiedziała barmanka z przyganą w głosie.

- No, tak, rzeczywiście, przepraszam. - Roman był skonfundowany, czuł na sobie wzrok stojących wokół barku mężczyzn. Nie znał nazw angielskiego piwa, więc zmienił zamówienie. - Poproszę wobec tego whisky z lodem. Czarnego Johnnie Walkera - dodał pośpiesznie, aby tym razem nie było wątpliwości.

Odszedł ze szklanką w rękę. Wszyscy wokoło zajęci byli jedzeniem i rozmową. Najbezpieczniej będzie, jeśli nałoży sobie coś na talerz i stanie w dyskretnym miejscu.

Zbliżył się do stołu. Postawił szklankę i wziął talerz. Chciał sięgnąć po parówki pływające w jakimś gęstym sosie. Wyciągnął rękę w kierunku szcypców, ale ktoś go uprzedził. Roman podniósł wzrok i mrówki przeleciały mu po grzbiecie. Obok z przepaszającym uśmiechem na twarzy odsuwał się od niego Tarpan. W pewnym momencie puścił oko do Romana, który stał jak skamieniały. Powoli zaczynało do niego docierać, co tak zaskoczyło

go w widoku Tarpana. Nie sam Tarpan, którego przecież miało tutaj nie być, ale broda, rdzawobrzowa obfita broda dochodząca do połowy piersi informatora.

- Wprawdzie byłem pierwszy, ale z przyjemnością oddam panu szczypcę - powiedział Tarpan, przesuwając przyrząd do wyławiania parówek.

- Dziękuję. - Głos Romana zabrzmiał niemrawo. Wziął szczypcę, nałożył dwie parówki i odchodząc, skłonił się ciągle uśmiechającemu się informatorowi.

Czy ten Tarpan zwariował? Jak mu się ta broda odklei, będzie kompletna kompromitacja. Co go podkusiło, żeby przyjść na raut? Różne myśli przelatywały Romanowi przez głowę. Oczywiście domyślał się, dlaczego Tarpan pojawił się na przyjęciu. Od dawna nie dostawał zadań, których wykonanie przynosiłoby dreszczyk emocji, a on tego bardzo potrzebował. Jak bardzo, Roman właśnie się przekonał.

Odszedł w kąt sali. Jedząc, rozglądał się, próbując wyłowić wzrokiem Izydora. Jednak nie udało mu się go dostrzec. Roman zaczął się zastanawiać. Może jeszcze nie dotarł na przyjęcie? Może przyjdzie później? A co będzie, jeśli nie otrzymał zaproszenia? Nie, to raczej niemożliwe. Zgromadziła się tutaj krajowa śmietanka przedsiębiorców współpracujących na niwie gospodarczej z Anglikami, a Izydor należał do czołówki. To, co powiedział o nim Klepacz, Roman skrzętnie sprawdził nie tylko w zbiorach danych, do których bezpośredni dostęp miała firma, ale ściągnął też informacje z instytucji skarbowych, celnych oraz udzielających różnych zezwoleń i koncesji. Udało mu się potwierdzić nie tylko informacje o działalności handlowej Izydora, lecz także ustalić jej rozmiary.

Przerastały to, co mógł sobie wyobrazić. Obroty roczne firmy Izydora oraz tak zwanych firm córek, które utworzył, sięgały sześćdziesięciu milionów euro. To doprawdy spora suma jak na krajowego handlowca w branży odzieżowej. Przy okazji Roman odkrył, że Izydor pośredniczył w sprowadzaniu do Wielkiej Brytanii ze wschodu różnego rodzaju maszyn do produkcji odzieży. Maszyny trafiały do Manchesteru, co wynikało z kwitów celnych. Tak więc obroty firmy Izydora były duże, nawet bardzo duże, co nie zgadzało się z małymi kwotami podatkowymi, jakie uiszczał w kraju. Z pewnością obraz zaciemniały przepływy towarów i należności pomiędzy firmami córkami. Roman ustalił, że zysk za wyeksportowane przez Izydora towary nie wracał do kraju, dzięki czemu stawał się wolny od podatku. Jak to się mogło dziać, tego już nie potrafił stwierdzić. Istotną przeszkodą w zrozumieniu skomplikowanych mechanizmów eksportowo-importowych był z pewnością brak znajomości przez Romana przepisów gospodarczych i podatkowych, a niechęć do sięgnięcia po nie uniemożliwiała dalsze prowadzenie analizy ekonomicznej przedsięwzięć Izydora.

Roman zwrócił uwagę na Tarpana, który podchodził po raz drugi do stołu. Nałożył na talerz całą furę wędlin i sałatek, po czym skierował się do barku. Roman patrzył za nim dalej ciekaw, jaki alkohol wybierze. Zobaczył, że barmanka stawia przed nim dwa kieliszki wódki angielskiej gorzkiej oraz kufel z piwem. Tarpan szybko wychylił kieliszki, wziął kufel i z pełnym talerzem znikł w tłumie. Roman pokręcił głową. Nie spodziewał się takiego zachowania po swoim informatorze.

Przypadkiem znalazł się przy dwóch biznesmenach, których rozmowę słyszał wcześniej. Jeden z nich odszedł i przyłączył się do grupki stojącej dalej, a ten, który miał być absolwentem Cambridge, pozostał na miejscu. Spoglądał w stronę Romana, co zapewne oznaczało zachętę do nawiązania konwersacji. Wyglądało na to, że jest człowiekiem z natury towarzyskim. Roman uznał, że wdanie się w rozmowę uczyni go jednym z naturalnych uczestników przyjęcia, toteż posłał biznesmenowi zachęcający uśmiech. Ten od razu do niego podszedł.

– Nazywam się Wilhelm Janik. Widzę, że stoi pan samotnie, a przecież wszyscy przyszliśmy tu, aby się poznać – zaśmiał się.

– Zenobiusz Korzeń, bardzo mi miło.

– Nie przypominam sobie, abym widział tu pana rok czy dwa lata temu. A warto przychodzić na takie spotkania. To zadziwiające, ale listy polecające z British Council są dobrą wizytówką w Anglii. Niech pan sobie wyobrazi, że rzeczywiście tamtejsi przedsiębiorcy inaczej z człowiekiem rozmawiają. Tak, co kraj to obyczaj. Gdyby tak jakaś nasza instytucja kulturalna działająca za granicą wystawiła listy polecające, dajmy na to biznesmenom z Białorusi, a oni by z tymi papierami przyszli do nas, wie pan, co byśmy na to powiedzieli? – Tym razem roześmiał się głośno.

Roman zmusił się do uśmiechu, gdyż, jak rozumiał, to miał być dowcip. A może nie był to tylko dowcip?

– Właśnie myślę o tym, żeby starać się o taki list polecający z British Council. Znajomi mi mówili, że warto go mieć, działając w Anglii – powiedział Roman.

– Przydaje się. Ale wie pan, jak to jest w życiu. Nie ma nic za darmo. Za te listy musimy zatrudniać ich absolwentów, którzy

kończą kursy tu i za granicą organizowane przez British Council. Niby że znają język i kulturę angielską, co ma być dla nas nieocenioną pomocą. Ja już musiałem trzech takich zatrudnić. Jeszcze dobrze, jak któryś ma wykształcenie ekonomiczne, to przynajmniej poprowadzi papiery. Ale taki rzadko się trafia. Najwięcej jest filologów, różnych specjalistów od kultury, nawet są archeolodzy. Jak pan myśli, jaki z nich pożytek w biznesie? Żaden. I tak nie zabieramy ich do Anglii. Szkoda pieniędzy. Siedzą w naszych biurach w kraju i biorą pensje. No, nie powiem, że to się nie opłaca, bo bym zgrzeszył.

– Czyli zatrudniając ich, wychodzi pan jednak na swoje?

– Jasne, inaczej cała ta zabawa nie miałaby sensu. Mechanizm jest prosty. Dostaję list polecający, tak zwany ogólny, nieadresowany do konkretnej firmy, ale do zrzeszenia, albo też listy indywidualne, w których British Council zwraca się do dyrektorów generalnych, że jako instytucja brytyjska poleca takiego to a takiego przedsiębiorcę jako osobę godną zaufania do podjęcia stosunków gospodarczych w każdej postaci, a nawiązanie kontaktów pomiędzy firmami będzie służyło dobremu imieniu i prestiżowi Anglii w świecie. I to tam działa. Dlatego, chcąc dotrzeć do nowych przedsiębiorstw, zgłaszamy się co roku po nowe listy polecające. Ale w zamian za nie musimy zatrudniać absolwentów. Summa summarum i tak wychodzimy na swoje. Jeśli chce pan dostać takie polecenie, musi pan wpisać się na listę, która leży tam, na stoliku przy oknie. – Janik wskazał ręką kierunek.

– Dziękuję za informację, zrobię to na pewno.

– Skoro już się poznaliśmy, może powie mi pan, w jakiej branży robi pan interesy. Może mamy wspólnych znajomych albo działamy

blisko siebie, nawet o tym nie wiedząc?

– Mam długoterminowy kontrakt z Edynburgiem. Firma stamtąd produkuje sprzęt na platformy pływające. – Roman starał się szybko kojarzyć w myśli ogólnie znane fakty z własną konfabulacją, a gdy ich zgodność uznał za zadowalającą, wynik zestawienia przedstawił rozmówcy. – Wie pan, na potrzeby przedsiębiorstw wydobywających ropę z Morza Północnego. Ja dostarczam elementy półautomatyczne, czyli... haczykowate zamocowania na podstawki pod wieże wiertnicze. – Nie był pewien, czy w swojej niewiedzy technicznej nie posunął się za daleko.

Janik jednak przyjął prezentację bez komentarza.

– Och, to działamy w zupełnie różnych branżach. Ja mam kontakty w biznesie tekstylnym. W różnych miastach, ale głównie w Manchesterze. – Roman natężył uwagę. – A biznes w tej branży jest prosty. Moje warsztaty przędzalnicze w kraju szyją na zamówienia firm angielskich. Sprowadzam też bawełnę z Tadżykistanu, część zostawiam sobie, a część sprzedaję w Manchesterze, bo tam tradycyjnie najwięcej produkuje się odzieży z bawełny. – Janik przerwał i pociągnął łyk whisky z trzymanej w ręku szklaneczki.

Roman myślał intensywnie. Jeżeli Izydor jest dostawcą maszyn i materiałów dla firm odzieżowych z Manchesteru, to choćby tych firm były setki czy tysiące, nie zmieni to faktu, że Polaków na tamtejszym rynku z pewnością nie jest wielu. Szansa, że Janik zna Izydora, była więc duża. A jeśli nie zna, może go przecież poznać. Ostatecznie to tylko kwestia sformułowania zachęty w odpowiedni sposób. Jednak żeby taka zachęta mogła zostać sformułowana skutecznie, jej adresat powinien znaleźć się w sferze oddziaływania

Romana. Dlatego dalszy przebieg rozmowy należało kontrolować i umiejętnie nim sterować. Na początek Roman postanowił rozpoznać, czy Janik zna Izydora.

– Tak, słyszałem, że sporo naszych przedsiębiorców ma kontakty z Anglikami z Manchesteru.

– No, nie tak znowu wielu. – Janik był tym razem lakoniczny.

Roman musiał zrobić krok naprzód.

– Współpraca z byłymi republikami ZSRR to dobra sprawa. Pomijając politykę, biznesmeni z Polski powinni tworzyć pomost pomiędzy tymi republikami a zachodem.

Janik na niego spojrział. Roman zdawał sobie sprawę, że jego wypowiedź nie była zbyt zręczna. Ogólnikowa, nie przybliżyła do celu, a pachniała taną propagandą.

– Mam na myśli, że byłego ZSRR nie możemy traktować wyłącznie jako zaplecza surowcowego. Przecież na Ukrainie czy Białorusi można kupić całkiem dobre tkaniny już gotowe do produkcji odzieży. Korzystają na tym wszystkie strony. Mówił mi o tym znajomy, który pracuje w pana branży.

– Tak, to prawda, ale ja nie poruszam się w tym kierunku. W ramach naszej branży istnieje ścisła specjalizacja. Przestrzegamy niepisanej umowy, żeby nie wchodzić sobie w paradę.

Roman uznał, że nie może drażnić kwestii sprowadzania z Białorusi materiałów odzieżowych. Postanowił zaatakować w temacie, który mógł mu przynieść, o ile uda się go umiejętnie rozwinąć, spore korzyści.

– Wydawałoby się, że współpraca w interesie naftowym to kokosy – zaczął ostrożnie. – Niestety, jestem obecny w tej branży już kilka lat, a dochody, po zapłaceniu podatków, ledwie wystarczają na

przeżycie. Niech pan sobie wyobrazi, że w ubiegłym roku musiałem przerwać budowę krytego basenu, bo zbrakło mi funduszy. Syn był wściekły. Powiedział mi, że teraz to nie ma szans na mistrzostwo juniorów na sto metrów delfinem.

- Miał startować na mistrzostwach? – zainteresował się Janik.

- Tak, ligi międzyszkolnej. W ubiegłym roku przebił się do kadry gimnazjum.

- To rzeczywiście przykre – ubolewanie Janika nie było chyba udawane. – Ale przecież są sposoby, żeby pozbyć się takich kłopotów.

- Ach, próbowałem już różnych. – Roman machnął ręką. – Zakładałem nowe firmy w kraju, inwestowałem w nowe miejsca pracy, a i tak niewiele to dało.

- Naprawdę są proste metody na zaoszczędzenie naszych ciężko zarobionych pieniędzy. – Janik chwilę ważył w myśli, czy warto dawać wskazówki koledze biznesmenowi. – Powiem panu tak. W Londynie są banki, które zajmują się inwestowaniem pieniędzy. Ktoś taki jak pan wpłaca pieniądze, zysk ze sprzedaży jakichś tam części brytyjskiemu odbiorcy. Bank podejmuje się zainwestowania pana funduszy w jakąś branżę, na przykład w kopalnię miedzi w Chile. Dostaje pan na to papiery. Faktycznie pieniądze są przelewane do filii banku na Kajmanach, gdzie obracają nimi przez dwa, trzy lata. Potem bank w Londynie wypłaca panu całość złożonej sumy z odsetkami o połowę niższymi niż normalnie by się panu należały. Ale panu to i tak się opłaca, bo wszystko może pan zatrzymać dla siebie.

- Dobrze, ale jak ja się rozliczę z zysku w kraju? To znaczy jako podatnik?

Janik, który usłyszał to pytanie, popijając whisky, zakrztusił się. Wyciągnął śnieżnobiałą chusteczkę, obtarł usta oraz oczy i odetchnął głęboko.

– No, przecież jeżeli pan zainwestował za granicą, to nie może pan ich oddać do urzędu podatkowego. Rozumie pan?

– Jasne, ale tylko przez okres trwania inwestycji.

Janik popatrzył na niego z ukosa, jakby się nad czymś zastanawiał. Romanowi wydawało się, że dostrzegł w jego oku błysk podejrzliwości.

– Niezupełnie, przedsięwzięcie, w które pan zainwestował, mogło przecież okazać się niewypałem, a w przypadku bankructwa traci się wszystko. – Rozmówca Romana zaczął mówić ogólnikami. Najwyraźniej stracił chęć do opowiadania o pokonywaniu trudności, jakie napotyka krajowy biznes działający za granicą. Chyba chciał zakończyć rozmowę. Zresztą i tak Roman nie mógł jej kontynuować, bo jego brak wiedzy o sprawach ekonomicznych szybko wyszedłby na jaw, a to w tym konkretnym momencie było wysoce niepożądane. Należało jeszcze uzyskać namiar na rozmówcę, to znaczy poznać jego podstawowe dane osobowe, które pozwoliłyby go zidentyfikować, i nie tylko jego, ale w dalszej kolejności jego rodzinę, współników i może kogoś jeszcze, z kim Janik posiada kontakty o istotnym znaczeniu z punktu widzenia Romana.

Z tego względu powinien działać szybko. Zwłaszcza że sytuacja temu sprzyjała. Towarzysz Janika, z którym stał razem podczas części oficjalnej, zamachał z oddali ku niemu ręką. Gest ten powtórzyła kobieta znajdująca się u jego boku. Janik pokiwał głową na znak, że ich widzi i zaraz podejdzie.

- Miło było mi poznać pana, panie Wilhelmie - zaczął Roman. - Może spotkalibyśmy się w wolnej chwili? Wymiana doświadczeń na pewno by się przydała.

- Chętnie. W najbliższym czasie będę cały czas w Warszawie. - Janik stracił zainteresowanie Romanem i spoglądał w stronę swojego towarzysza.

- Dam panu swoją wizytówkę. - Roman sięgnął po portfel, a potem zaczął szukać w kieszeniach. - Niestety, chyba mi się skończyły, a nie uzupełniłem zapasu. - Uśmiechnął się przeproszająco. Oczywiście był to blef, gdyż oficerów operacyjnych firmy obowiązywał kategoriyczny zakaz zamieszczania jakichkolwiek danych o sobie na czymkolwiek. Zresztą teraz występował jako Zenobiusz Korzeń.

- O, nic nie szkodzi. Wobec tego ja panu dam swoją wizytówkę, proszę. Niech pan do mnie zadzwoni w przyszłym tygodniu, to umówimy się na kawę - dodał niezobowiązująco Janik.

- Fajnie. Do zobaczenia, panie Wilhelmie. - Uścisnęli sobie ręce i Janik odszedł.

Roman spojrział na wizytówkę. Wszystko gra. Na wizytówce widniała nazwa firmy Janika i jej adres, numer telefonu do przedsiębiorstwa, a także numer telefonu komórkowego. Nie będzie więc problemu ze zidentyfikowaniem tego człowieka. Nie byłoby nieszczęścia, gdyby Roman nie otrzymał wizytówki. Znał nazwisko i imię, mógł określić w przybliżeniu jego wiek i wiedział, że biznesmen prowadzi interesy w Wielkiej Brytanii. To stanowiło wystarczającą podstawę do wszczęcia skutecznych poszukiwań. Wilhelmów Janików mogło być w kraju od dziesięciu do trzydziestu. Tak niewielu, gdyż należało wziąć pod uwagę rzadko spotykane imię

biznesmena. Osób zbliżonych wiekiem do rozmówcy Romana, o tym samym imieniu i nazwisku, było zapewne nie więcej niż dziesięciu. Dalej sprawa przedstawiała się prosto. Należało dokonać sprawdzeń w rejestrach gospodarczych i podatkowych i już wiadomo było, który z tych dziesięciu prowadzi interesy w Anglii. Nawet zakładając, że aż dwóch działa w branży tekstylnej w Manchesterze, trzeba jeszcze zdobyć fotografię każdego z nich. To sprawa trochę kłopotliwa dla oficera operacyjnego, gdyż urzędnicy instytucji, gdzie takie zdjęcia gromadzono, na przykład urzędów paszportowych, kręcili nosami. O ile nie mieli zahamowań w udzielaniu pracownikom firmy różnych danych, to w kwestii udostępnienia fotografii usztywniali się. Jakby zdjęcie było czymś osobistym, niemalże wstydliwym, tak przynajmniej sądził Roman, oceniając ich zachowania.

Wizytówka zaoszczędzi mu mnóstwo czasu. Wyszukiwanie dłuższym torem zabrałoby ze dwa tygodnie, a tak ustali wszystko od ręki. Firma ma warszawski adres, a to jeszcze bardziej upraszcza sprawę.

Roman wziął odstawiony wcześniej na pobliski stolik talerz. Był w dobrym humorze i zdecydował się na dodatkową porcję jedzenia. Do tego mała szklaneczka whisky, oczywiście brytyjskiej. Może angielskiej? Czy jest jakaś różnica pomiędzy whisky angielską a brytyjską? Chyba tak. Bo podobno najlepszą whisky produkuje się w Szkocji. Czy byłoby nietaktem, gdybym poprosił o małą szkocką? Po co się zastanawiam nad takimi głupstwami? – Roman uznał, że tymi rozważaniami za bardzo wchodzi w rolę uczestnika bankietu. – Jaka to dla mnie różnica, gdzie oni pędzą tę swoją cholerną gorzałę? Skierował się ku głównemu stołowi na środku sali. Stół był nadal oblegany i na półmiskach zostało już niewiele. Roman zdecydował

się na sałatkę warzywną i łososia. Zamierzał już odejść od stołu i stanąć w kolejce do barku, gdy wtem widok, który zobaczył, spowodował, że znieruchomiał. Przy mównicy obok Stockwella stał nie kto inny jak Izydor. Nie chcąc nic uronić z tego widoku, Roman pozostał przy stole, skąd miał dobry punkt obserwacyjny. Żeby wyglądało naturalnie, zaczął nakładać na talerz różne potrawy z półmisków.

Zaskoczył go sam wygląd Izydora. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o pociągłej opalanej twarzy, z którą harmonizowały ścięte krótko włosy. Nie wyglądał na biznesmena, raczej na intelektualistę, naukowca, który właśnie wrócił do kraju z jakiegoś zjazdu naukowego w egzotycznym zakątku świata. Fotografia, którą dysponował Roman, przedstawiała zupełnie innego człowieka. Izydor był na niej o wiele lat młodszy niż obecnie, w swetrze półgolfie, co nie przydawało mu powagi i czyniło postacią tuzinkową. Jednak Roman nie mógł się mylić. Izydor wyróżniał się z otoczenia sylwetką i elegancją, ubrany był w ciemnoniebieski garnitur w prążki, z którym kontrastowała biel koszuli i jaskrawa czerwień klubowego krawatu. Rozmawiał swobodnie ze Stockwellem, chyba po angielsku, gdyż z gestykulacji wynikało, że zastanawia się nad doborem słów, aby zostać dobrze zrozumianym. Podeszła do nich kobieta, która zamieniła kilka zdań ze Stockwellem, i odeszła. Nieoczekiwanie Roman zobaczył, jak Izydor nachyla się ku Anglikowi, obejmuje go prawą ręką, jakby chciał mu coś powiedzieć na ucho lub się z nim pożegnać, a lewą rękę kieruje ku kieszeni jego marynarki, po czym dyskretnie wsuwa tam mały przedmiot. Ze swojego stanowiska obserwacyjnego Roman zauważył przez chwilę krótszą niż mgnienie oka, że była to mała rolka, coś

podobnego do plastikowego opakowania kliszy fotograficznej, tyle że o połowę mniejszego. Mikrofilm! To nie mogło być nic innego. Roman doskonale wiedział, jak wygląda mikrofilm. Często korzystał ze zmikrofilmowanych materiałów Biura Ewidencji i Archiwum firmy, przeglądał je na przeznaczony do tego celu przegłądarce. To z pewnością był mikrofilm.

Roman odruchowo dokładał potrawy na swój talerz. Uzbierała się z tego całkiem spora porcja. W dodatku wszystko ze sobą pomieszane. Obecni przy stole goście zerkali na niego ze zdziwieniem, ale on nie zwracał na to uwagi. Był wstrząśnięty. Oto stał się świadkiem BPM – błyskawicznego przekazania materiałów. W tej chwili nie był zdolny do przeprowadzenia chłodnej analizy sytuacji, do podjęcia próby określenia, jakie zadania szpiegowskie realizował Izidor na zlecenie Stockwella, skąd wziął mikrofilm i co mógł on zawierać. Ale nie to wydawało się teraz najważniejsze. Istotny był sam fakt, który dostrzegł. Tego już nie można odwrócić. Przejść nad tym do porządku dziennego. Powiedzieć sobie, że to się nie stało albo że po prostu coś mu się przywidziało. Nie, jest przecież normalnym, w pełni władz umysłowych oficerem kontrwywiadu. I on to widział. Widział to, czego nie zobaczył nikt inny obecny na sali. W tym właśnie tkwił pewien szkopuł. Nikt inny bowiem nie potwierdzi jego spostrzeżenia. Gdyby tak udało mu się zarejestrować zdarzenie na taśmie filmowej. Departament Techniki zaopatruje pracowników obserwacji w minikamery ukryte na przykład w małej saszetce. Mógłby przecież postarać się o taką kamerę. Ale czy zdołałby sfilmować BPM? Mocno wątpliwe, zważywszy, że nie miał doświadczenia w obsłudze specjalistycznego sprzętu. Zostaje mu więc tylko świadomość tego, co zobaczył. I musi ją zachować dla

siebie, ponieważ jest tylko gościem incognito. Gościem, który przed nikim nie będzie mógł ujawnić swojej obecności na spotkaniu zorganizowanym przez British Council.

Po przekazaniu mikrofilmu Izydor zaczął się żegnać ze Stockwellem, który przytrzymał jego rękę, mówiąc coś spokojnym, przyciszonym głosem. Izydor pokiwał głową na znak, że rozumie, po czym odszedł w tłum gości. Roman stracił go z oczu. Spojrzał ponownie na Stockwella, który skierował się w stronę małej grupki stojącej obok mównicy i włączył się w ich rozmowę. Przedstawienie skończone. Roman głęboko odetchnął. Przestał nakładać jedzenie z półmisek. Ze zdziwieniem zobaczył, że zgromadził na talerzu kopiec różnych potraw. Zaczął się zastanawiać, jak się tego pozbyć. Powoli wycofywał się tyłem od stołu. Nagle poczuł, że potyka się lewą nogą o jakąś ruchomą przeszkodę. To pchnięcie kolaniem kogoś usiłującego dostać się do stołu pozbawiło go równowagi. Gdy usiłował ją odzyskać, balansując ciałem i rękoma, czyjeś przypadkowe potrącenie barkiem spowodowało nieszczęście. Roman stracił kontrolę nad swoimi ruchami i runął do tyłu. Usiłował utrzymać talerz w rękach, ale gwałtowne zetknięcie się jego pleców z posadzką spowodowało, że wypadł mu z rąk, a zawartość oblepiła piersi i szyję.

Roman czuł się zdruzgotany. Nie podniósł wzroku, bo słyszał dyskretne uśmiešky i prychnięcia otaczających go ludzi. Ktoś z boku nie potrafił powstrzymać wesołości i parsknął głośnym śmiechem. Tylko spokojnie, tylko spokojnie – powtarzał sobie w myśli. – Śmieją się, bo pewnie myślą, że to z pazerności. Miałem przecież górę tego wszystkiego na talerzu. Zaraz się podniosę, strzepnę z siebie te angielskie rarytasy, wyjdę do toalety i tyle będą mnie widzieli.

Zaczął powstawać, strzepując ręką jedzenie z ubrania. Ktoś chwycił go za lewy łokieć, zapewne chcąc mu pomóc. Roman z grymasem na ustach mającym wyrażać wdzięczność obrócił się ku tej życzliwej osobie i tak gwałtownie zareagował na to, co zobaczył, że stracił równowagę i znowu upadł na podłogę. Opanował się. Nie, już nie pozwolę, żeby cokolwiek mnie zaskoczyło – postanowił w duchu. – Ale co on tu robi? Tym, kto chciał mu pomóc, był jego informator o pseudonimie Laleczka. Roman nie spotykał się z nim od ponad roku. Laleczka, poza tym, że pracował jako urzędnik w ministerstwie infrastruktury, był znanym w różnych sferach stolicy homoseksualistą. O jego skłonnościach świadczył sam wygląd, a więc starannie utrzymane włosy, podczernione brwi, apaszka zamiast krawata, no i to spojrzenie, które nie pozostawiało cienia wątpliwości. Roman nie miał nic przeciwko homoseksualistom, ale ujrzenie nad sobą uśmiechniętej twarzy Laleczki było tak niespodziewane, że reakcję na ten widok uważał za usprawiedliwioną. Kojarząc szybko fakty, domyślił się, że obecność informatora na przyjęciu wiąże się z nagłaśnianym ostatnio hałaśliwie w mediach programem promowania krajowych przedsiębiorców, ułatwianiem im kontaktów zagranicznych czy czymś tam jeszcze. Uczestniczenie w takich imprezach nazywano w dzisiejszych czasach rozmaicie, co w gruncie rzeczy sprowadzało się, o czym był przekonany Roman, do pokazania się. Tak zwyczajnie, po prostu, bez żadnych zobowiązań. W odbiorze tak zwanej szerokiej opinii publicznej miało to świadczyć o chwalebnej aktywności ministerstwa w realizacji przyjętych programów. Resztę załatwiały medialne tuby propagandowe. Jutro albo pojutrze w jednej z gazet, z odpowiednio wysokim nakładem, ukaże się

wywiad z prominentnym urzędnikiem ministerstwa infrastruktury, czyli z Laleczką, który uświadomi ogółowi, że program jego ministerstwa jest realizowany nawet na trudnym gruncie brytyjskim.

Roman wstał i zaczął oczyszczać ubranie. Gorliwie pomagał mu w tym Laleczka, usuwając zabranymi ze stołu serwetkami resztki sałatek. Roman chciał powiedzieć informatorowi, żeby się wynosił, ale ze względu na otaczających go ludzi zmuszony był zachować milczenie. Powoli przestał być obiektem zainteresowania, goście powrócili do tego, czym zajmowali się przed jego upadkiem. Roman zamierzał pójść do najbliższej łazienki. Odwrócił się i stanął oko w oko z kobietą, która raczej przypominała mężczyznę przebranego w kobiece ubranie. Nie było wątpliwości, że stała przed nim Jezabel Young we własnej osobie. Miała ten typ urody, którego się nie zapomina, nawet jeśli widziało się ją jeden raz i do tego na fotografii. Około pięćdziesięciu lat, krótko obcięte włosy, podłużna twarz z mocno zarysowanymi szczękami. Uszminkowane na karminowo usta i cieniowane w niebieskim kolorze powieki nadawały jej cokolwiek groteskowy wygląd. Do tego okulary z bardzo silnymi szklami kontaktowymi w staromodnej prostokątnej oprawie. Spoza grubych szkieł spoglądała badawczo na Romana.

– Miała pana mała wypadek – stwierdziła raczej, niż zapytała, mówiąc łamaną polszczyzną z wyraźnym akcentem.

– Yes, to znaczy chciałem powiedzieć tak, ale zupełnie nic się nie stało, już po wszystkim. – Roman oszołomiony kolejnym niespodziewanym spotkaniem uśmiechał się bezradnie.

– Nazywam się Jezabel Young i pracuję w British Council. – Wyciągnęła do niego rękę. Roman trzymaną w ręku serwetką szybko

wytarł dłoń i podał ją pani Young.

– Wiem – wyrwało mu się. – To znaczy, mówiono mi o pani – poprawił się. – Jestem Zenobiusz Korzeń, przedsiębiorca.

– Pana pierwszy raz na nasze spotkania?

– Tak, kolega zachęcił mnie do uczestniczenia w waszym programie i oto jestem. – Roman odzyskiwał równowagę.

– Bardzo dobrze, nasz program daje szansę wszystkim, którzy szanują brytyjskie tradycje i chcą mieć współpracę z naszym krajem. Pana nie mówi po angielsku, bo mój polski jest bardzo słaby?

– No, nie, niestety nie – powiedział Roman. – Ale zamierzam nauczyć się angielskiego. Na to nigdy nie jest za późno. – Był już spokojny, opanował emocje.

– Koniecznie trzeba się uczyć. Ale póki co, jest okazja, żeby skorzystać z efektu naszego programu i zatrudnić jednego z absolwentów. – Pani Young uśmiechnęła się życzliwie, co nadało jej twarzy marsowy wygląd.

– Z całą pewnością nie omieszkam skorzystać z owoców pracy tak znamienitej instytucji jak British Council.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Nie zatrzymuję pana, bo pewnie chce pana iść do toalety. Proszę, to moja wizytówka. Jeśli by pana chciał współpracować z nami, czekam na telefon. – Pani Young uśmiechnęła się do Romana i przeszła obok niego, kierując się w stronę grupy stojącej przy mikrofonie.

Romana uderzyły jej ostatnie słowa. Co miała oznaczać owa współpraca i w jakim kontekście zostało to wypowiedziane? Słowo współpraca kojarzyło się Romanowi przede wszystkim z „tajnym współdziałaniem osobowego źródła informacji, czyli informatora, z firmą w celu udzielania pomocy w zakresie wypełniania zadań

statutowych przez firmę”. Tak mniej więcej brzmiała definicja współpracy w podręcznikach o pracy operacyjnej. Jednak swoje pierwsze skojarzenie Roman uznał za niedorzeczne. Zdecydowanie jestem przewrażliwiony i zatracam poczucie rzeczywistości – pomyślał. – Z pewnością chodziło o najzwyczajniejszą współpracę w ich programie.

Obejrzał się, ale w pobliżu nie było już Laleczki. Zapewne usunął się, gdy tylko Jezabel Young rozpoczęła rozmowę z Romanem. To dobrze. Będzie musiał wywołać spotkanie z Laleczką. Może jego obecność tutaj nie była przypadkowa i ma częstsze kontakty z British Council? No tak, dawno się z nim nie widział. W tym czasie mogło się dużo zmienić.

Zerkając dyskretnie na boki, Roman skierował się ku wyjściu. Na korytarzu odszukał wejście do toalety, gdzie uporządkował swoje ubranie na tyle, że mógł opuścić hotel, nie wzbudzając sensacji.

Wchodził na schody prowadzące na dół, gdy na podeście dostrzegł Tarpana, już bez brody, rozmawiającego z ładną blondyneczką. Wydała mu się znajoma. Tak, to ta kobieta, która spotyka się z majorem Szczawińskim w Niezapominajce. Roman miał dość na dzisiaj niespodziewanych spotkań i wynikających z nich niezręcznych sytuacji. Powoli wycofywał się wyżej, gdzie zamierzał odczekać do końca rozmowy Tarpana z kobietą. Nie było mu to jednak dane. Przy wyjściu z holu, gdzie mieściły się pokoje hotelowe, pojawiła się grupa kilku mężczyzn. Tym razem jeden rzut oka wystarczył Romanowi, aby ocenić sytuację. Mężczyzn było czterech, wszyscy brodaci i w kurtkach, jakie noszą żołnierze na ćwiczeniach. Centralną postacią tej grupy był Czeczen, którego widział niedawno w Niezapominajce. Pozostali trzej zachowywali się

tak, jakby stanowili jego ochronę. Może jest ich dowódcą. Nie widząc innej możliwości, Roman zaczął wchodzić na górę, udając, że gdzieś podąża. Czechen przyglądał mu się uważnie. Na pewno przypomniał sobie, gdzie go widział. Zatrzymał się, a razem z nim przystanęli towarzyszący mu mężczyźni. Czechen powiedział coś do nich półgłosem w niezrozumiałym dla Romana języku. Teraz wszyscy patrzyli na Romana. Chyba nie rzucą się na mnie? – pomyślał. Chociaż było to mało prawdopodobne, czuł się nieswojo. – Może myślą, że ich śledzę?

Mijając tę grupkę, niespodziewanie dla siebie Roman skinął głową głównemu brodacowi. Ten, trochę zdziwiony, odklonił mu się. Roman skręcił w korytarz po prawej stronie. Powoli szedł przed siebie do końca holu, mijając szereg drzwi do apartamentów. Zatrzymał się przed oknem, popatrzył przez chwilę w ciemność za szybą i odwrócił się. No tak, stoją – zauważył w myśli. Brodacze stali nadal w tym samym miejscu, spoglądając na niego. Roman pomyślał, że pewnie źle skręcił i poszedł w stronę, gdzie znajdowały się ich pokoje. Może trzymają w nich broń, fałszywe pieniądze, narkotyki. Bóg wie, co mogą tam mieć. Sprawa zaczynała wyglądać poważnie, bo brodacze chyba podejrzewali, że są przez niego śledzeni. A Roman tylko czekał, tak pewnie myśleli, żeby odeszli, a wtedy przeszuka ich pokoje. Czeczeni zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. W pewnej chwili jeden z nich gwałtownie się odwrócił, jakby miał zamiar pójść w stronę Romana, ale dowódca zdążył uchwycić go za rękaw kurtki. Coś mu szybko tłumaczył. W końcu brodacz się uspokoił. Znajomy Czechen spojrział w stronę Romana, uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby na pożegnanie. To dziwne, ale pozostali brodacze także uśmiechali się i kiwali głowami.

Tym razem to Roman się odkłonił. Choć nie żywił większych obaw, jednak odetchnął, gdy grupka znikła mu z oczu.

Stał przy oknie jeszcze przez pięć minut, po czym podszedł do wyjścia z korytarza, spoglądając na dół. Nie było nikogo, ale z piętra, gdzie odbywał się raut wydany przez British Council, dochodził gwar głosów. Roman szybko zbiegł na podest i podał szatniarzowi numerek. Włożył płaszcz, jeszcze wilgotny, i poszedł drogą, którą przyprowadził go pan Rysiek. Recepcjonista spojrzął na niego ciekawie. To pewnie przez tę moją poplamioną koszulę – pomyślał Roman. Dotarł do gabinetu szefa kuchni i delikatnie zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili odezwał się głos: „Proszę!”. Roman wszedł. W swobodnej pozie na kanapie półleżał pan Rysiek, a obok stały dwie młode kucharki w białych kitlach, chyba dopiero co zarzuconych na siebie, bo poprawiały swój ubiór.

– No dobrze, wracajcie do pracy. – Szef kuchni przybrał poważną minę, jakby przed chwilą udzielił reprimendy swoim pracownikom. Wstał i poprawił sobie fryzurę przed lustrzaną szafą, pocesał też małe czarne wąsiki.

– Widzi pan, panie Romku, człowiek nie może się odpędzić od bab. Czy to w recepcji, czy w kuchni, zawsze to samo. A jeszcze przecież kelnerki – przypomniał sobie. – Sprzątaczek nie liczę, chociaż niedawno przyszła tu taka jedna, całkiem niezła. To może wypijemy coś, bo widzę, że pan już po imprezie.

– Tak, już stamtąd wracam. Ale napijemy się chyba innym razem, przyjechałem samochodem.

– Szkoda. Jak pan się ubrudził! – Pan Rysiek przyjrzał się poplamionej koszuli Romana. – Ale nie ma problemu, zaraz się zmieni.

Otworzył lustrzaną szafę, pełną szykownych garniturów, wszystkie w ciemnych kolorach, oraz koszul, wyłącznie białych. Na stojaku wisiało kilkadziesiąt krawatów w różnokolorowych barwach.

– Nie, serdecznie dziękuję, ale jadę wprost do domu, nie ma potrzeby, żebym się przebierał. – Roman patrzył z podziwem na garderobę pana Ryśka. Przypomniawszy sobie, że już dawno powinien kupić nowy garnitur. Te, które nosi, to albo mają niemodny fason albo postrzępione rękawy w marynarkach. No i przydałyby się ze dwie koszule, niekoniecznie białe.

– To chodźmy.

Roman poszedł za panem Ryśkiem. W kuchni było już o połowę mniej kucharzy. Pora kolacji minęła. Zostali ci, którzy będą przygotowywać potrawy dla wieczornych i nocnych gości restauracji i baru. Niektórzy siedzieli po kątach i palili papierosy. Nie wstawali, widząc pana Ryśka. To była pora ich odpoczynku. Po kuchni kręcili się młodzi adepci zawodu, wśród nich Heniu.

– To na razie. Bardzo panu dziękuję za pomoc. No i wie pan, mnie tu nie było – powiedział Roman raczej z obowiązku niż z potrzeby. Pan Rysiek był sprawdzonym i dyskretnym informatorem.

– Panie Romku, ja znam swoje obowiązki – odparł z urazą w głosie.

– Przecież wiem, powiedziałem tylko tak, z przyzwyczajenia – usprawiedliwił się Roman. – Jeszcze raz panu dziękuję i do zobaczenia.

– Niech pan wpadnie koniecznie któregoś dnia, najlepiej wieczorem. Już ja zorganizuję coś porządnego. Widział pan. – Pan Rysiek uśmiechnął się do niego filuternie, ściskając mu rękę.

Zgrzytnął zamek. Roman znalazł się na zewnątrz. Wzdrygnął się. Chociaż nie padało, wiał przenikliwy, chłodny po deszczu wiatr. Postawił kołnierz i ruszył w ciemność.

IV

Już dawno Roman nie miał tak dobrego nastroju, wkraczając do firmy w poniedziałek. Spędził miłą niedzielę z rodziną na działce. Wiosenne prace w ogródku przytłumiły negatywne myśli. Z zaangażowaniem kopał i grabił ziemię. Nawet się przy tym rozmarzył, jak dobrze byłoby być ogrodnikiem, rzecz jasna we własnym ogrodzie, a nawet i rolnikiem. Po namyśle zrezygnował jednak z pracy na roli. To zajęcie nie dla niego. Trzeba obrobić pole, siać i zbierać. Może gdyby wziął się wyłącznie za hodowlę? Owiec albo jakichś rasowych krów z Holandii? Z westchnieniem przerwał te rozmyślenia. Dobrze jest czasami pomarzyć. Ale czy tak naprawdę chciałby zmienić pracę? Trudno powiedzieć. Jak dotychczas, praca w firmie była jego pierwszym i jedynym zajęciem. I mimo że go nieraz męczyła i przygniatała, ciężko byłoby mu myśleć o zmianie zatrudnienia. Poza kontrwywiadem, tą sławną „dwójką”, nie znał nic innego. Chociaż z zazdrością obserwował zwykłych ludzi, ich zwyczajne sprawy w tej jednej jedynej rzeczywistości, podczas gdy on musiał dzielić swoją osobowość na dwa jakże odmienne światy, chyba nie potrafiłby podjąć definitywnej decyzji. Żeby zerwać z tym wszystkim i żyć w jednym świecie, w jednej rzeczywistości, bez znerwicowanych przełożonych, bez podejrzliwych kolegów, bez dobrych i złych informatorów. Bez tworzenia podejrzeń wobec ludzi, do których nie miał żadnych uprzedzeń, ale nabierał ich, gdyż w rzeczywistości firmy nie ma ludzi niewinnych. Bał się, że nie

umiałby odnaleźć się w normalnym świecie, chodzić do zwyczajnej pracy i załatwiać w niej zwyczajne sprawy. Mieć do czynienia ze zwyczajnymi problemami. Czy udałoby mu się przezwyciężyć nawyki, które stały się jego drugą naturą? Aby nie być tak nieufnym wobec innych? By nie podejrzewać ich o złe intencje, o to, że mówią jedno, a robią co innego, że skrywają swoje prawdziwe myśli, a pokazują obłudne oblicze? Podstawowa reguła firmy głosiła, że nikomu nie wolno wierzyć. Ta zasada była aksjomatem w pracy operacyjnej. Przecież latami uczył się wielkiej sztuki rozpoznawania ludzi. Odkrywania podwójnych znaczeń ich słów i czynów. I ćwiczenia siebie, jak skrywać emocje, być opanowanym w każdej sytuacji. Przekonywać innych do swoich racji, choćby były bzdurne. Zmuszać ich do zachowań korzystnych dla firmy, przełamywać opory, używając różnych środków nacisku. Czy mógłby skończyć z tym wszystkim, ot tak, w jednej chwili? Rozważania Romana zawsze dochodziły do tego newralgicznego pytania. Nie potrafił dać na nie prawdziwej odpowiedzi, a może i nie chciał. Jest, jak jest – mówił sobie. – I inaczej nie będzie. Każdy musi robić swoje. Zdawał sobie sprawę, że ta odpowiedź jest unikiem. Czy wobec tego jest tchórzem, który nie daje sobie rady z wewnętrznym wyzwaniem? Nie chciał myśleć w tych kategoriach. Przecież w jego pracy nie ma nic zdrożnego. Jest ogólnie poważana. Zresztą do kontrwywiadu nikt nigdy nic nie miał. A to, że podsłuchuje, obserwuje, werbuje informatorów? Na wszystko znajdzie się odpowiedni przepis. A prawo to prawo. Zresztą cel jest szczytny. Pracuje, żeby złapać szpiega, który zagraża krajowi, zagraża ogółowi, wszystkim i każdemu z osobna, naraża na szwank nasze bezpieczeństwo i inne dobra zarówno w wymiarze powszechnym, jak i jednostkowym.

Dlatego jego praca jest szanowana. Jego jako anonimowego oficera operacyjnego firmy. Bo dane Romana są ściśle tajne, zresztą zgodnie z przepisami, przecież ani on, ani nikt inny nie może ujawnić, że pracuje w kontrwywiadzie. Nawet gdyby złapał szpiega. Ujawnienie nazwiska byłoby niezgodne z przepisami, mało tego, że niezgodne, wręcz zagrożone tak zwaną sankcją karną, czyli po prostu więzieniem. Jeżeli uda mu się kiedykolwiek aresztować obcego agenta, nie stanie się znanym bohaterem, a o tym, że tego dokonał, będzie wiedzieć niewielka grupa pracowników firmy – ci, którzy byli uczestnikami operacji. Inni koledzy dowiedzą się o jego sukcesie z korytarzowych pogłosek i nie będą o nic pytać, to byłoby w złym tonie, przecież wiedzą, że na takie sprawy spuszcza się zasłonę tajemnicy. Obowiązuje zasada: wiesz tyle, ile ci potrzeba do prowadzenia własnej sprawy. Jeśli jej nie prowadzisz, nie interesuj się.

W tym punkcie przemyslenia Romana zazwyczaj utykały. Nie brnął dalej w rozważania, bo groziło to wpadnięciem w pułapkę dwoistości własnych dywagacji. Zdawał sobie sprawę, że nie da pogodzić się dwóch różnych widzeń – realnego i idealistycznego. Jedno widzenie to sfera brutalnej, przyziemnej rzeczywistości, która go przytłacza swoją nicością, pozorami i fałszem. To sfera codziennego życia firmy. Zrutynizowanych odruchów skierowanych na osiągnięcie wyznaczonej normy pracy. Normy pozbawionej rzeczywistego znaczenia. Przejawiającej się w ilości pozyskanych do współpracy informatorów i wszczętych spraw operacyjnych. Wszystko po to, by wykazać własną aktywność, istnienie i ciągle na nowo udowadniać niezbędną konieczność swojego bytu. Drugie widzenie to świat wyidealizowany, świat, w którym chciałoby się żyć i pracować.

Realizować się w pracy, wykonywać swoje codzienne obowiązki z pełnym zaangażowaniem i wreszcie osiągnąć efekt, wynik, sukces czy jak to inaczej nazwać. Ale to niemożliwe. Nie jest w stanie nawet na chwilę wyskoczyć z torów, którymi podąża firma. W tym celu trzeba by było gruntownie zreorganizować firmę i zmienić mentalność oficerów, a firma się przecież nie zmieni. Zakorzenionych tradycji nie da się raptownie wyrwać. Zwłaszcza że dla wygodnych gwarantuje wygodne i przyjemne życie. A praca? Praca to gra pozorów, podchodów, cicha i regularna wojna o stanowiska, te małe i te większe. Intensywne życie korytarzowe, wymiana sensacji i ciekawostek, zawieranie sojuszy i ich rozpadanie się. No i imprezy, uroczyste wręczanie medali i orderów za pozorne sukcesy, na przykład za wybitne zasługi dla bezpieczeństwa państwa albo za osiągnięcia w dziedzinie umacniania obronności kraju. To medal wojskowy, których pulę firma rokrocznie otrzymuje od wojska. Awansowanie w stopniach jest łatwiejsze. Po prostu osiąga się wymaganą wysługę w latach, trzy, cztery lub pięć, co zapewnia automatycznie awans na wyższy stopień oficerski. Tak naprawdę to nikt się awansami nie przejmuje. Każdy uważa, że to mu się po prostu należy. Jak psu zupa. Uzyskanie wyższego stopnia oficerskiego może zablokować jedynie brak odpowiedniego etatu albo podpadnięcie kierownictwu. Toteż Roman zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się wyskoczyć z utartych torów. Nikt na to nie pozwoli z naturalnego powodu, jakim jest obawa przed utratą spokojnego i wygodnego życia. Złamanie ustalonego porządku, wystąpienie przed szereg, mogłoby bowiem stanowić wyłom, może mały, ale sam fakt jego zaistnienia byłby już zagrożeniem. Nikt przecież nie wie, jak duże jest grono niezadowolonych.

Poczucie bezsilności wzmagał w Romanie jego nowy przełożony. Wszyscy wiedzieli, że to nie chęć osiągnięcia rzeczywistego sukcesu kierowała poczynaniami Pepsuja, którymi tak bardzo denerwował swoich podwładnych z wydziału. Co wobec tego chciał osiągnąć? Oczywiście to, co znajdowało uznanie u przełożonych. Przede wszystkim trzeba było uzyskać średni standard pracy, czyli spełnić wymagania, jakie na firmę nakładają różne wewnętrzne przepisy i widzimisię najwyższych czynników, a więc po prostu polityków, którzy akurat w tym momencie znaleźli się na szczycie władzy i mają sprawczą moc decydowania o obsadzie kierowniczych stanowisk w firmie. To niesłychanie mobilizowało tych, co te stanowiska zajmowali. Starali się trafić w gusty decydentów, którzy mieli indywidualne, oryginalne i niepowtarzalne niekiedy zapotrzebowania na informacje pochodzące z firmy. Toteż było nieraz kwestią życia i śmierci gusty te poznać. Jeśli szybko udało się podrzucić informację, która trafiła w dziesiątkę lub dziewiątkę, szanse na przeżycie wzrastały. Najbardziej poszukiwanym towarem były oczywiście ciekawostki kompromitujące przeciwników z innych obozów politycznych. Istniało nawet stałe zapotrzebowanie na blok informacyjny pod hasłem: życie codzienne opozycji. Tytuł był oczywiście ironiczny, nadany przez kogoś z firmy.

O wiele łatwiej można wywiązać się z obowiązków, jakie na firmę nakładały przepisy. W praktyce sprowadzało się to do osiągnięcia standardu ilościowo-jakościowego, a więc trzeba było mieć paru niezłych informatorów, dobrze uplasowanych, z dostępem do ciekawych informacji. Informatorów należało co pewien czas wymieniać, nie było tu jakiejś reguły, po prostu przyjęło się, że firma musi odświeżać swój krwioobieg. Ważne jest także, aby oficer

kontrwywiadu prowadził kilka spraw o podtekście szpiegowskim, oczywiście. Przy czym nie liczyły się w nich konkretne fakty, które poza firmą decydowałyby o jakimś bycie czy niebycie materialnym. W kontrwywiadzie były to przesłanki, które zgodnie z przyjętym punktem widzenia uzasadniały podejrzewanie kogoś o kontakty z obcym wywiadem. Przesłanki w rzeczywistości bardzo kruche. Jeżeli zauważono, że ktoś rozmawia na przyjęciu z pracownikiem ambasady Rosji, a ten może być, czego przecież na sto procent nigdy nie da się wykluczyć, członkiem rezydentury wywiadowczej tej ambasady, to przesłanki do podejrzeń wydawały się już bardzo poważne. Sprawę w takim przypadku wszczynało się natychmiast. Przez miesiące i lata stosowano wówczas podsłuch, obserwację, kontrolę korespondencji i całą gamę innych środków. No, i rzecz jasna, w ramach sprawy werbuje się informatorów, którzy właśnie są jednym z tych środków mających prowadzić do osiągnięcia celu. Tak przynajmniej uczą teoretycy pracy kontrwywiadowczej. W ten oto sposób nawet czyjeś przypadkowe zetknięcie z dyplomata uruchamiało całą maszynę firmy.

Tak naprawdę jednak to nikt do końca nie wierzył, że sprawy przyniosą efekt ostateczny. Ważne, by takie procedury po prostu były prowadzone. Doświadczenie podpowiadało, że szpieg, którego można złapać, ujawnia się sam, to znaczy, popełnia błąd, a ten błąd pozwala kontrwywiadowi doprowadzić do aresztowania agenta obcego wywiadu. Ale jest to manna z nieba. Zdarza się rzadko, raz na kilka, kilkanaście lat. Dlatego ważne było wypełnianie standardów ilościowych i jakościowych w prowadzonych sprawach i w siatce informatorów. Wówczas można powiedzieć: „Bądźcie spokojni, mamy odpowiednią bazę informatorów, prowadzimy

ciekawe sprawy, jesteśmy blisko szpiegów, ale – jak wiadomo – nie jest rzeczą łatwą złapać agenta za rękę”.

Te standardy w wydziale Romana uległy załamaniu. Nikt nie miał wątpliwości, że doszło do tego przez politykę Gutowskiego. Nawet nie przez politykę, ile jego charakter. Ojcował wszystkim oficerom, starszym i młodszym, wierzył w ich wysoką samoświadomość i dobre chęci. Był jednym z niewielu naiwnych, dla których status oficera kontrwywiadu równał się zaangażowaniu bez reszty w pracę, przyjęciu prymatu dobra ogólnego nad mniej chwalebnyimi pobudkami. Mylił się okrutnie. Firmą rządziły od zawsze mniej chwalebne pobudki. Firmą rozumianą jako zbiorowość nie tylko oficerów kontrwywiadu, ale i pracowników wszystkich innych departamentów i biur. I ta naiwność Gutowskiego była przyczyną rozkładu wydziału.

Brak nowych informatorów i spraw, brak informacji, które zainteresowałyby „górze”, decydowały o miejscu, jakie zajmował wydział w Departamencie. Najważniejsza była bowiem statystyka. Liczbę informatorów i spraw dzielono na ogólną liczbę oficerów operacyjnych wydziału i otrzymywano tak zwaną operacyjną średnią statystyczną. Podobnie działo się z informacjami, które klasyfikowano jako istotne, mniej istotne i nieważne. W tej jakże prostej i wymownej statystyce wydział Romana zajmował od kilku lat ostatnie miejsce. Nie byłoby w tym wszystkim jeszcze nic szczególnie niepokojącego, gdyby stan aktywności oficerów oscylował na poziomie zera. Ale, niestety, był ujemny. Oznaczało to, że wydział nie tylko nie pozyskiwał nowych informatorów i nie wszczynał nowych spraw, lecz stopniowo tracił stan posiadania. Informatorzy wykruszali się, sprawy zaczynały tak trącić pleśnią, że

najlepiej było je zakończyć, a materiały składano do archiwum. Taki stan dla kierownictwa Departamentu był nie do utrzymania na dłuższą metę, ponieważ stanowił zagrożenie dla wszystkich. Nikt przecież nie uwierzy, że w Polsce nie działają agenci wywiadów zachodnich. Pepsuj miał rację. Albo że rezydentury tych wywiadów, umiejscowione w ambasadach, zaprzestały swojej działalności. Układy sojusznicze nic tu nie zmieniały. Służby specjalne współpracowały ze sobą, wymieniały informacje, spostrzeżenia i podejrzenia. Było to naturalne. Nikt jednak nie przy zdrowych zmysłach nie brał za dobrą monetę oświadczeń innej strony, że na jej terytorium nie będzie prowadzić żadnych działań wywiadowczych. Oczywiście przyjmowano takie oświadczenia z zadowoleniem i składano podobne deklaracje, a każdy i tak robił swoje. Dlatego tak zwane ośrodki dyspozycyjne były niespokojne, jeżeli nie otrzymywały sygnałów o działaniach służb sojuszniczych. Nie chodziło o złapanie agenta „zaprzyjaźnionej” służby, bo mogłoby to okazać się niewygodne; oczekiwano po prostu na informacje o aktywności tych służb. Jeżeli te nie nadchodziły, powstawały przypuszczenia, że źle się dzieje w firmie. Gutowski łatał brak świeżych informacji kompilowaniem na różne sposoby starych, dzięki czemu wykazywał pozorne postępy. Udawało się to przez dłuższy czas. W końcu pozorność informacji wychwycił gabinet szefa głównego firmy, w którym dokonywano ostatecznej redakcji tekstów przekazywanych wysokim czynnikom. Sprawdzono informacje, sięgając jakiś czas wstecz. Wyniki porównania były oczywiste, a wnioski jednoznaczne. W informacjach Gutowskiego nie byłoby ostatecznie nic nagannego, przecież podobne zabiegi stanowiły normę w pracach nad informacjami przekazywanymi do

góry, ale ciągły brak nowych elementów świadczył o stagnacji, a to mogło mieć wpływ na ocenę pracy firmy, czyli pracy szefów.

Wymiana Gutowskiego na Pepsuja miała na celu przywrócenie standardom w wydziale właściwych proporcji. Przede wszystkim pozyskanie nowych informatorów, wszczęcie nowych spraw lub rozruszanie starych, no, i jako wynik tych działań – uzyskanie informacji, które zaspokoją apetyty decydentów.

I dlatego Roman nie lubił takich rozważań. Prowadziły do ślepego zaułka. Zawsze do tego samego.

*

Dzisiaj Roman był w dobrym nastroju. Tym razem wchodził do firmy z poukładanym w głowie planem, co będzie robił w najbliższej przyszłości.

Zostawił rzeczy w pokoju, potem poszedł podpisać listę obecności. Uśmiechnął się do sekretarki, do której obowiązków należało wykładanie co rano listy na biurko. Dopiero teraz uświadomił sobie, co uderzało go w jej wyglądzie. Chociaż młoda, przypominała do złudzenia swoje poprzedniczki, które pamiętał, nawet te sprzed wielu lat: wysoko upięty kok, tużurek, niezmienna powaga na twarzy. Uważny obserwator dostrzegał jednak coś nowego, w czym miał udział zmysł węchu. To powiew czasu – dobre kosmetyki i perfumy. Tak, nie można było powiedzieć, że wszystko stoi w miejscu.

Sekretarka odwzajemniła lekki uśmiech i spytała:

– Mamy dobry dzień, panie Romanie?

– Myślę, że tak, oby nie było gorzej – odpowiedź mieściła się w ramach obowiązującego stereotypu.

Przez sekretariat zmierzał do swojego gabinetu Pepsuj. Roman przyjął postawę wojskową „baczność” i skinął głową. Pepsuj machnął mu na odczepnego ręką, mówiąc: „Cześć”.

– I humor panu dopisuje – stwierdziła raczej, niż zapytała sekretarka.

– Nie można być zawsze smutasem, pani Marylo.

Za Romanem stał od dłuższej chwili Robert Winnicki. Pułkownik Robert Winnicki. Miał skwaszoną minę, a na widok scenki, której był świadkiem, z niechęcią pokręcił głową.

– Co jest, Robciu? Wstałeś lewą nogą? – zapytał Roman.

Winnicki westchnął, podpisując listę. Wyszli razem z sekretariatu. Szli korytarzem w tę samą stronę.

– A z czego tu się cieszyć? No, z czego? – Winnicki zadawał pytania zrezygnowanym tonem. – Widziałeś tego wariata? – Miał zapewne na myśli Pepsuja, który wszedł przed nim do sekretariatu. – Zaraz się zacznie. Która sprawa się nadaje, a która nie. Który informator jest dobry, a który niedobry. Kiedy pozyskam nowego, najlepiej w ambasadzie francuskiej, albo dyrektora w jakimś ministerstwie. Romku, ja już jestem na to za stary. Informatorów niech werbują młodzi. Ja im mogę pomagać, uczyć, ale samemu iść w miasto... To już nie te lata.

Roman popatrzył ze współczuciem na kolegę. Winnicki należał do najstarszej grupy oficerów nie tylko Departamentu, ale i całej firmy. Wiekowo i stażowo. Grupę tę nazywano ironicznie „leśnymi dziadkami”, że niby pamiętają partyzantkę. Może w niektórych przypadkach tak było. W kontrwywiadzie niechętnie przyznawano się do partyzanckiego rodowodu. Wiekowi oficerowie zdawali sobie sprawę z tego, że nie nadążają za nowymi czasami. Jednak kurczowo

trzymali się pracy w firmie. Była sensem ich istnienia. Parę lat temu Roman słyszał autentyczną historię. Nowo powołany szef firmy, obchodząc departamenty, zajrzał do naczelnika od podsłuchów. Ogromnie zdziwiony jego starczym wyglądem zapytał:

– Ile pan ma lat?

– Pięćdziesiąt pięć – odparł z dumą w głosie naczelnik.

– To na tyle pan nie wygląda – powiedział szef z niedowierzaniem.

– Ale ja mam tyle stażu służby.

Ten naczelnik podobno rzeczywiście przyszedł do firmy z lasu. Wkrótce po tym spotkaniu już nie pracował. Z jeszcze jednym orderem odszedł na zasłużoną emeryturę.

Roman nie miał złudzeń, że Winnickiego czeka podobny los. Pepsuj nie był tu wcale biczem bożym. Sam należał do grupy starszych oficerów. Po prostu nadeszła chwila, kiedy część oficerów nie była w stanie podołać osiągnięciu wymaganej normy, dlatego sentymenty nie wchodziły w rachubę.

– Tak, Pepsuj uparł się na nas – powiedział Roman, nie wiedząc, jak pocieszyć kolegę.

– Ty, Romku, jesteś jeszcze młody, możesz dużo zdziałać. – Winnicki skinął Romanowi głową i zatrzymał się przed drzwiami do swojego pokoju.

*

Roman wyjął z metalowej szafy tylko sprawę Izydora. Na niej musiał się dzisiaj skoncentrować. Poukładać wszystko. Poszufladkować. Zaplanować szereg posunięć naprzód. Sięgnął po kilka kartek czystego papieru.

A więc co ma do zrobienia?

Spotkać się z Laleczką. To była konieczność. Wprawdzie Tarpan był na raucie British Council, ale anonimowo. Tak jak Roman. W zaproszenie też pewnie wpisał fikcyjne dane. Ponadto informator postąpił samowolnie. Jego obecność na bankiecie nie wiązała się z realizacją zadań zleconych przez oficera prowadzącego, co w złym świetle stawiało Romana. Nie mógł więc wykorzystać go jako podstawki, czyli wtłoczyć w jego usta tego, co sam widział. Oczywiście w lekkim spłaszczeniu. Nikt by nie uwierzył, że pojawił się nagle szpiegowski mikrofilm, przywołany jakby na zawołanie. Roman naraziłby się na śmieszność. Pepsuj na pewno by zadbał, aby relacja o mikrofilmie przeciekła do wydziału. Brrr... Roman aż się wstrząsnął. Stałby się przedmiotem żartów niewybrednych, ale też i bardziej finezyjnych. Na przykład ktoś przyczepiłby na drzwiach jego pokoju tabliczkę z zakazem fotografowania, taką, jakie do niedawna można było spotkać na dworcach kolejowych i innych podobnych obiektach. Byłaby to delikatna, lecz czytelną aluzją. Albo notoryczne podrzucanie do teczek Romana pustych opakowań po kliszach fotograficznych – to mogłoby okazać się dla niego męczące. Dlatego informacja o przekazaniu przez Izydora jakiegoś przedmiotu Stockwellowi powinna mieć wymiar neutralny. A więc Izydor wsunął do kieszeni szefa British Council coś bliżej niezidentyfikowanego. Może kartkę, a może coś innego. Tego przecież nie sposób stwierdzić. I tak dobrze, że w takim tłoku został zauważony sam fakt przekazania czegoś tam. Czego, nie wiadomo. Ale to, co wiadomo, wystarczy, aby kontrwywiad odczuł głębokie zaniepokojenie. A zaniepokojenie wywołuje konieczność podjęcia określonych kroków, takich jak werbowanie informatorów

i podsłuchy. Na początek to jest już coś i jakąś informację można wysłać do góry, sugerując, że szef British Council prawdopodobnie łącznie agentów wywiadu brytyjskiego. W żargonie kontrwywiadu znaczyłoby to, że jest osobową skrzynką kontaktową. Informacja oczywiście byłaby na wyrost, ale nikt nie mógłby jej zaprzeczyć czy podważyć. Kontrwywiad ma przecież prawo do wyciągania wniosków z sytuacji, które stały się mu znane z własnej pracy operacyjnej.

Do tego był potrzebny Laleczka. Roman przegapił go w swoich wcześniejszych rozważaniach o British Council. Okazuje się, że niesłusznie. Jeśli Laleczka był na raucie, mógł mieć jakieś kontakty z British Council. Zresztą to plany na przyszłość. Teraz trzeba spotkać się z nim, pogadać, a potem opisać w raporcie, jak to, wykonując obowiązki służbowe, Laleczka dostrzegł fakt bardzo istotny dla kontrwywiadu. Opisy osób będą tak szczegółowe, że nie pozostawiają wątpliwości, kto brał udział w przekazaniu i odbiorze jakiegoś przedmiotu. Gdyby jednak takie się pojawiły, Laleczka rozpozna delikwentów na fotografiach. Tak, ta sprawa jest prosta i nie wymaga specjalnych zabiegów.

Musi też zobaczyć się z Tarpanem. Przede wszystkim po to, żeby informatora zdyscyplinować. Samowolna akcja groziła dekonspiracją. Lepiej nie myśleć, co by było, gdyby Tarpanowi odkleiła się broda. Wiadomo, w jakim kierunku poszłyby przypuszczenia wszystkich obecnych na raucie. Dlatego trzeba Tarpanowi wybić z głowy podobne pomysły.

No, i sprawa też bardzo ważna. Sprawdzić tego biznesmena, z którym rozmawiał na przyjęciu i go pozyskać. Tak, werbunek musi zrealizować jeszcze w tym tygodniu. Da mu to czas na przemyślenie

kolejnych ruchów, zwłaszcza w jakim kierunku pchnąć nowo pozyskanego informatora. Zsynchronizuje te działania z podsłuchami i innymi przedsięwzięciami. Jest tylko jeden problem. Instrukcja o pracy operacyjnej przewiduje, że werbunek należy poprzedzić zgromadzeniem informacji o osobie, którą oficer zamierza pozyskać do współpracy z firmą. Informacje trafiają do teczek aspiranta na informatora, bo tak nazywa się przyszłego współpracownika firmy. A proces opracowywania aspiranta jest długotrwały. W tym czasie podlega on wszechstronnemu sprawdzeniu i kontroli. Prześwietla się jego wszelkie kontakty. Zwłaszcza drobiazgowemu badaniu poddaje się kontakty zagraniczne. Opracowanie nie powinno trwać krócej niż sześć miesięcy. W wyjątkowych przypadkach, gdy osoba aspiranta nie budziła wątpliwości, a nagła potrzeba dyktowała pośpiech, przełożony wyrażał zgodę na werbunek po trzech miesiącach opracowania w sytuacji, gdy większość podstawowych informacji była już zgromadzona. Ale Roman nie miał żadnych danych o przedsiębiorcy z przyjęcia w British Council poza tym, co figurowało na wizytówce. Udało mu się, co prawda, dowiedzieć czegoś więcej w rozmowie podczas rautu, ale były to informacje wyjściowe, które trzeba dokładnie zbadać. Należało ustalić członków rodziny, znajomych, rozpoznać działalność gospodarczą, wszystko dokładnie przeanalizować, a tego nie wykona wcześniej niż w przeciągu kilku tygodni.

Pozostało mu jedno. Przekonać Pepsuja, aby zgodził się na nieformalny werbunek. Oznaczało to pozyskanie informatora bez odnotowywania tego faktu w raporcie ze spotkania. Po prostu nie napisze, że aspirant na informatora stał się właśnie informatorem.

Takie postępowanie było stosowaną od dawien dawna praktyką, aczkolwiek dotyczyło nielicznych przypadków. Pepsuj musiał być poinformowany przez Romana o nieformalnym werbunku, aby na wypadek nieprzewidzianego splotu okoliczności mogli wspólnie wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Zdarzało się, że osoba pozyskana przez oficera do współpracy tak bardzo się tym przejęła, że zawiadamiała o werbunku jakąś wysoko postawioną osobistość, a ta zaczynała stawiać firmie niewygodne pytania. Należało wówczas zareagować błyskawicznym wyjaśnieniem, że absolutnie nic się nie stało, nie taki był zamiar oficera, który w sposób niefortunny ukształtował przebieg rozmowy tak, iż interlokutor całkowicie fałszywie odebrał jego intencje. Takie wypadki przy pracy występowały stosunkowo rzadko, ale powinno się brać je pod uwagę. Sytuacja była zupełnie inna, jeśli werbunek był w pełni sformalizowany, to znaczy poprzedzony raportem wymaganym przez wewnętrzne przepisy, czyli instrukcją operacyjną. W przypadku nieprzewidzianej interwencji oficer operacyjny mógł się nie przejmować, bo tym razem chroniła go firma. Żadne czynniki zewnętrzne nie miały tu nic do powiedzenia. Jeżeli ktoś próbował interweniować, otrzymywał odpowiedź, że oficer wykonywał zadania nałożone na firmę przez ustawę, w oparciu o wewnętrzne przepisy szczegółowe, które ze względu na klauzulę tajności nie mogą być ujawnione, a tym bardziej nie można dyskutować o tym, co robił ów oficer. Było to koło zamknięte i otoczenie zewnętrzne firmy nie potrafiło przedrzeć się przez warstwę ochronną tego prostego argumentu.

Roman wierzył, że uda mu się przekonać Pepsuja, jeżeli roztoczy przed nim wizję złożonych działań operacyjnych z udziałem nowo

pozyskanego informatora. Po nieformalnym werbunku informator będzie przygotowywany do wykonywania zadań, a Roman uzupełni opracowanie go jako aspiranta na informatora, czyli zbierze o nim szczegółowe informacje. Potem go zawerbuje, ale tylko na papierze, bo sam fakt dokona się już wcześniej. W tym czasie informator zostanie na tyle przeszkolony, że wykorzystanie go w skomplikowanej nawet operacji będzie mogło nastąpić natychmiast.

Pepsuj nie powinien mieć oporów. Jednak zanim pójdzie do niego z tą sprawą, musi wypełnić karty sprawdzeniowe na biznesmena.

*

Roman zaanonsował sekretarce, że chce widzieć się z Pepsujem. Czekając na wezwanie, chodził po pokoju, w końcu stanął przy oknie. Z przyjemnością patrzył na roztaczającą się przed nim zielenią. Z wysokości drugiego piętra widział dokładnie wiosenne kolory liści drzew i wysokich krzewów. Cieszył się widokiem kwiatów na krzakach jaśminu. Te wcześniej rozkwitłe już opadały, tworząc białą mozaikę na zielonej trawie.

Wzdrygnął się, gdy przeraźliwie zabrzączał dzwonek starego plastikowego telefonu z obrotową tarczą. Sekretarka informowała uprzejmie, że naczelnik oczekuje go u siebie. Roman, nie spiesząc się, wziął karty sprawdzeniowe z biurka i wyszedł z pokoju. W sekretariacie pani Maryla skinęła mu głową na znak, że Pepsuj jest wolny. Wchodząc, Roman przywołał na twarz lekki uśmiech, który miał oznaczać uprzejme powitanie. Siedzący za biurkiem Pepsuj podał mu rękę, nie podnosząc się. Wskazał ruchem dłoni

krzesło przy biurku. A więc rozmowa będzie czysto służbowa – pomyślał Roman. Wiedział, że paru oficerom już się dzisiaj dostało od Pepsuja. Szczególnie Winnickiemu, który snuł się po wydziale z miną zbitego psa.

– No? – zaczął niezbyt uprzejmie Pepsuj.

– Posłuchaj, Maćku. – Roman starał się mówić szybko i spójnie. – Opracowałem szczegółową koncepcję działań w sprawie Izydora. Wygląda to bardzo ciekawie. Okazało się, że mogę wykorzystać do kontroli Izydora swoich niektórych informatorów. Odbędę z nimi spotkania w tym tygodniu. Ale jest też sprawa bardziej pilna. Mam zamiar na kogoś, kto może mieć powiązania biznesowe z Izydorem i to nie tylko w kraju, lecz i za granicą.

– Skąd ten zamiar? – przerwał Pepsuj. Pepsuj był starym lisem i Roman przewidział, jakie pytania będą padać z jego strony.

– No więc zamiar jest z billingów, są to dość częste połączenia między tym gościem a Izydorem. Sprawdziłem, że facet dzwoni za granicę zaraz po rozmowach z naszym figurantem. Prowadzi spółkę działającą w tej samej branży co Izydor. Z rocznych sprawozdań spółki wynika, że obroty mają dość duże... – Roman kłamał jak z nut wiedziony przecuciem, że Pepsuj nie ma teraz czasu na skontrolowanie prawdziwości tych informacji.

– No dobrze. – Pepsuj przerwał jego wypowiedź. Roman miał przejść do sedna.

– Faceta trzeba zwerbować. Najlepiej w pierwszej rozmowie. Wiesz przecież, że ci biznesmeni o międzynarodowych kontaktach stawiają mocne opory przy dłuższych pozyskaniach.

– Ale nie masz go jeszcze opracowanego? – stwierdził raczej, niż spytał Pepsuj.

– Nie, nie mam. To świeży zamiar, ale są spore możliwości wykorzystania faceta. – Roman starał się być przekonujący. – Jeżeli nic nie wyjdzie z werbunku, to nie stracę pół roku na opracowanie gościa w charakterze aspiranta. Będę mógł szybko przenieść się na kogoś innego. – Patrzył na Pepsuja proszącym niemal wzrokiem.

Ten rozważał w myśli słowa Romana. Nieformalny werbunek. Jeżeli się zgodzi, weźmie na siebie odpowiedzialność w wypadku ewentualnej wpadki. Nie będzie tragedii, po prostu błąd, który każdemu może się przytrafić i z którego da się wytłumaczyć. Tylko wytłumaczyć rozsądnie. Z drugiej strony, jest okazja, żeby zrobić jakiś konkretny ruch do przodu. Ruch, którego temu wydziałowi brakuje od dawna.

Pepsuj lubił ryzyko. Oczywiście nie stawianie wszystkiego na jedną szalę. Ryzyko umiarkowane. Z wcześniej przemyślaną asekuracją. I z korzyściami na widoku. Znał opinie kolegów na swój temat, ale oni byli w błędzie. Wcale nie był już tak nieobliczalny jak dawniej.

– Zgoda, ale zrób to delikatnie. Żeby w razie czego facet nie narobił za dużo szumu.

– Co ty, Maćku! Przecież mnie znasz. Wszystko będzie załatwione, jak należy. – Roman był w tym momencie naprawdę zadowolony. Wyciągnął karty sprawdzeniowe i położył na biurku. Pepsuj wyglądał na zaskoczonego:

– Jeszcze go nie sprawdziłeś?

– No wiesz, wszystko teraz idzie piorunem. – Roman miał przewagę. Pepsuj nie wycofa już swojej zgody, mimo że nie było w zwyczaju, aby rozmawiać o kimś, kogo nie sprawdziło się

w kartotekach Biura Ewidencji i Archiwum, a za jego pośrednictwem też w zbiorach informatycznych innych instytucji.

– Cwany jesteś, Romku – mówił wolno Pepsuj, podpisując i pieczętując sprawdzenia. – Ale resztę załatwiaj sobie sam – powiedział, oddając karty.

– Dzięki. Jasne, Maćku. Wszystko będzie, jak trzeba.

*

Problem z archiwum, jak nazywano w skrócie Biuro Ewidencji i Archiwum, uważał za załatwiony. Naczelnikiem jednego z wydziałów był jego stary znajomy, podpułkownik Stanisław Waluś. Roman do niego zadzwonił.

– Cześć, Stasiu. Co słychać?

– No przecież poznaję. Romcio, ty stary draniu! U mnie jak zawsze. U ciebie też chyba bez zmian, bo obiłoby mi się o uszy, gdybyś dostał kopa w górę. – Waluś się roześmiał.

– Mam do ciebie małą sprawę. Mógłbym wpaść?

– No przecież. Inaczej byś nie zadzwonił. – Waluś był bezpośredni. – Dobrze, możesz przyjść teraz.

Po wyjściu z wydziału Roman musiał przejść do głównych schodów, aby dostać się na czwarte piętro. Do Biura Ewidencji i Archiwum prowadziło jedno wejście, inne były solidnie zakratowane i otwierane tylko na wypadek pożaru, co na szczęście nie nastąpiło od początku istnienia firmy. Główne wejście też było okratowane. Roman przystanął przed szachową kratownicą, której grubość prętów zawsze wywoływała jego zdumienie. Ich średnica była chyba większa niż tych w kracie aresztu przy Rakowieckiej, gdzie czasami chodził załatwiać sprawy służbowe.

W drewnianych drzwiach znajdujących się za kratą otworzyło się okienko. Ktoś niewidoczny spojrział na Romana. Okienko zamknęło się, a drzwi rozsunęły się automatycznie. Młody oficer skinął głową Romanowi. Oczekiwał go. Na urządzeniu szyfrującym przyczepionym do ściany wystukał kod dostępu i pchnął furtkę w kracie. No, nawet tutaj wkroczyła nowoczesność – Roman był naprawdę zdziwiony. Kiedy przyszedł tu ostatnim razem w jakiejś sprawie, odźwierny otworzył zamek drzwi w kracie chyba półkilowym żelaznym kluczem.

Oficer poprowadził Romana przez gmatwaninę korytarzy Biura. Archiwum było miejscem szczególnym, odseparowanym od innych jednostek firmy, jak chociażby kontrwywiad. Ta szczególność polegała na całkowitej izolacji nie tylko Biura jako części firmy, ale też jego pracowników, którym zalecano, aby nie utrzymywali zbyt zażyłych kontaktów z oficerami innych departamentów i biur. Pracownicy archiwum wiedzieli wszystko, znali najtajniejsze sekrety firmy, które znajdowały się w teczkach. W teczkach spraw, informatorów, agentów. Oczywiście każdy z nich znał tylko wycinek tego, co zawierały pomieszczenia Biura, i tylko w zakresie bezpośrednio związanym z jego obowiązkami.

Wszystko, co powstawało w firmie, miało swój początek i koniec w Biurze Ewidencji i Archiwum. Tu rejestrowano każdą osobę, która znalazła się w kręgu zainteresowań firmy. Nieistotne, czy było to zainteresowanie pozytywne czy negatywne. Tak więc rejestrowano tu aspirantów na informatorów – późniejszych informatorów. Nawet jeżeli aspirant nie został zwerbowany, nanoszono informację, dlaczego tak się stało. Sprawy operacyjne różnych kategorii. Od wymyślonych podejrzeń do rzeczywistych szpiegów.

Figurantów tych spraw, czyli osoby podejrzewane o współpracę z obcym wywiadem. I szereg innych osób niemieszczących się w tej kategorii, wobec których firma miała jakieś zastrzeżenia. Zasadne czy nie, nie miało to znaczenia. Znajdowały się tu materiały nie tylko departamentów operacyjnych, lecz także biur. Można było znaleźć teczki gangsterów, przemytników, skorumpowanych dyrektorów instytucji i firm, oficerów policji oraz wojska, a na kolejnej półce – zarchiwizowane segregatory Biura Administracyjno-Gospodarczego, w których spoczywały sprawozdania z wydania temu to a temu wydziałowi tylu to a tylu długopisów, ołówków, gumek myszek, ryz papieru czy kostek mydła.

Rejestracja w Biurze Ewidencji i Archiwum oznaczała dla Departamentu Kontrwywiadu nadanie komuś lub czemuś numeru, a ten nigdy nie zanikał. Jeżeli ktoś został zarejestrowany, jego numeru ani też informacji o przyczynie rejestracji nie można było wymazać.

W końcu wszystko i tak kończyło swój żywot w archiwum. Tu składano na półki teczki informatorów, którzy utracili możliwości uzyskiwania potrzebnych firmie informacji albo po prostu zmarli lub też odmówili dalszej współpracy, co wszakże zdarzało się niezmiernie rzadko. Swoją zasłużony odpoczynek znajdowały na półkach teczki spraw tych ważnych i tych nieważnych; tych, które prowadzono rok, i tych, które oficerowie ciągnęli przez dziesięć lat.

Oficer doprowadzający Romana zatrzymał się przed drzwiami obitymi wygłuszającą wykładziną. Zastukał mocno w drewnianą framugę. Na dochodzący z głębi okrzyk „wejść” nacisnął kłamekę, gestem zaprosił Romana do wnętrza, po czym zamknął za nim drzwi.

Waluś z wyrazem prawdziwego zadowolenia na twarzy powstał z fotela. Przywitał się mocnym uściskiem dłoni. Był bardzo niskim mężczyzną, sięgał Romanowi zaledwie do piersi. Patrząc na niego, wydawało się, że zamiast wzwyż rozrósł się wszerek. Był szeroki, nie otyły, ale właśnie szeroki. Obrazu dopełniały twarde i sterczące jak szczotka czarne włosy, lekko przetykane siwizną, i krótkie wąsiki w płaskiej twarzy. Z racji niskiego wzrostu Waluś nosił przydomek Lamperia, którego bardzo nie lubił. Młodym oficerom trzeba było tłumaczyć, o co chodzi. Lamperia to było kiedyś pokrycie części ściany farbą olejną. Spełniała te same funkcje co dzisiaj nałożone na ścianę kafelki. Chroniła przed zabrudzeniami, które łatwo dawały się z niej usunąć. Zazwyczaj farbą olejną pokrywano – z oszczędności – niską część ściany.

To przezwisko Waluś nosił już ponad dwadzieścia lat. Co dziwne, nigdy się do niego nie przyzwyczaił. Wręcz odwrotnie, darzył je coraz większą niechęcią. Dlatego jeśli komuś wymknął się w czasie rozmowy przydomek Walusia, oglądał się zaraz na boki, czy przypadkiem nie ma go gdzieś w pobliżu. Lamperia znany był ze swojej mściwości.

Waluś uwielbiał dyscyplinę wojskową. Do firmy przyszedł zaraz po skończeniu studiów wojskowych. Z tego powodu uważał kolegów w firmie za półcywili. Do większej konfidencji dopuszczał jedynie swoich równolatków, zaliczał się do nich Roman. Podlegający mu młodzi oficerowie nie mieli z nim łatwego życia.

– No, siadaj, Romciu. – Usiłował nadać swojemu twardemu głosowi łagodne brzmienie. – Co tam w wydziale?

Roman potraktował to jako zachętę do wymiany informacji o tym, co nowego dzieje się w firmie. Waluś był bardzo ciekawskim

człowiekiem. Lubił wszystko wiedzieć, a czego nie wiedział, sobie sam dopowiadał.

– Tak, bracie – powiedział w zadumie po wysłuchaniu opowieści Romana. – Ten Pepsuj to kompletny wariat. I pomyśleć, że jest z tej samej fali co my. Chętnie bym wziął do siebie chłopaków, którzy nie mogą z nim wytrzymać. Ale widzisz, wciskają mi młodzież. Co się wykruszy jakiś stary, zaraz dają młodego. Czy to do pomyslenia, żeby oficer koło sześćdziesiątki latał po mieście za informatorami i figurantami, a młode byki siedziały w archiwum i przerzucały fiszki? Koniec świata, bracie.

Roman czuł się zobowiązany zabrać głos.

– O wszystkim decydują układy. Jak ktoś ma dobrego patrona, to się dobrze ustawia. Praca operacyjna nie jest teraz w cenie. Młodzież nie garnie się do kontrwywiadu. Wolą za mniejsze pieniądze liczyć gacie w gospodarczym.

– Tak, tak. Święta prawda. Ja przepracowałem swoje lata w „dwójce”, ale gdyby się wróciło, też bym poszedł do kontrwywiadu. Tam, bracie, praca to prawdziwie męska przygoda.

Roman pokiwał głową, chociaż nie miał przekonania do kontrwywiadowczych umiejętności Walusia. Z tego, co wiedział, został on przeniesiony do archiwum z powodu braku efektów w pracy operacyjnej.

– Ale ty nie masz się co przejmować – ciągnął Waluś. – Jesteś jednym z najlepszych, poradysz sobie. A Pepsuj i tak polegnie, to tylko kwestia czasu. Zobaczysz, że skończy na dyżurce.

Dyżurka była synonimem największego upadku oficera operacyjnego. Jeżeli ktoś tam trafił, znaczyło to, że nie nadaje się do niczego innego niż wypisywanie przepustek.

- Masz rację, trzeba przeżyć ten trudny czas.

- No dobra. Pokaż, co tam masz. - Waluś nie miał złudzeń, że Roman przyszedł do niego z towarzyską pogawędką.

Roman wyjął z kartonowej obwoluty dwie karty podpisane przez Pepsuja. Jedną to było polecenie sprawdzenia w archiwaliach. Dotyczyło przeszłości, spraw kiedyś zaistniałych, którymi aktualnie nikt się nie interesował. Sprawdzenia dokonywano nie tylko w kartotece firmy, ale też w kartotekach policji, straży granicznej i innych tego typu organów. Firma miała dostęp poprzez połączenia komputerowe z wszystkimi ważnymi zasobami informatycznymi. Druga karta dotyczyła sprawdzenia w rejestracji czynnej, a więc weryfikacji, czy ktoś jest obecnie czyimś informatorem, aspirantem na informatora, figurantem czy kimś tam jeszcze, czy nie wszedł w kolizję z prawem, czy nie jest zaufaną osobą policji, czy nie współpracuje z urzędem kontroli skarbowej. I jeszcze szereg innych tajnych informacji z różnych kartotek.

Waluś był naczelnikiem wydziału prowadzącego archiwum. Roman mógł tu zasięgnąć informacji wyłącznie o przeszłości.

Waluś rzucił okiem na karty i uśmiechnął się dyskretnie.

- Robimy coś po cichu? - zapytał.

Roman wzruszył lekko ramionami na znak, że przytłacza go sytuacja.

Kart nie parafował dyrektor Departamentu Kontrwywiadu, Hunek. Było to konieczne w wypadku bezpośredniego sprawdzenia przez oficera operacyjnego, jak to właśnie robił Roman. Jeżeli karty nosiły jedynie podpis naczelnika wydziału, podlegały przesłaniu zwykłą drogą korespondencyjną do archiwum. Należało je zapakować w kopertę, tę ostemplować i okleić taśmą klejącą, a na

koniec przesyć sznurkiem wzdłuż rogów i na ukos. Tak przygotowana koperta trafiała do Biura Ochrony, gdzie nadawano jej osobny numer korespondencyjny oraz pakowano w nową kopertę, którą oznaczano i zabezpieczano jak poprzednią. Po nadaniu przesyłce kolejnego numeru przekazywano ją wydziałowi zajmującemu się dostarczaniem korespondencji tajnej. Wydział nanosił numery do rejestrów i przesyłka w końcu trafiała do Biura Ewidencji i Archiwum. Trwało to około tygodnia. Sama realizacja zlecenia, na które opiewały karty, zajmowała nie więcej niż kwadrans. Treść odpowiedzi nanoszono na odwrocie kart sprawdzeniowych, po czym przesyłka odbywała identyczną drogę powrotną.

– Dobra, zaraz to załatwimy. – Waluś wystukał numer na tarczy telefonu. – Proszę przyjść do mnie! – Polecenie rzucone w słuchawkę zabrzmiało niczym komenda wojskowa.

Za chwilę rozległo się donośne pukanie we framugę.

– Wejść! – krzyknął donośnym głosem Waluś.

Do gabinetu wsunął się młody pracownik wydziału. Był niesamowicie chuderławy, co podkreślała luźno zwisająca na nim bawełniana marynarka w kratę. Na jego twarzy malowała się ospałość. Nerwowo mrugał oczami.

Ten gość wybitnie nadaje się do archiwum – ocenił Roman. – Stasiu powinien mu zafundować zarękawki.

Chuderlak usiłował niezgrabnie stanąć na baczność. W końcu zaczął mówić cienkim głosem:

– Panie pułkowniku, porucznik Pogorzelski melduje swoje przybycie.

- Podejdźcie tutaj. - Waluś przybrał groźną minę. Podał porucznikowi karty i powiedział: - Sprawdźcie to szybko.

Pogorzelski ponownie przyjął postawę zasadniczą, a kiedy Waluś skinął mu głową, odwrócił się i wyszedł.

- Nieźle ich tu ćwiczysz, Stasiu - powiedział Roman.

- A co ty myślisz, bracie? Żaden z nich nie był w wojsku. Czy oni wiedzą, co to jest życie? Nie, bracie. Oni nie mają zielonego pojęcia. Żaden z nich nie dymał w masce gazowej po poligonie ani nie sprzątał rejonów, a dzięki mnie nauczą się chociaż paru komend wojskowych. To im się tylko może przydać w życiu.

Do czego? - miał już zapytać Roman, ale w porę ugryzł się w język. Co go to obchodzi? Jeśli Waluś lubi ćwiczyć młodzież, to niech to robi.

Rozmawiali przez chwilę o niczym. Roman patrzył z zazdrością na Walusia. Ten to ma raj. Nic nie robi, pensji jako naczelnik ma więcej od niego, zajmuje się tylko plotkami. Trzeba mieć szczęście, żeby tak wyszło w życiu. I to przypadkowo, bo Waluś nie miał żadnych układów. Cisza i spokój w tym archiwum.

Porucznik Pogorzelski ponownie obwieścił swoje przybycie. Z obojętnym wyrazem twarzy podał kartę Walusiowi i dopełniwszy rytuału wojskowego, wyszedł.

Roman oczekiwał z niecierpliwością na wynik sprawdzenia. Waluś obracał w rękę kartę. Widząc jego zniecierpliwienie, odkładał moment ogłoszenia wyniku. Tutaj on był górą.

- No, bracie! - Waluś uśmiechnął się. - Facet jest czysty jak łąza. Możesz działać.

Roman odetchnął. Jeżeli biznesmen nie figurował w archiwum, była to dobra wiadomość. Gdyby kiedykolwiek podejrzewano go

o jakieś kontakty z obcym wywiadem albo gdyby współpracował z którymś departamentem operacyjnym firmy w przeszłości, to znacznie skomplikowałyby podjęcie z nim kontaktu.

– Dzięki, Stasiu. Nawet nie wiesz, jak jestem ci zobowiązany.

– Nie ma o czym mówić. Polecam się na przyszłość.

– Jeszcze jedna sprawa, Stasiu. Trzeba sprawdzić gościa w rejestracji czynnej.

Naczelnikiem wydziału rejestracji czynnej był młody oficer, którego nie znał. Sam by do niego nie poszedł, bo gdyby naczelnik okazał się formalistą, Roman mógłby mieć kłopoty za próbę dokonania nieuprawnionego sprawdzenia.

– Wiem, Romciu, wiem.

Waluś sięgnął do klawiatury telefonu i wcisnął przycisk.

– Cześć, podpułkownik Waluś. – Powitanie zostało wypowiedziane tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Rozmowa szła przez interkom, więc Roman ją słyszał.

– Dzień dobry, kapitan Jeremiasz z tej strony. – Z głośnika wydobywał się delikatny i uprzejmy głos.

– Kapitanie Jeremiasz. Jest u mnie kolega z kontrwywiadu. Za chwilę przyjdzie do pana, a pan będzie łaskaw – Waluś położył akcent na słowo „łaskaw” – sprawdzić jego kartę sprawdzeniową.

– Oczywiście, panie pułkowniku. Nie ma żadnego problemu. – W głosie kapitana dawało się wyczuć nutę uprzejmej gorliwości.

– Dziękuję, kapitanie Jeremiasz. – Waluś zakończył rozmowę.

Spojrzał na Romana ciekaw, jakie wrażenie wywarła na nim ta wymiana zdań. Pokazał, kto rządzi w Biurze. Roman pokiwał z aprobatą głową.

- Tak, bracie. Młodzież trzeba trzymać w ryzach. Muszą wiedzieć, kto tu wydaje rozkazy. Zresztą większość z nich to wymoczki. - Waluś machnął lekceważąco ręką.

Oddał karty sprawdzeniowe Romanowi i wezwał oficera, który wprowadził go do biura.

- Pan porucznik zaprowadzi cię do naczelnika Jeremiasza - powiedział Waluś w kierunku przybyłego oficera i ściskając Romanowi dłoń, poklepał go po ramieniu. - No, trzymaj się, bracie.

Wizyta u kapitana Jeremiasza okazała się całkiem miłą. Polecony przez Walusia Roman był przyjmowany z wszelkimi honorami. Sprawdzenia dokonano bardzo szybko. Przedsiębiorca nie był rejestrowany w firmie, natomiast interesowała się nim policja. Po sięgnięciu po bliższe dane okazało się, że jest podejrzewany o malwersacje podatkowe. Podejrzenia oparte były na dość wąskich podstawach, a cała sprawa nie wyszła jeszcze poza etap procedury operacyjnej. Dla Romana nie stanowiło to żadnej przeszkody. Kontrwywiadu nie obchodziło, czy ktoś był podejrzewany poza firmą o jakieś czyny niezgodne z prawem albo że miał kontakty z policją czy inną instytucją. W grę wchodziły wyższe racje i bezpieczeństwo państwa. W imię tego bezpieczeństwa cóż znaczył mały szwindelek, chociażby nawet na parę milionów. Czy też to, że ktoś jest policyjnym uchem? To były kwestie bez znaczenia dla kontrwywiadu. Jednakże należało o nich wiedzieć. Zresztą przepływ informacji o rejestracjach i powodach zainteresowania się tą czy inną osobą odbywał się tylko w jedną stronę - do firmy. A inni byli zobowiązani udzielać informacji. To zaś, czym interesowała się firma, pozostawało szczelnie zamknięte, obwarowane przepisami i fizycznymi zabezpieczeniami.

Kapitan Jeremiasz zgromadził tyle informacji, ile tylko mógł. Roman miał powody do zadowolenia. W ciągu krótkiego pobytu w Biurze Ewidencji i Archiwum dowiedział się więcej, niż mógłby oczekiwać po trwającym dwa tygodnie obiegu korespondencji.

Mimo że Jeremiasz wiedział, że wykracza przeciwko regulaminowi, dokonywał sprawdzenia bez słowa sprzeciwu. Autorytet Walusia miał jednak swoją wagę. Roman czuł się trochę zażenowany całą sytuacją. Chciał jakimiś szczególnymi słowami wyrazić podziękowanie młodemu naczelnikowi, ale nie znalazł nic odpowiedniego, więc po prostu powiedział:

- Dziękuję, kolego.

*

W ciągu tego tygodnia Roman miał mnóstwo pracy. Nie narzekał. Powoli wszystko zaczynało wyłaniać się z chaosu i przybierało realne kształty i wymiary.

Gromadził wiedzę o przedsiębiorcy Wilhelmie Janiku. Sam by nie podolał tej pracy, ponieważ wymagała wizyt w szeregu urzędów i instytucji oraz kopiowania albo spisywania informacji zawartych w najróżniejszych dokumentach. Zwrócił się do Pepsuja o przydzielenie mu do pomocy młodego oficera i zgodę tę, wprawdzie wyrażoną bardzo niechętnie, uzyskał. Podporucznik Józef Jarząbek wyróżniał się dość tandetną i krzykliwą elegancją, co podkreślały akcesoria ze złota, jakie nosił – złota bransoleta na przegubie prawej ręki i sygnet na małym palcu lewej dłoni. Z tego też powodu otrzymał od kolegów przywilej Jubiler. Poza tym był chętny do pracy, słuchał uważnie Romana i wykonywał co do joty wszystkie jego polecenia. Pepsuj przydzielił go warunkowo. Jeżeli

sprawa Izydor będzie się rozwijać, pozostanie u niego. Jeśli będzie zastój, Jubiler zostanie zabrany.

Do skutku doszły dwa spotkania w Niezapominajce.

Zdrowo objechał Tarpana, że jest nieodpowiedzialny, naraża siebie i firmę i w ogóle nie wie, jakie negatywne następstwa mógł wywołać. Ten wysłuchał wszystkiego potulnie i obiecał, że nic nie przedsięwzięmie bez wyraźnego polecenia Romana. Swoją obecność na raucie tłumaczył tym, że dyrektor, który miał być w Victorii, zachorował, a nie wyznaczono nikogo innego.

– Ale skąd wziął pan taką długą brodę? Faktycznie wyglądała jak naturalna.

– Mój znajomy jest charakterizatorem w teatrze. Gdyby pan potrzebował czegoś w tym guście, to tak, jakby pan to już miał – oferował swoje usługi Tarpan.

Nic nie wspominał o nieszczęsnym wypadku Romana na raucie. Może tylko przez delikatność, a może rzeczywiście tego nie widział. Ale Romana nurtowało coś innego. Przed jego oczami stała blondynka, z którą Tarpan rozmawiał na schodach w hotelu.

– Panie Zdzisławie, a co to była za kobieta? No, wie pan, rozmawiał z nią pan po przyjęciu – powiedział Roman powoli, uważnie śledząc reakcję Tarpana.

– Aaa, widział pan. – Informator wydawał się trochę zaskoczony. – Nic panu nie umknie – powiedział głosem, w którym wyczuwało się podziw. – To było tak – zaczął swoją relację Tarpan. – Jak uznałem, że niczego więcej się nie dowiem, wyszedłem z przyjęcia. Poszedłem na drugie piętro do toalety i tam zmieniłem charakterystykę... – Na pytające spojrzenie Romana wyjaśnił: – Wie

pan, ja miałem więcej rekwizytów. Marynarka była dwustronna. No i krawat trzeba było inny założyć.

Roman patrzył na niego zdumiony.

– Po co to wszystko? – zapytał wreszcie.

– Żeby nikt nie poznał, że to ja byłem na raucie.

– No tak, ma pan rację. – Roman nie miał zamiaru wdawać się z informatorem w wymianę zdań na ten temat. – Niech pan mówi dalej.

Tarpan kontynuował:

– I już byłem gotów do wyjścia, gdy usłyszałem szcęk klucza i otwieranie drzwi niedaleko toalety. Zatrzymałem się w środku i patrzyłem przez szparę w drzwiach. Wyszła ta blondynka i zęgnęła się z tym Czeczenem, co widzieliśmy go niedawno w Niezapominajce. Mnie to zdziwiło, bo tu, w kawiarni, nie znali się wcale, a na korytarzu rozmawiali jak jacyś starzy znajomi. Wie pan, tak normalnie, właśnie jak znajomi, którzy dogadują się w jakiejś sprawie. Nie, nie było żadnego buzi-buzi. Nie słyszałem, o czym mówili, bo rozmawiali szeptem, a jeszcze z pokoju leciała jakaś czeczeńska czy arabska muzyka.

– Co było dalej?

– Jak Czeczen zamknął drzwi, to za nią pobiegłem. Dogoniłem ją na półpiętrze przed szatnią. Byłem ciekaw, co robiła w hotelu. Trochę się zmieszała, kiedy się ukloniłem i przedstawiłem. Przypomniałem jej, skąd się znamy. Z widzenia, rzecz jasna. No, niech pan tak na mnie nie patrzy. Oczywiście, że nie podałem swojego nazwiska. Babka przedstawiła się jako Jabłońska. Pewnie zmyśliła nazwisko. Chwilkę pogadaliśmy, ale nie udało mi się z niej nic wyciągnąć. Kiedy zobaczyłem na górze tego Czeczena i paru

innych brodaczy, trochę się przestraszyłem. Pożegnałem się szybko i wyszedłem z hotelu. Ale nie odjechałem od razu. Czekałem w samochodzie. Gdy wyszła, podjechał po nią mercedes. Nowy model. Zanotowałem numery. – Tarpan wyjął z zewnętrznej kieszeni marynarki złożoną kartkę i podał Romanowi. – To wszystko.

– Dobrze się pan spisał. – Wypadało pochwalić informatora.–
Sprawdzimy, co za konszachty ma ta kobieta z Czeczenami.

No, w końcu dowiedział się czegoś o ładnej blondynce. Miał jednak za mało danych, aby postawić diagnozę, czy jej kontakty z Czeczenami to część jakiejś operacji prowadzonej przez firmę, czy też są to sprawy, o których firma nic nie wie. Ponieważ problem go nie dotyczył, odłożył sprawę na później.

Spotkanie z Laleczką przebiegło w przyjemnej atmosferze. Roman i informator byli pełni kurtuazji wobec siebie po długiej przerwie w kontaktach, nie licząc oczywiście spotkania na raucie. Laleczka wyjawiał powód swojej obecności na przyjęciu w Victorii, który okazał się prozaiczny i zgadzał się z przypuszczeniami Romana. Laleczka został wydelegowany jako przedstawiciel ministerstwa infrastruktury, które w ten sposób chciało okazać, że wspiera wszelkie formy promowania rodzimej działalności biznesowej za granicą. Był to zresztą strzał w próżnię, bo na raucie zabrakło dziennikarzy krajowych i zagranicznych. Laleczka trochę dziwił się takiej wstrzemięźliwości British Council wobec kontaktów z mediami. Uważał, że imprezę można by rozreklamować jako znakomity przykład rozwijania stosunków wzajemnych. A w tej sytuacji jego ministerstwu nie wypadało dawać informacji do prasy.

- Ale w końcu to nie moja sprawa - mówił Laleczka. - Ja tam poszedłem najeść się i trochę wypić. Zupełnie mnie pan zaskoczył swoją obecnością. No i ten nieszczęśliwy wypadek. - W głosie Laleczki nie było ironii.

- Nieszczęścia chodzą po ludziach. - Roman nie miał ochoty ciągnąć tematu.

Pokazał Laleczce kilka fotografii osób, które wyłonił spośród zdjęć przekazanych przez obserwację z pracy pod hotelem, a które rozpoznał jako gości na bankiecie. Niestety, informator nikogo nie znał.

Okazało się, że niedawno były imieniny Laleczki i spotkanie, rozpoczęte z samego rana, przeciągnęło się do godzin popołudniowych. Informator chciał pogawędzić ze swoim oficerem prowadzącym i Romanowi nie wypadało wymówić się od dłuższego posiedzenia w Niezapominajce. Około południa poczuł się solidnie odprężony i tłumaczył sobie, że też ma prawo zrelaksować się raz na jakiś czas. Przy innych stolikach było gwarno, na pewno z powodu niebłahych okazji oficerowie świętowali ze swoimi informatorami. Ktoś dał sygnał do wspólnego biesiadowania, chyba był to major Jeleniewski z wydziału wschodniego. Kilka stolików złączono razem, w tym też stół, przy którym siedzieli Roman i Laleczka. Oczywiście wszystko odbywało się w bardzo kulturalnej atmosferze, obowiązywał sznyt kontrwywiadu. Przy wspólnym stole rozmawiano o wszystkim i o niczym. O polityce, kulturze, o globalnych zagrożeniach, regulacji urodzeń i teatrze. Nie tylko po polsku. Roman jak przez mgłę pamiętał, że w pewnym momencie rosyjski informator Jeleniewskiego zaczął śpiewać czastuszki. Wyszedł z Niezapominajki wypełniony po brzegi winem i kawą.

*

Roman realizował swój plan. Sporządził raport ze spotkania z Laleczką i zaniósł do przeczytania Pepsujowi. Oddźwięk był pozytywny, taki jak się spodziewał. Pepsuj uznał, że waga informacji jest duża i daje podstawę do wystąpienia o zastosowanie paru podsłuchów telefonicznych i obserwacji.

- BPM to może nie jest - skomentował po zapoznaniu się z raportem. - Ale coś tu nie gra. Jeżeli napiszesz we wnioskach o podsłuch, tak po naszymu, że mamy uzasadnione podejrzenia i tak dalej, nie będzie problemu z akceptacją.

Roman próbował dać Pepsujowi delikatnie do zrozumienia, iż to, co widział Laleczka, to mógł być mikrofilm, lecz ten tylko machnął ręką.

- Czy mikrofilm, czy co innego, w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia - powiedział. - Ważne jest, by twoja sugestia we wnioskach przyjęła odpowiednią formę.

Zgodę na podsłuch telefoniczny dawał prokurator generalny, więc przyczyna wystąpienia z wnioskiem powinna być poważna. Przede wszystkim musiała zostać właściwie opisana.

Jubiler też nie zasypiał gruszek w popiele i pod koniec tygodnia Roman miał już kompletne dossier o Wilhelmie Janiku. Wiedział wystarczająco dużo, aby przystąpić do ataku.

Zatelefonował pod numer widniejący na wizytówce biznesmena jako kontakt do jego firmy. Za chwilę usłyszał w słuchawce głos Janika.

– Bardzo mi miło, panie Zenobiuszu, że zechciał się pan do mnie odezwać. Zgodnie z umową czekałem na telefon od pana.

– Zadzwońłem do pana najszybciej, jak tylko mogłem. My, ludzie interesu, jesteśmy w ciągłej pogoni za czymś.

– Lub za kimś – dopowiedział Janik.

– Ponieważ już umawialiśmy się niezobowiązująco na spotkanie, proponuję, żebyśmy teraz się do tego zobowiązali. – Roman próbował dowcipnie dojść do zasadniczej kwestii, jaką było ustalenie terminu spotkania.

– Bardzo chętnie, panie Zenobiuszu. Jutro jest sobota, dzień wolny od pracy, to może jutro?

– Zgoda. – Roman uśmiechnął się w duchu.

*

Teraz pozostawało przygotować taktykę werbunku. Czasu było mało, więc Roman powinien się skoncentrować nad zaplanowaniem rozmowy pozyskaniowej.

Na ile rozpoznał psychikę Janika? Chyba potrafi dobrze go ocenić. Biznesmen przed pięćdziesiątką. Jest w życiowej formie, jeśli chodzi o interesy. Świadczyła o tym jego wielka pewność siebie. Z danych, jakie zebrał Jubiler, wynikało, że interesy za granicą prowadzi od sześciu lat. Zapuścił już tam korzenie, czyli ma co stracić. Kontakty, pieniądze, pozycję – tego nie stawia się tak łatwo na szali.

Materiały obciążające z policji były słabe. Jakieś niesprecyzowane bliżej informacje ze źródeł operacyjnych, że unika płacenia podatku od dochodu za wyeksportowane towary i usługi. Nic konkretnego. Policja pociągnie sprawę rok albo dwa i spuści do

swojego archiwum. To dla nich za wysokie progi. Mógłby dać te informacje kolegom z Departamentu Śledczego do przeanalizowania. Za jakieś dwa tygodnie otrzymałby szczegółową analizę, na czym polega szwindel Janika. To byłby dobry argument jako podstawa do wymuszenia zgody na współpracę z kontrwywiadem, gdyby aspirant na informatora stawiał poważny opór. Ale nie ma na to czasu. Musi oprzeć się na tym, co już wie. W końcu może polegać na swoim doświadczeniu. Janik nie powinien być trudnym przeciwnikiem w rozmowie. Wystarczy kilka zawołanych gróźb pod adresem jego przedsiębiorstwa. No, może wplecie jakiś fikcyjny wątek, łącząc go z osobą biznesmena. Taką operacyjną legendę, której nie ma jak sprawdzić, czyli nie można jej zaprzeczyć. Nie, za dużo zachodu jak na zwykły werbunek. A co do nieprawidłowości w biznesie? Nie będzie wdawać się w szczegóły, bo ekonomia nie jest jego mocną stroną. Tłumaczenia Janika przyjmie z pobłażliwym uśmiechem niedowierzania. Da mu do zrozumienia, że sprawy finansowe jego firmy zupełnie go nie interesują. Oczywiście nie interesują, jeżeli Janik okaże się człowiekiem propaństwowym, czyli skłonny do nawiązania współpracy z odpowiednim organem państwowym, którego emanacją będzie w tym określonym momencie Roman. Jeśli jednak przedsiębiorca wykaże odporność na logiczną argumentację, otrzyma w aluzyjnej formie sugestię, że tak naprawdę to ma jedno wyjście. Gdyby przypadkiem odmówił współpracy, to czyhają już na niego inne służby firmy, które z dziką radością rozparcelują finanse spółki Janika. Zbadają księgowość, umowy, przelewy bankowe. Co może być jeszcze w przedsiębiorstwie do zbadania? Roman nie wiedział.

Najlepiej byłoby jednak nie doprowadzać do takiej sytuacji, która zmuszałaby do użycia gróźb. Skuteczność ich jest gwarantowana, ale nie jest dobrze, jeśli współpraca rozpoczyna się w takich okolicznościach. U informatora powstaje uraz, że został przymuszony do kontaktów z firmą. Podchodzi wówczas biernie do współpracy, nie angażuje się w nią i zyski dla oficera prowadzącego są minimalne. Nie można wtedy, na przykład, wykorzystać informatora w jakimś większym przedsięwzięciu operacyjnym, bo wiadomo, że sfuzeruje robotę.

Dlatego lepiej jest operować aluzjami, na początku bardzo delikatnymi, i stopniowo zwiększać ich wymowę i wyrazistość w zależności od sposobu, w jaki zareaguje na nie druga strona.

Roman zadumał się przez chwilę. Ilu to informatorów zawerbował w swoim życiu? Z pięćdziesięciu? Nie, chyba więcej. Nigdy nie prowadził takiej statystyki, ale na pewno przekroczył siedemdziesiątkę. W ostatnich latach prawie wcale nie werbował, czasami tylko, ot tak sobie, jednego jak rodzinaka w cieście. Ale to też dawno temu. Pod tym względem rekordowe były pierwsze lata pracy zawodowej Romana. Ówczesne kierownictwo firmy, która wtedy nazywała się zupełnie inaczej, wyznawało pogląd, że im sieć złożona z osobowych źródeł informacji jest gęstsza, tym mniejsze będą w niej oczka i obcy agent nie prześlizgnie się między nimi. Och, co to były za czasy! Werbowało się na potęgę. Rocznie Roman pozyskiwał do tajnej współpracy od pięciu do dziesięciu informatorów. Rekordziści, przezywani stachanowcami, wykonywali po dwadzieścia werbunków. Kontrwywiad był wtedy wszechobecny. W każdej instytucji, w każdym przedsiębiorstwie miał swoje wtyczki.

Zaczął przypominać sobie swoje pierwsze werbunki. Jako uczący się zawodu towarzyszył starszym kolegom, gdy szli na kolejne pozyskanie aspiranta do hotelu, restauracji, lokalu kontaktowego, czasem na ławkę do parku i w dziesięć innych dziwnych miejsc. Szczególnie mocno utkwiał mu w pamięci, jako przykład negatywny, werbunek przeprowadzony przez jego pierwszego nauczyciela. Był to oficer starej daty, który przeszedł szkołę w wojennej zawierusze. W firmie znano go z twardego charakteru i prostolinijności. W pokoju hotelowym, w którym odbywał się werbunek, ów oficer położył na stole, ku zaskoczeniu Romana, pistolet, zdaje się marki walter. Uczynił to z dużym hałasem, wygłaszając jednocześnie zwyczajową wówczas tyradę w obronie państwa zagrożonego przez stojących za każdym rogiem imperialistycznych agentów. Aspirantem na informatora był młody intelektualista, doktor prawa międzynarodowego na Uniwersytecie Warszawskim. Początkowo bardzo dziwił się temu, co go spotyka. Potem zaczął patrzeć na swojego dręczyciela z narastającym przestrawem w oczach. Gdy na stole z hukiem wylądował pistolet, młody doktor podskoczył z przerażenia na pół metra w górę. Zaczęły mu się trząść ręce, a wtedy nauczyciel Romana uznał, że pora sfinalizować werbunek. Podsunął kartkę papieru aspirantowi, który miał na niej zamieścić swoją deklarację współpracy z kontrwywiadem, i dopiero wtedy się zaczęło. Doktorowi tak trzęsły się ręce z przestrawu, że z liter słów zobowiązania wychodziły nieforemne kulfony. Mentor Romana zdenerwowany podsuwał mu kartkę za kartką, drąc na kawałeczki każdą poprzednią. W końcu zapas się wyczerpał i została ostatnia kartka. Oficer podał ją doktorowi, ale zaraz wyszarpnął, zanim ten zdążył postawić nieczytelnego kulfona. Ujął się pod boki i zastanowił

chwile. Uznał, że należy rozładować atmosferę, i zadzwonił po kelnera. Doktor wzbraniał się przed piciem alkoholu, ale wystarczyło groźne spojrzenie i znaczące chrząknięcie oficera, aby szybko wybrał mniejsze zło. I rzeczywiście, po kilku kieliszkach nerwy ustąpiły i nowo pozyskany informator napisał starannym charakterem pisma zobowiązanie. Chciał je także napisać po angielsku, ale zrezygnował z tego zamiaru pod srogim spojrzeniem nauczyciela Romana. Jak w takich wypadkach bywa, po pierwszym zamówieniu sypnęły się następne. Spotkanie zakończyło się około północy. Doktor wydawał się wręcz szczęśliwy, że został właśnie zwerbowany przez kontrwywiad. Niestety, nieprzyzwyczajony do spożywania mocnego alkoholu w większych ilościach w końcu mocno osłabł. Oficer i Roman musieli go przetransportować do domu i w tym celu skorzystali z przypadkowo napotkanego radiowozu. Posadzili doktora pod drzwiami mieszkania, stary oficer nacisnął dzwonek i obaj uciekli niczym sztubacy robiący komuś kawał.

Kilka dni później Roman napisał raport o przeniesienie do innej sekcji. Podał jakiś zmyślony powód. Tak naprawdę, to nie podobały mu się metody stosowane przez wprowadzającego go w tajniki zawodu oficera. Numer z pistoletem był zbyt brutalny jak na wyobrażenia Romana o pracy kontrwywiadu. Według jego widzenia „dwójka” powinna działać inteligentnie i delikatnie, bez uciekania się do drastycznych środków.

Zdecydowanie opowiadał się za wykluwającym się wówczas nurtem, który odrzucał jakikolwiek brutalny nacisk na aspiranta. Modne stawały się metody Schopenhauera, których antycypacja do działań kontrwywiadu okazywała się stosunkowo prosta. Roman

ćwiczył się w sztuce prowadzenia rozmowy bez używania mocnych argumentów wprost. Uczył się osiągać cele przy wykorzystaniu niedopowiedzeń, aluzji, wieloznaczności pojęć. Ów oficer nie miał mu za złe, że zmienił sekcję, chociaż domyślał się prawdziwych powodów przeniesienia. Na pożegnanie serdecznie uścisnął mu rękę i powiedział: „Wiem, brachu, teraz robi się to inaczej, ale ja jestem już za stary na zmianę przyzwyczaję”.

Zresztą doktor prawa międzynarodowego okazał się świetnym informatorem. Zrobił karierę naukową, wcześniej został profesorem, zaczął udzielać się na niwie organizacji międzynarodowych. W końcu trafił do jednej z agend ONZ. Prowadził go już wtedy inny oficer, gdyż pierwszy mentor Romana przeszedł na emeryturę po dwóch zawałach. Do informatora podeszli Amerykanie, próbując go zwerbować. Firma była przygotowana na taką ewentualność i rozpoczęła się zabawa. Informator, zgodnie z poleceniem oficera prowadzącego, uległ namowom CIA³ i podjął z nimi współpracę, pozorną oczywiście. Przez szereg lat wprowadzał ich w błąd, przekazując spreparowane przez firmę informacje. Była to najwyższa w klasyfikacji metoda pracy kontrwywiadu, czyli gra operacyjna. Roman zastanawiał się nieraz nad tym, czy ten informator czerpał zadowolenie ze swojej współpracy z firmą. Wydawało się, że raczej tak, gdyż gra z Amerykanami była rzeczywiście prowadzona perfekcyjnie. W pewnym momencie firma przerwała grę, ujawniając, kto za nią stoi. Skonsternowani Amerykanie odesłali na wcześniejszą emeryturę kilku oficerów odpowiedzialnych za operację. Ale to historia. Opis gry znalazł swoje miejsce w ściśle tajnym podręczniku dla adeptów sztuki

kontrwywiadowczej szkolących się na oficerów. Pominęto w nim przebieg werbunku aspiranta, co Roman uważał za zrozumiałe.

Wspomnienie dawnych czasów pożegnał westchnieniem. Chyba ostatnio zbyt często o nich myśli. Czy wspomina je z nostalgią tylko dlatego, że był wtedy młody i pełen zapału? Ogarnięty ideałami i chęcią sukcesu? A wszystko wydawało mu się takie proste i leżące w zasięgu ręki... To chyba dylemat każdego, kto wchodzi w wiek dojrzały. Przypominając sobie dawne czasy, usiłował znaleźć ten moment, w którym młodzieńczy zapał i improwizacja ustąpiły miejsca rutynie. Nie udawało mu się tego dostrzec. Dlaczego? Przecież to zasadniczy zwrot. Mówiąc matematycznie, zmiana kąta nachylenia o sto osiemdziesiąt stopni. Dlaczego więc nie mógł wywołać tego momentu z pamięci? Co spowodowało utratę zapału i przejście w rutynę? Rutynę, która w kontrwywiadzie wiąże się nierozłącznie z brakiem wiary w sukces, więcej – z niemożnością osiągnięcia sukcesu. I powoduje, że celem pracy każdego oficera staje się zajęcie wygodnej pozycji w firmie. On sam dążył do tego od... No właśnie, od ilu to już lat? Nie pamiętał. Ale sukcesy się zdarzały. Nawet w jego wydziale. Niewielkie, co prawda. I rzadko. Z czego wynikały i co było ich przyczyną? Na to Roman nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Z pewnością były to błędy przeciwnika. Lecz czy rzeczywiście sam błąd stwarzał sukces? To była jedna z wielu ślepych uliczek prowadzących rozumowanie Romana donikąd. Znał przecież dobrze naturę firmy. Jej rzeczywiste oblicze. Przynajmniej tak sądził. Żył w tej naturze, stosował się do jej reguł, nie wykraczał poza wyznaczone ramy. No, przynajmniej nie tak, aby mogło to mieć większe znaczenie. Może w tym tkwi cały szkopuł? Może należy zmienić reguły, które prowadzą do skostnienia

oraz marazmu i powodują, że praca kontrwywiadu staje się grą pozorów? Pozorów, które tworzą pozorną rzeczywistość. A może ta natura firmy, którą zna, stanowi tylko powłokę skrywającą inną naturę, której dostrzeżenie jest zastrzeżone dla wybranych? Jak zatem dotrzeć do drugiej natury firmy? Czy ona w ogóle istnieje? Jeśli tak, to jest bardzo starannie zakryta, bo przecież ani Roman, ani wszyscy inni, których on zna, tej drugiej natury nie dostrzegają. A może dostrzegają, tylko on pozostaje ślepy?

Nie, to obłąd. Paranoja. Schizofrenia. Nie ma w firmie nic więcej ponad to, co on widzi. Od tak wielu lat jest wnikliwym obserwatorem, że potrafiłby zanalizować każdy szczegół odbiegający od normy, postawić diagnozę i rozpocząć poszukiwanie. A jeśli te szczegóły są zbyt subtelne i może je rozpoznać tylko wyjątkowo wrażliwy umysł? Nie, to bez sensu. I to najmniejszego. Nie trzymają się kupy i te rozważania, i ich przedmiot, który na pewno jest tylko tworem wyobraźni Romana. Trzeba skupić się na najbliższym przedsięwzięciu. Od jego sprawnej realizacji wiele zależy.

*

Jubiler dostarczył Romanowi wydruk sprawdzenia numeru samochodu odnotowanego przez Tarpana. Blondynka odjechała spod Victorii autem, które figurowało jako samochód służbowy firmy Vanex. A firma Vanex, jak zdążył już sprawdzić Jubiler, to spółka należąca do przedsiębiorstwa Cenzen, potentata w handlu produkowanym w kraju sprzętem wojskowym. Sprawa zaczynała być intrygująca, ale Roman nie miał głowy do tego, żeby teraz się nad nią zastanawiać.

V

Dojechał do końcowej stacji metra. Resztę drogi zamierzał odbyć pieszo. Późna tego roku wiosna przechodziła w lato. Znikł wiatr przynoszący chłód. Roman z przyjemnością szedł Marszałkowską. Poddawał się wszechogarniającemu ciepłu. Rozpiął marynarkę i guzik koszuli pod węzłem krawata. Mimo zachęcającej aury w sobotnie popołudnie nie było widać na ulicach wielu ludzi.

Z daleka dostrzegł neonowy szyld restauracji Szanghaj rozciągający się w poprzek chodnika na wysokości około trzech metrów. Wyglądał nawet ładnie. Stylizowane chińskie litery i neonowy smok błyskający zielonym okiem. Coraz więcej takich neonów widać było w Warszawie. Pekiny, Hongkongi i Żółte Rzeki powstawały jak grzyby po deszczu. Ale Szanghaj był jeden. Jedyne w swoim rodzaju. Jako symbol tajemniczego Wschodu trwał samotnie w Warszawie przez długie lata i pozostał nim nadal dla mieszkańców stolicy. Zwłaszcza teraz, gdy wschodnia tandeta zalewała miasto.

Wszedł do środka. Od razu pojawił się przy nim Chińczyk. Roman wymienił numer stolika i godzinę rezerwacji. Chińczyk, wykonując uprzejme gesty, zaprowadził go na miejsce, do niewielkiej łoży na półpiętrze, oddzielonej od innych podobnych pomieszczeń grubymi kotarami, na których były wyhaftowane smoki i pagody. Roman, oczekując na biznesmena, zamówił napój i sącząc go powoli przez słomkę, rozglądał się wokół. Zawsze mu się

podobała ta restauracja, a w ostatnich latach jeszcze nabrała uroku. Zniknęli polscy kelnerzy zastąpieni przez całkowicie chińską obsługę. Do wystroju dodano liczne chińskie detale, ale ze smakiem, tak, że nie miało się wrażenia, iż wewnątrz jest przeładowane wschodnimi emblematami. Prawie wszystkie stoliki były zajęte, reszta z pewnością oczekiwała na gości, którzy je zarezerwowali. Czy przyjście na posiłek do Szanghaju to oznaka wyrafinowanego smaku, czy też przejaw snobizmu, a może jest to najzwyczajniejsza chęć odmiany, choćby chwilowej, codziennego menu? Chyba wszystko po trochu. Tak jak różni są ludzie, tak różnorodne są ich gusta i potrzeby. Chociaż Roman przychodził do Szanghaju tylko służbowo, odczuwał przyjemność z pobytu tutaj. Był odprężony, a rozbrzmiewająca wyciszona i delikatna wschodnia muzyka pogłębiała nastrój relaksacyjny. W takich warunkach lepiej mu się prowadziło te dość szczególne rozmowy, jaką i dzisiaj wykona.

Obserwując wejście, zauważył, jak kolejny raz rozchylają się drzwi. Po chwili z przedsionka wyłonił się Wilhelm Janik, a obok niego stał już chiński kelner. Janik wskazywał ręką na salę. Roman stanął przy balustradzie i uniósł rękę na znak powitania. Kelner poprowadził nowo przybyłego gościa do stolika.

– Nie chcą wpuścić na salę, tylko pytają o rezerwację – powiedział z wyrzutem po przywitaniu się z Romanem.

– Tak, w weekendy dostają się tu tylko ci, co zamówią wcześniej stolik. Pozwoli pan, że przyjmę dzisiaj rolę osoby zapraszającej.

Roman zwrócił się do kelnera:

– Możemy zaczynać.

– Prosię bardzo. – Kelner śmiesznie zmiękczał spółgłoski. – Ci ma być zgodnie z życieniem?

Roman skinął głową i kelner się ulotnił.

– Zdążył już pan zamówić danie? – spytał Janik.

– Tak, zamówienie złożyłem wczoraj – powiedział niedbale Roman. Zauważył, że wywarło to wrażenie na jego gościu, co oznaczało, iż nie należał on do ludzi zbytobytych w podstawowych dla warszawskiej socjety zwyczajach.

– I cóż, panie Zenobiuszu, skorzystał pan z mojej rady i zgłosił się do British Council po absolwenta? – zagaił rozmowę Janik.

– Och, nie zdążyłem tego jeszcze zrobić. Dostałem nowe zlecenie ze Szkocji i szukałem wykonawcy.

– A na co zlecenie, jeśli można spytać?

– Na uszczelki przegubowe do ramion na platformach. – Roman nie zastanawiał się nad sensownością tego, o czym mówił, będąc przekonany, że rozmówca nie ma zielonego pojęcia o częściach do pływających platform. Nie mylił się.

– No i co? – spytał Janik.

– Tak? – Roman udał, że nie rozumie pytania.

– Czy znalazł pan wykonawcę?

– Tak, oczywiście. Ale aż w Rzeszowie. Nie ma pan pojęcia, jak trudno wyszukać specjalistyczny zakład produkujący takie detale. A ile przy tym wydziwiania, jakie to duże problemy, konieczność przestawienia cyklu produkcyjnego, zakupu nowych maszyn i tym podobne. Wiadomo, o co chodzi. Winduje się cenę, jak tylko można. Na szczęście mam to poza sobą.

Dwóch kelnerów przyniosło pierwsze danie. Nic specjalnego, zupę z bambusa.

Kontynuowali rozmowę. Roman czekał na ruch Janika.

- To zlecenie jest jednorazowe czy dłuższe, powtarzalne?

- Kilkuletni kontrakt ze stałymi dostawami.

- No, to jest pan ustawiony.

- Tak, nie narzekam. Ale nigdy nie jest tak, żeby było zawsze z górki. Mam zagwarantowane dochody, z których po wszelkich potrąceniach podatkowych pozostanie mi nie tak znowu dużo.

- Ja dobrze rozumiem ten ból. Jednak z każdej sytuacji znajdzie się jakieś wyjście.

- Właśnie, przypominam sobie, co pan mówił na raucie. - Roman postanowił przyspieszyć bieg rozmowy we właściwym kierunku.

Znowu pojawili się kelnerzy. Podali ryż na słodko z jakimś mięsem. Roman z lekkim rozbawieniem obserwował, jak jego gość męczy się, usiłując uporać się z podawaniem do ust ryżu pałeczkami. Sam czynił to bez wysiłku, miał już wprawę. Sztuka spożywania posiłku w określonych okolicznościach to element osiągania przewagi psychologicznej w dążeniu do celu. Element z pozoru nieistotny, bez znaczenia, lecz w dobrze przygotowanej rozgrywce daje podwaliny i punkt wyjścia do przeprowadzenia ataku. Roman udawał, że nie zauważa, jak bardzo męczy się Janik. Zwolnił tempo jedzenia, aby gość mógł uporać się z potrawą równocześnie z nim. Pozwoliło im to obu uniknąć zakłopotania. Skończyli jeść i Janik obtarł spoconą twarz serwetą.

- Świetne żarcie - pochwalił nieszczercze, połykając ostatnie kęsy.

Niestety, to jeszcze nie koniec - pomyślał nie bez satysfakcji Roman.

Janik zapalił papierosa. Popijali małymi łykami czerwone wino.

- Akurat mam takie możliwości, że mogę panu pomóc. O mechanizmie lokowania pieniędzy już mówiłem. Sprawy te załatwiam przez znajomego maklera z Londynu. To on ma bezpośredni kontakt z dyrektorem tego banku. - Na pytające spojrzenie Romana uzupełnił: - Bank of Britannia.

- Jaką mogę mieć pewność, że kiedy koło obiegu tego biznesu zamknie się, otrzymam z powrotem pieniądze?

- Rzecz jest bardzo prosta. Równoległe do tamtej operacji zawiera pan z bankiem umowę, zgodnie z którą lokuje pan pieniądze na procent. Pieniądze te odpowiadają dokładnie kwocie, jaką ma pan odebrać po realizacji interesu. Oczywiście nie wpłaca pan nic na lokatę, ale w ten sposób staje się pan wierzycielem banku. Czy bank będzie tego chciał, czy też nie, musi panu wypłacić lokatę z należnymi odsetkami po upływie terminu, na jaki według umowy została złożona. To prosty manewr, ale daje stuprocentową gwarancję, że nie straci się własnych pieniędzy.

- Przepraszam, że pytam, raczej tak dla pewności, że wszystko tu gra, ale czy pan realizował w ostatnim czasie właśnie tego typu interes?

- Ostatnio podjąłem wypłatę, jaka mi się należała za przekazane bankowi dwa lata temu pieniądze. Nie było problemu z odbiorem forsy. Z odsetkami, naturalnie. - Janik pokazał pełne uzębienie w szerokim uśmiechu człowieka sukcesu.

No dobrze, teraz kolej na twoje pytania. - Roman przejrzał już swojego gościa i całkowicie panował nad przebiegiem rozmowy.

- Wie pan, tak się zastanawiałem w czasie naszej rozmowy na bankiecie - zaczął Janik - ale nie mogłem odnaleźć w pamięci

nikogo znajomego, kto by prowadził interesy w Szkocji. To chyba nie jest łatwy teren. Jak pan tam trafił?

– Och, to stara historia. Stryjeczny wujek mojej cioci był w czasie wojny, tej drugiej światowej, lotnikiem w Anglii. Pilnował wybrzeża szkockiego przed niemieckimi u-botami. Patrolował Morze Północne na swoim, to znaczy na angielskim samolocie. Po wojnie pozostał w Szkocji i, jak pewnie pan się domyśla, ożenił się z rodowitą Szkotką. Jego syn i wnukowie mają udziały w kilku platformach wydobywających ropę na tym samym morzu, które on przez kilka lat chronił przed faszystami.

Roman pociągnął łyk wina.

– I pan ich odnalazł?

– Nie, to oni mnie znaleźli. Wujek nakazał w testamencie, aby jego syn i wnukowie nie porzucali całkowicie korzeni połowy swojej rodziny. A w Szkocji, gdzie zachowały się dobre tradycje, słowo głowy rodziny to rzecz święta. W ten sposób moi kuzyni trafili do mnie. No i resztę łatwo sobie dopowiedzieć. Po prostu wkręcili mnie do tego interesu.

– Jeżeli jest to teren prawie dziewiczy dla Polaków, to może nie byłoby tak trudno znaleźć miejsce jeszcze dla kogoś stąd.

Przecież od początku o to ci chodziło – pomyślał Roman.

– Zapewne, zapewne – powiedział.

– Bo... wie pan, tak myślę, że moglibyśmy pomóc sobie wzajemnie – wyrzucił w końcu z siebie Janik.

– Czemu nie, miejsca jest dosyć. A czym byłby pan zainteresowany?

– Podobnymi tematami co pan. Może też innymi. Nie wiem, co konkretnie powiedzieć, gdyż zupełnie nie znam się na nafcie

i interesach związanych z tą branżą.

– Możliwości jest bardzo wiele, ale najważniejsze jest wzajemne zaufanie. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. – Roman zaczął kolejny, najważniejszy etap rozmowy.

– Tak, oczywiście, przecież to zupełnie jasne. W interesach trzeba mieć do siebie zaufanie.

– To nie jest tak do końca proste. W różnych branżach obowiązuje różne zaufanie. Są takie, w których zaufanie nie musi być stuprocentowe. Ba, nawet byłoby to dziwne, gdyby osiągnęło aż tyle. Są i takie, w których wystarczy mieć zaufanie fifty-fifty. Ale są też takie, gdzie podstawą biznesu jest zaufanie co najmniej dwustuprocentowe.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Myślę, że rozumie pan bardzo dobrze. Zwłaszcza to, że istnieją takie układy pomiędzy ludźmi interesu, w których wzajemne zaufanie nie może zejść poniżej bardzo wysokiego progu. Niech pan się nad tym przez chwilę zastanowi.

Delektując się winem, Roman uważnie obserwował Janika. Na jego ostatnie zdania biznesmen zareagował lekkim niepokojem oraz natężył uwagę. A więc wzmógł czujność w tej dotychczas luźno prowadzonej rozmowie. To dobrze. Dzięki temu szybciej do niego dotrze to, co zaraz nastąpi.

Znowu pojawiło się dwóch kelnerów. Postawili na stole małe salaterki i kieliszki z białym winem.

– Ziczą smacznego – powiedział z uśmiechem zadowolenia jeden z nich, jakby właśnie oferował wielki przysmak.

– Proszę, panie Wilhelmie. – Roman przechodził na ton bardziej poufały. – Niech pan spróbuje. Śmiało. Ten deser to specjalność

zakładu.

Janik przysunął do siebie salaterkę i spojrzał na zawartość. Popatrzył ze zdziwieniem na delikatne ciasto oblane galaretką, w którym widać było coś jakby pałeczki, od których odstawało wiele włosków. Wzdrygnął się. Nie wyglądało to apetycznie.

– Niechże pan je. To naprawdę niezłe. – Roman nabierał ciasto na łyżkę raz za razem.

– Co to jest?

– Mówiłem panu, że to chiński przysmak. Odnóża pajaków zapiekane w cieście z galaretką robioną z pajęczego wywaru.

Ręka Janika, w której trzymał łyżeczkę, zastygła nad salaterką.

– Żartuje pan?

– Nie, skądże. Proszę spojrzeć. – Roman podsunął Janikowi swoją napełnioną łyżeczkę. – Widzi pan? To noga pająka.

Biznesmen był wyraźnie zde gustowany. Chyba nawet więcej. Coś zabulgotało mu w brzuchu. Szybko sięgnął po kieliszek wina, upił łyk i nerwowo zapalił papierosa.

– Jednak nie dam rady tego zjeść. Obiad był bardzo syty. A ten deser jest dość specyficzny.

Roman pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, dla osób, które nie miały do czynienia z chińskimi potrawami, to menu może niekiedy okazać się szokujące. Tak jest tylko na początku. Bo to naprawdę smaczne. To kuchnia z ponad tysiącletnią tradycją. Trzeba po prostu się przyzwycząić. I spróbować wszystkiego. Ale tylko w Szanghaju. Te azjatyckie garkuchnie na mieście niech pan lepiej omija z daleka!

Kończąc deser, Roman podsumował w myśli dotychczasowy przebieg rozmowy. Wszystko szło po jego myśli. Dokładnie tak jak to

sobie zaplanował. A więc po pierwsze, wyciągnął z Janika informacje o jego machinacjach podatkowych. Informacje na tyle konkretne, że biznesmen powinien zdawać sobie sprawę z tego, iż obrócone przeciwko niemu mogłyby mu przynieść kłopoty. Po drugie, rozsunął przed nim wizję nowego interesu. Zyskownego. Jeżeli zrozumie, że interes nie istnieje, poczuje się złapany w pułapkę. A jest to pułapka psychologiczna. Będąc oszukany i widząc swoją naiwność, człowiek odczuwa chwilowo bezradność, wyjątkową nieporadność, a wtedy staje się podatny na sugestie. Sugestie starannie dobrane, w miarę delikatne, lecz, kiedy trzeba, stanowcze i niepoddające się dyskusji. Po trzecie, dobór menu. Ten element był najmniej pewny w taktyce Romana, bo gdyby okazało się, że Janik jest smakoszem chińskiej kuchni, odpadłby jako klocek jego układanki. Należałoby go zastąpić czymś innym, na przykład opowieścią o podatkowych wpadkach jakichś nieistniejących przedsiębiorców. Jednak było to niepotrzebne. Wybór menu spełnił swoje zadanie. Janik był trochę skonsternowany jedzeniem, bo już drugie danie skonsumował z widocznym wysiłkiem. Wprawdzie nie z braku apetytu, ale z powodu nieumiejętności w posługiwaniu się pałeczkami. Zakłopotanie Janika wyrażało jednocześnie, czego nie omieszkał wychwycić Roman, uznanie dla niego za biegłość w znajomości tak niepowszedniej przecież sztuki, jaką są chińskie kulinaria.

Wszystko to pozwoliło mu na osiągnięcie przewagi taktycznej. Janik nie jest już tym rubasznym i pewnym siebie biznesmenem, jakim był na raucie w British Council czy nawet na początku tej rozmowy. Swoimi słowami o zaufaniu Roman zasiał w nim ziarno niepokoju. Nie jest ono jeszcze wielkie, bo Janik nie ma pewności, czy powinien się niepokoić. Zresztą nawet gdyby chciał się

niepokoić, to jeszcze nie wie czym. W tym momencie zaczyna sobie uświadamiać, że dzieje się coś nie w porządku. Zdaje też sobie sprawę z tego, że ten moment rozmowy nie jest dla niego korzystny, że siedzący naprzeciwko mężczyzna ma przewagę. Może nawet niepokój, którego przyczyny nie potrafi określić, podpowiada mu, że powiedział za dużo o swoich interesach. Wszystko to powoduje, że przyjmuje postawę pasywną. Jeszcze nie obronna, przecież nie wie, co wywołało jego zaniepokojenie. Nadal jest otwarty, chce się dogadać, po to tu przyszedł, ale świadomie oddaje inicjatywę Romanowi. Zanim wykona następny ruch, chciałby wiedzieć, czy uczucie niepewności jest uzasadnione.

Roman obtarł usta serwetą. Chyba można powoli zmierzać do finału. Widział, jakie rozterki przeżywa Janik. Oznaki były bardzo czytelne. Kręcenie się na krześle, jakby go naraz coś zaczęło uwierać. Uciekanie ze spojrzeniem. Westchnienia. Zapalenie kolejnego papierosa. I uspokojenie się. Przyjęcie postawy wyczekującej. On też jest gotów do rozpoczęcia następnego etapu. Nadal liczy na to, że szybko zniweluje przewagę Romana. Że wystarczy kilka zdań, odpowiednia poza, trochę rubaszości. Ale nie tym razem. Tym razem jest całkowicie w czyimś ręku – w ręku Romana. A nie jest to zwykła ręka. To ręka kierowana wieloletnim doświadczeniem w służbie kontrwywiadowczej. Ręka, która przeszła niezliczone trudne sytuacje i zakręty, która – niczym pętla precyzyjnie zarzuconego na szyję ofiary lassa – już się nie rozluźni, lecz będzie zaciskać się coraz mocniej.

– Na czym to skończyliśmy? – zaczął Roman. – Na zaufaniu. Tak, na zaufaniu – zdawał się głęboko zastanawiać nad znaczeniem słowa „zaufanie”. – Czy ma pan do mnie zaufanie? – spytał nagle.

Janik był zaskoczony pytaniem.

– Do pana? No, ja pana tak dobrze nie znam, żeby mówić o czymś tak ważnym jak zaufanie.

– Ale nie znając mnie zupełnie, powiedział mi pan bardzo dużo. O swoich interesach. Czy jest przyjęte, aby mówić dużo temu, kogo się nie zna?

– Nie, na pewno nie. Ale to, o czym mówiliśmy, to zwyczajna wymiana informacji między ludźmi interesu. Przecież pan i ja jesteśmy takimi właśnie ludźmi interesu.

– Oczywiście, że tak. Aczkolwiek w całkowicie różnych branżach. Ale to, że robimy interesy w zupełnie czymś innym, nie oznacza, że nie mielibyśmy się porozumieć. Prawda? Porozumieć się bardzo dobrze, tak, aby obie strony na tym skorzystały. I to bardzo skorzystały. – Roman powtórzył to z naciskiem.

Wilhelm Janik patrzył na niego zagubionym wzrokiem. Nie za bardzo rozumiał, co Roman chce mu dać do zrozumienia. Zaczynało w nim kiełkować podejrzenie, że to jakaś pułapka. Albo że niechcący wpakował się w głupią sytuację. O co temu gościowi może chodzić? – rozmyślał gorączkowo. Przez głowę przewinęła mu się cała gama możliwości leżących w zasięgu jego wyobraźni. Może to gangster, który chce wymusić haracz? Albo mafia zamierza wykorzystać jego wyroby tekstylne do ukrycia narkotyków szmuglowanych do Anglii? A może to po prostu dziwny gość, który ma dziwny sposób mówienia, ale nic ponadto? Zdecydował się na postawienie sprawy wprost.

– Nie wiem, do czego pan zmierza, ale ja lubię jasne sytuacje. Jestem zwyczajnym biznesmenem, który szuka, co oczywiste, dróg rozwoju ekonomicznego. Tak postępuje każdy zdrowo myślący

przedsiębiorca. A ja za takiego się uważam. Sam zaproponowałem panu swoją pomoc w sprawach finansowych. Nie oczekuję nic w zamian. Naprawdę uważam, o czym już wcześniej panu mówiłem, że ludzie biznesu powinni się wzajemnie wspierać. Zwłaszcza na obcym gruncie. Niech pan popatrzy na obcokrajowców u nas. Niemców, Francuzów, Amerykanów czy Włochów. Jak zaczynają jakiś interes, to od razu przygotowują grunt dla następnego ziomka. Jak wykupią naszą fabrykę, żeby składać w niej swoje samochody, to zaraz za nimi przychodzi ich bank, żeby udzielić kredytu na samochód, i oczywiście firma ubezpieczeniowa, która proponuje wyjątkowo korzystny pakiet ubezpieczeniowy. I w tym, że pan mnie lub ja panu pomógłbym w interesach, nie byłoby nic dziwnego. U innych jest to normą w postępowaniu. U nas, niestety, należy jeszcze do wyjątków.

Roman dał się wygadać Janikowi. To normalna reakcja na niewiadome. Na coś, na co oczekujemy, zdając sobie sprawę, że nastąpi, ale nie mamy pojęcia, co to jest. Czy jest to coś lekkiego, nieistotnego, o czym zaraz zapomnimy, czy – odwrotnie – będzie to ciężkie uderzenie, łupnięcie czymś niesamowicie twardym w czerep, od czego oczy stają w słup, a odzyskanie równowagi następuje bardzo powoli.

Mimo że jego przewaga rysowała się bardzo wyraźnie, uważnie słuchał biznesmena. Starał się wyłowić oznaki, które mogłyby wskazywać, że kontrolowana przez niego sytuacja zbacza z kursu, jaki wyznaczył. Ale nic takiego nie wychwytał. Wszystko mieściło się w normie. Roman powoli szykował się do zadania decydującego ciosu. Przedłużanie stanu niepewności u rozmówcy byłoby błędem. Nie znał przecież granic jego wytrzymałości psychicznej. W końcu

nie jest psychoanalitykiem. Długotrwały stan niepewności może spowodować wewnętrzną histerię, a wtedy naturalną reakcją staje się nastawienie na „nie”. Rozmówca zaczyna zaprzeczać oczywistym argumentom, najbardziej logicznym wywodom. Nie myśli racjonalnie. Nie potrafi podjąć prawidłowej decyzji. Jego zachowanie jest zdecydowanie antagonistyczne. Myśli tylko o jednym. Żeby uciec od swojego dręczyciela, zaszyć się gdzieś, przespać albo zapić problem. Bo jutro będzie lepiej, a to, co przeżywa, to tylko zmora, która zniknie, gdy się obudzi. Może nawet nic nie zapamięta z tego koszmarnego przeżycia.

Roman uśmiechnął się do Janika.

– Zapewniam pana, że myślę tak samo. Dał pan bardzo dobry przykład. Musimy sobie wzajemnie pomagać, nie może być inaczej. Inaczej obcy nas zjedzą, i to nie tylko w biznesie, ale w każdej innej dziedzinie.

– Cieszę się, że myślimy podobnie.

– Jakżeby mogło być inaczej! W każdym razie zgadzamy się co do zasady, że normą naszego postępowania jest świadczenie pomocy. Jeden drugiemu. Ale za interesem jednostkowym kryje się zawsze jakiś interes szerszy. Obejmujący grupę osób, całą branżę, wszystkie branże, po prostu interes nas wszystkich.

– Muszę przyznać, że nie za bardzo wiem, do czego pan zmierza. Mówiliśmy o interesach pana i moich. Mnie nie obchodzą interesy wszystkich.

– O, teraz pan zaprzecza temu, co powiedział wcześniej. Pamięta pan, mówił pan o obcych, którzy wzajemnie się wspierają. Myśli pan, że oni mają na myśli tylko swój własny interes? Gdyby tak było,

nie ciągnęliby ogonów za sobą, ale zakładając biznes, dogadaliby się z miejscowymi firmami. I pewnie mieliby z tego więcej zysku.

Janik wyglądał na zakłopotanego. Zagubił się w wymianie zdań. Czuł, że dyskusja wymyka mu się spod kontroli. Chyba rzeczywiście zaprzeczył temu, co powiedział wcześniej. Jeśli tak, to znaczy, że gość, który siedzi naprzeciwko niego, stosuje jakieś sztuczki myślowe wprowadzające zamęt w jego głowie. Czego on, u licha, chce?

– Panie Wilhelmie! Przejdźmy do konkretów. Czy podtrzymuje pan swoją propozycję udzielenia pomocy? – Oficjalno-formalny ton wypowiedzi Romana spowodował, że Janik zaniemówił i tylko jego wzrok wyrażał wielkie zdziwienie. – Widzi pan – kontynuował Roman, udając, że nie zauważa wrażeń, jakie robią na biznesmenie jego słowa – deklarację wzajemnej pomocy, którą pan mi przedstawił, przyjąłem na poważnie, abstrahując od przedmiotu, jakiego dotyczyła. Bo jest to w tej chwili najmniej istotne. Ważne jest, że odczuwa pan gotowość do niesienia pomocy.

Oczy Janika zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Uznał, że powinien przerwać albo sprostować te wywody.

– Panie, ale ja miałem na myśli interes. Tylko interes. Taki, jaki moglibyśmy zrobić my dwaj. Tylko my dwaj – podkreślił. – Ten interes da się przeliczyć na konkretne pieniądze. Gotówkę, jeżeli pan woli. I tylko o tym z panem rozmawiałem.

– Postrzega pan problem w niewłaściwych kategoriach. Poprzez sprowadzenie go do najbardziej jednostkowego wymiaru. To jest do tego miejsca, gdzie znajduje on swoje jednostkowe ujście. By tak się stało, musi wszakże zająć szereg innych procesów na różnych poziomach, mających pozornie bardzo luźny związek

z przedmiotem, o którym pan właśnie się wyraził. Dlatego powinien pan przestawić swoją optykę, aby ten jednostkowy przedmiot stał się dla pana zrozumiały w wymiarze ogólnym, aby zaistniał w pana świadomości jako element procesu. Nie karnego, oczywiście – Roman wtrącił to celowo – ale procesu ciągłych zmian w otaczającej nas rzeczywistości i współzależności zachodzących w tym procesie i naszych możliwości ich kształtowania.

Janik patrzył na Romana osłupiałym wzrokiem i chyba przestał silić się na zrozumienie jego wypowiedzi. To oznacza, że wkrótce zacznie zamykać się w sobie. Ten moment jest najdogodniejszy do przeprowadzenia ostatecznej fazy rozgrywki. Nie może pozwolić, aby rozmówca zamknął się wewnątrz. W istotnym stopniu mogłoby to utrudnić, a nawet uniemożliwić realizację werbunku.

– Panie Wilhelmie – Roman mówił powoli, sięgając jednocześnie do wewnętrznej kieszeni marynarki – pomocy oczekuję nie ja osobiście, lecz moja firma.

Mówiąc to, rozchylił czarne skórzane okładki legitymacji służbowej i przybliżył do Janika, by ten mógł dokładnie przyjrzeć się ich zawartości i aby ta zawartość dotarła do jego świadomości chwilowo rozchwianej dość abstrakcyjnymi dla niego rozważaniami Romana. Biznesmen wpatrywał się początkowo tępych wzrokiem w legitymację. W końcu zaczęło do niego docierać to, co zobaczył. Machinalnie wyciągnął rękę, jakby chciał ująć legitymację w dłoń, a wtedy Roman nieśpiesznym ruchem zamknął okładki i schował ją do kieszeni. Nie mówił nic, oczekiwał na słowa Janika.

– No tak, nie spodziewałem się, chociaż mogłem się domyślać – zaczął biznesmen nieskładnie. – Nie, jednak nie mogłem, bo niby

skąd miałem wiedzieć... Ale pan mnie zażył – roześmiał się niewesoło.

Zapadło milczenie. Roman czekał. Wiedział, że po momencie zaskoczenia Janik zaczął gorączkowo myśleć. Jest to jednak myślenie nieuporządkowane. Przez jego głowę przebiegają projekcje ze spotkania w Victorii i tego tutaj. Za wszelką cenę usiłuje znaleźć związek przyczynowy pomiędzy ich pierwszym zetknięciem a tym, co dzieje się w tej chwili. Powraca do spotkania na raucie. Przypomina sobie, że to on zaczął rozmowę z Romanem. Czy był to zatem przypadek? Nie, przypadek należy odrzucić. Tej firmie nie zdarzają się przypadki. Taki wniosek w rozumowaniu Janika oznacza, że nastąpił moment przełomowy w jego stosunku do propozycji Romana. On jeszcze nie uświadamia sobie tego, ale już ją zaakceptował. Wstępnie. Żeby akceptacja stała się pełna, Roman będzie musiał zbijać argumenty podważające zasadność i istotę jego propozycji, które naturalną kolejną rzeczą wysunie rozmówca. Przy czym kontrargumenty Romana nie musiały cechować się żelazną logiką, gdyż Janik, dochodząc do wniosku, że cała sytuacja została zainscenizowana od początku do końca, uznał prymat firmy nad otaczającą go rzeczywistością, o jakiej była mowa w ich rozmowie.

– Mówił pan, że firma pana oczekuje ode mnie pomocy. Ale w czym ja mogę pomóc? – Biznesmen przyjmował linię obrony. – Jestem zwyczajnym przedsiębiorcą w tym kraju, takich są dziesiątki tysięcy. Zgoda, robię interesy za granicą, ale nie są to chyba interesy, jakie mogłyby zainteresować firmę. Co mają wspólnego moje interesy z interesami pana firmy? Przecież to dwa zupełnie przeciwstawne bieguny.

- Otóż prezentuje pan zupełnie nieprawidłowy pogląd. Nie można mieć o to do pana pretensji, ponieważ jest to pańskie pierwsze zetknięcie się z firmą. Zna pan interesy firmy, czyli raczej to, czym firma się zajmuje, z mediów. Z sensacyjnych doniesień prasowych albo z telewizji, gdzie różni politycy wypowiadają swoje sądy o firmie. Sądy, zaznaczam, nieuprawnione, gdyż co można powiedzieć o czymś, czego tak naprawdę w ogóle się nie zna. Pan wyrobił sobie pogląd na firmę przez pryzmat doniesień medialnych o sprawach prowadzonych przez firmę. Więc albo złapano szpiega, albo oskarżono jakiegoś wysokiego rangą urzędnika o korupcję. Ale zanim do tego dojdzie, ludzie z firmy prowadzą pracę, która nieraz trwa latami. O tej pracy się nie mówi, bo to jeden z sekretów firmy. To chyba zrozumiałe? - Roman spojrzał pytająco na Janika, a kiedy ten skinął potakująco głową, kontynuował: - Ta praca jest niezmiernie złożona. Trudno mi znaleźć tak od ręki jakieś porównanie, lecz sądzę, że właściwe będzie odniesienie do skomplikowanej maszyny matematycznej. Maszyna taka otrzymuje pewne dane, niepełny zbiór danych, na podstawie których musi znaleźć prawidłowe rozwiązanie. Do tego część danych jest fałszywa. Dokonuje więc milionów, może i miliardów, różnych kombinacji, aby wyeliminować dane nieprawdziwe, a potem w oparciu o dane prawdziwe wyszukuje właściwy wynik.

Roman przerwał. Popijając wino, spoglądał uważnie na Janika. Musiał teraz zwracać baczność uwagę na jego wszelkie reakcje i odruchy, by w porę korygować ewentualne odchylenia. Biznesmen przetrwał to, co powiedział Roman.

- Jak pan widzi, sprawy firmy nie są sprawami prostymi. Domyślałem się, że chciałby pan już dowiedzieć się czegoś więcej

o zakresie pomocy, której będzie pan udzielał firmie. To znaczy, co będzie pan w związku z tym w ramach tej pomocy robił. Proszę o trochę cierpliwości. To przecież jasne, że nie będę wdawał się teraz w szczegóły na temat metod pracy czy sposobów, które stosujemy, rozwiązując problemy.

– Ja to wszystko rozumiem... nie, nie rozumiem. Bo nie widzę związku pomiędzy tematem, jaki pan porusza, a moją osobą.

– Już dochodzę do tego. Po pierwsze, związek istnieje i to bardziej ścisły, niż mogłoby się panu wydawać. Po drugie, o konkretach możemy rozmawiać dopiero po tym, jak sprecyzujemy nasze wzajemne zobowiązania.

– O jakich zobowiązaniach tu mówić... – Janik wzruszył ramionami.

– A, o takich.

Roman wyjął z kieszeni notes, a z niego złożoną na czworo kartkę, którą starannie wygładził i położył przed biznesmenem. Janik przeczytał zadrukowaną połowę strony. Treść wprowadziła go w przerażenie. Ni mniej, ni więcej było to zobowiązanie do współpracy z firmą. Zobowiązanie bezwarunkowe. Taki był nagłówek. A zawartość pod nim określała je w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. Według czarno-białej treści niżej podpisany zgadzał się na udzielanie pomocy firmie, przy czym pomoc ta nie była bliżej określona, jak również nie zostały przedstawione jej ramy czy zakres. Osobny akapit zawierał pouczenie o tym, że współpraca jest tajna w rozumieniu przepisów o ochronie informacji związanych z bezpieczeństwem państwa, czyli że stanowi tajemnicę państwową, której ujawnienie zagrożone jest stosownymi sankcjami karnymi. Po przeczytaniu tych treści

Janikowi zaczęły trząść się ręce, co starał się ukryć, zaciskając pięści. Lecz to nie wszystko. W ostatnim zdaniu adresat tego dokumentu przyjmował pseudonim, którym będzie posługiwał się w trakcie współpracy.

Biznesmenowi świat zaczął walić się na głowę. W co on wdepnął? Kto i jak wmanewrował go w tę sprawę? To pytania, na które w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedzi. Powoli wir myśli w jego głowie zaczynał się uspokajać. Nerwy i panika nic tu nie pomogą. Musi chwilę spokojnie pomyśleć. Przecież znajdzie wyjście z tej sytuacji. Nieraz bywał w poważnych opałach i wszystko jakoś dawało się ułożyć. Będzie grał na zwłokę. Może uda się wykombinować coś sensownego. Przeczytał uważnie jeszcze raz treść zobowiązania.

– Więc chce mnie pan nakłonić do tego, abym zgodził się na współpracę z pana firmą? – spytał wreszcie.

– Mówiłem panu, że sprawy firmy są złożone. Dlatego nie może pan sprowadzać relacji pomiędzy mną jako jej przedstawicielem a sobą do tak prostej wypadkowej. – Ton głosu Romana był chłodny.

– Tak, tak, wydaje mi się, a raczej chciałbym zrozumieć, o czym pan mówi, ale nie dociera to do mnie tak do końca.

Uparty gość. Dotrze, dotrze do ciebie już wkrótce – pomyślał Roman z lekką irytacją.

– Niech mi pan powie – mówił dalej Janik. – Czyli to, że prowadzi pan biznes, to fikcja? I wszystko, co pan mówił o rodzinie w Szkocji, o swoim wujku to po prostu nieprawda? Zmyślone?

– Nadal postrzega pan rzeczywistość w niewłaściwych kategoriach. – Roman zaczął znowu cierpliwie tłumaczyć. – Pewne elementy otaczającego nas świata podlegają prawu konfabulacji. Ale

nie dlatego, aby wprowadzić fikcję do świata rzeczywistego. One wspomagają realnie zachodzące wokół nas procesy. Są istotnym czynnikiem wspierającym. Dzięki temu czynnikowi realna rzeczywistość ma szansę rozwoju we właściwych kierunkach, może pokonać subiektywne czynniki hamujące jej postęp. Dlatego nie jest prawidłowe określenie, że ja coś zmyśliłem czy nagadałem panu głupot. Głupoty są tylko głupotami i nie należą do procesów rzeczywistych.

Janik nie czuł się na siłach wniknąć w tę słowną dialektykę Romana, a tym bardziej polemizować z nim na tym polu. Wybrał metodę prostych pytań.

– Pan nazywa się w rzeczywistości inaczej. To znaczy, chciałem powiedzieć, że inaczej się pan przedstawił w Victorii, a inne nazwisko widnieje na legitymacji.

– Tak, zgadza się. Ale jak pan pewnie się domyśla, jest to element wspierający tę rzeczywistość, o której mówiłem; element, który w określonych sytuacjach ma ważne znaczenie, ba, niekiedy wręcz decydujące.

– Zostawmy to. Czego pan ode mnie oczekuje? Gdybym zgodził się na współpracę, to co miałbym robić w jej ramach, czy inaczej, jaki wpływ wywarłaby ta współpraca na moje życie?

– Zgadząc się na współpracę, wybiera pan wariant optymalny. A wpływ na pana życie? Żaden. Po prostu wykona pan dla firmy pewne zadania z zachowaniem daleko posuniętych środków ostrożności i bezpieczeństwa, co zagwarantuje panu całkowitą anonimowość jako współpracownikowi, czyli informatorowi firmy.

– No dobrze, a jeżeli nie zgodzę się na współpracę?

Roman czekał na to pytanie.

– Naprawdę widzi pan taką możliwość? – spytał nieco ironicznym tonem. – Nie, takiej możliwości nie ma. Niech pan posłucha. Firma działa w pana interesie, zawsze działała, nawet jeśli nie wiedział pan o jej istnieniu. Działała w interesie tysięcy ludzi panu podobnych. I działa, i będzie działać. Pomagając firmie, pomaga pan sobie i innym.

– A jaki jest związek pomiędzy pana firmą a moją?

– Panu wydaje się, że związek nie istnieje. I to jest zasadniczy błąd w rozumowaniu. Taka firma jak moja działa wszędzie. Jest na dole i na górze, jest tu i gdzieś indziej. Nie istnieją takie bariery jak granica. W tym sensie moja firma jest firmą międzynarodową. I wszędzie tam, gdzie dociera, ma możliwość kształtowania rzeczywistości. I, oczywiście, rzeczywistość tę kształtuje. Skąd pan może wiedzieć, czy firma nie przyglądała się panu, nie pomagała, gdy był pan w tarapatkach, a był pan w nich. Pan tej pomocy mógł wcale nie dostrzegać, to tylko świadczy o tym, że firma działa w sposób profesjonalny i skuteczny.

Janik zastanawiał się intensywnie. Zmarszczył czoło. Grzebał teraz w pamięci, przywołując różne trudne sytuacje i to, jak je rozwiązywał. Czy coś przeoczył, czy rzeczywiście pomogła mu niewidzialna ręka? Były to zupełnie jałowe próby poszukiwania czegoś, co nigdy nie zaistniało, ale czemu nie mógł też kategorycznie zaprzeczyć.

Roman powoli doprowadzał werbunek do końca. Pytania, które zadawał mu biznesmen, a które w jego zamierzeniu miały przynieść odpowiedzi wzmacniające negatywne nastawienie do podjęcia współpracy z firmą, spowodowały odwrotny skutek. Pogłębiły niepewność Janika. Logika wywodów Romana wydawała się nie do

odparcia. Teraz pozostawało wykorzystać argument, żelazny argument, który zgodnie z taktyką operacyjną należało zachować na sam koniec.

– Panie Wilhelmie – zaczął Roman – firma daje panu możliwości nieskrępowanego niczym rozwoju. Nie, niech pan nie zaprzecza. Niech pan raczej spojrzy na własny biznes. Przynosi panu godziwe zyski, czyż nie tak? Czyli daje przyzwoite utrzymanie. Może pan swobodnie obracać swoimi pieniędzmi. Nikt panu tej swobody nie tylko nie odbiera, ale nawet nie próbuje w nią ingerować. Jak pan myśli, czy jest to tylko czysty przypadek?

Janik uniósł brwi, wyrażając tym samym zdziwienie. Roman roześmiał się w duchu. Tak, tak, dobrze zrozumiałeś – pomyślał. – Ale jak chcesz, żebym ci to wytłumaczył jaśniej, proszę bardzo.

– Zgodzi się pan ze mną, że nikt nie ingeruje w pańskie interesy, bo to pana biznes, a firma to szanuje. To przecież pan zarabia pieniądze. Są to pana pieniądze i może pan z nimi zrobić, co zechce. Może je pan wyrzucić, utopić w rzece. Utopić w inwestycji bez przyszłości. Inwestycji, która przyniesie panu stuprocentową stratę. Ale to jest nadal tylko pana sprawa. Chociaż czymś obwarowana. Obwarowana słuszością interesu szerszego, ogólnego, za którym to już stoi firma. Może nie tyle stoi, co go strzeże, a w tej relacji pana interes jest interesem podrzędnym. Nie może pan go ustawiać w kolizji do interesu nadrzędnego. Przecież pan wie, że moce ochronne interesu nadrzędnego są nieporównywalnie większe od każdego interesu podrzędnego, a nawet od sumy interesów podrzędnych, gdyż nie ma tu zastosowania prosta arytmetyka. Interes podrzędny może zatem pozostawać z interesem nadrzędnym tylko w jednej relacji. Tą relacją jest harmonia.

Roman zakończył wyjaśnienie, uśmiechając się i kiwając głową, co miało oznaczać, że wyczerpał temat. Po minie Janika było widać, że nie ma ochoty na zadawanie dalszych pytań. Ten ostatni argument dotarł do niego w pełni, spowodował pęknięcie zapory, jaką postawił przed propozycją współpracy. Nie chciał już słyszeć od Romana innych wyjaśnień. Wszystko było jasne.

Roman wiedział, że rozgrywka została zakończona. Dobrze się stało, że biznesmen w porę zrozumiał, w czym rzecz. Pozwoliło to uniknąć przedstawienia argumentów wprost, bez owijania w bawełnę, brutalnie. A groźenie skarbówką, odpowiedzialnością karną, likwidacją interesu nie było w stylu Romana. Taki sposób wykorzystywania mocnych argumentów okazywał się skuteczny na krótką metę. Stłamszeni informatorzy wkrótce pragnęli odegrać się na swoich oficerach, co zdecydowanie szkodziło współpracy.

Z kolei w wyjaśnieniach, jakich udzielił Janikowi Roman, nie padła ani jedna wprost sformułowana groźba. Była to tylko słowna potyczka pomiędzy nimi, dyskusja, ze strony Romana niekiedy może na dużym szczeblu abstrakcji, ale nieprzekraczająca norm przyzwoitego zachowania. To dawało szansę na pomyślny rozwój współpracy, na zaangażowanie się w nią nowo pozyskanego informatora, no i – w ostatecznym rozrachunku – na realne korzyści dla firmy. Teraz pozostawało omówić szczegóły i to tylko te niezbędne, gdyż przeładowanie umysłu Janika natłokiem wrażeń i informacji byłoby niepotrzebne, a nawet szkodliwe, o czym w dziale przeciążeń psychicznych naucza psychologia.

– Myślę, panie Wilhelmie, że moja prosta argumentacja trafiła do pana – rozpoczął Roman. – Pozostające ze sobą w harmonii i interes ogólny, i interes jednostkowy mają szansę rozwijać się bez

przeszkód, a każde umocnienie interesu nadrzędnego automatycznie wzmacnia interes podrzędny.

– Chyba już wiem, o co panu chodzi. – Janik spojrzał na niego zrezygnowanym wzrokiem. – Przejdźmy wobec tego do konkretów.

Z największą przyjemnością – pomyślał Roman.

– Więc tak, czy dobrze pan zrozumiał znaczenie treści zobowiązania, które leży przed panem?

– Sądzę, że tak. Ogólnie mówiąc, będę udzielał pomocy, czyli wykonywał jakieś zlecenia, zadania, a wszystko, co jest z tym związane, zachowam w najgłębszej tajemnicy.

– Dokładnie o to chodzi.

– Mam jednak wątpliwości co do ostatniej części zobowiązania. Chodzi o pseudonim. Mam go wybrać, tak? I posługiwać się nim przez okres współpracy?

– Tak.

– Widzi pan, mam poważne wątpliwości do tego zapisu. Za bardzo pachnie konspiracją. To tak, jakbyśmy mieli wojnę.

– A nie jest tak?

– Może i tak jest, ale to jakieś dziwne. Ja rozumiem, że pana firma mnie potrzebuje, bo widocznie mam takie możliwości, których sam nie dostrzegam, bo i skąd, a które mają dla firmy znaczenie. Zgoda. Pomogę wedle tych swoich możliwości, tylko musi pan wziąć pod uwagę, że nie jestem Bondem. I chyba na niego nie wyglądam. Wszystko zachowam też w tajemnicy, bo z natury jestem człowiekiem dyskretnym. Ale ten pseudonim. To już przesada.

– Nie jest to żadna przesada, panie Wilhelmie. Firma robi to i wymaga tego, co niezbędne. Nie chcę zagłębiać się w szersze wyjaśnienia. Powiem tylko tyle, że pseudonim ochroni pana nieraz

przed dekonspiracją. Pozwoli zachować anonimowość. Przekona się pan o tym, jak tylko zaczniemy rozmawiać o konkretnych sprawach.

– No cóż, widzę, że mi pan nie odpuści. Dobrze, przyjmuję na wiarę to, co pan powiedział. To może dziwne, ale mam do pana zaufanie. Chyba nawet większe do pana jako człowieka firmy niż do biznesmena – zaśmiał się, a w jego głosie czuć było ulgę.

Roman również się uśmiechnął. Pozostały jeszcze szczegóły techniczne.

– Jaki pseudonim chce pan wybrać?

– Nie wiem... nie wiem, może pan mi podpowie. – Janik miał pustkę w głowie, po tak ciężkim przeżyciu nie mógł myśleć racjonalnie, skoncentrować się nad czymkolwiek.

– Proszę się zastanowić. Nie wolno wybierać pseudonimu, który w jakikolwiek sposób mógłby doprowadzić do zidentyfikowania pana przez inną osobę. Na przykład, przypuśćmy, że ktoś dowiedział się o istnieniu informatora o pseudonimie, powiedzmy, Rowerzysty. Jeżeli akurat jest ze środowiska sportowego, to będzie poszukiwał czy rozglądał się wokół siebie. Ponieważ skojarzenie występuje naturalnie, bo rowerzysta może być kolarzem, ewentualne podejrzenia kieruje więc na konkretną grupę osób. To samo będzie z pseudonimem Długi. Zazwyczaj określa się tak kogoś o ponadprzeciętnym wzroście. Bakałarz wskazuje na środowisko nauczycielskie, Lolo – na kogoś o wymuskanym wyglądzie i tak dalej. Nie powinien mieć pan żadnych wątpliwości, jak ważną sprawą jest dobór pseudonimu.

– Może pan coś zaproponuje?

– Nie, będę jednak nalegał. Pan poda pierwszą propozycję, a ja – jeśli będzie trzeba – drugą.

– Zgoda. – Janik zmarszczył czoło i intensywnie wbił wzrok w leżącą przed nim łyżeczkę, jakby chciał ją wygiąć siłą woli. – Mam. Proponuję, żeby to po prostu było S-7.

– S-7?

– Tak, S-7.

– Świetnie, niech będzie S-7. Bardzo dobry pomysł. Muszę jednak zapytać, czy jest to zupełnie przypadkowy wybór, czy też powstał na zasadzie skojarzenia z jakimś symbolem literowo-cyfrowym. No, na przykład, czy nie jest to model jakiegoś urządzenia bądź maszyny, z której pan korzysta w swojej firmie? Albo czy nie jest to litera i numer z pańskiego dowodu osobistego lub paszportu?

– Zapewniam pana, że absolutnie nie. To całkowicie przypadkowe skojarzenie, nawet nie wiem, skąd mi wpadło do głowy. Może skojarzyło mi się z jakimś filmem?

– Wobec tego niech pan wpisze w wykropkowane miejsce w ostatnim zdaniu S, myślnik, siedem, a całość ujmie w cudzysłów. Przyjęło się pisanie pseudonimu w cudzysłowie. Tak, świetnie. Widzi pan drugie wykropkowane miejsce pod tekstem? Tam niech pan wpisze swoje imię i nazwisko, czytelnie, a potem swój odręczny podpis. Tak, bardzo dobrze.

Roman zręcznym ruchem wyciągnął zobowiązanie, w żargonie firmy zwane kwitem, spod dłoni Janika. Niepisana zasada mówiła, że po podpisaniu zgody na współpracę zobowiązanie należy usunąć sprzed oczu tego, kto je podpisał. Mając przed oczami taki dokument, dopiero co pozyskany współpracownik firmy zaczyna na nowo przeżywać rozterki, czym sprawia sobie cierpienie. Może dojść do aktu desperacji i podarcia zobowiązania na kawałki, a wtedy zabawę trzeba zaczynać od początku i to na gorszych warunkach.

A tak, zobowiązanie ląduje w kieszeni oficera, jest już nieosiągalne, czyli klamka zapadła.

Drukując tekst zobowiązania na komputerze, Roman dokonał drobnego zabiegu. Ponieważ werbunek miał charakter nieformalny, usunął z dokumentu datę pozyskania informatora, to jest datę dzisiejszej rozmowy. Miało to znaczenie, gdyż werbunek wykaże jako zrealizowany później, gdy otrzyma na to stosowną zgodę, tak jak tego wymaga instrukcja o pracy operacyjnej. Formalnie S-7 będzie do tej pory występował w dokumentach służbowych jako aspirant na informatora, a jego wyróżnikiem będzie kolejny numer w ewidencji Biura Ewidencji i Archiwum.

Teraz Roman przechodził do kwestii, która miała być przedmiotem ich współdziałania. Oczywiście chodzi o Izydora. Roman musiał uzyskać odpowiedź na kilka podstawowych pytań. A więc, czy S-7 zna Izydora osobiście? Jeżeli tak, to czy jest to znajomość zażyła, czy są to tylko przypadkowe zetknięcia? Miało to zasadnicze znaczenie, ponieważ jeżeli S-7 nie znał figuranta bądź jeśli miał z nim wyłącznie okazjonalne kontakty, powinien teraz do niego się zbliżyć, co pozwoli na wykonywanie zadań, jakie zamierza mu zlecić Roman. Biorąc pod uwagę, że Izydor i S-7 działali w tej samej branży, do tego lokowali za granicą swoje interesy w tym samym miejscu, było wielce prawdopodobne, że ich kontakty istnieją i nie są wcale przypadkowe.

Roman zaczął rozmawiać z S-7 o jego interesach. Już bez ogródek powiedział informatorowi, że musi poznać szczegóły związane z jego działalnością, ale tylko w zakresie kontaktów z różnymi osobami. Tak więc Roman cierpliwie wysłuchał opowieści o wspólniku S-7, o Anglikach, z którymi robi interesy, ich zainteresowaniach

i żonach. Wreszcie postawił właściwe pytanie, czy informator zna Izydora. Wymienił go z imienia i nazwiska tonem obojętnym, który nie dawał podstaw do przypuszczeń, że istnieją szczególne powody do zadania tego pytania. Nie wiedział przecież, w jakich pozostają relacjach, jeżeli się znają.

- Tak, oczywiście. - S-7 ożywił się. - To jeden z kilku naszych w Manchesterze, no, to znaczy z tej samej branży. My nie robimy sobie konkurencji. Uczciwie dzielimy tamtejszy rynek. Jeżeli już, to raczej pomagamy sobie wzajemnie.

- Uhm - mruknął Roman. - Ale mi chodzi o to, czy pan go dobrze zna. Nie tak, że spotkacie się w większym gronie raz na pół roku na jakimś grillu czy innej imprezie. Mi chodzi o częste kontakty, obojętnie z czego wypływające, ale takie, że można powiedzieć: „Jesteśmy starymi dobrymi znajomymi”.

- Aż tak, to nie można tego określić. - Informator zamyślił się. - Owszem, widzujemy się często, zwłaszcza za granicą, w Manchesterze. Lecz czy można o nas powiedzieć, że jesteśmy starymi dobrymi znajomymi, to chyba raczej nie.

- No, dobrze. A niech mi pan powie, skąd się biorą wasze częste kontakty w Anglii.

- O, z bardzo prostej przyczyny. W Manchesterze na ulicy, która w tłumaczeniu nazywa się Tekstylna, ja i kilku naszych biznesmenów mamy wspólne biuro. W tym także ten pan. Wspólne biuro to znaczy pomieszczenie, które razem opłacamy, bo jak pan pewnie wie, dzierżawa lokali biurowych kosztuje tam bardzo dużo.

- To ciekawe, proszę mi opowiedzieć o tym... biurze.

- Więc biuro to w zasadzie jedno duże pomieszczenie. Jest w nim pięć biurek, każde przypada na jedną firmę. Wspólnie płacimy

czynsz, ale mamy adres w Anglii, a to jest bardzo ważne.

No to jesteście w domu – ucieszył się Roman, a głośno spytał:

– Czyli ma pan dostęp do wszystkich tych biurków?

S-7 spojrział na niego zdziwiony.

– Oczywiście, że mam, ale nie będę przecież grzebał innym po szufladach.

– Z tym to różnie bywa. No, niech pan nie czuje się urażony, to nie było pod pana adresem. Chcę się jedynie dowiedzieć szczegółów, taki przecież mam zawód. Co trzymacie w biurkach?

– Nie wiem, jak inni, ale ja i mój wspólnik chowamy tam firmową korespondencję, nic więcej.

– A jakie są zamknięcia biurków, zabezpieczenia?

– Żadne, to znaczy biurka mają zwyczajne zamki i klucze, jak to przy meblach. Chyba nawet takie same, bo kupowaliśmy je wspólnie, w jednym salonie.

– A w kraju utrzymujecie między sobą kontakty, to znaczy spotyka się pan z przedsiębiorcami, z którymi dzieli pan jedno biuro na Tekstylnej w Manchesterze?

– Raczej sporadycznie. Tak jak pan powiedział wcześniej, raz na parę miesięcy na grillu albo na przyjęciu, ale też po to, żeby obgadać sprawy związane z interesami. Wie pan, w stylu, co nowego słychać na rynku odzieżowym, kto wypadł z branży, kto doszedł nowy, jaka jest koniunktura w Anglii, czy są szanse na większe kontrakty w Manchesterze.

– Tak, rozumiem. Zostawmy już ten temat. Nie będę pana więcej wypytywał. Miał pan już dzisiaj chyba za dużo wrażeń.

– Zdecydowanie za dużo. Ważne, że w końcu się zrozumieliśmy.

- Słusznie pan myśli. Współpraca z firmą to naprawdę nic przerażającego. Ot, zwyczajna sprawa. Chociaż niekiedy trzeba się trochę w to zaangażować. Tylko pierwsze wrażenie bywa szokujące. Ale to zaraz ustępuje, gdy okazuje się, że wysłannik firmy, którym akurat teraz jestem ja, to normalny człowiek. Inaczej mówiąc, nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Roman przerwał i chwilę myślał. Potem pozwolił, aby jego refleksje się uzewnętrzniły.

- Z wyobrażeniami o współpracy z firmą jest tak, jak z tymi wszystkimi filmami o szpiegach, gdzie trup ściele się gęsto. Tymczasem praca kontrwywiadu jest kompletnie inna. To układanie mozaiki. Praca myślowa, analityczna. Tu nie ma miejsca na żadne fajerwerki. Owszem, firma prowadzi działania, które nie przystają do zwykłych codziennych zajęć będących udziałem większości ludzi. Te działania niosą czasami za sobą pewne ryzyko, ale moim zadaniem jest, aby je minimalizować. Jeżeli ryzyko jest zbyt duże, wycofujemy się. Trudno. Są inne drogi dojścia do celu. Wystarczy dobrze pomyśleć.

S-7 wydawał się słuchać z uwagą. To jego pierwsze szkolenie. Powinien rozumieć zasady, na jakich działa firma. Oczywiście tylko te, które będą go dotyczyć. Inne nie powinny go obchodzić.

- Kiedy otrzymam pierwsze zadanie? Mam nadzieję, że na początek nie będzie to nic ryzykownego.

Roman uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Panie Wilhelmie, otrzyma pan zadanie, gdy uznam, że jest pan odpowiednio przygotowany, by je prawidłowo i bezpiecznie wykonać. Kiedy to będzie? Tego naprawdę nie wiem. Jak pan słusznie przypuszcza w tej chwili, firma korzysta z pomocy wielu

ludzi, że tak powiem, ludzi dobrej woli, którym na sercu leży interes ogólny, nadrzędny. To, że my rozmawiamy o pewnych sprawach, jest tylko elementem większej całości. Aby pan mógł skutecznie zadziałać, musi nastąpić sprzężenie zwrotne czy raczej korelacja z szeregiem innych czynników.

Jakkolwiek nie odpowiadało to konkretnej rzeczywistości, Roman przeprowadził wywód z rozmysłem. S-7 nie powinien nabrać wyobrażenia o swojej wyjątkowej roli i znaczeniu. Musi zrozumieć, że jest tylko małym trybikiem w maszynie firmy. Trybikiem, od którego może coś zależeć, ale jednak tylko jednym z wielu elementów układanki z mozołem składanej przez firmę. Jasne postawienie tej kwestii na początku zapobiegnie nieporozumieniom w przyszłości.

– Proszę pana, panie Romanie, czy mogę pana tak nazywać? – S-7 spojrział na Romana. – Bo chyba takie jest pana prawdziwe imię? To znaczy, chciałem powiedzieć, że takie imię widziałem w legitymacji.

– Tak, bardzo proszę. Oczywiście, że to moje rzeczywiste imię.

Celowo podkreślił, że to imię jest rzeczywiste, a nie prawdziwe, aby było jasne, że słowa oficera kontrwywiadu nie powinny być rozpatrywane na zasadzie prawdy czy fałszu. To tylko kształtowanie rzeczywistości. S-7 powinien to sobie wbić do głowy.

– Otóż, panie Romanie, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Czy moja współpraca z panem, z pana firmą będzie dla mnie absorbująca? Jestem przedsiębiorcą i wie pan, jak to jest, człowiek bez przerwy znajduje się w ruchu. Ciągłe ma coś do załatwienia.

– Mogę pana zapewnić, że współpraca nie będzie nadmiernie absorbująca i pozostanie bez wpływu na pana interesy. Nie ulega wątpliwości, że trochę czasu zajmie panu wykonywanie zadań, no

i spotkania ze mną, je także należy wkalkulować w ogólny czas naszej współpracy.

– Jeszcze jedno, tylko proszę mnie dobrze zrozumieć. Będę coś robił dla firmy. Mogą być wydatki. Ja nie wiem, duże czy małe. Ale to jednak są pieniądze.

– Otrzyma pan zwrot wszelkich kosztów własnych. Niezależnie od ich wielkości. A jeżeli koszty da się przewidzieć wcześniej, wypłacę panu zaliczkowo potrzebną kwotę. No, później się pan z niej rozliczy.

– Tak, to jasne. A... – S-7 utknął z pytaniem, które musiało wydawać mu się krępujące. Roman doskonale wiedział, jaka jest jego treść, ale milczał. – A co z wynagrodzeniem? – Informator w końcu się przemógł. – Za zadanie, jakie wykonam, czy w ogóle za współpracę.

– Jeżeli panu zależy, to, owszem, możemy ustalić jakąś stawkę wynagrodzenia, wypłacaną raz na dwa, trzy miesiące. Ale zaznaczam, nie będą to duże pieniądze. Firma liczy przede wszystkim na świadomość swoich współpracowników, świadomość w wymiarze szerszym.

– Rozumiem, rozumiem. – S-7 był wyraźnie zawstydzony swoim pytaniem. – Ja tylko tak się spytałem.

– Dlatego – kontynuował zimno Roman – korzystniejsze dla pana będą stawki przyjęte za wykonanie konkretnego zadania, którego duże znaczenie dla firmy jest oczywiste. To może być jednorazowa dość spora wypłata. Ten system wynagrodzenia bardziej się opłaca. Zgadza się pan?

– Tak, tak, jak najbardziej. – Informator był rad, że kłopotliwy dla niego temat został zakończony.

Roman zerknął na zegarek. Pora powoli kończyć to spotkanie, minęła już trzecia godzina rozmowy. Pozostała do ustalenia jeszcze jedna kwestia, ale bardzo ważna, kwestia łączności pomiędzy nim a informatorem. Tu także należało zachować ściśle względy konspiracji.

– Panie Wilhelmie – zaczął Roman – teraz uzgodnimy sobie, jak będziemy się kontaktować. Podam panu numer mojej komórki, tak, może pan napisać na serwetce – podyktował numer. – Pana numery są takie. – Sięgnął do notatnika i przeczytał numery telefonów stacjonarnych i komórkowych S-7. – Zgadza się?

Informator nie okazał wielkiego zdziwienia, że Roman znał wszystkie jego numery, także domowe i zastrzeżony numer jednej z komórek. To dobrze, zaczyna wierzyć we wszechmocną siłę firmy.

– Tak, wszystko się zgadza. Widzę, że jest pan świetnie przygotowany.

– Och, to drobiazgi. Zbyt oczywiste, żeby o nich mówić – ciągnął Roman. – Więc tak, jeśli zadzwonię na pana komórkę, to pan odbierze. Tu sprawa jest jasna. Ale może pan akurat nie mieć telefonu komórkowego przy sobie, tak przecież też może się zdarzyć. Zatelefonuję wówczas na któryś z numerów stacjonarnych. Jeżeli odbierze ktoś z rodziny lub z pana firmy, a pana nie będzie, przedstawię się nazwiskiem Korzeń, które pan zna, i dodam do tego jakąś obojętną treść. Kiedy ta wiadomość dotrze do pana, to powinien pan jak najszybciej skontaktować się ze mną. Czy to jasne?

– Tak... – zastanawiał się S-7. – A jeżeli akurat nie będę mógł zadzwonić? Albo będę w towarzystwie? Co wtedy?

– Nie komplikujmy sprawy i nie mnożmy problemów – powiedział Roman z oznakami zniecierpliwienia. – Poradzi pan

sobie. Jak się lepiej poznamy, wystarczą dwa słowa przez telefon i będzie pan wiedział, o co chodzi. To tylko kwestia wprawy, wkrótce pan się z tym obezna, a za parę lat stanie się to zwyczajną rutyną – roześmiał się jak z dobrego dowcipu.

S-7 wyglądał na nieco przestraszonego.

– To nasze współdziałanie może potrwać kilka lat? Myślałem, że załatwię dla pana parę spraw w miarę szybko i damy sobie z tym spokój.

– No, niech pan nie bierze tego dosłownie – uspokajał informatora Roman. Mógłby przestraszyć się zaraz na początku i byłyby problemy. A tak, z czasem przywyknie do swojej roli. – Jest kilka zadań do wykonania z pana udziałem. Ale natura działań kontrwywiadu opiera się na czasie. To znaczy, nie należy się spieszyć. Wszystko musi być drobiazgowo zaplanowane i wykonane. Czasami trzeba spowolnić albo nawet wstrzymać akcję.

Informator kiwał głową. Nie wiadomo, czy okazywał w ten sposób zrozumienie dla wyводу Romana, czy też po prostu miał już dość tej rozmowy.

– No cóż, panie Wilhelmie... – Roman rozpoczął pożegnanie. – Naprawdę ogromnie się cieszę, że doszliśmy do porozumienia w sprawach zasadniczych. Reszta to drobiazgi. Przekona się pan. Ważne jest zaangażowanie. Niech pan jednak się nie obawia, nie mam zamiaru kraść pana czasu. A zresztą polubi pan tę robotę, przekona się pan. Przynosi trochę emocji. Jest po prostu ciekawa.

Roman wypił łyk wina, zachęcając S-7, żeby uczynił to samo.

– I niech pan za dużo nie zastanawia się nad tym teraz – kontynuował. – Im człowiek więcej myśli o tych sprawach na początku, tym bardziej przychodzą mu do głowy nieprawdopodobne

przypuszczenia i wnioski. To naprawdę niepotrzebne. Powoduje tylko stresy. Może mi pan wierzyć na słowo, że kiedy spytam pana za jakiś czas, jak się panu podoba nasza współpraca, na pewno nie oceni jej pan in minus.

Zakończył swoją wypowiedź przyjacielskim uśmiechem. S-7 ledwie mu odpowiedział skrzywieniem ust. Intensywnie nad czymś się zastanawiał. Romana to trochę zaniepokoiło. Czyżby popełnił jakiś błąd, nie dopatrywał czegoś w taktyce operacyjnej tej rozmowy? Informator powinien już pozbyć się uprzedzeń i strachów. Co do przekonywania o nieuchronnej konieczności współpracy z firmą też chyba nie zaniedbał żadnego ważnego argumentu. Nad czym więc jeszcze S-7 tak przemyślał? Roman czekał, bacznie go obserwując.

Wreszcie informator zdecydował się.

– Panie Romanie, kiedy był pan jeszcze panem Zenobiuszem, rozmawialiśmy o różnych sprawach. No, wie pan, o co mi chodzi. O moje interesy. Może faktycznie nie zawsze jestem w zgodzie z prawem podatkowym... – S-7 przerwał, zastanawiając się, jak dokończyć tę ważną kwestię.

Tu cię boli! Ale to dobrze – myślał Roman. – Dobrze, że sobie utrwalasz w pamięci ten drobny szczegół. Przecież w końcu zawsze chodzi o forszę.

– To znaczy – podjął informator – miałem na myśli moje egzotyczne inwestycje finansowe. Z punktu widzenia naszego prawa może nie wyglądają tak, jak powinny, no, naruszają jakiś tam artykuł czy paragraf, lecz za granicą to normalna praktyka.

Nie jestem tego taki pewien – przemknęło Romanowi przez głowę.

- Postępuje tak większość biznesmenów... Może nie większość, ale całkiem sporo. - S-7 przerwał i spojrzał pytająco na Romana. Nie miał więcej argumentów na swoją obronę. Oczekiwał, że przedstawiciel firmy zajmie stanowisko w istotnej dla niego sprawie.

- Panie Wilhelmie, wyraziłem się jasno w tej kwestii. Kontrwywiad nie interesuje się prywatnymi sprawami swoich współpracowników, o ile nie mają związku z naszymi działaniami. W pana przypadku zachodzi jedynie związek osobowy. Zna pan lub pozna pan osoby, które mogą nas z jakiegoś powodu zajmować i to jest cały łącznik z pańskim biznesem. Ale o tym później. A pana dochody i to, co pan z nimi robi, to wyłącznie pana sprawa. No i może urzędu skarbowego. - Roman roześmiał się.

- To fajnie. - S-7 odprężył się. - Bardzo panu dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Ważna jest sprawa, dla której pracujemy. Cóż, chyba wyczerpaliśmy na dzisiaj temat. Jestem panu zobowiązany za zrozumienie dla potrzeb firmy. Nie wyjdziemy razem z restauracji, to byłoby wbrew zasadom. Pan wyjdzie pierwszy, a ja jeszcze chwilę posiedzę. To dla pana bezpieczeństwa. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczono nas razem na mieście.

Roman uniósł się, dając tym samym znak informatorowi, że uważa spotkanie za zakończone. Zachnął się, gdy S-7 sięgnął po portfel.

- Był pan dzisiaj moim gościem. - Uścisnęli sobie ręce i Wilhelm Janik, nowo pozyskany informator firmy, opuścił restaurację.

Roman odprężył się. Przyjął wygodną pozycję i położył ręce na oparciu fotela. Wszystko poszło tak, jak przewidywał. Janik nie był trudnym przeciwnikiem. Jeszcze ta jego gadatliwość. Właściwie to sam się podłożył. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na

współpracę. Najlepszy straszak na przedsiębiorców to ich przekręty w biznesie. Dobrze, że nie wiedzą o panu Wilhelmie koledzy Romana z firmy od przestępstw ekonomicznych. Dla nich zagraniczne malwersacje, do tego jeszcze wyłożone jak na talerzu, to nie lada gratka. Od razu zwietrzyliby okazję łatwego łupu. Im też potrzeba było sukcesu i na pewno spróbowaliby mu wydrzeć jego aspiranta, którego chętnie by okrzyknęli międzynarodowym aferzystą. Interesy kontrwywiadu rzadko kiedy kolidowały z interesami innych pionów operacyjnych, poza wywiadem, oczywiście, ale w zdarzających się sporadycznie starciach „dwójka” przegrywała, gdyż dla szefów firmy liczył się wynik doraźny, a taki mogły zapewnić pionowi zmagające się z przestępczością ekonomiczną i zorganizowaną. Niech każdy martwi się sam o siebie i nie wtyka nosa w cudze sprawy – to było credo Romana. On sam, jak każdy oficer „dwójki”, był przekonany o prymacie kontrwywiadu nad innymi pionami operacyjnymi firmy. Przestępstwa finansowe, korupcja, mafia i tym podobne to przyziemne sprawy. To pogoń za przestępcą pospolitym albo za białym kołnierzykiem. Za przemycanie narkotyków albo przekręty gospodarcze. Jakie to trywialne.

Kontrwywiad to coś zupełnie innego. Intelktualna rozgrywka, walka umysłów. Chłodna analiza, precyzyjny plan działania. Przewidywanie ruchów drugiej strony. Ostrożne podchodzenie, krok po kroku, do celu. Gwałtowne szusy do przodu. Wycofywanie się na z góry upatrzone pozycje. Taktyka. Taktyka w każdym posunięciu. Oczekiwanie na ruch przeciwnika. Nieraz długie oczekiwanie. Miesiącami, latami. Snucie misternej sieci pułapek. Tak, że gdy zerwana zostanie jedna pajęczyna, tuż za nią jest następna, bardziej

delikatna, a przez to mniej widoczna. I tak aż do skutku. Niestety, to tylko teoria, niedościgniony wzór kontrwywiadowczej doskonałości. Codziennosc jest inna. Mniej myślenia, mniej analiz, za to z każdej strony pełno papierów do wypełnienia. Pismo takie, druk taki, wnioski jeszcze inny, do tego po parę załączników. Kontrwywiad tonie w papierach. W formalnościach, więcej – w formalizmach. Jeżeli ktoś wymyśli, że jakaś czynność wymaga przed jej podjęciem wypełnienia druku albo wniosku, to zaraz ktoś następny doda kilka załączników, niby że dla jasności tematu, ktoś kolejny będzie zdania, iż należy sporządzać pisma przewodnie do wniosków, i tak w kółko, do znudzenia. Na faktyczną pracę pozostaje coraz mniej czasu. A jeszcze to kunktatorstwo przełożonych podyktowane jednym, obawą przed wpadką, która przecież w kontrwywiadzie może grozić z każdej strony. Stąd szefowie wychodzą naprzeciw obwarowywaniu każdej czynności stertą papierów. W ich mniemaniu minimalizuje to ryzyko wpadki, ponieważ dodatkowe druki czy pisma spowodują staranniejsze przygotowanie do działań. Nic bardziej błędnego. Skutek jest odwrotny. Papiery odciągają od konkretnej pracy. Zniechęcają do myślenia, analizowania posunięć. Każdą czynność poprzedza zapisywanie iluś tam kartek papieru, zapisywanie bez końca. To jeden z powodów postępującego paraliżu. W jakim stopniu stwarza pracę pozorną, tego Roman nie wiedział i nie chciało mu się nad tym zastanawiać. Kogo to obchodzi? Paraliż zaszedł tak daleko, że jest nieodwracalny z wielu przyczyn. Roman obserwował je od lat. Był obok nich, chociaż niektóre dotykały go osobiście. Zresztą jakie to miało znaczenie? Wszystko, co działo się w firmie, było zamknięte dla innych. Otoczone parawanem tajemnicy sygnowanej jako ściśle tajne. Więc nic nie przeniknie na zewnątrz i nikt się nie dowie, jaki

jest naprawdę kontrwywiad. Towarzyszący firmie nimb tajemniczości pozwala na trwanie, na zajmowanie ciepłych posadek i pobieranie wysokich uposażeń. Za co? Za to, że się po prostu jest. Bo firma musi być, musi istnieć, aby dać otoczeniu poczucie bezpieczeństwa. Wiedząc, że firma czuwa, otoczenie może spać spokojnie.

Tak, nie warto się nad tym głowić. Powinien cieszyć się ze swojego małego zwycięstwa. To jeden z punkcików, który pomoże mu przetrwać ciężkie czasy. Nie, nie będzie już dzisiaj myśleć o sprawach trudnych. Wygrał potyczkę bez żadnego potknięcia. Nie wyszedł z formy. Dzisiaj powinni mu się przyglądać jego młodszy koledzy, którzy mają takie ogromne problemy z pozyskiwaniem informatorów. To byłby dobry materiał szkoleniowy. Jednak Roman nie potrafił się spontanicznie cieszyć. Nie miał tego zapału, co kiedyś. Może już zupełnie utracił wiarę w sens swojej pracy? Robi to, co musi, żeby nie wypaść z gry.

Lepiej jest pomyśleć o rzeczach przyjemniejszych. Zamówił jeszcze jedną lampkę białego wina. Wytrawnego. Należy mu się. I tak za wszystko płaci firma.

VI

Roman wyszedł od Pepsuja zadowolony. Otrzymał cichą akceptację sobotniego werbunku, co oznaczało przyzwolenie na dokonanie czynności rejestracyjnych S-7. Oczywiście jako aspiranta na informatora.

Zasiadł za biurkiem i wziął pocztę do ręki, ale zaraz ją odrzucił. Nie, musi się zastanowić nad koncepcją sprawy Izydor. Tego żądał Pepsuj i miał rację. Trzeba sensownie wszystko poskładać. To konieczne, żeby uzyskać zgodę na założenie podsłuchu telefonicznego. Prokurator generalny może mieć zły dzień i zacznie czepiać się szczegółów. Dlatego wątek szpiegowski powinien zostać poprowadzony bez pudła.

A więc wszystko zaczęło się od kontaktów Izydora na Białorusi. Tam nawiązał znajomość z jakimś generałem ze specsłużb. Na pewno nie była to znajomość tylko od kieliszka. Czy chodziło wyłącznie o opłacanie się za spokój w interesach z białoruskimi firmami państwowymi? Być może. Izydor ciągnął z tego duże zyski, biorąc pod uwagę niskie ceny towarów przedsiębiorstw państwowych na Białorusi. To było wiele warte. Ale czy tamte specsłużby poprzestałyby na braniu haraczu? Wszystko zależało od tego, czy Izydor był dla nich atrakcyjny z wywiadowczego punktu widzenia. Sprowadza się to do pytania i odpowiedzi o jego kontakty w kraju i gdzie indziej, o możliwości dostępu do informacji interesujących białoruski wywiad. Pytanie było oczywiste, ale

odpowiedzi Roman nie znał. Klepacz prowadził sprawę byle jak, od niechcienia, a on nie zdążył jeszcze zrobić nic konkretnego.

Sprawa druga. Izydor wyjawiał swój kontakt z generałem podczas jakiejś libacji. To źle o nim świadczy. Nie umie trzymać języka na wodzy. Może tylko po pijanemu, ale to wychodzi na jedno. Czy wywiad białoruski zna Izydora od tej strony? Na pewno tak. Ich generałowie nie stronią od alkoholu, a głowy mają wyjątkowo mocne. Tak więc nasz generał, znaczy się ten od Izydora, poznał zapewne jego przypadłość. A gadatliwość po wódce zmniejsza przydatność informatorów, niekiedy wręcz eliminuje ich ze współpracy, czyli po prostu dziękuje się im za usługi. Czy tak stało się w tym przypadku? Czy Izydor był współpracownikiem białoruskiego wywiadu, który zrezygnował z niego właśnie z powodu gadatliwości po pijanemu? Wskazywałby na to fakt, że figurant od dawna nie wyjeżdżał na Białoruś ani też nie telefonował w tamtym kierunku.

A może brak wyjazdów był swoistą taktyką? Może Białorusini łącznikowali Izydora w kraju? Mógł to być każdy przyjezdny stamtąd bądź ktoś z rezydentury ambasady. Nie, to raczej niemożliwe. W ten sposób obsługuje się wyjątkowo cennych agentów, uplasowanych w strukturach władzy, w każdym razie pozostających w centrum rozgrywających się najważniejszych wydarzeń. A nic nie wskazywało na to, aby Izydor kręcił się przy znaczących osobistościach, a sam taką postacią nie był. Tak to przynajmniej wynikało z ustaleń Klepacza.

Teraz British Council. Najprościej byłoby umiejscowić Izydora na podobnej pozycji co S-7, czyli jako przeciętnego biznesmena korzystającego z możliwości brytyjskiej instytucji w ułatwianiu

kontaktów gospodarczych. A więc listy polecające do jakiejś firmy czy zrzeszenia w Manchesterze, bo tam też, oprócz Białorusi, Izydor lokuje swój biznes. Ale jeśli jest podobnie jak w przypadku S-7, to i on powinien zatrudniać jednego albo więcej absolwentów kursów organizowanych przez British Council. Roman nie zapytał o to nowego informatora, bo jeszcze było za wcześnie na poruszanie tak szczegółowych tematów. Poza tym te informacje nie były mu teraz niezbędne.

Co zatem mogło znaczyć owo konfidencjonalne objęcie Stockwella podczas rautu? Chyba nie świadczyło tylko o dużej zażyłości? Skąd zresztą taka zażyłość pomiędzy nimi? Czy to, co zauważył Roman, było tylko omamem wzrokowym? Ale przecież widział, jak Izydor wsuwa do kieszeni marynarki Stockwella jakiś przedmiot, który przypominał rolę mikrofilmu. Roman miał do czynienia z mikrofilmami. Po raucie wielokrotnie się zastanawiał, czy nie było to złudzenie. Uważał siebie za człowieka trzeźwo myślącego. Rozwagał, czy nie padł ofiarą projekcji własnej podświadomości, która wytworzyła obraz, jakiego bardzo pragnął.

BPM udaje się wychwycić niezmiernie rzadko. Setki spraw kontrwywiadu prowadzone latami nie przynoszą wyników nie tylko w postaci ujawnienia błyskawicznego przekazania materiałów, ale nawet efektu, który stanowiłby jakiegokolwiek potwierdzenie działalności szpiegowskiej. Zresztą BPM jest zanikającą metodą łącznikowania agentów. W dobie elektroniki i swobodnego przepływu osób i towarów przez granice nie opłaca się ryzykować wpadki nie tylko agenta, ale i łącznikującego go oficera wywiadu. Ostatnie BPM wyłapano w kraju ponad dziesięć lat temu. Rosjanie stracili wtedy dobrze uplasowanego agenta w resorcie spraw

wewnętrznych, a oficer rezydentury z ich ambasady został uznany za persona non grata. Lecz tamta operacja była przeprowadzona na niespotykaną skalę, przy zaangażowaniu niemal całej obserwacji firmy i najnowszych środków techniki operacyjnej na owe czasy.

Czy Roman mógł mieć tak wyjątkowe szczęście, że w sytuacji całkowicie przypadkowej i w sposób zupełnie niezamierzony stał się świadkiem BPM? Gdyby przeliczać na procenty, to jego pewność sięgała siedemdziesięciu pięciu procent. Z czystym sumieniem na tyle kalkulował realność tego, co zobaczył na raucie. Było to dużo, na tyle dużo, że mógł na poważnie brać możliwość zaistnienia BPM. Jasne, że nigdzie we wniosku do prokuratora generalnego nie napisze, iż Laleczka widział – jemu to przecież przypisał w raporcie – na własne oczy, jak doszło do błyskawicznego przekazania materiałów szpiegowskich. To są sprawy wewnętrzne firmy, nie trzeba informować o nich innych. Dlatego należy stosować zamienniki. Po prostu napisze między wierszami, że ze źródeł operacyjnych wiadomo o prawdopodobnym przekazywaniu bliżej nieustalonych materiałów, mogących zawierać treści wywiadowcze. To jeden ze zwrotów czy raczej wyrażen wypracowanych przez firmę. Stanowiły one argument nie do odparcia dla wszystkich czynników zewnętrznych. Nie do odparcia, gdyż niesprawdzalny. Nikt nie miał prawa żądać, aby firma precyzowała, o jakie źródła operacyjne chodzi albo jakiego rodzaju są te materiały szpiegowskie. Dopóki sprawę prowadzono na poziomie operacyjnym, stanowiła ona wewnętrzną własność firmy. Znacznie to wzmacniało mechanizm obronny kontrwywiadu, który mógł spokojnie egzystować, nie przejmując się, że w którymś momencie ktoś nabierze chęci, by zdezwuować wyniki jego pracy.

Na szczęście nikt tego nie mógł zrobić, bo akta operacyjne były niedostępne dla profanów.

Stockwell i Young. Dwie osoby i dwie zagadki. Roman musiał sobie wyrobić jakiś pogląd, żeby zacząć składać porozrzucane dotychczas klocki. Po tym, co zobaczył na raucie, bardziej podejrzany wydawał mu się Stockwell. Najpierw dyrektor czy właściciel firmy, potem niespodziewanie zatrudniony przez British Council na dość niepoślednim stanowisku. To pachnie MI-6. Klasyczne metody angielskiego wywiadu. Plasowanie swoich ludzi w gospodarce, aby we właściwym momencie wycofać ich z biznesu i pchnąć na szerokie wody wojny wywiadów i kontrwywiadów. Potwierdzała to scena, jakiej był świadkiem. Stockwell po prostu odebrał materiały szpiegowskie od Izydora. Dlaczego w miejscu publicznym, a nie, na przykład, w zaciszu gabinetu szefa przedstawicielstwa British Council albo nawet w apartamentach mieszkania Stockwella w Warszawie? Odpowiedź była prosta. W MI-6 doskonale się orientowano, iż inni się domyślają, że w British Council zostali uplasowani ich oficerowie lub agenci. Wniosek jest oczywisty. Miejsca pracy i zamieszkania są pod obserwacją, a telefony na podsłuchu. I Stockwell postąpił w myśl starej zasady, że najciemniej pod latarnią. Nie pomyliłby się w tej kalkulacji, gdyby nie bystre oczy Romana.

Jezabel Young. Mimo informacji o kontaktach wiceszefa British Council z rezydenturą MI-6 Roman sceptycznie zapatrywał się na jej związki z wywiadem. Może miał na to wpływ bezpośredni kontakt w okolicznościach dla niego niezbyt przyjemnych. Ale Roman przez chwilę uważnie przypatrzył się pani Young. Nie był to typ osoby wykorzystywanej w walce służb specjalnych. Raczej typ naukowca.

Może nie tyle naukowca, co jednostki poświęcającej się idei, w przypadku Jezabel Young – idei szerzenia kultury brytyjskiej na świecie, chwilowo w kraju Romana. Miała bystre spojrzenie, chociaż skryte za grubymi szklami kontaktowymi. Jest zatem krótkowidzem. To jeszcze jeden powód, dla którego Young nie ma nic wspólnego z wywiadem. Wywiad angielski z reguły nie zatrudnia ludzi z ułomnościami. Tak przynajmniej wynika z filmów szpiegowskich.

Prowadząc rozważania o British Council, Roman złapał się na jednym. Mianowicie dostrzegł zmianę swojego nastawienia do tej brytyjskiej instytucji. Zanim dostał sprawę Izidor, podchodził z dużym dystansem do pielęgnowanych w firmie podejrzeń wobec British Council. Wydawały mu się przeżytkiem, rodem z innej epoki. Wystarczyło jednak jedno zdarzenie, by zmienił zapatrywanie. Może w tych przekazywanych w firmie z pokolenia na pokolenie mitycznych niemal podejrzaniach jednak coś jest. Może nie są to tylko fobie wynikłe z kompleksu niższości wobec MI-6. To fakt, że wywiad angielski cieszył się sławą najskuteczniejszego i najbardziej nieuchwytnego wywiadu na świecie. Ale tak było kilkadziesiąt lat temu. A wszystko się zmienia, więc mogła zmienić się również pozycja MI-6 na liście najlepszych służb. Dlaczego z pozycji pierwszej MI-6 miała nie spaść, dajmy na to, na pozycję piątą? Jeżeli obecnie nie jest najlepszą służbą na świecie, to i metody jej działania mogą nie być doskonałe. Może są po prostu przestarzałe? Stąd już tylko jeden krok do wpadki. Wpadki, której zainscenizowanie najwyraźniej zostało przeznaczone Romanowi.

Pozostawała kwestia poukładania całej tej łamigłówki. Raczej polatania, bo konkretnych ustaleń w sprawie było jednak niewiele.

Powiązania należy hipotetycznie uprawdopodobnić w trójkącie MI-6–Izydor–spec służby białoruskie.

Hipoteza pierwsza. Izydor jest pośrednikiem pomiędzy MI-6 a wywiadem białoruskim. Po prostu dwie służby mają coś do załatwienia i z jakichś powodów korzystają z łącznika, którym jest Izydor. Ale co Anglicy mieliby do załatwienia z Białorusinami? Biorąc pod uwagę odmienności pomiędzy tymi dwoma krajami, a zwłaszcza obecną sytuację międzynarodową, hipoteza ta wydaje się mało prawdopodobna. Chociaż nie należy jej tak zupełnie wykluczać. W swoim czasie nazywanie Anglii perfidnym Albionem miało swoje uzasadnienie. MI-6 może prowadzić długofalową grę z Białorusinami, jeżeli zakłada osiągnięcie w dalekiej perspektywie sobie wiadomych korzyści. Jaka jest w takim razie rola Izydora? Może być wykorzystywany do przekazywania materiałów pomiędzy wywiadami. Jego wybór na pośrednika stał się dziełem przypadku. W odpowiednim momencie Izydor znalazł się pod ręką. Znali go Anglicy i Białorusini. Przecież przypadek odgrywa ogromną rolę w pracy wywiadów. A może jednak nie był to przypadek? Może jedni i drudzy doszli do wniosku, że bezpieczniej będzie wykorzystać jako łącznika kogoś z kraju trzeciego? Nieistotne, tak czy inaczej wychodzi na jedno.

Hipoteza druga. Białorusini wykorzystują Izydora jako agenta w rozpracowywaniu MI-6. Żeby w odpowiednim momencie zdyskontować całą sprawę politycznie. Spec służby białoruskie znane były z takiej właśnie działalności, w połowie lat pięćdziesiątych stało się to nawet ich specjalnością. Przysporzyli sporo kłopotów kontrwywiadowi firmy prowadzącemu płytki wywiad na terenie Białorusi. „Dwójka” werbowała informatorów, którzy – jak się

później okazało – od dawna byli na żołdzie KDB⁴. Sprawa zakończyła się skandalem, bo Białorusini ujawnili w pewnym momencie, gdy uznali, że nadszedł dogodny czas, działania firmy na ich terenie. Roman dobrze to pamiętał. Panika ogarnęła całą firmę. Żądano wyjaśnień i grożono, że posypią się głowy. Zagrożeni czuli się nawet zwykli oficerowie, którzy dali się Białorusinom złapać w pułapkę. Na szczęście napięcie ze wschodnim sąsiadem zostało jakoś załagodzone. Przyczyniła się do tego postawa samych Białorusinów, którzy po pierwszym bezpardonowym ataku na firmę jakby przycichli. Dało to możliwość spokojnego przygotowania obrony. Najtęższe mózgi w kontrwywiadzie myślały nad tym, jak przedstawić kompromitującą porażkę zwierzchnikom firmy. W końcu specjaliści od wyjaśniania spraw trudnych napisali dokument rojący się od sformułowań typu: skomplikowana sytuacja operacyjna, trudna pozycja naszych białoruskich informatorów, wielopoziomowe działania KDB, przewerbowywanie osobowych źródeł informacji w warunkach ekstremalnych i szereg innych. Adresaci tych usprawiedliwień niewiele chyba z tego zrozumieli, a nie mając czasu na dociekanie znaczenia mowy, jaką posługiwała się firma, dali sobie spokój. Rzecz zadziwiająca, ale nie poleciała nawet jedna głowa. Tak, warstwa ochronna, jaką otoczyła się firma, była nadzwyczaj skuteczna. Przebić się przez nią graniczyło z niemożliwością. Podobny kłopot z KDB mieli też Turcy, którzy, nie wiedzieć po jakiego czorta, prowadzili podobne działania. Byli jednak w gorszej sytuacji, gdyż swoich agentów łącznikowali przez rezydenturę ambasady tureckiej w Mińsku, podczas gdy oficerowie firmy kontaktowali się z białoruskimi informatorami na naszym terenie. W przypadku Turków skończyło się to skandalem

dypłomatycznym i wydaleniem dyplomaty-szpiega, który operował na terenie Białorusi.

Czy wobec tego KDB podjęło grę z Anglikami? Ale jak i co chcieli osiągnąć? Roman zastanowił się głęboko. Jest tylko jedna możliwość. Izydor ma znajomego wysoko postawionego, na przykład w kancelarii premiera albo któregoś z ministrów. Ten przekazuje mu materiały, które figurant oddaje Anglikom. To miałyby ręce i nogi nawet bez udziału Białorusinów, a świadczyłyby o prowadzeniu u nas przez MI-6 działań szpiegowskich. Ale Roman nie mógł zrezygnować z wątku, w którym dałoby się zaznaczyć rolę KDB. Tak więc sens hipotezy powinien być następujący. Izydor uzyskuje nasze tajemnice z nieustalonych źródeł i przekazuje je Brytyjczykom. Nieważne, jakie to tajemnice. Ważne, że je przekazuje. Jednocześnie jest agentem KDB i o wszystkim informuje swoich białoruskich mocodawców. KDB obserwuje z boku spokojnie całą tę sytuację. Gromadzi dowody, aby w pewnym momencie zawiadomić z krzykiem cały świat, że Anglicy szpiegują swoich sojuszników. Skandal, jakiego już dawno nie było. Oczywiście Izydor gra rolę podwójnego agenta, ale zachowuje lojalność tylko wobec Białorusinów.

Tak, ta hipoteza jest niegłupia. Że Anglicy mogą szpiegować u nas, da się przedstawić w delikatnej formie jako coś jeszcze niesprawdzonego, jako przesłanki operacyjne, jasne, że niepotwierdzone. Nie należy stawiać decydentów w kłopotliwej sytuacji. Ot, takie sobie luźne dywagacje. Z kolei wątek KDB miałby tu decydujące znaczenie. A dlaczego sprawę ma prowadzić wydział zachodnioeuropejski, czyli Roman? Odpowiedź jest prosta, wszystko koncentruje się wokół tak wspaniałej instytucji jak British Council,

no i należy przecież chronić układy sojusznicze. To wymaga bardzo delikatnych i przemyślanych posunięć. Tymczasem oficerowie z wydziału wschodniego, uwikłani w bezpardonową walkę z rywalami zza wschodniej granicy, mogliby nie mieć dość finezji niezbędnej do tego typu sprawy.

Trzecia hipoteza. Roman zmarszczył czoło, próbując karkołomnie łączyć znane mu fakty z przypuszczeniami. Nie, nie można już stworzyć czegoś więcej. To, że Izydor działa niezależnie na dwie strony, kołując swoich mocodawców, jest zbyt nieprawdopodobne. Sprawa traci wówczas swój zasadniczy aspekt, jakim jest zagrożenie dla interesów pojmowanych w szerszym wymiarze. Izydor jawiłby się jako zwyczajny cwaniak, który próbuje oszwabić dwa wywiady dla realizacji swoich celów biznesowych. To nikogo specjalnie nie zainteresuje. Zatem trzeciej hipotezy nie będzie.

Wybór spomiędzy dwóch pierwszych był dla Romana rzeczą oczywistą. Pierwszą hipotezę należy odrzucić, gdyż traci science fiction. Układanie się Anglików z Białorusinami w skomplikowanej grze wywiadowczej w dzisiejszych czasach wydaje się raczej niemożliwe. Zresztą, o co mieliby się układać? Roman nie widział punktów styecznych w ich interesach.

Pozostaje hipoteza druga. Ta jest do przyjęcia. Tego typu działania KDB mają przecież swoją paralelę. Może dotyczącą innego miejsca i czasu, ale odpowiednie zestawienie faktów i sugestii powinno przemówić do wyobraźni. Tylko ta rola Anglików. Trzeba będzie ich przedstawić jako niepoprawnych szpiegów, którzy szpiegowanie mają we krwi. I robią to nadal u nas, bo tak im nakazuje tradycja, bo mają to zaszczepione od pokoleń. Coś się doda

o materiałach wywiadowczych. Na razie nie będzie potrzebne inne tłumaczenie. Wywiad angielski jest legendą, każdy o nim coś słyszał, choć tak naprawdę to nikt nic nie wie.

Dobrze. Najtrudniejszą kwestię ma zatem za sobą. W sumie kosztowało go to nie tak znowu wiele wysiłku umysłowego. Jednak liczą się lata doświadczeń w tym fachu. Teraz wszystko trzeba przerzucić na papier. Roman skrzywił się i wzdrygnął. Pisanie raportów, wypełnianie druków i załączników do nich to najsmutniejsza część pracy oficera kontrwywiadu. Ale musi przez to przebrnąć. W sumie nie jest źle, zrobił dobry początek.

*

Przez następne kilka tygodni Roman niemal nie odchodził od biurka. Nawet nie zauważył, kiedy zaczęło się lato, i to na dobre. Tylko jakby mimochodem dotarło do niego, że organizm domaga się zwiększonej dawki napojów. Pragnienie gasił służbowym przydziałem wody mineralnej, którą otrzymywał każdy oficer, gdy temperatura na zewnątrz osiągała odpowiednio wysoki pułap. Pułap ten, nazywany w nomenklaturze specjalistów z Biura Administracyjno-Gospodarczego lotnią normą cieplną, wyznaczali, rzecz jasna, oni sami. Przy czym, co dziwiło Romana, norma się zmieniała. W jednym roku było to dwadzieścia sześć stopni, w innym trzydzieści. Może mierzyli temperaturę w różnych skalach?

Pisanie pochłonęło Romana całkowicie. Na początek sporządził raport, w którym zawarł fakty, łącząc je z przypuszczeniami. Do raportu dołączył plan działań, jakie należy wykonać, aby sprawa posunęła się do przodu. Tak jak się spodziewał, jego hipoteza została przyjęta bez sprzeciwu, a dokumenty zatwierdzili kolejno Pepsuj

i dyrektor kontrwywiadu Hunek. Oznaczało to, że miał wolną rękę w dalszych poczynaniach.

Przez ten czas dopełnił czynności rejestracyjne S-7 jako aspiranta na informatora. Wykorzystał w tym celu znajomość z kapitanem Jeremiaszem. Pozwoliło mu to uniknąć zwyczajnego obiegu korespondencji i zaoszczędził dwa tygodnie. Kapitan Jeremiasz przyjął Romana bardzo uprzejmie i nie patrząc na pewną niezgodność z procedurą, załatwił wszystko od ręki. Był przecież protegowany przez Walusia, a to w Biurze Ewidencji i Archiwum miało swoje znaczenie.

Teraz S-7 stanowił jego własność. Roman mógł być spokojny o to, że ktoś z firmy zwróci uwagę na jego informatora i będzie chciał go zwerbować albo zarejestrować jako podejrzanego o nieczne czyny figuranta. Byłoby to zupełnie sprzeczne z zasadami. Człowiek, którego oficer rejestrował w Biurze, zostawał mu przypisany i nikt inny nie miał prawa nim się interesować. Chyba że Roman sam z niego zrezygnuje i przekaze komuś innemu. Albo dojdzie do wniosku, że człowiek jest mu już nieprzydatny i zakomunikuje o tym Jeremiaszowi, oczywiście na odpowiednim druku. Dopiero wtedy ktoś będzie mógł przechwycić takiego delikwenta.

W pracy dzielnie wspomagał Romana Jubiler. Wyszukiwał wszystko, co potrzebne, w bazach komputerowych, a gdy nie mógł czegoś tam znaleźć, ruszał na miasto, szperając w urzędach i w różnych firmach. Roman przyglądał mu się z uznaniem. Tak, ten młody chłopak chciał uczyć się fachu i wiedział, że nigdzie nie pobierze lepszej lekcji jak przy doświadczonym oficerze. Romana trochę drażniły błyskotki, którymi obwieszał się Jubiler, ale w końcu każdy ma jakieś przywary, których pozbywa się z wiekiem.

Najgorsza część roboty to przygotowanie wniosków o podsłuch telefoniczny. Mnóstwo opisówki i kupa załączników. Tu Roman musiał wyteńczyć cały swój intelekt. Opis sprawy powinna cechować żelazna logika, żeby prokurator generalny nie miał do czego się przyczepić. Fakty, hipotezy i wnioski muszą się tak ze sobą przeplatać, aby szpiegostwo wyglądało prawdopodobnie, było prawie namacalne. W tworzenie operacyjnej fabuły Roman wkładał całą swoją zawodową wiedzę i doświadczenie. Wbrew swoim zasadom trochę koloryzował, ale usprawiedliwiał się w duchu wyższymi racjami. Gdy po wielu poprawkach zakończył pisanie, przeczytał spokojnie treść. Mógł mieć powód do dumy. Czytając opis sprawy, niemalże widać było rękę KDB, podstępnie zarzucającą sieć na sprawy naszego kraju. Wszystko po to, by nas skompromitować w oczach całego świata. Nas i oczywiście Anglików. Cel był też oczywisty – wbić klin pomiędzy sojuszników. Ci Anglicy nie są zresztą bez winy. Bawią się w szpiegowanie, bo nie mogą bez tego żyć. W zasadzie niepotrzebnie, przecież i tak mówimy im wszystko, co chcą wiedzieć. Jak sprawa się skończy, trzeba dać im po łapach, ale delikatnie, tak, żeby wiedzieli, że przed firmą nic się nie ukryje. Na przyszłość będą ostrożniejsi. Wypełnienie załączników do wniosków było sprawą prostszą, ale pracochłonną i nużącą. Roman odetchnął, kiedy wreszcie zakończył pracę. Teraz całość zaakceptuje Pepsuj, potem Hunek. No i dalsza droga, przez Departament Śledczy do szefów firmy. Stąd wnioski trafiają na biurko prokuratora generalnego. Roman wydeptywał ścieżki, aby przyspieszyć obieg dokumentów. Udało się przekonać Hunka, że sprawa jest poważna. To nadało jej rangę priorytetu. Po dwóch tygodniach wnioski wróciły zatwierdzone przez prokuratora generalnego. Nawet Roman był

zdziwiony tak szybkim tempem. Teraz mógł zlecić instalację podsłuchów Departamentowi Techniki. Znając powolność instalatorów, załatwił poprzez Hunka interwencję u samego szefa. Po kolejnym tygodniu trafiły do niego pierwsze taśmy z nagranyymi rozmowami.

Podsłuchy obejmowały komórki i telefony stacjonarne Izydora, Stockwella i Young zarówno w domach, jak i w miejscach pracy. Większość rozmów szefów British Council prowadzona była w języku angielskim, toteż Roman musiał zwracać taśmy do tłumaczenia, które także wykonywał Departament Techniki. Znowu prosił o interwencję, tym razem o przyspieszenie tłumaczeń.

Nim wnioski o podsłuch weszły do formalnego obiegu, Roman dał je do przeczytania Jubilerowi. Ten z podziwu aż kręcił głową.

– Kiedy ja będę takie pisał? – zapytał, gdy już zapoznał się ze wszystkim.

– O, nie tak prędko. Może za jakieś pięć lat. – Roman z trudem ukrywał zadowolenie, bo podziw Jubilera mile go połechtał. – Przedtem musisz zapisać tony papieru. Najważniejsza jest praktyka.

Pozostawały wnioski o obserwację do Biura Obserwacji. Tu sprawa nie była tak skomplikowana. Wnioski funkcjonowały tylko w wewnętrznym obiegu firmy, więc nie wymagały takiej staranności w przygotowaniu, jak wnioski o podsłuch. Wypełnienie ich zlecił Jubilerowi. Kiedy ten wreszcie po kilku dniach je przyniósł, Roman po przeczytaniu zzieleniał ze złości.

– Czyś ty, Jubiler, oszalał?!

– Co, co się stało? – Jubiler spoglądał na Romana przestraszonym wzrokiem. Przecież włożył w przygotowanie wniosków całą swoją

kilkuletnią wiedzę nabytą w firmie. Przez parę dni ślęczał nad papierami, nawet jeden raz został po godzinach w pracy.

– Chcesz spalić sprawę na samym początku, zanim się rozwinie?

– Ale ja się starałem. Przecież już wypełniałem takie wnioski, a do tych przyłożyłem się szczególnie.

– Nie, nie o to chodzi. – Roman westchnął. – Treść jest w porządku.

Jubiler był zupełnie zdezorientowany. Usilnie zastanawiał się, co też mógł sknocić.

– Słuchaj, Jubiler – zaczął Roman. Zdecydował się, żeby wyjaśnić to szerzej, niech młodszy kolega czerpie naukę. – Mamy do czynienia z Anglikami, tak?

– No tak, chyba że mają lewe paszporty.

– Ech, Jubiler. – Roman zniecierpliwił się. – Zastanów się, zanim chlapiesz bzdurę. Mamy dwoje Anglików i podejrzewamy, że wspólnie prowadzą działania wywiadowcze na naszym terenie. Chcemy to sprawdzić. Powoli wprawiamy naszą maszynę w ruch, żeby ich kontrolować. Co robią, gdzie dzwonią, z kim się spotykają itd. Tak?

– Jasne, że tak.

– I mamy figuranta sprawy Izydor, którego oni prawdopodobnie zwerbowali. Czyż nie tak?

Jubiler energicznie przytaknął głową.

– Co więc zrobili Anglicy, gdy go już zwerbowali?

– No, zlecieli mu jakieś zadanie.

– Tak, a przedtem?

Jubiler wpatrywał się intensywnie w sufit nad głową Romana.

- Chyba najpierw go przeszkolili.
- Brawo, Jubiler. A w czym go przeszkolili?
- Pewnie tak ogólnie, we wszystkim.

- Nie, tak ogólnie to my szkolimy swoich informatorów tu, na miejscu, w ministerstwach, urzędach, w różnych firmach. I dla nich takie szkolenie wystarczy. Ale Anglicy działają na obcym terenie. I żeby bezpiecznie się z nim spotkać czy skontaktować, to co muszą zrobić?

Tym razem reakcja Jubilera była błyskawiczna.

- No, jeszcze muszą go przeszkolić w zakresie samoobserwacji.

- Tak jest, Jubiler, zgadza się. Ich agent musi potrafić sprawdzać, czy nie jest pod obserwacją. Powinien być w stanie dostrzec, czy ma ogon. A jeśli go dostrzeże, to musi umieć go zgubić. Rozumiesz teraz?

- Tak, panie Romku.

- Czy już wiesz, na czym polegał twój błąd?

- Chyba tak. Nie powinienem pisać wniosków o obserwację towarzyszącą.

- Dlaczego?

Jubiler zastanawiał się, jak powiedzieć najdelikatniej o rzeczy oczywistej.

- No, śmiało – nalegał Roman.

- Bo mamy bardzo kiepską obserwację i sprawa by została spalona.

- Tak jest, Jubiler. Dokładnie tak jest. I to nie od dzisiaj. Nie powiem, że od zawsze, bo tego nie wiem na pewno. Ale na pewno od wtedy, gdy zacząłem pracować w firmie. A Anglicy są w tym

naprawdę dobrzy. Jeżeli zauważą ogon, natychmiast przerwą działania. Mogą ich nawet nie podjąć. Są bardzo ostrożni. Podobno ich rezydentura u nas ma speców od kontrobservacji. Ale, oczywiście, Biuro Obserwacji nie mogło dotychczas tego potwierdzić. Dlaczego? Bo mamy taką obserwację, jaką mamy.

Roman patrzył spod przymrużonych powiek na Jubilera, który chłonał każde słowo. Przyjemnie jest mieć kogoś, kto jest zainteresowany jego wiedzą i doświadczeniem. Będzie musiał z nim więcej rozmawiać, chłopak na to zasługuje.

– No dobrze – zaczął Roman. – Co w tej sytuacji możemy zrobić? Przecież nie zrezygnujemy z możliwości uzyskiwania informacji o ruchach przeciwnika.

– Chyba wiem, co pan ma na myśli. Trzeba ich obserwować z podstawki.

Roman pokiwał głową.

– Tak, Jubiler. Tylko to możemy zrobić. To jedyny rodzaj obserwacji, którego nasi koledzy nie spartaczają.

Podstawka była stosunkowo bezpieczną obserwacją. Prowadziło się ją z pojazdu przystosowanego do tego celu. Mógł to być bus lub ciężarówka zaparkowana w pobliżu obiektu i wyposażona w ruchome kamery. Dobre maskowanie uniemożliwiało wykrycie przyrządów z zewnątrz. Tylko na to Roman mógł się zdecydować w tak trudnym przypadku.

– Więc już wiesz, Jubiler, co masz zrobić.

– Tak, przygotuję wnioski na punkty obserwacyjne.

Po akceptacji wniosków Roman nie podjął rozmów z obserwacją. Z niektórymi oficerami z Biura miał na pieńku. Instrukcje zawarte we wnioskach były jasne. Czekał na spływ informacji.

*

Nieoczekiwanie zjawił się Klepacz. Któregoś ranka do pokoju Romana wpadł Jubiler, informując go, że w sekretariacie wydziału czeka na niego gość. Na pytanie, kto to taki, nie potrafił odpowiedzieć.

W sekretariacie Roman zastał Klepacza, jak zwykle śmiertelnie poważnego, z wyrazem skupienia na twarzy. Zaprowadził go do swojego pokoju. Klepacz zgodził się wypić kawę, więc Roman nastawił elektryczny czajnik. Kiedy krzątał się po pokoju, wpadł mu do głowy żartobliwy pomysł. Podszedł do biurka, na którym leżała otwarta teczka informatora i zamknął ją głośno. Chciał w ten sposób przypomnieć, jak zachował się Klepacz, gdy go odwiedził w wydziale wschodnim. Oczywiście, miał to być żart. Ale Klepacz nie zareagował nawet mrugnięciem powieki. Nieruchomym wzrokiem spoglądał przed siebie, oczekując, aż Roman poda kawę i usiądzie naprzeciw.

– Cukru, Jasiu? – zapytał uprzejmie, gdy kawa stała na stole.

– Nie, ja piję tylko gorzką – mruknął Klepacz. Milczał, mieszając łyżeczką napar.

Oj, ciężko się z tobą rozmawia – pomyślał Roman. Był ciekaw, co za interes może mieć do niego Klepacz. Jak świat światem nigdy go jeszcze nie odwiedził. Chyba nikogo nie odwiedzał. Czuł się najlepiej sam w czterech ścianach. Przynajmniej nie widział nieprzychylnych mu osób, a za takich pewnie uważał wszystkich oficerów firmy.

– Jak tam sprawa, Romku? – odezwał się w końcu Klepacz.

– Jaka sprawa? A, chodzi ci o Izydora.

Klepacz skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- No, dobrze, Jasiu, dobrze, rozwija się - odpowiedział zwyczajowym zwrotem. Sprawa należała teraz do niego i Klepacz nie powinien się nią interesować, chyba że Hunek zarządziłby koordynację międzywydziałową. Ale Roman nie widział takiej potrzeby.

- W zasadzie to już nie moja rzecz. - Klepacz mówił powoli, z namysłem. - Tym niemniej nie da się uciec tak od razu od sprawy, którą jakiś czas się prowadziło.

- Pewnie, Jasiu, pewnie. - Roman pośpieszył z zapewnieniem, że podziela zdanie kolegi.

- Zwłaszcza jeśli podjęło się czynności, których nie można zatrzymać - ciągnął Klepacz.

Do czego on zmierza? - zastanawiał się Roman.

- Widzisz, Romku, sprawa Izydor jest ciekawą sprawą i podjąłem szereg czynności, ciekawych czynności. A ich wynik mógł mieć znaczenie dla wyjaśnienia moich podejrzeń.

No, no, nigdy bym nie pomyślał, że aż tak się zaangażowałeś - pomyślał z ironią Roman.

- Najbardziej istotną kwestią było ustalenie, czy Izydor ma kontakty z generałami z KDB. Pamiętasz pierwszą informację ze sprawy? No właśnie. Wiesz przecież, jak trudno sprawdzić takie informacje. Sprawdzenia podjąłem się przez swoich białoruskich informatorów ze sfery biznesu z Mińska. Pokazałem im fotografie figuranta i jeden z nich rozpoznał Izydora. Tak, to te brakujące zdjęcia w sprawie.

Klepacz napił się kawy i ciągnął dalej:

- Wtedy mój informator przypomniał sobie, że widział Izydora w restauracji Białoruś przy alei Rewolucji Październikowej

w Mińsku. Było to jakieś półtora roku temu. Znał Izydora z widzenia, bo zaopatrywali się w materiały odzieżowe w tej samej fabryce. Zetknięcie w restauracji było całkowicie przypadkowe. Izydor biesiadował przy stoliku z jakimś jegomościem, chyba Białorusinem, a może Rosjaninem, gdyż rozmawiali po rosyjsku. Wyciągnąłem z wywiadu fotografie wyższych oficerów KDB, ale mojemu informatorowi popsuły się układy. Z powodu zaległości podatkowych milicja w Mińsku zatrzymała mu paszport. Przez kilka miesięcy nie mógł stamtąd wyjechać. Dopiero ostatnio udało mu się wyjść z kłopotów. Przyjechał i niedawno z nim się widziałem. – Klepacz przerwał i zapatrzył się w ścianę. Roman z niecierpliwością czekał na ciąg dalszy. – Tak... tak – powiedział w zamyśleniu Klepacz. – Więc widziałem się ze swoim informatorem. Całkiem niedawno. Pokazałem mu fotografie białoruskich KDB-owców, a on bez wahania wskazał jednego z nich.

Sięgnął do kieszeni i podał Romanowi czarno-białe zdjęcie. Była to powiększona fotografia ze zdjęcia wklejonego do jakiegoś dokumentu. W prawym dolnym rogu został ślad po pieczęci. Przedstawiała mężczyznę około pięćdziesiątki, z puciołowatą twarzą, widoczną łysiną przysłoniętą pożyczką, ubranego w staromodną marynarkę. Roman pytająco spojrział na Klepacza.

– To generał Władymir Józefowicz Anielin. Jest kierownikiem sekcji w wydziale polskim KDB w Mińsku. Całe życie spędził w służbach. Do końca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku pracował w archiwum KGB⁵, też w Mińsku. Był naczelnikiem wydziału oznaczonego literą S. Wydział ten zajmował się archiwizacją i przechowywaniem wszelkiej dokumentacji dotyczącej operacji specjalnych KGB z terenu Białorusi. Kiedy rozpadł się

Związek Radziecki, Rosjanie wycofali z Mińska swoich oficerów, a materiały wydziału S zniszczono. Sytuacja szybko się ustabilizowała za czasów Łukaszenki i wielu Rosjan wróciło do Mińska, do KDB. Robią tam swoje sprawy i nadzorują pracę Białorusinów. Ale przedtem wydział Anielina uległ likwidacji jako niepotrzebny. Bo operacje specjalne prowadzili Rosjanie i gdy na jakiś czas wycofali się do siebie, nie było sensu utrzymywać archiwum specjalnego. I tak zresztą już w nim nic nie było, bo, jak ci mówiłem, materiały wydziału zniszczono. A duplikaty są na Łubiance w Moskwie. Anielin musiał iść do pracy operacyjnej. Zatrudnili go w wydziale polskim, który wówczas powstawał. Szybko się wybił, to zdolny facet. To tyle, co o nim wie wywiad.

Klepacz skończył. Po raz pierwszy w tej rozmowie spojrzął na Romana. Jak zwykle, beznamiętnie. Roman analizował informacje, jakie właśnie usłyszał. Były bardzo interesujące, wręcz niesamowicie ciekawe, co przyznał w duchu. Szkoda, że nie miał ich wcześniej. Nie musiałby tak fantazjować we wnioskach o podsłuch. Ale co mu to daje teraz? Potwierdzenie podejrzeń o współpracę Izydora z KDB. Tylko tyle i aż tyle. Nadal jednak nie ma nici, która łączyłaby ten wątek z British Council i Anglikami.

– Zastanawiam się, Jasiu – zaczął Roman – dlaczego Izydor tak raptownie przestał wyjeżdżać na Białoruś? Wobec tego, co powiedziałaś, jego współpraca z KDB nie budzi wątpliwości. Czy raczej nie budziła. Bo jeśli teraz nie utrzymuje żadnych kontaktów, może to oznaczać, że zerwał współpracę.

– Należy w to wątpić. – Klepacz lubił wypowiadać się w tonie urzędowym. – Nadal bierze towary na Białorusi. W dużych ilościach

i po małych cenach. Taki biznes jest zarezerwowany tylko dla uprzywilejowanych.

– Chcesz powiedzieć, że utrzymuje łączność z KDB i jest dla nich użyteczny?

– Tego nie można twierdzić na pewno.

– Gdyż jeśli tak jest – ciągnął swoją myśl Roman – to znaczyłoby, że łącznikują go w kraju. Może przez rezydenturę ambasady?

Klepacz przecząco pokiwał głową.

– Nie, to niemożliwe. Od dwóch lat okroili znacznie obsadę obserwacji w rezydenturze z braku pieniędzy, gdyż tylko to jedno mogło skłonić ich do tak... drastycznego kroku. Zajmują się wyłącznie zabezpieczaniem terenu wokół ambasady i miejsc, gdzie mieszkają dyplomaci z Białorusi. Zwyczajna wewnętrzna inwigilacja. Chronią swoich, bo boją się, że będziemy ich werbować. Nie poruszają się szerzej nawet po stolicy. A zabezpieczenie spotkania z agentem na mieście wymagałoby zatrudnienia ich całej obserwacji. To zwróciłoby od razu naszą uwagę.

– A może przez kogoś przyjezdnego? Kogoś nierzucającego się w oczy, kto przekracza granicę bez bagażu, przyjeżdża do Warszawy i wraca następnym pociągiem.

– Wątpię. To bardzo ryzykowne. W ten sposób działają po naszej stronie granicy, ale nie poruszają się więcej niż pięćdziesiąt kilometrów w głąb kraju. Rozumiesz, w pasie przygranicznym jest ich sporo, łatwo się zgubić w tłumie ziomków. Można odbyć szybkie spotkanie z agentem i wracać do domu.

– Więc może Izydor wyjeżdżał nad granicę?

– Nie. – Klepacz był pewny tego, co mówi. – Stosowałem wobec niego obserwację kontrolną, wyniki masz w sprawie. Nie było ani

jednego wyjazdu w kierunku wschodnim.

- No cóż, chociaż co do jednego możemy być przekonani - podsumował wynik rozmowy Roman. - Izydor współpracował z KDB. Czy jest nadal ich agentem, tego nie wiemy. Nie wiemy też, co dla nich robił.

Klepacz spojrział na Romana z przyganą.

- A tobie, Romku, wiecznie czegoś brakuje.

Roman zreflektował się. To, co powiedział, zabrzmiało, jakby miał pretensje pod adresem Klepacza, że nie dowiedział się wszystkiego o Izydorze. A przecież teraz to jest jego sprawa, w której zresztą niewiele jeszcze zdziałał.

- Nie, Jasiu, ja tylko tak - powiedział przepraszająco. - Po prostu zastanawiam się, co wiemy, a czego jeszcze nie.

Klepacz nie pytał o British Council. To już go nie interesowało. A może tylko przestrzegał zasad. Z obowiązku przekazał Romanowi informacje o jego figurancie. To minimum, jakie musiał wykonać. Wstał z fotela i dość oziębło pożegnał się z Romanem, który z ulgą zamknął za nim drzwi.

Nieużyty mruk z tego Klepacza - myślał. - A możliwości operacyjne na pewno ma duże. Przynajmniej paru informatorów w Mińsku, może nawet blisko KDB. Mógłby dostarczyć mi trochę informacji, ale z nim nie warto w ogóle zaczynać rozmowy na ten temat.

Informacja, którą otrzymał od Klepacza, była naprawdę bardzo istotna. Stanowiła potwierdzenie hipotezy, że Izydor jest agentem KDB albo przynajmniej nim był. W tym momencie może niewiele dawała Romanowi, którego zainteresowanie ukierunkowane było na

British Council, ale należało wierzyć, że w końcu trafi na nici łączące jednych i drugich.

*

Z dużą uwagą Roman słuchał nagrań z podsłuchu telefonicznego. Po kilka razy czytał tłumaczenia z języka angielskiego rozmów Stockwella i Young. Usiłował wyłowić coś, co skrywałoby się za fasadą zwyczajnych dialogów. Czasami wystarczy położenie akcentu na jakieś słowo, rzucenie w rozmowie zwrotu niepasującego do jej treści, wychwycenie czegoś nieprzystającego do zwyczajnej wymiany zdań. Doświadczenie, jakie posiadał, pozwoliłoby mu na odnalezienie elementów, które dla laika nie miałyby żadnego znaczenia, ale dla oficera kontrwywiadu stanowiłyby klucz do zrozumienia ukrytego znaczenia słów. Oficerowie obcych służb i ich agenci potrafią doskonale kamuflować przekazywane sobie wzajemnie treści. Nie używają prymitywnych chwytów w postaci zwrotów takich jak: „no wiesz”, „chodzi o to”, „co ci mówiłem poprzednio” albo „to spotkamy się tam, gdzie ostatnim razem”, „przygotuj mi to, co zawsze”, „zrób to, o czym ci mówiłem” i tak dalej. To charakterystyczne dla mafii lub dla drobnych kryminalistów, ale nie dla służb specjalnych. Tu obowiązują hasła misternie wplecione w treść rozmowy, które może wychwycić jedynie oficer kontrwywiadu otrząskany ze sprawami szpiegowskimi. Posługiwanie się hasłami to wyższa szkoła jazdy. Oficerowie i agenci są specjalnie w tym celu szkoleni. Telefoniczny kontakt pomiędzy nimi to jeden ze sposobów łączności. A łączność w pracy agenturalnej jest punktem newralgicznym. Ponieważ musi istnieć, kontrwywiad zawsze szuka słabych miejsc właśnie tutaj.

Często jest to jedyna metoda umożliwiająca potwierdzenie, że agent jest rzeczywiście agentem. Zresztą większość szpiegów wpada najczęściej na łączności. Nawet najdoskonalsze kanały komunikowania się są z czasem rozszyfrowywane. O ile, oczywiście, trafnie zostaną wytypowani potencjalni szpiedzy.

Dlatego podsłuch telefoniczny stanowi ważną metodę działania kontrwywiadu. Metodę niosącą za sobą żmudną pracę, odsłuchiwanie przez całe miesiące kilometrów nagrań, żeby wychwycić pozornie drobne elementy, prawidłowości, które będą stanowić punkt zaczepienia. Te punkty zaczepienia poddawane są drobiazgowej analizie, na ich kanwie buduje się hipotezy będące podstawą do podejmowania konkretnych już czynności.

Roman nie dopatrywał się jednak niczego podejrzanego w rozmowach Izydora, Stockwella i Young. Były szablonowe, odpowiednie do profesji każdego z nich. Izydor prowadził rozmowy z kolegami biznesmenami, dzwonił po urzędach, punktach celnych, bankach. Wszystko to połączenia krajowe. Telefonował też kilkakrotnie za granicę, do firm w Manchesterze, co Roman ustalił po numerach telefonów. Nieskładną angielszczyznę pytał, czy dostawy już dotarły, uzgadniał zamówienia na jakieś kolekcje. Romana uderzyło to, że rozmawiał sam z kontrahentami o dość specyficznych w końcu tematach, a nie korzystał z pomocy absolwentów kursów organizowanych przez British Council, z pewnością bardzo dobrze znających język angielski. Czyżby British Council nie zmuszała go, by zatrudniał absolwentów? A jeżeli miał takiego absolwenta, to dlaczego nie pozwalał, aby wyręczał go w prowadzeniu rozmów z Anglikami, chociażby pod jego dyktando? Roman jeszcze raz przejrzał wszystkie tłumaczenia zagranicznych

rozmów Izydora, ale nie dostrzegł nic interesującego. Mało prawdopodobne, aby pod nazwami materiałów czy wyrobów odzieżowych kryły się jakieś hasła.

Rozmowy telefoniczne Stockwella i Young podzielił na dwa rodzaje – prowadzone w języku polskim i angielskim. Te po polsku odsłuchiwał sam bezpośrednio z taśmy. Stockwell zdecydowanie lepiej niż Young władał polskim. Wprawdzie obcy akcent był łatwy do wychwycenia, ale rozmowy prowadził płynnie, bez zająknięć i zastępowania trudnych słów angielskimi odpowiednikami. Większość kontaktów to rozmowy z organizatorami kursów fundowanych przez British Council oraz z samymi kursantami, którzy zazwyczaj chcieli zasięgnąć informacji. Uwagę Romana zwróciły kontakty Stockwella z kobietą, mieszkanką stolicy. Uprzejmości świadczone przez Anglika pod adresem kobiety nosiły wręcz cechy czułości. Kobieta odwzajemniała troskę o samopoczucie, o to, żeby wziął parasol, bo będzie padać, wyjaśniała, że ostatnio ją czy jego bolał brzusek i czego to mogą być objawy. W rozmowach tych Stockwell zachowywał wszakże ostrożność, bo nie umawiał się przez telefon i nie wymieniał miejsc, gdzie się spotykali. Ona także była w tym powściągliwa, widocznie pouczona przez Anglika. Roman ustalił jej adres, a dalsze czynności rozpoznawcze zlecił Jubilerowi.

Z kolei krajowe kontakty Jezabel Young były bardzo wstrzemięzliwe. Właściwie prowadziła wyłącznie rozmowy służbowe z urzędnikami ministerstw, organizatorami kursów, niekiedy z kursantami. Z niektórymi z nich przechodziła na angielski. Ton jej głosu był powściągliwy, pozbawiony emocji. Kaleczenie przez nią języka polskiego przydawało niektórym wypowiedziom komizmu.

Była to jedyna rozrywka Romana przy nużącej czynności słuchania o nieciekawych sprawach.

Rozmowy zagraniczne odbywały się wyłącznie na kierunku angielskim. Były to rozmowy z centralą British Council oraz z rodziną. Roman zdumiał się, gdy odczytał tłumaczone z angielskiego dialogi Young z mężem. Jakże oni musieli się kochać! Mając w pamięci powierzchowność pani Young, Romanowi trudno było w to uwierzyć. Dlatego sprawdził londyński adres, ale wszystko się zgadzało. Mieszkało pod nim małżeństwo, Jezabel i Paul Young.

Zestawiając natomiast połączenia z Anglią, Roman zwrócił uwagę na jeden numer, pod który dzwonił i Stockwell, i Young. Owszem, dzwoniли też razem na kilka numerów, ale te należały do centrali British Council. Po sprawdzeniu okazało się, że ten jeden numer przynależy do prywatnego mieszkania w północnym Londynie. Dziwna sprawa, ale Stockwell i Young prowadzili z mężczyzną z tego mieszkania rozmowy służbowe. Konsultowali się w swoich poczynaniach w zakresie organizowania kursów, ich tematyki, czasu trwania. Kontakty miały miejsce w różnych porach, nawet w nocy. Rzecz wymagała sprawdzenia. Roman przeforsował u Hunka zlecenie wywiadowi wykonania czynności obserwacyjnych tego adresu. Wywiad załatwiał takie sprawy poprzez siły obserwacji swojej rezydentury w Londynie. Roman doprowadził do zlecenia tych zadań wbrew swojemu przekonaniu, że wywiad niechętnie czyni cokolwiek dla kontrwywiadu. Owszem, może przekazać jakieś materiały, informacje, fotografie, jak w tym przypadku, o którym opowiedział mu Klepacz, lecz dotyczące tego, co już ma w swoim posiadaniu. Tak naprawdę to nie wierzył, że wywiad w ogóle zajmie się sprawą. Po dwóch, trzech miesiącach otrzyma odpowiedź, że

podjęto wysiłki dla zorganizowania obserwacji w wiadomym miejscu, ale trudne warunki terenowe zmusiły sekcję obserwacyjną do odstąpienia od realizacji zadania. Tak pewnie będzie. Chciał jednak czuć się w porządku wobec samego siebie, że niczego nie zaniedbał. Po raz pierwszy od kilku lat wykonywał prawdziwą robotę. Trochę to dziwne, ale momentami czuł powracającą werwę, chęć zrobienia czegoś, o czym kiedyś marzył. Dlatego przecież zaczął pracować w tym zawodzie.

W czasie wytężonej pracy Roman nie zapominał o Jubilerze. Dawał mu do przesłuchania taśmy z nagraniami i teksty tłumaczone z angielskiego. W zasadzie czynił to wbrew instrukcji, gdyż Departament Techniki zastrzegał przy każdej taśmie i w każdym tekście, że zgodnie z paragrafem takim to a takim przepisów obowiązujących tenże Departament z niniejszą przesyłką może zapoznać się tylko zleceniodawca, czyli właśnie Roman. Ale jak młodzież miała uczyć się specyfiki analizowania rozmów z podsłuchu, jeżeli pierwsze poważniejsze sprawy zaczynała prowadzić po pięciu latach stażu, a potem jeszcze musiało upłynąć trochę czasu, aby sprawa nabrała kolorów, bo dopiero wtedy można było dostać zgodę na podsłuch? Dlatego Roman nie zważał na instrukcję Departamentu Techniki, aczkolwiek przykazał Jubilerowi, aby nikomu o tym nie mówił. Cieszył go zapal młodego oficera, odnajdywał w nim po trochu siebie samego sprzed wielu, niestety, lat. Bawiła go nieporadność Jubilera w interpretowaniu operacyjnym odsłuchiowanych z taśm rozmów. Oczywiście Roman tego po sobie nie pokazywał. Z pełną powagą wyjaśniał mu kwestie, które dla doświadczonego oficera były truizmami. Ważne, że

chłopak miał serce do tej roboty. Żeby jeszcze chciał zrzucić z siebie te błyskotki.

*

Od pracy przy biurku Roman odrywał się tylko wtedy, gdy szedł na spotkania z S-7. Kontakty należało zintensyfikować z dwóch względów. Wymagała tego taktyka operacyjna. Po pierwsze, zgodnie z zasadami pracy kontrwywiadu po werbunku trzeba wdrożyć nowe osobowe źródło informacji do stałych kontaktów z oficerem prowadzącym. Miało to spowodować przyzwyczajenie się informatora do współpracy, do uznania przez niego, że zgoda na współpracę z firmą wywołała nieodwracalny skutek. Pozostawiony samemu sobie przez dłuższy czas po pozyskaniu mógł dojść do niewłaściwych wniosków, że kontrwywiadowi nie zależy na nim tak bardzo, a więc może jakoś uda się wykręcić z tej hecy. Częste spotkania w początkowej fazie współpracy eliminowały te niebezpieczne myśli.

Po drugie, w wypadku S-7 duża intensywność kontaktów wynikała też z konkretnych potrzeb operacyjnych Romana. Musiał go dokładnie przeszkolić, czyli omówić zainteresowania firmy na kierunku angielskim, ich specyfikę, nauczyć zwracania uwagi na rzeczy ważne i eliminowania nieistotnych. No, i szczegółowo omówić sposoby kontaktowania się. Wbić do głowy zasady kardynalne, jak chociażby zakaz telefonowania z zagranicy na telefon Romana w firmie, a wyłącznie – i to też w zupełnie wyjątkowych przypadkach – na specjalnie przeznaczoną do tego celu komórkę. Całe mnóstwo kwestii do przegadania. I w końcu odpytanie informatora, coś w rodzaju egzaminu czy ustnego testu.

S-7 pozytywnie przeszedł szkolenie. W trakcie kolejnych kontaktów zadawał coraz mniej głupich pytań, więcej słuchał i naprawdę przykładał się do nauk udzielanych mu przez Romana.

Podczas jednego ze spotkań Roman przetestował S-7 na alkohol. Zaszyli się w małym pubie na Żoliborzu i Roman zaczął serwować trunki. Celowo mieszał alkohole, najpierw piwo, potem trochę wina, słodka wódka, koniak i na końcu najprawdziwsza czysta. Mieszanina skutkowałą szybszym uderzeniem procentów do głowy, a o to chodziło Romanowi. S-7, jak przystało na biznesmena, który z niejednego pieca jadł chleb, dotrzymywał mu kroku bez mrugnięcia okiem. W pewnym momencie Roman zaczął mieć obawy, iż trafił na lepszego od siebie. Znaczyłoby to, że informator jest świetnym zawodnikiem, bo oficerowie kontrwywiadu mają mocne głowy.

Praca operacyjna nierozdzielnie jest połączona ze spożywaniem alkoholu zarówno podczas zwykłych rozmów, tych werbunkowych, jak i przez lata współpracy z informatorami. Niedoświadczony oficer, który dotychczas zwykł wypijać alkohol jedynie na Boże Narodzenie lub Wielkanoc – i to w postaci kieliszka wina lub lampki koniaku – przeżywa szok na początku swojej kariery jako pracownik operacyjny kontrwywiadu. Odkrywa nagle, że jednym z podstawowych warunków jego pracy jest spożywanie alkoholu. Oczywiście nie ma mowy o picciu bez przerwy i w każdych okolicznościach, bo to nieuchronnie prowadzioby do alkoholizmu. Pije się dla rozwiązania komuś języka, żeby podpisał zobowiązanie do współpracy, nie wiedząc i nie widząc, co podpisuje, obchodzi się imieniny i urodziny informatora, jego srebrne wesele, ślub córki, niespodziewany zgon w rodzinie, awans w pracy. I w takim szoku

początkujący oficer zaczyna rozumieć, co znaczy słowo kac; uczy się, jak go leczyć i z nim żyć. Z tego powodu powstają nieporozumienia w jego rodzinie, która także przeżywa szok. Niekiedy nieporozumienia przekształcają się w poważne konflikty, te jednak najczęściej udaje się załagodzić, gdy oficer skorzysta z rad starszych kolegów, którzy przeszli przez to samo trochę lat wstecz.

Roman zauważył, że S-7 wykazuje coraz większą pewność siebie. A więc dostrzegł szansę wygranej i jest przekonany, że będzie górował nad nim do końca. Roman sam zwrócił uwagę na swoją słabość. Zaczął mówić niewyraźnie, plątał się mu język, a jeszcze nie przeszli na czystą! Trzeba koniecznie zniwelować przewagę S-7. Najgorszą rzeczą, jaka mogła przydarzyć się Romanowi przed informatorem, był jego blamaż podczas testu alkoholowego. Tylko jedno mu pozostało. Roman wstał i wyszedł do toalety. Tam przy pomocy dwóch palców zwrócił skonsumowaną zawartość. Od razu poczuł ulgę. Przed lustrem obmył twarz, wziął kilka głębokich wdechów i spokojnie odetchnął. Mógł kontynuować.

Uśmiech triumfu szybko znikł z twarzy informatora. Roman znowu przejął inicjatywę przy stoliku. Raz za razem wznosił kolejne toasty. Bełkotliwość mowy znikła, wrócił dźwięczny i wyraźny głos. Gdy kończyli pierwszą butelkę czystej, S-7 gotów był przyznać się do porażki. Lecz nie był w stanie tego uczynić. Rwał mu się głos, zapominał wątku i słów. Roman uważnie przypatrywał się informatorowi. Mimo sporych ilości wypitego alkoholu jego zachowanie zasadniczo się nie zmieniło. Był powściągliwy w swoich wypowiedziach, nie okazywał gwałtownych odruchów czy reakcji na celowo prowokacyjne wypowiedzi Romana. To dobrze. S-7 nie tracił kontroli nad sobą po sporej dawce mieszanki alkoholowej. Mimo że

głowa mu się kiwa, a oczy ślimaczyły, nie mówił więcej, niż powiedziałby po trzeźwemu. Wreszcie Roman orzekł w duchu, że informator zdał test. Postanowił nie męczyć go więcej i odwołał złożone już zamówienie na kolejną butelkę czystej. Z pewnym trudem ujął S-7 pod ramię i wyprowadził z lokalu. Odstawił go do najbliższego postoju i wepchnął do taksówki. Podał taksówkarzowi adres i banknot pięćdziesięciozłotowy. Ponieważ skończyły mu się pieniądze, które pobrał z firmy na przeprowadzenie testu, zatrzymał machnięciem ręki przejeżdżający radiowóz policyjny i po okazaniu legitymacji polecił odwieźć się do domu.

*

W końcu zakończył formalności związane z pozyskaniem informatora czy raczej przerejestrowaniem aspiranta na informatora. Napisał właściwe raporty, uzyskał akceptację na przedterminowy werbunek, który przeprowadził na papierze. Wtedy wypełnił odpowiednie druki i osobiście zaniósł je kapitanowi Jeremiaszowi. Ten polecił swoim pracownikom umieszczenie ich w kartotece podręcznej i komputerowej. I w taki sposób rozpoczęło się urzędowe istnienie informatora o pseudonimie S-7. Teraz mógł go właściwie wykorzystać, gdyż instrukcja operacyjna zabraniała realizowania poważniejszych zadań z osobami, które nie są informatorami, inaczej mówiąc: z takimi, co nie zostały zarejestrowane w ewidencji jako stali współpracownicy firmy. Zlecenie komuś przed zarejestrowaniem go jako informatora zadań do wykonania za granicą było nie do pomyślenia. Tej zasady, jako jednej z niewielu, przestrzegali bez wyjątku wszyscy oficerowie. Dzięki formalnemu doprowadzeniu sprawy werbunku do końca

Roman zrzucał z siebie pęta, które narzucała instrukcja. Formalny aspekt werbunku miał jeszcze tę zaletę, że mógł już wprowadzić informatora do jednego z tajnych miejsc spotkań – w przypadku S-7 będzie to Niezapominajka. No, i rzecz niebagatelna – wydatki na współpracę ulegały zwielokrotnieniu w stosunku do nakładów ponoszonych na aspiranta na informatora. Tak, pozyskanie kogoś do współpracy z kontrwywiadem przynosiło same korzyści, a do tego jeszcze premie, uznanie przełożonych, z czasem może jakiś skok na wyższy szczebelek w hierarchii służbowej, jak wszystko dobrze pójdzie.

Roman zatelefonował do S-7 i wyznaczył mu nowe miejsce następnego spotkania – Niezapominajkę. Okazało się, że informator jeszcze nigdy tam nie był, chociaż oczywiście kojarzył lokal.

Roman z przyjemnością usiadł na swoim starym miejscu. Na dworze dokuczał upał dojrzałego lata, a w lokalu panował miły chłód. Wentylatory pracowały leniwie, gdyż grube mury nie przepuszczały nazbyt wiele ciepła panującego na zewnątrz. Roman spojrzał na salę i ocenił, że ruch był średni. Goście zajmowali mniej niż połowę stolików. Wszyscy to stali bywalcy i Roman ich tu widywał rzadziej lub częściej. Nie było reguły, oficerowie miewali spotkania w różnych terminach.

Wreszcie przyszedł S-7. Trochę zasapany, z kroplami potu na czole.

– Całe szczęście, że to lato niedługo się skończy – powiedział po przywitaniu się z Romanem i rozejrzał się po sali. – Wie pan, ja tu jeszcze nigdy nie byłem. A to prawie centrum Warszawy. – Nadal rozglądał się z zaciekawieniem. – Trochę tu dziwnie.

- Niech pan tak się nie rozgląda - powiedział Roman. - Co pan tu widzi dziwnego?

- No, ludzie, tak jakoś dobrani w pary przy stolikach. Same chłopcy, nie, przepraszam, są dwie kobiety. I wszyscy odpicowani w garnitury.

- To miejsce jest trochę szczególne. Ale o tym kiedy indziej. Od dzisiaj będziemy spotykać się w tym lokalu.

- Może być. Nie jest tu źle. Miło będzie posiedzieć w kulturalnym towarzystwie. - S-7 zrobił ruch głową w kierunku sali.

- Tylko proszę zakładać garnitur na nasze spotkania tutaj. - Roman popatrzył z dezaprobatą na koszulkę polo informatora. - I krawat, koniecznie. Tu obowiązuje strój wizytowy.

- Strój wizytowy? Jest jedenasta rano. - S-7 był nieco zdziwiony prośbą Romana.

- Uhm, wytłumaczę to panu później. Na razie byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan zastosować się do mojej prośby.

Informator pokiwał głową na znak, że się zgadza. Nie mógł przecież zrobić inaczej.

Roman zamówił kawę i wino. Przeszedł od razu do rzeczy.

- Panie Wilhelmie, jest pan, można tak już powiedzieć, przeszkolonym współpracownikiem kontrwywiadu.

- Uwzględniając też lekcję, jakiej udzielił mi pan w pubie. - S-7 chciał być dowcipny.

Roman pominął milczeniem tę uwagę.

- Pora przejść do spraw poważnych. Wybiera się pan wkrótce za granicę...

– Skąd pan o tym wie? – Informator był zaskoczony. – Jeszcze nikomu nie mówiłem. Tylko żonie.

– Zarezerwował pan bilet na wtorkowy lot do Londynu. Stamtąd pojedzie pan koleją do Manchesteru.

Informator już nic nie mówił.

– Otrzyma pan pierwsze zadanie. Skopiuje pan wszystkie papiery, jakie znajdują się w biurku osoby, która nas interesuje. Macie chyba kserokopiarkę w biurze, prawda?

– Tak, jasne, że mamy. Ale zaglądnąć do czyjś biurka... I do tego jeszcze kserowanie. Tak nie można. Przecież to są prywatne sprawy. Poza tym to chyba sprzeczne z prawem. Jak ktoś zobaczy, może z tego zrobić użytek.

– Panie Wilhelmie. Najwyższy czas wyzbyć się tych mieszczańskich naleciałości. Nie wykona pan nic naganego. Gdyby zrobił pan to samodzielnie, z własnej inicjatywy, można by wtedy rozpatrywać takie działanie w kategoriach, o jakich pan mówi. Lecz zadanie zleca panu firma, czyli to, co nielegalne, staje się legalne.

S-7 targały wewnętrzne rozterki znajdujące wyraz w grymasach na jego twarzy. Roman degustował wino i spokojnie mu się przyglądał. Rozterki, czyli coś, co nazywamy oporami moralno-etycznymi, zaraz zostaną przewyciężone. A raz zwyciężone, zazwyczaj nie powracają.

– Czy to konieczne? – Informator właściwie już pogodził się z zadaniem, oponował bez przekonania. – Czy nie można znaleźć innego sposobu, innej metody na załatwienie tej sprawy?

– Wie pan przecież, że inaczej nie da się tego załatwić. Teraz proszę posłuchać. Wykona pan zadanie, gdy nikt nie będzie mógł przeszkodzić czy zauważyć, co pan robi. Papiery handlowe są ważne,

ale nie najważniejsze. Odnajdzie pan kartki z zapiskami, może notes, czasem może to być skrawek papieru z numerem telefonu czy z nazwiskiem.

– A co potem?

– Potem włoży pan kserokopie do teczki pomiędzy swoje dokumenty i przywiezie do kraju.

Informator zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

– W zasadzie nie jest to takie skomplikowane. Myślę, że da się zrobić.

– No, widzi pan. W sumie są to sprawy proste. Najważniejsze jest, żeby postrzegać je pod właściwym kątem. A to, co robimy, służy interesowi ogólnemu, nadrzędnemu, jak już wcześniej panu mówiłem. Wymaga to niekiedy poświęceń, zburzenia stereotypów myślowych, zmiany zachowań, lecz tylko w zakresie koniecznym dla wykonania zadania zdeterminowanego przez potrzebę ochrania wartości wyższych.

W dalszej części spotkania Roman nie wracał do tego tematu. S-7 przyjął zadanie, a jeśli obudzą się w nim jeszcze wątpliwości natury etycznej, będzie je musiał pokonać samodzielnie. Przecież tłumaczenie Romana, usprawiedliwiające takie działania, było klarowne i przekonujące. A wykładnię znaczeń, co należy uznawać za moralne, a co nie, dawała sama firma.

*

Wyniki obserwacji, tak jak podsłuchów telefonicznych, nie wprawiały Romana w zachwyt. Informacje, ilustrowane zdjęciami i nagraniami video, jakie spływały z podstawek, nie wnosiły nic

szczególnego do sprawy, i to zarówno te sprzed British Council i firmy Izydora, jak i miejsc zamieszkania Anglików i figuranta.

Rejestrowano ranne wyjścia Stockwella i Young z domu, ich wejścia do siedziby British Council, a potem powroty do miejsca zamieszkania. Roman, jeżdżąc samochodem, sprawdził, ile trwa dojazd z domu do pracy Anglików i w odwrotną stronę. Zgadzało się co do joty z czasem, jaki odnotowywały podstawki. Więc Anglicy nie zbaczali nigdzie po drodze, nie zatrzymywali się, żeby z kimś się spotkać.

Znacznie bardziej ruchliwy był Izydor. Często wychodził ze swojej firmy i znikał na długie godziny. Ale to w końcu normalne u biznesmena. Roman zaczął żałować, że nie zastosował obserwacji towarzyszącej. Mógłby rozpoznać bliżej jego kontakty na mieście. Jednak prawdopodobieństwo spalenia obserwacji było zbyt duże, a wpadka w tej fazie prowadzenia sprawy stanowiła groźbę zniweczenia wszystkich podejmowanych przez niego wysiłków.

Wreszcie Romanowi udało się coś wyłapać, chociaż nie miało to związku ze sprawą. Przynajmniej tak mu się wydawało na początku.

Na kilku zdjęciach obserwacja zarejestrowała, jak przed dużą willą na Saskiej Kępie, którą wynajmowało British Council, Jezabel Young stała w towarzystwie młodej kobiety. Było to w porze wieczorowej, po godzinie dwudziestej. Roman od razu rozpoznał towarzyszkę wiceszefowej British Council. To młoda kobieta, z którą spotykał się w Niezapominajce major Szczawiński i z którą rozmawiał Tarpan w hotelu Victoria. Po obejrzeniu fotografii Roman ściągnął z Biura Obserwacji nagranie video. Pracownik obserwacji spóźnił się z włączeniem kamery, która zarejestrowała sam moment rozstania się dwóch kobiet. Young podawała dłoń blondynce,

rozglądając się jednocześnie dookoła, i coś mówiła z uśmiechem. Potem obie się rozeszły. Young wsiadła do zaparkowanego przed domem samochodu i odjechała. Blondynka skręciła w drugą stronę i znikła z oka kamery. Może zaparkowała samochód gdzieś dalej, ale tego nie było już widać. Roman oglądał nagranie wielokrotnie. Nie wychwycił jednak w scenie pożegnania nic szczególnego.

Zreasumował wszystkie dotychczasowe sytuacje, w których widział tajemniczą blondynkę, a więc podczas spotkań ze Szczawińskim. Po raz pierwszy pojawiła się w Niezapominajce około rok temu. Widział ją chyba dwa razy. Potem wystąpiła dłuższa przerwa. I znowu zauważył ją przed kilkoma miesiącami. Przerwa nie oznaczała, że blondynka nie przychodziła na spotkania. Szczawiński mógł umawiać się z nią na terminy, gdy nie było tam Romana.

Niespodziewanie blondynka pojawiła się w Victorii. Czyżby rzeczywiście miała spotkanie z Czeczenami, których widział wtedy na górze? Tak twierdził Tarpan. Może dlatego brodaty Czeczen zaczepił ją w Niezapominajce? No, i auto firmy Vanex. Czy tam pracowała? Teraz spotkanie z Jezabel Young. Czy miało jakiś związek ze znanymi Romanowi faktami? Nie było żadnych przesłanek, żeby łączyć blondynkę ze sprawą Izydor w jakąkolwiek konfigurację. Czy należało powiadomić o wszystkim jej oficera prowadzącego? Roman rozważał wszystkie za i przeciw. Zdecydował, że jednak nie porozmawia ze Szczawińskim. Mógłby się sygnalizować przed blondynką, a to wzmogłoby jej czujność. A ona pewnie gra na dwa fronty, o czym Szczawiński nie wie. Roman postanowił działać na własną rękę.

Zawołał Jubilera i zlecił mu nietypowe zadanie. Miał zastąpić obserwację, czyli być ogonem blondynki.

– Będziesz codziennie wystawał przed firmą Vanex, aż rozpoznasz tę kobietę – podał Jubilerowi fotografię blondynki. – Potem poprowadzisz ją do domu. Nie mamy jej danych. Przedstawia się jako Jabłońska, ale może nazywać się inaczej.

– Nie ma sprawy, szefie. – Jubiler tak właśnie zwracał się od niedawna do niego, co nawet sprawiało Romanowi przyjemność. – Wszystko będzie zrobione, jak należy.

– No, ja myślę. Tylko zdejmij te błyskotki, bo za bardzo rzucają się w oczy. – Krytycznie popatrzył na bransoletę i nowy nabytek młodszego kolegi, czyli sygnet z bordowym kamieniem na serdecznym palcu.

– Dobrze, szefie. Ale tylko na czas obserwacji, prawda? – Jubiler chciał się upewnić, że nie jest to całkowity zakaz noszenia biżuterii.

– Tak, tak. – Roman odprawił Jubilera machnięciem ręki. – Aha, zaczekaj. Spisz z akt rejestrowych spółki Vanex wszystkie dane, zwłaszcza o przedmiocie działalności i udziałowcach.

Jubiler pokiwał głową i już go nie było.

*

Przed wizytą u Pepsuja Roman podsumował dotychczasowe osiągnięcia w sprawie. Jak na kilka miesięcy pracy dorobek był niezły. Parę przekazanych do góry informacji o domniemanych działaniach szpiegowskich Anglików, wskazanie – wyraźne – na zagrożenie ze strony KDB. To powinno zostać zauważone przez władze zwierzchnie firmy, które, uwikłane we własne gierki, łakną potwierdzenia, że wszyscy naokoło zajmują się czymś podobnym.

Połączenie faktów i hipotez w odpowiednich proporcjach uwiarygodniało informacje.

To tyle niejako od strony oficjalnej sprawy Izydor. Strona operacyjna została też rozkręcona. Uzysków z podsłuchów i obserwacji było jednak niewiele. Punkty zaczepienia są w trakcie rozpoznawania. Najważniejsze osiągnięcie to pozyskanie do współpracy S-7. Informator realizował swoje pierwsze zadanie za granicą.

Najsłabszą stroną był kierunek białoruski. Izydor nie kwapił się do wyjazdów na tamtą stronę ani nie telefonował do Mińska. Roman nie miał, o co zahaczyć. Jeżeli będzie tak dalej, Hunek nakaże Pepsujowi podjąć formalną współpracę z wydziałem wschodnim, żeby w oparciu o ich aktywa operacyjne na Białorusi spróbować coś ruszyć, czyli zainicjować działania przeciwnika. Roman obawiał się tego. Jego sprawa stałaby się wspólną sprawą dwóch wydziałów, a gdyby ci z wydziału wschodniego czymś się wykazali, chcieliby zapewne przejąć ją z powrotem. Nie mógł na to pozwolić. Poza tym, że sprawa trochę go wciągnęła, było to jego być albo nie być.

Pepsuj przyjął Romana bardzo miło. Poza kawą na stole pojawiły się ciastka. Było to coś niezwykłego. Trzeba uważać, Pepsuj może szykować jakiś podstęp – pomyślał Roman.

Na razie nic na to nie wskazywało. Pepsuj był wyraźnie odprężony i na luzie. Gawędzili trochę, pijąc kawę i przegryzając ciastkami.

– Co tam nowego w sprawie, Romku? – spytał Pepsuj raczej pro forma, gdyż Roman informował go o każdym ważniejszym działaniu.

– Nic szczególnego, właśnie czekam na sprawdzenia z wywiadu.

– A jak tam twój nowy informator? Nie wrócił jeszcze z zagranicy?

– Nie, będzie dopiero w przyszłym tygodniu.

– Czy nie za wcześnie zleciłeś mu robotę za granicą?

– Myślę, że nie. – Roman odebrał pytanie Pepsuja jako sygnał ostrzegawczy. Czyżby zaczynał się go czepiać? – To proste zadanie i S-7 został szczegółowo przeszkolony.

– Tak... To dobrze, Romku. – Pepsuj wydawał się zamyślony. – Jak sądzisz, sprawa Izydora się rozwija?

– Sam wiesz najlepiej. – Roman nie mógł ukryć irytacji. O co mu chodzi? – Przecież informuję cię o wszystkim.

– Tak, Romku, tak, oczywiście. Twoje informacje bardzo spodobały się na górze. Proszę o więcej.

– Skąd ja mam je wziąć tak od ręki? Muszą poczekać, aż nasze działania przyniosą jakiś efekt.

– Już przyniosły, Romku.

– Co masz na myśli, Maćku?

– Skonstruowałeś bardzo ciekawą hipotezę. I to wiarygodną. Pozyskałeś cennego informatora. Uruchomiłeś podsłuchy i obserwację. Szkoda, że tylko z podstawki, mogłeś puścić ogony. Ale ja szanuję twoje prawo do wyboru metod.

Roman był zdezorientowany.

– Czy uważasz, że zrobiłem za mało, czy też za dużo?

– Widzisz, Romku, ja uważam, że naprawdę zrobiłeś dużo. Wyszorowałeś się przed resztą wydziału. I to znacznie. Jednak powinieneś mieć na uwadze starą prawdę, że pracę i jej efekty trzeba racjonalnie dawkować. A ty robisz całe mnóstwo rzeczy

jednocześnie. Czy wystarcza ci czasu na właściwe analizowanie tego, co uzyskałeś?

Słowa Pepsuja zaskoczyły Romana. Przecież jeszcze tak niedawno gonił wszystkich do pracy. Czyżby rzeczywiście chodziło mu tylko o wykonanie normy, nic ponadto? Zatem Roman musiał spasować, aby dać czas innym na dogonienie go. Każdy pozyska informatora, założy parę podsłuchów, prześle do góry kilka informacji. I wszystko będzie grało. Według ocen przyjętych w firmie wydział zachodnioeuropejski osiągnie średni poziom pracy. To bardzo dobrze. Wszyscy będą usatysfakcjonowani. Zwłaszcza Pepsuj, który uzyska widoki na długie trwanie na stołku naczelnikowskim.

Co mógł zrobić Roman? Nic. Polecenie w firmie to jak rozkaz w wojsku. A sugestia Pepsuja, mimo że tak delikatnie wyrażona, wyraźnie wytyczała mu drogę postępowania. Jednak Roman nie chciał poddać się bez walki.

- Oczywiście masz rację, Maćku. Zbyt intensywna praca wywołuje zmęczenie, a to nie sprzyja właściwemu postrzeganiu skomplikowanych kwestii. Ale ja już ruszyłem parę strun. Daj mi miesiąc na dokończenie bieżących działań. Jeżeli nie przyniosą konkretnego wyniku, przystopuję sprawę.

Pepsuj zastanowił się. Może obawiał się, że Roman rzeczywiście osiągnie sukces i zagrozi jego pozycji? Tak, to całkiem możliwe. Mechanizm obronny w jego umyśle próbował hamować działania operacyjne, które miały perspektywę powodzenia. Gdzieś się ulotnił ten dawny narwany i niepohamowany Pepsuj. Roman wiedział, że jedyną szansą jest osiągnięcie czegoś namacalnego, przybliżenie się do szpiegów i obcych służb na wyciągnięcie ręki, wtedy jego naczelnik nie będzie mógł wstrzymać biegu sprawy. Albo może

odezwie się w Pepsuju żyłka ryzykanta, narwańca, z czego kiedyś słynął w firmie.

– Zgoda, Romku. Daję ci miesiąc. Ale nie więcej. Potem trochę uspokoisz się ze swoją sprawą. Przecież nic ci nie ucieknie. Agenci byli i będą. Obce służby też nie znikną z powierzchni ziemi. A my musimy iść razem, wszyscy, bo inaczej nas zjedzą.

Roman pokiwał głową na znak, że w pełni rozumie i podziela pogląd zwierzchnika. W głębi duszy był smutny. Oto miał przed sobą prawdziwe oblicze firmy. To, z czym stykał się przez wszystkie lata pracy i co powodowało jego niemoc, znowu go podstępnie dopadło. Poczł zniechęcenie. Cóż, spróbuje popracować jeszcze przez miesiąc. Jeżeli nie osiągnie tego, co zamierzał, będzie zmuszony wyhamować. Ostatecznie nic wielkiego się nie stanie. Popadnie w błogostan, nie, raczej w otępienie. I będzie trwać.

*

Po trzech dniach obserwacji do pokoju Romana wpadł Jubiler. Z jego zadowolonej miny widać było, że udało mu się coś ustalić.

– No, Jubiler – powiedział Roman, unosząc głowę znad papierów.

– Chyba coś mam, szefie. – Jubiler był podekscytowany. – Trafiłem ją dopiero wczoraj, gdy wychodziła z pracy. Nie wiem, jak to zrobiła, że nie zauważyłem jej rano. W każdym razie poszedłem za nią, to znaczy pojechałem. Tak, tak, wszystko było w porządku – dodał szybko, widząc zaniepokojenie na twarzy Romana. – Zachowałem właściwy odstęp pomiędzy samochodami. Mieszka na Bemowie, w bloku. Musiałem trzymać się z daleka, gdy wchodziła do klatki. Ale wieczorem wyszła do sklepu, wtedy wpadłem do środka.

Jak wróciła, widziałem, które drzwi otwiera. A przed chwilą ściągnąłem jej dane z pesela.

Podał Romanowi wydruk. Pod adresem figurowała tylko jedna osoba – Alicja Jabłońska, trzydzieści dwa lata, panna.

– Bardzo dobrze, Jubiler. Zauważyłeś coś ciekawego przed firmą Vanex?

– E, co tam ciekawego, cała firma to trzy osoby i kierowca. W raporcie opiszę szczegółowo rysopisy.

Jubiler kręcił się na krześle. Coś ma w zanadru – domyślił się Roman.

– No, mów, Jubiler.

– Więc dzisiaj z rana podjąłem obserwację. Widziałem, jak weszła do firmy. Wyszła koło południa. Wsiadła do autobusu, potem przesiadła się do tramwaju. Wysiadła w centrum i zeszła do przejścia podziemnego, tam, koło rotundy. Podeszła do telefonu przy ścianie i połączyła się z kimś. Rozmawiała parę minut. Potem wróciła do firmy w ten sam sposób.

– To ciekawe, ale czy ty...

Roman przerwał, widząc szeroki uśmiech Jubilera.

– Jasne, szefie, że tak. Dokładny czas połączenia: dwunasta pięćdziesiąt siedem.

Uff, Roman odetchnął z ulgą. Gdyby Jubiler nie odnotował czasu, niemożliwe byłoby ustalenie, do kogo dzwoniła Jabłońska. Z telefonów w przejściu podziemnym co chwila ktoś dzwonił.

– Potem wróciłem i spisałem numer tego aparatu w przejściu. Można ustalać. – Podał Romanowi kartkę papieru.

– W technice teraz przerwa, Jubiler. Zajmij się ustaleniami w sądzie rejestrowym.

- Już się robi, szefie.

Jubiler zerwał się z krzesła, sparodiował wojskową postawę „baczność” i wyszedł z zadowoloną miną. Roman uśmiechnął się do siebie. Ten chłopak naprawdę chce coś zrobić. Byłoby grandą stłumić jego zapał, zmusić, by wyrabiał wyznaczone normy i nic więcej.

Spisał się na medal. Ta Jabłońska jechała parę kilometrów, tłocząc się w autobusie i tramwaju, żeby zadzwonić ze Śródmieścia. A przecież mogła pojechać eleganckim autem firmy Vanex z kierowcą. Tu naprawdę coś nie gra.

Roman w miarę szybko otrzymał numer telefonu ustalony przez Departament Techniki. Pierwsze zaskoczenie. Jabłońska dzwoniła na Białoruś, numer kierunkowy to Mińsk. Teraz trzeba sprawdzić, kto kryje się za tym numerem. Na jego prośbę wydział wschodni sprawdził w elektronicznych książkach telefonicznych Mińska. Numer tam nie figurował. Sprawdzono więc w zestawie znanych wydziałowi wschodniemu numerów mińskiego KDB. Wynik był także negatywny. Roman nie rezygnował. Zwrócił się do Pepsuja, aby Hunek sprawdził numer w wywiadzie. Wydział wschodni mógł mieć niepełne dane. Pepsuj cmokał i pokręcił głową.

- Romku, napisz pismo - radził.

- Maćku, dobrze wiesz, że na odpowiedź będziemy czekać miesiąc albo dwa. Niech Hunek do nich pojedzie. To tylko parę ulic dalej. Czuję, że to jest ważne.

- Może to nowy numer, jeszcze nie zdążyli umieścić go w książce telefonicznej.

- Nie, ten numer ma niską cyfrę początkową.

- A pomyślałeś, że jest to zwyczajnie numer zarezerwowany przez zwykłego obywatela Białorusi?

- Tak, pomyślałem. A jeśli tak nie jest? Wywiad ma na pewno aktualne dane telefonów KDB.

Pepsuj dał za wygraną.

- Dobrze, pójdę z tym do Hunka.

Przez najbliższe dni Hunek był zbyt zajęty, żeby pojechać do wywiadu. W tym czasie Jubiler poczynił bliższe ustalenia o firmie Vanex. Okazało się, że istnieje od roku. Została utworzona przez przedsiębiorstwo Cenzen jako jej spółka-córka, o czym Roman już wiedział. Cenzen objął pięćdziesiąt jeden procent udziałów, pozostałe należały do brytyjskiej firmy City z Londynu. Vanex deklarował działalność w zakresie sprzedaży za granicę sprzętu wojskowego produkowanego przez Cenzen. To było intrygujące. Dlaczego Cenzen dopuszczał Anglików do handlu bronią, pozbywając się części zysków? Wytłumaczenie mogło być tylko jedno. Anglicy zaoferowali rynki zbytu na świecie, najpewniej w krajach Trzeciego Świata, gdzie zawsze mieli dobre układy. Aby przekonać się o słuszności przypuszczenia, Roman musiał nawiązać kontakt z WSI⁶, które rozciągało parasol ochronny nad przemysłem zbrojeniowym. To była ich domena. Siedzieli sobie w przedsiębiorstwach tej branży jak u Pana Boga za piecem.

Po namyśle zrezygnował z tego pomysłu. Firma miała niezbyt dobre mniemanie o WSI. Rozpowszechniony był pogląd, który Roman podzielał, o ciasnych horyzontach i małej wyobraźni operacyjnej oficerów ze służb wojskowych. Ich działania cechował schematyzm i mimo najlepszych chęci robili za dużo hałasu, co nie

sprzyjało zachowaniu tajemnicy. Roman musiał zadowolić się tym, co już miał.

Wreszcie Hunek pojechał do wywiadu. Pepsuj zadzwonił po Romana. Przeciągając chwilę odkrycia kart, poprosił go, żeby usiadł. Zastanawiał się nad tym, jak przekazać wynik ustalenia. W końcu się zdecydował.

– Chyba trafiłeś, Romku. Ten numer to zastrzeżony telefon służbowy generała KDB, Władymira Józefowicza Anielina.

VII

W poniedziałek Roman nie zdążył jeszcze wyjąć teczek z szafy metalowej, gdy sekretarka wezwała go do naczelnika. Pepsuj był wyraźnie spanikowany.

– Słuchaj, Romku, mamy zaraz iść do Hunka. My dwaj. Nie wiem, o co chodzi, ale podobno w jego gabinecie są jacyś goście z zagranicy.

– Co to ma z nami wspólnego?

– Cholera wie. – Pepsuj wyraźnie wprawił się w stan podniecenia. – Ale nie jest dobrze.

– Dlaczego, Maćku? – Roman nie poddawał się nastrojom przełożonego.

– Co mogą od nas chcieć? Może coś spieprzyliśmy. Nadepnęliśmy komuś na odcisk. Przypomnij sobie, czy nie zrobiłeś jakiegoś nieprzemyślanego ruchu?

Roman myślał. Nie, wszystko robił zgodnie ze sztuką, unikał łatwego ryzykanctwa. Zawsze wolał zawrócić lub zatrzymać się, jeśli było realne zagrożenie.

– Nic mi nie przychodzi do głowy, Maćku.

Pepsuj zaczął obgryzać paznokcie. Nie mógł powstrzymać tego odruchu, gdy był w najwyższym stopniu zdenerwowany. Zadzwoił telefon i sekretarka oznajmiła, że Hunek ich oczekuje. Pepsuj popatrzył na niego wzrokiem, w którym czaił się lęk, i kiwnął głową Romanowi.

- Cóż, idziemy - powiedział.

Przeszli korytarzami wydziału. Minęli służę, potem kolejną przed gabinetem Hunka. Pepsuj już trzymał rękę na klamce, ale odwrócił się i jeszcze raz spytał Romana:

- Na pewno niczego sobie nie przypominasz?

Roman pokręcił przecząco głową.

- No dobrze, wchodzimy.

Sekretarka zaanonsowała ich natychmiast i otworzyła drzwi gabinetu. Roman rzadko tu bywał. Pokój był olbrzymi. Raczej długi niż szeroki. Dużą część gabinetu zajmował dębowy stół z wygodnymi krzesłami po bokach.

Hunek podszedł do nich i podał rękę. Był niewysoki, trochę młodszy od Romana. Miał opinię wytrawnego gracza. Przypadkowo wywindowany na stanowisko dyrektora Departamentu Kontrwywiadu utrzymywał się na nim już dość długo. Miał talent do zawierania właściwych sojuszy. Sojuszników porzucał bez skrępowań, gdy zmieniała się ekipa rządząca.

Poprowadził Pepsuja i Romana do stołu, od którego podniosło się dwóch mężczyzn. Hunek dokonał prezentacji. Wskazując na niższego z nich, przedstawił go:

- To pan pułkownik John Denver, oficer łącznikowy CIA z ambasady USA.

- A to pan major Thaddeus Dembowski z CIA. Właśnie przyleciał ze Stanów Zjednoczonych.

Roman obrzucił Dembowsky'ego spojrzeniem. Wysoki, masywny trzydziestoparolatek. Typowy Amerykanin. Pewnie świetnie by się prezentował w kowbojskich butach i kapeluszu. Albo jako baseballista.

Hunek wskazał Pepsujowi i Romanowi miejsca po przeciwnej stronie stołu, sam przysiadł się do Amerykanów.

– Dzisiejszego spotkania nie będziemy stenografować, zgodnie z życzeniem naszych amerykańskich kolegów. – Hunek skierował do gości promienny uśmiech. – Panowie zgodzili się, żebyśmy prowadzili rozmowę po polsku. Pułkownik Denver zna dobrze nasz język, a pan major jest z pochodzenia Polakiem.

– O tak, ja dobrze mówię i rozumiem po polsku – pośpieszył z zapewnieniem Dembowski. Rzeczywiście, mówił poprawnie, chociaż z twardym, trochę zabawnym amerykańskim akcentem.

– Pułkownik Denver skontaktował się ze mną w ubiegłym tygodniu – Hunek zaczął wyłuszczać przedmiot rozmowy – w bardzo delikatnej sprawie. Jakiś czas temu wywiad amerykański uzyskał od swojego moskiewskiego agenta informację, że SWZ⁷ gromadzi ściśle ukierunkowane informacje o działaniach angielskiego wywiadu. Podobno Rosjanie uważają, że w naszym kraju Anglicy urządzili sobie coś w rodzaju centrum dowodzenia do kierowania operacjami wywiadowczymi w Europie wschodniej i południowej. Co więcej, Białorusini albo sami Rosjanie, co zresztą wychodzi na jedno, dotarli do oficera MI-6 w Warszawie, który przekazuje im informacje. Nie wiadomo, czy został zwerbowany, czy też jest to kooperacja na jakiejś innej zasadzie.

Denver z powagą przytakiwał słowom Hunka. Miał zatroskany wyraz twarzy.

– Wiadomo jeszcze, że informacje przychodzą do centrali SWZ z Mińska białoruskiego. Operację prowadzą więc albo oficerowie rosyjscy uplasowani na Białorusi, albo robią to sami Białorusini, którzy przekazują cały uzysk operacyjny Rosjanom. Byłoby to

oczywiste, gdyż mają ograniczone możliwości spożytkowania takich informacji.

Głos zabrał Denver.

– Ja powiem, dlaczego zwracamy się z tą sprawą do waszej firmy. Bardzo po prostu. Wszyscy wiedzą, że nasze służby, to znaczy moje i brytyjskie, ściśle ze sobą współpracują. Wspomagamy siebie wzajemnie, także tutaj, w Warszawie. I jeżeli Rosjanie albo Białorusini mają szpiega w angielskiej ambasadzie bądź gdzieś indziej, to mogą nam bardzo zaszkodzić. Nie tylko mojej firmie, ale też interesom mojego kraju. W tej sytuacji nie możemy zwrócić się do Anglików, bo każdy fałszywy ruch z ich strony to katastrofa. Jeżeli błędnie wytypowaliby kreta, moglibyśmy nie wykryć go już nigdy. Nie wiemy też, czego dowiedzieli się Rosjanie, ale przypuszczamy, że mogli poznać niektóre nasze operacje. Ich publiczne ujawnienie spowodowałoby trudne do oszacowania szkody.

Inicjatywę przejął znowu Hunek.

– Panowie wychodzą z założenia, słusznego zresztą, że na naszym terenie to my mamy najlepsze rozpoznanie. Proszą nas, abyśmy służyli im radą i pomocą, co może przyczynić się do ujawnienia rosyjskiej czy białoruskiej wtyczki w MI-6. Stąd nasze dzisiejsze spotkanie. Nie muszę dodawać, że współdziałanie zostało zaakceptowane przez właściwe czynniki. Otóż obecny tu pan major – Hunek skinął głową w kierunku Thaddeusa Dembowsky’ego – będzie prowadził działania mające na celu wykrycie agenta czy w ogóle kogoś, kto ze strony angielskiej współpracuje z jednym z naszych wschodnich sąsiadów. My ze swojej strony wydelegowaliśmy do kontaktów z nim doświadczonego oficera operacyjnego – Hunek ruchem dłoni wskazał Romana – który ma sporą wiedzę

o Brytyjczykach w Warszawie. Nie znaczy to oczywiście, że ich szpiegujemy – zastrzegł się natychmiast. – Ale jak każdy kontrwywiad musimy mieć dobre rozeznanie na swoim terenie.

Dembowsky z uśmiechem wpatrywał się w Romana, jakby było mu ogromnie przyjemnie, że to właśnie z nim będzie współdziałał.

– Pan major już zainstalował się w Warszawie. Ze względów bezpieczeństwa będziecie kontaktować się poza firmą. Szczegóły omówicie podczas bezpośrednich spotkań.

Dembowsky podał Romanowi swoją wizytówkę, na której obok wydrukowanego adresu w Waszyngtonie dopisał długopisem swój adres warszawski z numerem telefonu stacjonarnego.

– Możesz dzwonić na telefon, ten pod adresem w Waszyngtonie. Łapie łączność z naszego satelity, nie będzie problemu się dodzwonić.

Roman skinął głową na znak, że zrozumiał.

– To na razie wszystko, panowie. – Hunek dał im znać, że powinni już wyjść.

Pepsuj wyglądał na mocno podnieconego spotkaniem. Roman był raczej skonfundowany rozmową. Zasiedli w fotelach przy ławie, żeby omówić na gorąco niespodziankę, jaką przygotował im Hunek.

– Wiesz, Maćku, wydaje mi się, że sytuacja nie jest zbyt dobra. Nasze działania poszły już daleko, a jeśli wtrącą się w nie Amerykanie, nie wiadomo, czy nie poniesiemy strat.

– Romku, chłopie, co ty mówisz?! – Pepsujowi błyszczały oczy. – Jesteśmy partnerami CIA. Czy mogłeś o tym pomyśleć?

- No, może nie – przyznał Roman. – Ale ja wolę działać na własną rękę.

- Oj, ty już zostaniesz na zawsze wyalienowanym indywidualistą. A prawdziwą moc daje dopiero współdziałanie z partnerami. I to z jakimi partnerami!

Pepsuj nie mógł go przekonać. Może Roman był oficerem starej daty, niereformowalnym, jak to sugerował jego przełożony. Pojmował kontrwywiad jako przede wszystkim intelektualną pracę pojedynczych oficerów. Zespoły są dobre przy przestępstwach zwykłych, choćby miały to być przekręty na grube miliony, ale nie w jego fachu. Kontrwywiad prowadzi działania na niewidzialnej granicy. Tu każdy sam musi rozwiązywać swoje sprawy. Intelektualnej rozgrywki nie da się prowadzić w zespole, bo – wbrew zasadom naukowego zarządzania – burzą mózgów niewiele się wskóra w tej dziedzinie.

Dalszą rozmowę przerwało im wezwanie do Hunka. Pomaszerowali z powrotem tą sama drogą. Gości już nie było. Hunek przyjął ich na stojąco, co znaczyło, że nie zamierza poświęcić dużo czasu na rozmowę.

- Wszystko jasne, panowie? – skierował pytanie pod adresem naczelnika.

- Prawie – mruknął Pepsuj.

- Dobrze. Więc dopowiem resztę. – Hunek zaczął chodzić po gabinecie. – Sprawę Amerykanów znacie. Zapewniają, że nie popsujemy sobie układów z Brytyjczykami, gdyby zdarzyła się jakaś wpadka. Ale to różnie bywa.

Stanął przed Pepsujem i Romanem.

- A teraz do rzeczy. O naszych podejrzaniach operacyjnych ani mru-mru. Owszem, można im przekazać trochę informacji o Anglikach. Raczej niewiele. To już zostawiam do waszego uznania. Pamiętajcie, że to Amerykanie mają interes, nie my. Jeżeli więc chcą, niech prowadzą działania z własnej inicjatywy. My będziemy się na nie zgadzać, oczywiście w granicach rozsądku, i będziemy im pomagać. To znaczy pan to ma robić. - Hunek spojrzał na Romana. - Ma pan zgodę na uczestniczenie w ich operacjach, jeśli będą mieli jakieś pomysły. Może pan ich wspomóc obserwacją, ale na tym koniec. Zrozumiano?

Pepsuj i Roman pokiwali głowami. Hunek wyraził się bardzo zwięźle i jasno.

- A, jeszcze... - Roman chciał coś powiedzieć.

Hunek mu przerwał.

- Wiem, wiem. Ten numer telefonu, na który dzwoniła Jabłońska, został trafiony. Ale to zachowajcie dla siebie. Jeśli ona ma coś wspólnego ze sprawą Amerykanów, to niech ją sobie znajdą.

Roman był zdziwiony, że Hunek tak szybko odgadł, co miał zamiar powiedzieć. Jednak to bystry gość.

- Coś jeszcze? Dziękuję.

Pepsuj zabierał się do wygłoszenia jakiejś kwestii, ale Hunek bezceremonialnie pożegnał się z nimi i otworzył drzwi, mówiąc:

- Do pracy, do pracy, naczelniku.

*

Roman zamknął się w pokoju, czując, że ma galimatias w głowie. Chcąc zapobiec bólowi rozsadzającemu czaszkę, który nachodził go

w takich chwilach, zażył tabletkę aspiryny, popijając ją zimną poranną kawą.

Tego mu jeszcze brakowało. Nie dość, że działa przeciwko Anglikom i Białorusinom, to będzie jeszcze musiał grać z Amerykanami. Przemyślał to wszystko, patrząc na przeciwległą ścianę i machinalnie pocierając kark trzymaną w ręku linijką. Nie ma rady, skoro nakazano mu współdziałanie z CIA, nie może się od tego uchylić. Ale zminimalizuje ilość przekazywanych Amerykanom informacji. Miał nadzieję, że pozwoli to uchronić sprawę Izydor przed rozbiciem.

Roman zastanawiał się. Amerykanie przedstawili sytuację, która w znacznej mierze komplikowała przyjęte przez niego założenie. Do gry wchodziły nowe istotne czynniki w postaci CIA i SWZ. Rozkładały się one następująco. Amerykanie prowadzą z Anglikami wspólną operację przeciwko KDB i SWZ. Tak wnioskował Roman z wypowiedzi Hunka i Denvera. To, co mówili podczas rozmowy, należało przepuścić przez porządny filtr operacyjnego rozumowania. Częścią operacji są kontakty z KDB, przy czym ich ciężar spoczywa na MI-6. I naraz u Anglików pojawia się kret. Amerykanie chcą go odkryć sami. Mają rację, bo rozpowszechnienie tej informacji w MI-6 spowodowałoby taki skutek, że przeciwnicy zamroziliby kreta. To jasne. Ale należy odpowiedzieć na pytania: Jaka gra jest prowadzona i co w niej robi Izydor? Na pierwsze pytanie nie znajdzie odpowiedzi, dlatego trzeba na razie przyjąć najprostszy schemat: celem gry Amerykanów i Anglików z KDB jest SWZ. Jednak w pewnym momencie Rosjanie wzięli górę. Zaczęli kontrolować grę, a do tego uplasowali kreta w MI-6. Może zrobili to Białorusini, chociaż to mało prawdopodobne. W gruncie rzeczy nie

ma znaczenia, kto zwerbował oficera MI-6, bo i tak poczynaniami KDB sterowali Rosjanie. Ten stan był bardzo groźny dla sojuszników. Ich wszystkie operacje znalazły się w niebezpieczeństwie. A Izydor? Izydor występował w charakterze łącznika pomiędzy MI-6 a KDB. Czyli prawidłowa była jego pierwsza hipoteza. Raczej tylko część tej hipotezy, bo w grze brały udział nie dwie, lecz cztery służby specjalne. Ilościowo siły były wyrównane, po każdej stronie stały dwie służby. Cele, jakie chcieli osiągnąć uczestnicy zmagania, stanowiły nadal dla Romana niewiadomą w tym coraz bardziej komplikującym się równaniu.

Był jednak powód do satysfakcji. Nowa sytuacja w jakiejś mierze pozostawała zbieżna z jedną z hipotez operacyjnych Romana. Żeby samodzielnie dojść do tego, o czym mówili Hunek i Denver, potrzebował tylko trochę czasu. Tak, zdecydowanie wolałby sam rozwikłać tę zagadkę do końca.

No, nic. Będzie musiał umówić się z Amerykaninem. Takie otrzymał polecenie.

W dzisiejszej poczcie znalazł przesyłkę z wywiadu. Było tak, jak przewidywał. Wywiad donosił, że potwierdzono, iż adres w Londynie istnieje, ale z powodu ograniczonych możliwości operacyjnych nic więcej nie mogą zrobić. Zdany jest zatem tylko na siebie. Przeczytał od nowa tłumaczenia rozmów Stockwella i Young z telefonu z Londynu, jednak nic szczególnego nie wychwytał. Albo tłumaczenie było niedokładne, albo niepotrzebnie próbował czegoś się doszukać.

Wezwał Jubilera i polecił mu sporządzić wnioski o obserwację z podstawki miejsca zamieszkania Jabłońskiej i firmy Vanex. Nie zdecydował się na puszczenie za nią ogona. Najwyraźniej była przeszkolona, skoro wybrała szczególny dojazd, żeby zadzwonić ze Śródmieścia. Nie wysłał też Jubilera, aby ją śledził. Ten zresztą jakby wyczuł, że to koniec jego chodzenia za Jabłońską. Znowu pozakładał na siebie złote gadżety.

Po uzyskaniu nowych informacji o Jabłońskiej Roman uzgodnił z Pepsujem, że nie poinformują jej oficera prowadzącego o swoich podejrzeniach. Była informatorem Szczawińskiego, a więc grała podwójną rolę, współpracując z generałem KDB. Wydział orientalny nie zajmował się Białorusią. Zwrócili się z tym Hunka, który zaakceptował ich propozycję. Roman czuł się trochę nieswojo, był nie fair wobec kolegi z innego wydziału.

*

W połowie tygodnia spotkał się z S-7, który wrócił z Anglii. Informator dziarsko wkroczył do Niezapominajki, jakby był tu już stałym bywalcem. Roman zauważył od razu, że S-7 zastosował się do jego sugestii i włożył garnitur. Choć na jego gust materiał mógł być bardziej stonowany, a krawat mniej krzykliwy. Ale trudno, dobre i to.

– No, panie Romanie, wszystko załatwiłem, jak należy.

Informator wyjął ze skórzanej teczki plik papierów w tekturowej obwolucie.

– Nikt pana nie widział przy pracy?

– Absolutnie nikt. Przychodziłem specjalnie do biura wieczorami, żeby przypadkiem ktoś mnie nie zaskoczył.

Roman otworzył obwolutę. Zaczął pobieżnie przerzucać kartki. Jakieś umowy handlowe, pisma z banku, wszystko po angielsku. To go nie interesowało. Wreszcie dotarł do kserokopii zapisków wykonanych na kartkach wyrwanych z notesu. Numery telefonów, adresy, imiona i nazwiska. Wtem jego uwagę przykuła kopia małej kartki, na której znajdowała się tylko nazwa ulicy oraz numer domu i mieszkania. To ten adres, pod który dzwonił i Stockwell, i Young. Na pewno się nie mylił. Bardzo dobrze.

– Panie Wilhelmie, niech mi pan powie, czy inni koledzy z biura w Manchesterze jeżdżą po Anglii, gdy załatwiają interesy?

– Tak, chociaż rzadko. Jesteśmy skoncentrowani na Manchesterze.

– A czy uzyskuje pan informacje o ich wyjazdach?

– Tak, informujemy siebie wzajemnie o wyjeździe na wypadek jakiegoś telefonu.

– A czy ten kolega, od którego są te kserokopie, też gdzieś wyjeżdża?

– Sporadycznie. Tylko do Londynu. Prosi wtedy mnie albo kogoś innego, żeby odbierać jego telefony.

Roman zastanowił się przez chwilę.

– I z wyjazdem do Londynu będzie związane pana następne zadanie.

Wyrwał kartkę z notesu, przepisał adres z kserokopii i podał informatorowi.

– Kiedy ten kolega powie, że wyjeżdża do Londynu, pan pojedzie tam przed nim. Znajdzie pan dobre miejsce naprzeciwko tego adresu, najlepiej jakąś kawiarnię ze stolikami na zewnątrz. Będzie pan obserwował adres, a gdy pojawi się kolega... Ma pan kamerę

video? To świetnie. Sfilmuje pan jego wejście do budynku. Potem pan poczeka. Wypije pan kawę albo dwie i sfilmuje pan wyjście kolegi. I jeszcze pan odczeka z pół godziny. W tym czasie będzie pan rejestrował wszystkie osoby wychodzące z budynku.

S-7 podrapał się po głowie.

– No, ale... – zaczął mówić.

– Tak, wiem – przerwał mu Roman. – To wiąże się z kosztami. Po powrocie wystawi mi pan rachunek, a firma ponadto wypłaci panu premię. Zgoda?

– Panie Romanie, pana słowo jest dla mnie święte.

S-7 był w świetnym humorze, uśmiechał się i widać było, że jest odprężony. Czyżby tak szybko wciągnął się do współpracy z firmą? – zadał sobie pytanie Roman. – Może miał szczególne ku temu predyspozycje, które rozwinęły się, gdy trafiły na sprzyjający grunt.

– Widzę, że jest pan zadowolony, panie Wilhelmie. Interesy dobrze poszły?

– Nie mogę narzekać. Ale wie pan, zaczynam wciągać się w te nasze sprawy. Dobrze pan mówił, że z czasem wszystko stanie się dla mnie normalne i nawet będzie mi się podobać.

– Cieszę się. Widzi pan, jak to dobrze jest niekiedy zaufać drugiemu człowiekowi?

*

Roman nacisnął dzwonek umieszczony na furtce ogrodzenia, gdzie tymczasowo zatrzymał się Thaddeus Dembowski. Był to domek jednorodzinny w eleganckiej szeregówce na północnych krańcach Mokotowa. Kiedy zwolnił się zatrząsk, Roman uchylił furtkę i skierował się do drzwi domu. W progu stał gospodarz.

- Ja bardzo się cieszę, że cię widzę. Proszę, proszę do środka.

Zasiedli w salonie na skórzanych kanapach.

- Czego się napijesz? - zapytał Dembowski i sam odpowiedział: - Whisky, oczywiście, przecież to amerykański napój.

Niekoniecznie - pomyślał Roman, a głośno powiedział, że chętnie.

- My musimy się lepiej poznać - mówił Amerykanin, nalewając alkohol i dodając lodu. - Będziemy razem pracować, nie wiadomo jak długo. Zapomniałem, jak masz na imię, przepraszam.

- Roman.

- Ja jestem Thaddeus. To z jakiegoś polskiego imienia. Jak to będzie po waszemu?

- Tadeusz.

- O, to bardzo podobnie. Ale tak, żeby było, no, wiesz, o co mi chodzi, nie tak oficjalnie.

- U nas zdrobniale mówimy Tadek, Tadzik.

- O, o, tak, niech będzie Tadzik, to jest ładnie. Mama i tata podobnie na mnie wołali, jak byłem mały. Teraz mówią Thaddeus, bo jestem stary koń. Słuchaj, Roman. Ja jestem oficerem amerykańskim. Ale Amerykaninem jestem dopiero w drugim pokoleniu. Moi rodzice wyemigrowali z Polski w sześćdziesiątym ósmym. Poznali się w Nowym Jorku, tam się ożenili i ja też tam się urodziłem. U rodziców mówi się tylko po polsku. Ja też chyba dobrze mówię w twoim języku, może mam taki wyraźny akcent, amerykański, ja wiem, Polacy się z tego śmieją. - Machnął ręką, gdy Roman usiłował zaprotestować. - Ty się nie przejmuj, ja tak mówię o tym bez złości. - Stuknęli się szklankami. - Widzisz, Roman. Na spotkaniu u twojego szefa został omówiony zarys sytuacji. My zaś

zajmiemy się konkretami. Podejrzewamy, że Rosjanom chodzi bardziej o skompromitowanie CIA niż Anglików. Dlaczego? Sam sobie odpowiedz. Popatrz, co się dzieje na świecie. Ale to są tylko nasze przypuszczenia, bo nawet nie mamy pojęcia, jaką wiedzę mogli zebrać o naszych operacjach, które prowadzimy wspólnie z MI-6.

– Czy to znaczące operacje? – zapytał Roman, chociaż wiedział, że pytanie jest nie na miejscu.

– Wybacz, Roman, ale nie zostałem upoważniony, aby mówić o tych sprawach. Nie, stary, nie ma żadnego problemu, nic się nie stało. Wydaje mi się, że mamy dobry punkt wyjścia do naszych działań. Z nagłówka raportu, który widział nasz agent w Moskwie, wynikało, że informacje pochodzą od osoby mającej pseudonim albo inicjały JY. My wiemy, że mogą to być inicjały nazwiska Jezabel Young, drugiego szefa British Council w waszym mieście. Ale już nic nie wiemy, co o tym sądzić. Ty wiesz, że gry pomiędzy wywiadami są nieraz bardzo skomplikowane i człowiek zaczyna tracić orientację w tym, co jest prowokacją, a co prawdą.

Roman próbował trawić to, o czym mówił Dembowski. Doprawdy, nie do wiary, ale podejrzania CIA i jego szły w tym samym kierunku. Amerykanin ujawnił, może nie zdając sobie z tego sprawy, że Young jest oficerem MI-6. Jeżeli ma dostęp do tajemnic ich wywiadu, to może być tylko kadrowym oficerem. Wiedza agentów ogranicza się do wykonywanych przez nich zadań, więc jeśli któryś rozpocznie współpracę z drugą stroną, zagrożenie ma charakter jednostkowy, wąski. Tymczasem Amerykanie obawiają się o bezpieczeństwo wszystkich swoich operacji w tym rejonie. Roman

nie wpadał jednak w euforię. Spokojnie. Do zbyt prostych rozwiązań trzeba podchodzić z dużą dozą ostrożności.

– Tak, znam Jezabel Young – dokładnie ważył słowa. – To znaczy jako obiekt operacyjny, oczywiście. Organizuje szkolenia British Council, bywa na rautach. To takie spotkania absolwentów kursów, biznesmenów i różnych oficjeli. Nic szczególnego. To jest, my nie wiemy nic szczególnego na jej temat – poprawił się Roman.

Dembowsky kiwał głową.

– A o Stockwellu?

– To samo, co o Young. Nie interesowaliśmy się nimi zbyt, bo trudno było przypuszczać, że mogą być uwikłani w jakieś tego typu sprawy – łąał z dużą swobodą. Ale tak to było między firmami, jedni chcieli przechytrzyć drugich. – Wiemy to, co uzyskaliśmy w ramach zwyczajnego rozpoznania kontrwywiadowczego. Nie zagłębiały się w British Council.

Dembowsky patrzył na niego uważnie. W jego oczach Roman wyczytał lekki zawód. Czy spodziewał się usłyszeć więcej? Myślał, że poda mu jak na tacy wszystkie informacje, których uzyskanie wymagało z jego strony wielkiego wysiłku, jakiego nie zaznał od lat? Co to, to nie. A może Thaddeus sądził, że Roman nie mówił mu prawdy? Jeśli tak, to odgadł. Ale nie może przecież mówić więcej. Amerykanin sam na pewno powiedział mniej niż pół prawdy. Roman był zbyt starym wyjadaczem, aby dać się złapać na lep szczerości.

– Roman, ja wiem, że ty masz dużo swoich spraw, a ja jestem dodatkowym obciążeniem. Nie, nie zaprzeczaj. Postaram się nie zabierać ci zbyt dużo czasu.

– Ależ nie, Tadzik, jestem do twojej dyspozycji.

- To bardzo fajnie, że chcesz mi pomóc i ja z tego skorzystam. Teraz rozejrzę się trochę po Warszawie i okolicy przez parę dni. Potem skontaktuję się z tobą. Daj mi numer twojej komórki. - Dembowski zanotował numer, a potem wlał do szklaneczek po jeszcze jednej porcji whisky. Wzniósł swoją szklaneczkę do góry i powiedział: - Za naszą współpracę, Roman. Oby nam się, tak się chyba u was mówi.

Roman czuł się trochę zawiedziony. Ten Amerykanin właściwie nic od niego nie chciał.

- A może, Tadzik, chciałbyś, żebym się czegoś dowiedział przez te parę dni? - upewnił się, czy może coś zrobić dla Dembowsky'ego.

- Nie, naprawdę, teraz nie. Tak jak mówię, ja trochę się rozejrzę, a potem się spotkamy. Pewnie będę potrzebował twojej pomocy.

- Możesz na mnie liczyć, Tadzik.

*

Jubiler wykazał się sporą inicjatywą. Ponieważ Roman szukał nowych aspirantów na informatorów mających związki z British Council, potrzebne były listy absolwentów kursów organizowanych i finansowanych przez tę instytucję. Największą współpracę w tym zakresie British Council prowadziło z Uniwersytetem Warszawskim. Na uczelni prowadzono zapisy i tam też na pewno znajdował się jeden z egzemplarzy list uczestników kursów. Z list można by wytypować co najmniej kilku aspirantów, dlatego też Jubiler odszukał komórkę, która zajmowała się tymi sprawami. Rzecz była delikatna, jednak Jubiler okazał się pomysłowy. Zamówił w firmie legalizacyjną legitymację tygodnika „Przekrój”. Przedstawił się na uniwersytecie jako redaktor pisma, który na główny temat numeru

wybrał propagowanie kultury i języka angielskiego przez British Council. Jasne, że chciał przeprowadzić wywiady z kolejnymi rocznikami kursów. Panie sekretarki wykazały duże zrozumienie dla redaktora i skserowały mu wszystkie listy.

Jubiler, który miał za zadanie wytypować i dostarczyć nazwiska potencjalnych aspirantów, w miarę z nieodległych w czasie kursów, co gwarantowało, że absolwenci nadal będą utrzymywali jakieś kontakty z British Council, wpadł do pokoju Romana z podnieceniem na twarzy.

- Niech pan zobaczy, szefie - powiedział z przejęciem, podtykając mu listę.

Pod numerem siódmym figurowała Alicja Jabłońska. Lista pochodziła sprzed ponad roku. Biorąc pod uwagę, że była sporządzona po zakończeniu naboru, jakiś czas trwały przygotowania do kursu, no, i sam kurs nie był krótszy niż trzy miesiące, oznaczało to, iż pani Jabłońska ukończyła go około rok temu, czyli mniej więcej wtedy, gdy powstała firma Vanex. To skojarzenie było, oczywiście, luźne. Niemniej uwagę Romana przykuła rubryka, w której podawano uczelnię, jaką ukończył uczestnik kursu, oraz kierunek studiów. Przy nazwisku Jabłońskiej zapisano: Uniwersytet Oksfordzki, studia z anglistyki. Nikt przecież nie kieruje na kurs języka angielskiego, bo taki jego zakres podano w nagłówku, dyplomowanego anglisty. Kurs odbył się w Londynie.

*

Roman postanowił podsumować ostatnie wydarzenia i zestawić je z uzyskanymi informacjami. Miał niejasne uczucie, że sprawa zaczyna wymykać mu się spod kontroli.

Najwięcej zamieszania wprowadziło pojawienie się Amerykanów. Czy powód zainteresowania się Jezabel Young był rzeczywiście taki, jak podawali? Wynikałoby z niego, że CIA i MI-6 prowadzą z naszego terenu jakąś wspólną operację wywiadowczą o bardzo dużym znaczeniu. Jednak zaczęła się ona dla nich źle układać. Istniało zagrożenie, że przeciwnicy rozszyfrują grę Anglików i Amerykanów przy pomocy kreta, jakiego mieli w MI-6.

Uzyskanie przez CIA informacji od własnej agentury w Moskwie brzmiało wiarygodnie. Było tylko jedno ale. Żadna spec służba nie oznaczała materiałów pochodzących ze źródeł operacyjnych inicjałami osoby, która przekazywała informacje. Stanowiło to kardynalny błąd. Od momentu pozyskania agenta wszystko, co dotyczyło współpracy, sygnowano pseudonimami. Imię, nazwisko, miejsce urodzenia i miejsce pracy, imiona żony, dzieci i szereg innych danych znajdowały się pod specjalną ochroną. Firmy stosowały tu podobne rozwiązania. Na przykład dane osobowe S-7 znajdowały się w teczce personalnej, którą Roman trzymał w metalowej szafie, i nikt, poza Pepsujem i Hunkiem, nie miał do niej dostępu. No, istniały jeszcze karty rejestracyjne w Biurze Ewidencji i Archiwum, lecz zawarta na nich informacja o pozyskaniu Wilhelma Janika mogła zostać udostępniona tylko przełożonym Romana. A karty były chronione takim systemem zabezpieczeń, że nikt nawet nie mógł marzyć, aby do nich się dostać. Jeżeli Roman przekazywał zwierzchnikom sporządzone na piśmie informacje od S-7, opatrywał je co najwyżej pseudonimem informatora. Zresztą konstrukcja informacji była taka, by wnikliwy nawet odbiorca nie mógł trafnie wytypować, od kogo pochodzą. Sposób chronienia tożsamości informatora to kontrwywiadowcze

abecadło, z którym pracownik firmy jest zapoznawany zaraz po rozpoczęciu służby.

Czy Rosjanie byliby aż tak nonszalancy, aby ujawniać w swoich materiałach, chociażby ściśle tajnych, do których dostęp miało bardzo ograniczone grono osób, inicjały agenta? Trudno w to uwierzyć. Pozostawało tylko jedno wytłumaczenie. Osoba oznaczona inicjałami JY nie była ich agentem, o czym pomyślał Roman, rozmawiając z Dembowskim. O co zatem mogło tu chodzić? Może jego pierwsza hipoteza była właściwa i Brytyjczycy oraz Białorusini podjęli wspólne działania? Tylko w jakiej sprawie, a raczej przeciw komu? Przecież powinni mieć świadomość, że Rosjanie o wszystkim się dowiedzą. A jeżeli Białorusini są tylko pośrednikami?

Trzeba też wziąć pod uwagę, że MI-6 mogło nie informować o kontaktach z KDB swoich partnerów z CIA. Amerykanie słusznie mieliby w takim razie powód, aby niepokoić się o bezpieczeństwo operacji.

Nadal jednak nie można wykluczyć trafności drugiej hipotezy, że Białorusini, no i Rosjanie, dążą do skompromitowania Brytyjczyków. W ten sposób oba założenia byłyby prawdziwe i występowałyby w zazębiającym się związku.

Roman odchylił się w fotelu i przymknął oczy. Nie, nie da się tego logicznie ułożyć. Musi jednak wyciągnąć pewne wnioski, gdyż w przeciwnym razie w jego myślenie i działanie wkradnie się chaos. Dobrze więc, przyjmie za dobrą monetę wyjaśnienia Amerykanów. Może rzeczywiście są zbyt prostolinijni, żeby budować skomplikowane układy. Do tego potrzeba finezji i przewrotności, oni zaś działają niejako w obronie koniecznej, chroniąc operację, jedną, a może i więcej niż jedną. I wniosek kolejny: MI-6 prowadzi odrębną

grę z naszymi wschodnimi sąsiadami. Ale może ona wcale nie zagrażać Amerykanom. Brytyjczycy najwyraźniej okazywali raz jeszcze skłonność do wysublimowanych operacji, obmyślanych w zaciszu swoich dźwiękochłonnych gabinetów. Z tym, że wysublimowane operacje straciły już na tym brutalnym świecie rację bytu, a konsekwencje opierania się na świetlanej przeszłości i poczuciu własnej nieomyślności przyniosą bardzo negatywne skutki. Roman bowiem nie wierzył, aby służby białoruskie i rosyjskie dochowały dżentelmeńskich reguł do końca gry. To nie leżało w ich naturze. W dogodnym dla siebie momencie przerwą tę pozorną kooperatywę i obwieszczą światu o brzydkim postępowaniu Anglików. Już oni wiedzą, jak skutecznie skompromitować przeciwnika. Może zresztą nie zrobią tego, a w zamian za ciszę zadowolą się jakimiś koncesjami politycznymi czy gospodarczymi. Ale to już Romana nie interesowało.

Sprawa Izydor. Tu posunął się mocno do przodu. Najpierw to, co za granicą. Ma więc adres w Londynie, na który dzwonili szefowie przedstawicielstwa British Council w Warszawie. Adres nie był znany wywiadowi firmy, ale wcale to nie znaczyło, że nie mieści się pod nim lokal kontaktowy MI-6. Podejrzenie umacniał fakt znalezienia tego samego adresu w biurku Izydora w Manchesterze. Trudno mówić o zbiegu przypadków. To przecież nieprawdopodobne, że umiejscowił się tam jakiś pracownik British Council i wydaje stamtąd dyspozycje Stockwellowi i Young. Jeżeli S-7 uda się wykonać zadanie, efekty mogą być bardzo ciekawe.

W stolicy było także interesująco z powodu Alicji Jabłońskiej. Atrakcyjna blondynka nieoczekiwanie wpisała się w scenariusz

dyktowany przez życie i działania Romana w sprawę Izydor. Roman uśmiechnął się. Tak, miał nosa. Z tą Jabłońską coś mu nie pasowało od początku. Nieuświadomione przeczucie. Nie pamiętał już, co było jego powodem. Może wyraz twarzy, pewność siebie, swoboda w zachowaniu, jaką okazywała podczas spotkań ze Szczawińskim w Niezapominajce.

Fakty mówiły za siebie. Najpierw spotkanie Jabłońskiej z Jezabel Young. To samo w sobie nie dawało jeszcze prawa do podejrzeń. Teraz jednak Roman nie miał wątpliwości, że ten kontakt należy łączyć z firmą Vanex. Informacje zaczynały tworzyć jedną całość, może jeszcze niespójną, z zamazanymi konturami, które jednak wkrótce powinny się wyostrzyć. Udział Brytyjczyków w firmie prowadzącej obrót bronią był znamieny. To oni kontrolowali handel akcesoriami wojskowymi w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Ich możliwości w tej dziedzinie sięgały jeszcze czasów kolonialnych. Na to pewnie liczył Cenzen, tworząc spółkę z udziałem angielskim. Wniosek jest taki, że Anglicy, czyli MI-6, mieli wpływ na obsadę stanowisk w Vanexie. Kółko się zamyka. Jezabel Young – Alicja Jabłońska – Vanex – MI-6. To wywiad angielski miał pod swoją pieczę brytyjski handel bronią na świecie. U nas podobne zadania wypełniało WSI. Roman uśmiechnął się ironicznie. Zanim te wojskowe misie obudzą się z letargu, wszyscy zdążą pozałatwiać swoje interesy – pomyślał nie bez złości. Był przekonany, że WSI nie ma pojęcia o działaniach MI-6, a nawet jeśli ma, to Anglicy ich wykołują.

Uczestnictwo Jabłońskiej w kursie w Londynie było konsekwencją zaplanowanych działań MI-6. Blondynka została zwerbowana może jeszcze w Oxfordzie, a podczas kursu wywiad

przeszkolił ją do konkretnych zadań. Wszystko to umacniało podejrzenia wobec Jezabel Young, z którą kontaktowała się Jabłońska, i spychało na dalszy plan Stockwella. Z tego punktu widzenia Amerykanie mogli mówić prawdę. Ale Stockwella nie można było wyrzucić poza nawias tej gry. To jemu Izydor przekazał mikrofilm. Należy zatem przyjąć, że Young i Stockwell razem prowadzą operację, czyli oboje są kadrowymi oficerami MI-6. Ale Young odgrywała także inną rolę. Czy taką, jaką przedstawiali Amerykanie?

Do tej układanki nie pasował Władimir Józefowicz Anielin. Jeżeli na jego kontakcie był Izydor i to on odgrywał rolę łącznika MI-6 z KDB, to co w takim razie robiła w tej mozaice Jabłońska? Zasada w grze spec służb jest to, że ogranicza się do minimum krąg osób biorących udział w operacji. Ten krąg najczęściej zawęża się do jednego agenta, który może wypełniać jednocześnie kilka zadań. Wprowadzenie kolejnego agenta zawsze wywołuje podejrzenia drugiej strony i grozi nieprzewidywalnymi komplikacjami.

Nagle Roman doznał olśnienia. Powinien wpaść na to od samego początku. Raptowne zaprzestanie przez Izydora wyjazdów na Białoruś musiało mieć jakąś przyczynę. Przyczynę, która nie pozwalała mu dalej podróżować na wschód. Przeszkoda była na pewno bardzo poważna. Pomijając zadania wywiadowcze, Izydor lokował istotną część swoich interesów na Białorusi. Nienaturalnym było, że od dłuższego czasu nie spotykał się w Mińsku z dyrektorami fabryk, którzy lubili, tradycyjnie u nich, załatwiać sprawy przy kieliszku. Nieznana przyczyna przerwania wyjazdów przez Izydora spowodowała, że łącznik wypadł z operacji. Jeżeli MI-6 i KDB prowadziły rozgrywkę, konieczne było znalezienie kolejnego

łącznika. I tu pojawia się Jabłońska. Oczywiście mija kilka miesięcy, bo w takich sprawach nie należy działać pochopnie. Blondynka przechodzi szkolenie w Londynie, powstaje firma Vanex. Anglicy pewnie zaoferowali Cenzenowi rynki zbytu gdzieś w Afryce, bo te na Bliskim Wschodzie są zanadto intratne, żeby je komuś udostępnić.

Stąd kontakt Jabłońskiej z Anielinem. Na pewno umawiali spotkanie. Tylko gdzie? W Warszawie, może w innym miejscu w kraju, czy też w Mińsku? Podstawki pod firmę Vanex i miejsce zamieszkania blondynki notowały każde jej wejście i wyjście. Nie było żadnych niespodziewanych przerw. Takich, które trwałyby dłużej. Wniosek jest oczywisty. Anielin przyjeżdża do Warszawy. Jeżeli nie sam, osobiście, to nadzorowany przez niego łącznik KDB. Chyba że Jabłońska umawiała Anielina z kimś innym. Z kim? Z osobą o inicjałach JY? Bardzo prawdopodobne.

Roman pochwalił się w duszy sam przed sobą za wynik analizowania. Był prawie na sto procent pewien, że rozumował prawidłowo.

No dobrze. Sytuacja operacyjna została podsumowana. Co dalej? Należy wyznaczyć kierunki działań zdeterminowane przez ciąg dotychczasowych zdarzeń. Pojawił się nowy czynnik, którego nie można zlekceważyć, czyli Amerykanie. Czy mogą uprzedzić Romana w rozwikłaniu do końca zagadki i znalezieniu dowodów? Tak, mogą. Wtedy dojdą do porozumienia z Brytyjczykami i razem zamkną operację albo wprowadzą całkowicie nowe kanały łączności, co zresztą wychodzi na to samo. Wszystko zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Izydor stanie się na powrót solidnym przedsiębiorcą płacącym uczciwie wszystkie podatki. Jabłońska będzie tylko wybitnym młodym menadżerem odnoszącym sukcesy

w sprzedaży na świecie wyrobów naszych zakładów metalowych, jak potocznie nazywano branżę zbrojeniową. Stockwell i Young niespodziewanie wyjadą do Anglii. Dlaczego? Oczywiście British Council ogłosi, że wypełnili szczytnie swoją misję kulturalną. I co? I nic. Koniec. Kropka.

Dlatego potrzebne jest szybkie działanie i zdecydowane ruchy. Co jeśli rzeczywiście sam Anielin lub jego wysłannik przyjedzie do kraju i będzie wykonywał misję szpiegowską pod bokiem firmy? Sytuacja powodowała, że Roman musi podjąć ryzyko. Tym ryzykiem będzie uruchomienie sił obserwacyjnych za Izydorem i Jabłońską. Nie było sensu puszczać ogonów za Young i Stockwellem. Nimi pewnie zajęli się Amerykanie. Zresztą logika operacyjna nakazywała uderzyć najpierw w kanały łączności.

Sięgnął do szafy po druki zamówień na obserwację i szybko je wypełnił. Pepsuj był trochę zdziwiony, ale dał się przekonać i podpisał wnioski. Poganiany przez Romana poszedł do Hunka po akceptację.

– No, masz – powiedział po powrocie. – Lecz trochę ci się dziwię. Czy nie podejmujesz zbyt dużego ryzyka?

– Tym razem nie ma czasu na powolne działania, Maćku – odpowiedział. – Wyścig z Amerykanami już się rozpoczął.

Po drodze do swojego pokoju zajrzał do Jubilera, który zajmował pomieszczenie z trzema młodymi oficerami. Wywołał go skinieniem głowy. W pokoju wręczył mu wnioski.

– Załatw to, tylko biegiem, Jubiler. Obserwację mają zacząć jeszcze dzisiaj.

Jubiler bez słowa wziął od Romana wnioski, chociaż wyraz jego twarzy wyrażał kompletne zaskoczenie. Przecież jeszcze niedawno

„szef” przestrzegał go przed puszczaniem ogonów z Biura Obserwacji.

– Cóż, są takie sytuacje, które zmuszają do sięgnięcia po te zasoby ludzkie – powiedział Roman tonem usprawiedliwienia.

Jubiler obrócił się na pięcie i już wychodził z pokoju, kiedy usłyszał stanowcze „stój”.

– Przepraszam cię, Jubiler, oddaj wnioski, sam pójdę.

Na szczęście Roman w porę się zreflektował. Wysłanie młodego oficera do tych starych cwaniaków byłoby zasadniczym błędem. Na pewno by nie załatwił obserwacji wcześniej niż za połowę tygodnia, mimo że w Biurze mieli sporo wolnych mocy, o co Roman mógł się założyć. Oni robili tak dla zasady, aby pokazać, jak dużo znaczą i nikt nie może im nakazać, kiedy mają za kimś iść. Pójdą wtedy, gdy będą chcieli. Roman smutno westchnął. Czekala go trudna przeprawa.

*

Wszedł głównymi schodami na szóste piętro. Korytarze po lewej i prawej stronie były zamknięte śluzami. Nacisnął interkom w prawej śluzie. W głośniku odezwał się męski głos:

– Słucham?

– Do pułkownika Roberka.

– Zaraz ktoś po pana przyjdzie.

Pułkownik Wincenty Roberek był naczelnikiem wydziału, który obejmował wszystkie sekcje obserwacji towarzyszącej. Przez całe życie pracował w obserwacji. Rozpoczął karierę jako młodszy wywiadowca. Co kilka, kilkanaście lat awansował. Uzupełnił wykształcenie, co umożliwiło mu uzyskanie stopnia oficerskiego i stworzyło perspektywy wspinania się po wyższych szczeblach

kolejnych stanowisk. Gdy Roman przychodził do firmy, Roberka awansowano na zastępcę naczelnika wydziału. Od jakichś dziesięciu lat był już naczelnikiem. Jak wskazywało samo nazwisko, cechowała go skłonność do kart. Tyle że nie do brydża. Roberek namiętnie grał w oczko i pokera. Ponieważ był świetnym graczem, ogrywał wszystkich i w firmie nikt nie chciał z nim siadać do stołu. Pozostawała mu gra z młodszymi oficerami, którym nie wypadało odmówić przełożonemu. Tych ogrywał niemiłosiernie. Chodziły słuchy, że po wypłacie zostawiali u niego całe pensje.

Wreszcie służbę otworzyła starsza kobieta, sekretarka Roberka. Zmarszczyła czoło na jego widok, szukając w pamięci. W końcu go sobie przypomniała.

– Ach, witam, panie Romanie. Jak to miło, że wpadł pan do nas. – Rozpłynęła się w uśmiechach. – Proszę za mną.

Roman szedł za nią długim korytarzem. Drzwi do pomieszczeń były po obu stronach pootwierane, skąd dochodził gwar głośnych rozmów i pokrzykiwania. Roman poczuł woń zupy i bigosu.

Gotują tu obiady? – zadał sobie w duchu pytanie. Po prawej stronie w otwartych drzwiach stanął mężczyzna w pomiętym garniturze.

– Stefan, weź jeszcze jeden kieliszek! – huknął w stronę korytarza. Zobaczył Romana i natychmiast się cofnął.

Z innego pokoju ktoś mu odkrzyknął:

– Dobra!

Zupełna degrengolada – pomyślał Roman, krzywiąc się z niesmakiem. Dawno tu już nie był. Z Biurem Obserwacji kontaktował się jedynie korespondencyjnie. Chyba że prowadzili wspólnie operację, spotykali się wtedy na neutralnym gruncie.

Wszedł do sekretariatu.

– Niech pan spocznie, naczelnik zaraz pana poprosi – powiedziała przymilnym głosem sekretarka.

Oczekiwanie przeciągnęło się do piętnastu minut. Roman przekładał skoroszyt, w którym miał wnioski, z ręki do ręki. Wreszcie zaterkotał telefon i Roberek oznajmił sekretarce, że może przyjąć Romana.

– Proszę, bardzo proszę. – Kobieta uprzejmie wskazała mu drzwi gabinetu.

Roman wszedł do środka. Roberek, potężny, zwalisty mężczyzna, siedział za biurkiem. I biurko, i inne meble w pokoju musiały pamiętać czasy, gdy dzisiejszy naczelnik był jeszcze wywiadowcą. Niewielki przeszklony regał aż poczerniał ze starości. Za szklanymi szybami leżały równo poukładane setki egzemplarzy periodyku „W Służbie Narodu”. Nie wydają tego chyba od piętnastu lat – przemknęło Romanowi przez głowę.

Zwrócił uwagę, że na biurku i stoliku nie leżała żadna teczka ani dokument. Szafa metalowa była zaplombowana. Jeżeli nic nie robił, po co mnie trzymał przez kwadrans w sekretariacie? Może stawiał pasjansa – to przypuszczenie miało sensowne uzasadnienie.

– Dzień dobry, panie Wicku. – Nie był z Roberkiem po imieniu.

Spotykali się rzadko, wyłącznie przy okazji planowania czy prowadzenia wspólnych działań, a tych już dawno nie było.

– Witam, panie Romku. – Roberek wskazał Romanowi krzesło, które niebezpiecznie zatrzeszczało, gdy usiadł. – Co pana do mnie sprowadza?

– Ach, nic takiego, mam wnioski na obserwację dwóch obiektów.

- No, pewnie ma to związek z podstawkami. Słyszałem, że uruchomił ich pan już z dziesięć.

- Nie, dopiero osiem.

- To i tak sporo. Jeśli będzie dalej słał pan zamówienia do sekcji stałej, to zabierze im pan wszystkie pojazdy i zabraknie dla innych. - Roberek roześmiał się bezdźwięcznie, nieszczerze.

- Nie będzie tak źle, panie Wicku. Na razie nie mam w planie dalszych podstawek. Przerzucam się na ogony.

- W końcu da nam pan zatrudnienie. Już zapomniałem, kiedy ostatnio dostaliśmy od pana zamówienie.

- Panie Wicku - zaczął ostrożnie Roman - sprawa jest, że tak powiem, delikatna...

- Wszystkie sprawy kontrwywiadu są delikatne - zaśmiał się Roberek.

- Tak, oczywiście. Ale ta jest szczególnie delikatna - podkreślił z naciskiem Roman.

- Zamieniam się cały w słuch.

- Więc miałbym małą prośbę, żeby wyznaczył pan do tej roboty sekcje Galindy i Chrzanowskiego.

Galinda i Chrzanowski uchodzili za solidnych oficerów, nie do końca zmanierowanych atmosferą wszechobecnej w Biurze Obserwacji rutyny, która była przyczyną tak wielu wpadek. Obaj byli dość młodzi i ambitni.

- Fiu - gwizdnął przez zęby Roberek. - A co, inne moje sekcje panu nie pasują?

Rozmowa zaczynała przybierać zły obrót.

- Nie, nie, niech mnie pan nie zrozumie źle. Kiedyś już z nimi pracowałem i mieliśmy dobre wyniki. Polubiłem ich. - To nie był mądry argument, ale Romanowi nie przyszło do głowy nic lepszego.

- No tak. Galinę i Chrzanowskiego można rzeczywiście polubić - powiedział z przekąsem Roberek. - Niech pan pokaże te wnioski.

Roman wyjął ze skoroszytu dwa wnioski i podał naczelnikowi. Ten przeleciał je wzrokiem i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia.

- Chce pan obserwację całodobową? Przez dwa tygodnie?! Od dzisiaj?!

Roberek aż sapał z wrażenia.

- Przecież to wykończy moich ludzi. Nawet jeżeli wytrzymają te dwa tygodnie, będę musiał im oddać nadgodziny. To kolejne dwa tygodnie. Wyłącz mi pan dwie sekcje na miesiąc.

- Ja wiem, to trudne zadanie. Ale sprawa jest niezwykła. Mogę panu obiecać, że potem nie będę was angażował przez dłuższy czas.

I pomyślał: Dam wam spokój przez następne parę lat.

- To przekracza moje kompetencje. - Roberek zwrócił wnioski Romanowi. - Musimy iść z tym do dyrektora.

Wyszli na korytarz i skierowali się do gabinetu dyrektora Biura Obserwacji, Malinowskiego. Sekretarka lakierowała paznokcie i od niechcienia wskazała ręką na drzwi. Za potężnym biurkiem siedział malutki i zasuszony człowieczek. Roberek podszedł do niego i podał mu rękę.

- Cześć, Kaziu - powiedział. - Kolega z kontrwywiadu ma specjalne zamówienie. - Wskazał na Romana.

Kiedy Roberek referował treść wniosków, Malinowski patrzył w okno. Patrzył dalej, gdy już zapadła cisza. Wtem wysunął szufladę biurka, wyjął z niej łapkę na owady i podszedł do okna. Dopiero teraz Roman zauważył, że po firance wspinała się duża niebieska mucha. Malinowski powoli i delikatnie podnosił rękę. Wreszcie pacnął łapką i przydeptał brzęczącą na dywanie muchę.

– Cholera, nie dadzą człowiekowi spokojnie pracować – powiedział tonem usprawiedliwienia.

Z powrotem zasiadł za biurkiem i zwrócił się do Romana.

– Ja pana skądś znam.

– Tak, pracuję trzy piętra niżej.

– To dobrze, bardzo dobrze. No więc, w czym rzecz?

– Kolega ma życzenie zatrudnić dwie sekcje obserwacji przez dwa tygodnie. Całodobowo. I to od dzisiaj – dodał z naciskiem Roberek.

– No to co, że całodobowo? Młodzi są, niech sobie popracują. Dwa tygodnie to trochę dużo. Ale chyba pójdziemy panu na rękę, co Wicuś? – Malinowski mówił spokojnym, beznamiętnym głosem.

– Mamy małe rezerwy. A jak wypali coś niespodziewanego? – Roberek nie potrafił ukryć złości.

– Poradzisz sobie, Wicuś. A młodzi niech popracują. Ja w ich wieku, ech, szkoda gadać... – Malinowski machnął ręką. – To co, kolega zadowolony?

– Tak, bardzo dziękuję, panie dyrektorze.

Roberek odprowadził Romana do służby, milcząc. Mruknął coś na pożegnanie. Roman zatrzymał się w przejściu.

– Ale da pan Galinę i Chrzanowskiego?

– Tak, dam – usłyszał zza drzwi poirytowany głos Roberka.

*

Roman zaparzył kawę. Należała mu się po ciężkim przejściu w Biurze Obserwacji. Najważniejsze, że załatwił wnioski. Teraz jeszcze trzeba obserwacji dostarczyć fotografie Izydora i Jabłońskiej. Nie wziął ich ze sobą, bo nie był pewien wyniku rozmowy z Roberkiem. Wyjął z szafy plik zdjęć i kilka z nich wybrał. Włożył do koperty i zadzwonił po Jubilera.

– Masz. – Dał mu kopertę. – Zanieś do Biura Obserwacji i oddaj naczelnikowi Roberkowi. Tylko nie skręć gdzieś w bok, bo jeszcze dzisiaj mają zacząć obserwację.

Usadowił się wygodnie w fotelu. Coś go nurtowało, nie dawało mu spokoju. Musiał pominąć w rozważaniach jakiś element. Jego podświadomość operacyjna dawała mu sygnał. Wyluzował się. Wyrzucił z głowy niepotrzebne myśli. To najlepszy sposób, żeby dać szansę na wychynięcie z zakamarków pamięci zagubionemu elementowi. Jest. Już jest.

Rzeczywiście o tym zapomniał. O kontaktach Alicji Jabłońskiej z Czeczenami. Czy miały one znaczenie dla sprawy Izydor? Roman nie widział żadnych więzi pomiędzy Czeczenami a Jabłońską i MI-6. Budowanie hipotezy było pozbawione sensu, bo na myśl przychodził mu wyłącznie intymny związek, żeby nie powiedzieć dosadniej.

Mógł zrobić tylko jedno. Sprawdzić te kontakty poprzez własne działania. I to jak najszybciej. Jeżeli kontakty blondynki z Czeczenami mają jakieś znaczenie w grze, są groźne, gdy ich się nie zna.

Roman odnalazł numer do pana Ryśka i zadzwonił do Victorii.

– Dzień dobry, Roman z tej strony. Pamięta mnie pan jeszcze?

- Pan Romek? Witam serdecznie. - Pan Rysiek był mile zaskoczony albo tylko udawał.

- Mam sprawę do pana. W hotelu mieszkali jacyś ludzie z Kaukazu, chyba Czeczeni. Chodzą ubrani w wojskowe kurtki.

- A tak. Nadal tu mieszkają.

- To świetnie. Chciałbym coś sprawdzić - mówiąc otwartym tekstem przez telefon Roman łamał zasady, ale czas gonił. - No, wie pan, tam, gdzie mieszkają.

- Aaa, jasne. - Pan Rysiek szybko zrozumiał, o co mu chodzi.

- Tylko muszę wiedzieć, kiedy wychodzą i ile czasu ich nie ma w pokojach. - Roman starał się być ostrożny w słowach, chociaż wiedział, że mu to nie wychodzi.

- Tak, tak. Wiem, w czym rzecz. Zaraz rozpytam się w recepcji. Dyskretnie, ma się rozumieć.

- Mogę liczyć na telefon od pana jeszcze dzisiaj?

- Na pewno, panie Romku.

Roman czekał. Dopił kawę. Przeczytał gazety, do których nie miał czasu zajrzeć w ostatnich dniach. Wreszcie zadzwonił telefon.

- To ja, panie Romku. Więc jest tak. Tych Czeczenów jest pięciu. Rzadko wychodzą wszyscy razem. Z reguły jeden zostaje. Jak jest trzeźwy, siedzi w pokoju przy uchylonych drzwiach albo wałęsa się po korytarzu.

- To kiepsko. - Roman był zawiedziony.

- Nie do końca. Wczoraj zamówili przez recepcję bilety kolejowe na ekspres do Krakowa. Na niedzielę, na dziesiątą dwadzieścia wieczorem. Jedzie cała piątka.

Roman odetchnął. Pan Rysiek mówił dalej:

- Nie wiadomo, kiedy wróca, bo nie zamówili powrotu.

- To świetnie. Pomoże mi pan? Chciałbym się u nich trochę rozejrzeć.

- Rozumiem. W niedzielę pracuję, niech pan będzie u mnie o jedenastej.

- Serdeczne dzięki, panie Ryśku. Będę na pewno.

Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, gdy odezwała się melodyjka w telefonie komórkowym. Roman podniósł telefon do ucha.

- Tu Wilhelm. Już jestem z powrotem.

- O, nie spodziewałem się pana tak szybko.

Chyba nic nie załatwił – pomyślał Roman i powiedział do słuchawki:

- To może zobaczymy się w przyszłym tygodniu?

- Myślę, że wolałby pan szybciej dowiedzieć się o naszych interesach, bo dobrze się ułożyły.

- Tak? Wobec tego spotkajmy się jutro. O dwunastej? Do widzenia.

Roman rozłączył się. Nie chciało mu się wierzyć, aby S-7 tak błyskawicznie wykonał zadanie. Może miał coś innego na myśli, mówiąc o naszych interesach. Roman wolał nie oczekiwać zbyt wiele, bo rozczarowania bywają wtedy mniejsze.

*

Sięgnął po leżące na biurku tłumaczenia rozmów telefonicznych Stockwella i Young. Szybko przeleciał wzrokiem plik kartek maszynopisu. Nic ciekawego. Są za sprytni, żeby dać się złapać na czymkolwiek. Znowu pojawiły się połączenia z tym dziwnym adresem w Londynie. Na oko wyglądają jak zwykłe rozmowy

o sprawach British Council. Na pewno dialogują ustalonym kodem, co jest nie do wyłapania. Nie znając znaczenia słów i zwrotów, pozostaje bez szans na zrozumienie ich prawdziwej treści. Nawet nie ma co dawać tych tekstów szyfrantom. Postawią dziesiątki hipotez, podpierając się różnymi tabelami, a na koniec skonstatują, że bez znajomości chociażby cząstki kodu nie są w stanie nic zrobić.

Taśm z podsłuchu rozmów Izydora nie chciało mu się odsłuchiwać. Uniósł kilka kaset, zważył w ręku i odłożył z powrotem na biurko. Szkoda czasu. Podsłuchy na telefony Jabłońskiej i Vanexu były w fazie instalowania. Chociaż Roman zaangażował się, aby jak najszybciej wnioski przeszły drogę administracyjną, czynił to bez wiary w przyszłe skutki. Wiadomo już przecież, że blondynka została odpowiednio przeszkolona i nie będzie rozmawiać przez telefon własny czy firmy o interesujących Romana sprawach.

Przysunął ku sobie raporty z podstawek. Bez zmian. Stockwell, Young, Izydor i Jabłońska prowadzą przeciętne życie. Wychodzą do pracy, wracają, potem czasem wychodzą na godzinę, dwie, może do sklepów albo po prostu na spacer. Nie znikają na dłużej, co podstawki przecież by odnotowały.

Zawołał Jubilera. Zgarnął wszystko z biurka na jedną kupkę.

- Masz, Jubiler, zabieraj. Zapoznaj się z tym dokładnie. I przesłuchaj wszystkie taśmy od a do z. - Pogroził mu palcem.

Wprowadził młodszego kolegę dokładnie w całą sprawę. Lubił tego chłopaka i chciał mu pomóc w uzyskaniu doświadczenia zawodowego. To niezbędne, jeśli ma coś osiągnąć w tym fachu. A jeżeli nie nauczy się tego za młodu, to - w myśl maksymy Romana - zostanie niedouczony na stare lata. Dlatego dawał wszystkie materiały Jubilerowi, by potem dyskutować z nim o ich

zawartości, co wyrabiało umiejętność wychwytywania rzeczy ważnych. A jeśli rzeczy ważnych nie było?

Tak, Roman należał do ginącego gatunku, jak w firmie nazywano oficerów starej daty. Podśluchy, obserwacje i całą resztę techniki uważał jedynie za środek pomocniczy do realizacji celów kontrwywiadowczych. Owszem, trafnie zastosowane w sprawach mogły dużo przynieść. Jednak, zdaniem Romana, nic nie jest w stanie zastąpić oficera operacyjnego. To jego doświadczenie, wiedza, umiejętność analizowania decyduje o powodzeniu przedsięwzięcia. Przeciwwstawiał się – w myślach, rzecz jasna – modnemu w Departamencie kierunkowi głoszącemu prymat środków technicznych nad indywidualizmem oficera kontrwywiadu. Głosiciele tego kierunku podpierali się danymi statystycznymi, z których jakoby wynikało, że osiemdziesiąt procent informacji daje technika i obserwacja. Takie stawianie sprawy było w oczach Romana czystą herezją. Skąd wzięli te dane? Chyba z biuletynów służb amerykańskich. CIA może pozwolić sobie na głoszenie takich poglądów, bo zamiast wysyłać swoich oficerów gdzieś na pustynię w Azji do rozpoznania jakiejś fabryczki nuklearnej sfotografuje dokładnie obiekt z satelity. Romana zawsze ogarniała irytacja, gdy o tym myślał. Przecież żadna maszyna nie jest w stanie zastąpić dobrze przeszkolonego informatora, którego prowadzi doświadczony oficer. Wystarczy wziąć pierwszy lepszy przykład z brzegu, chociażby zadanie, jakie wykonywał ostatnio S-7. Nie dałoby się sfilmować z satelity zawartości biurka Izydora. Tak jak nie wysłałby robota do Londynu z kamerą video.

Nie ma co o tym myśleć, tylko się zdenerwuje. Wiedział, że ze swoimi poglądami znajduje się w Departamencie w mniejszości.

Hunek skłaniał się ku racjom wysuwanych przez techników. Jeżeli ich poglądy staną się obowiązującą doktryną, sztuka kontrwywiadu upadnie. To jest łatwe do przewidzenia. Przyjęcie prymatu techniki nad myśleniem uwolni wielu oficerów od trudu analizowania informacji, wyszukiwania ważnych szczegółów, sprzeczności, drobnych niuansów, tego wszystkiego, co składa się na istotę kontrwywiadu. Przesną w werbować informatorów. Bo po co? Zamiast tego będą mogli wrzucić podsłuch do mieszkania czy gdzie indziej.

Roman otrząsnął się. Znowu myśli o tym samym, nad czym już tyle razy się zastanawiał. I znowu te same przemyślenia i te same wnioski. Po co nad tym się głowić? Nie ma przecież żadnego wpływu na te sprawy. Niech mądrzejsi od niego zastanawiają się, jak zrobić, aby było lepiej. Albo żeby popsuć do reszty to, co jest i tak nadpsute.

*

Roman wyszedł od Pepsuja, któremu przekazał informacje o powrocie S-7 i o spotkaniu z nim w dniu dzisiejszym. Przezornie nie wspomniał o planowanym wypadzie do Victorii. Pepsuj stał się ostatnio zbyt ostrożny i mógłby mu tego zabronić. W zasadzie miałby rację, bo takie sprawy, jak przeszukanie pomieszczeń, załatwiał Departament Techniki. Ale Roman postawi go przed faktem dokonanym. Jeśli coś znajdzie, Pepsuj co najwyżej trochę pomarudzi, ale w gruncie rzeczy będzie zadowolony. Jeżeli przeszukanie okaże się niewypałem, po prostu o nim nie wspomni.

– Cześć! – powiedział nagle ktoś za nim.

Roman odwrócił się. W drzwiach swojego pokoju stał pułkownik Raczyk.

- Cześć, Janku. – Roman wrócił się kilka kroków i podał mu rękę.
- Wejdiesz do mnie na chwilę? – zapytał Raczyk cichym głosem.
- Jasne, Janku.

Pokój Raczyka miał standardowe wymiary i umeblowanie. Meble były w miarę nowe, a jedyny starość – wielkie pudło radia sprzed pięćdziesięciu lat, z zielonym okiem – stało na ławie. O dziwo, grało. Roman przypominał sobie, że gdy był dzieckiem, jego ojciec wieczorami kręcił wielką gałką podobnego radia, próbując ustawić fale Wolnej Europy. Niekiedy mu się to udawało. Matka, z natury bojąca, strasznie cierpiała w trakcie audycji i co chwila podchodziła do okna i drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Siadaj, Romku. Napijesz się kawy?

- Nie, stary, bardzo dziękuję, zaraz mam spotkanie z informatorem.

- W takim razie pogadajmy. – Raczyk usiadł przy ławie naprzeciwko Romana. Milcząc, patrzył na stolik. Bezwiednie przesunął dywanik zastępujący obrus i starał się go wygładzić.

- No, co tam słyszeć, Janku? – zagał rozmowę Roman. – Wyrobiłeś normę?

Raczyk ze smutkiem pokiwał przecząco głową.

- Nie, jeszcze nie. Może uda mi się w przyszłym kwartale. – Głos mu się załamał.

- No, no, Janku. Nie ma co się tak przejmować. Na pewno dasz radę.

- Nie wyobrażam sobie, że miałbym pójść do liczenia ołówków albo gaci. – Raczyk mówił łamiącym się głosem, jakby za chwilę miał się rozplakać. – Ja, stary oficer operacyjny kontrwywiadu, co zjadł zęby na tej robocie.

Teraz Roman milczał. Nie wiedział, co powiedzieć.

– A słyszałeś? – mówił Raczyk. – Robcio Winnicki już poszedł na zesłanie.

– Gdzie? Kiedy? – Roman był zaskoczony. Tak do końca nie wierzył, że Pepsuj będzie konsekwentny i naprawdę zacznie wykańczać swoich kolegów.

– A gdzie miał iść? Do Biura Administracyjno-Gospodarczego. I tak dobrze trafił. Dostał przydział do magazynu broni. Będzie pomagał temu ich tam inspektorowi. Ale to przynajmniej męska robota, z bronią.

– Robcio się zgodził? To nie do wiary.

Raczyk na niego popatrzył.

– To nie wiesz, jak to jest? Pepsuj zagroził, że nie tylko obetnie mu cały dodatek służbowy, ale napisze do Hunka raport o jego nieprzydatności w Departamencie. I Robcio musiał sam napisać raport o przeniesienie. Tak, Romku, takimi metodami walczy się teraz ze starymi oficerami.

Roman aż się wstrząsnął. Zaaferowany pracą nie widział, co dzieje się w wydziale. Nie miał na to czasu i, prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło. Stracił z pola widzenia życie wydziału. To źle, bo drobne z pozoru wydarzenia, plotki korytarzowe, a zwłaszcza ruchy kadrowe mogły być symptomami bardziej ogólnego trendu, kierunku zmian, jaki zaczynali realizować niżsi i wyżsi przełożeni. Roman, nie wiedząc o tym, mógł pozostawać w nieświadomości aż do czasu, kiedy ten niewidzialny trend dopadnie i jego.

– Wiesz, co mi powiedział dzisiaj Pepsuj? Że jeszcze są wolne etaty w sekcji mundurowej. Ja naprawdę mogę liczyć gacie. – Raczyk wyglądał jak człowiek na skraju załamania nerwowego.

- Może to się skończy, Janku. - Roman nie wierzył w to, co mówił. - Tak to czasami bywa. Jakiś pomysł strzeli im do głowy i zaczynają go na siłę realizować, aż któryś się opamięta i przystopuje całą zabawę. Ile takich zmian już przeżyliśmy.

Raczyka to nie mogło przekonać.

- Ty, Romku, poradzisz sobie. Masz dobre notowania w wydziale. Może nawet najlepsze. To dobrze. Chociaż ty jeden utrzymasz się ze starej gwardii.

Romanowi zrobiło się trochę głupio. Rzeczywiście, sprawa Izydor wywindowała go na czołową pozycję w wydziale. Nie zastanawiał się nad tym do tej pory, ale jego ciągłe konsultacje z Pepsujem i wizyty u Hunka nie mogły pozostać niezauważone przez kolegów. Oczywiście nie wiedzieli, o jaką sprawę chodzi i co w niej się dzieje, ale to, co widzieli, wystarczyło, żeby uznać, że jest na topie. I pewnie się nie mylili. Uświadomiwszy sobie to wszystko, Roman nie miał poczucia triumfu czy radości, raczej był smutny. Nie z powodu swoich notowań, ale zrobiło mu się żal kolegów. Przepracował z nimi tyle lat. Niektórzy zaczęli służbę razem z nim, inni, ci starsi, wprowadzali go w meandry pracy operacyjnej. Razem świętowali sukcesy, jeśli takie się zdarzyły. Obchodzili wspólnie imieniny, oblewali awanse, cieszyli się i żartowali. Byli solidarni. Nie robili sobie świństw. Trzymali się zasady, aby nie szkodzić koledze. Tak upływały lata. Aż coś się zmieniło. Przełożeni zrobili się bardziej nerwowi, co nie pozostało bez wpływu na pracę. A ta traciła swoją płynność, stawała się rwana. Pepsuj był tylko ostatnim ogniwem tych zmian. Zmian, które nieuchronnie musiały przyjść do wydziału. Parasol ochronny rozciągał nad nimi Gutowski, co opóźniło przerwanie letargu, w jakim trwali od dawna.

Roman zastanawiał się nad istotą zmian, bo tak naprawdę nie powodowały one jakiejś radykalnej odmiany. Widział to na przykładach innych wydziałów. Tam standardem stawała się ściśle określona norma wyników pracy. Dawniej też przestrzegano standardów, to znaczy wyliczano, ile na jednego oficera przypada w ciągu roku pozyskań informatorów, wszczynanych spraw, uzyskanych informacji z gradacją według ich ważności. Ale nie były to sztywne normy. Musiał je wykonywać ten, komu brakowało pomysłów do działania. Zostawiano duży margines swobody dla myślących oficerów, którzy mieli nieszablonowe podejście do pracy operacyjnej. Tym darowywano osiągnięcie normy. Teraz jednak norma miała wydusić z oficerów resztki wysiłku. Wiadomo, że nie wszyscy będą w stanie ją wypełnić. Jemu też mogłoby się nie udać. Roman zdawał sobie sprawę z tego, że miał szczęście, bo rozwinął działania w Izydorze przed tym, zanim Pepsuj rozwarł szpony normy nad wydziałem. A sprawy Izydor już nie dało się zbagatelizować, zbyć lekceważącym machnięciem ręki, stwierdzeniem, że są to przeintelektualizowane wymysły. Zbyt wiele faktów zaistniało. Stawiało to Romana w uprzywilejowanej pozycji, może nawet wbrew temu, co życzyliby sobie Pepsuj i Hunek.

Cóż, w porównaniu z innymi był w szczęśliwej sytuacji. Ale nie mógł tego powiedzieć Raczykowi.

– Pójdę już, Janku. Niedługo mam spotkanie. – Uścisnął serdecznie dłoń starszemu koledze i wyszedł przygnębiony.

*

Roman przystanął zaskoczony w wejściu do drugiej sali Niezapominajki. Mimo że do czasu spotkania pozostał jeszcze

kwadrans, przy jego stoliku siedział rozparty wygodnie S-7. No tak, mój nowy informator coraz lepiej wczuwa się w swoją rolę – skomentował w myśli.

Przywitał się z S-7 i już miał zawołać kelnera, gdy uprzedził go informator.

– To samo, co zawsze, panie Romanie? – spytał, uśmiechając się.

Roman skinął głową.

– Dwie kawy i dwie lampki wytrawnego wina, tylko duże – dodał z uśmiechem.

Kelner spojrział ze zdziwieniem na Romana, bo zazwyczaj to oficerowie składali tu zamówienia. Ujrzawszy potwierdzenie w jego oczach, oddalił się.

– Szybko pan obrócił – zauważył Roman.

– Zgodnie z planem. A do tego wszystko zgrało się też zgodnie z naszym planem.

– No, słucham.

– Zacznę od początku. Przyleciałem do Londynu o siedemnastej pięćdziesiąt. Pojechałem na dworzec kolejowy i kupiłem bilet. O dwudziestej wsiadłem...

– ...do pociągu – dokończył za informatora Roman, co miało oznaczać, że S-7 powinien skupić się na konkretach.

– Tak, w Manchesterze poszedłem na kwaterę. Bo zapomniałem panu powiedzieć, że mamy w kilku wspólne spanie, wynajmujemy niedrogo trzy pokoje w willi na przedmieściu. To taki stary budynek z cegły, wie pan, nieraz na filmach angielskich...

Roman chrząknął.

- Już przechodzę do sedna. Więc ten człowiek, który pana interesuje, właśnie gotował się do spania. Przyjechał parę dni wcześniej. Ucieszył się, jak mnie zobaczył. „To dobrze – mówi – że jesteś. Jutro muszę jechać do Londynu. Jak będą dzwonić z fabryki Huscott, to powiedz, że pamiętam, w środę będę i podpiszę umowę”. Dowiedziałem się jeszcze, że wyjeżdża o dziesiątej. Zerwałem się o szóstej, żeby być wcześniej w Londynie, bo przecież nie znałem miejsca, a jeszcze musiałem poszukać dobrego punktu. Na szczęście pociągi Anglicy mają szybkie. Zdażyłem przed czasem. Znalazłem kawiarnię, tak jak pan kazał. I były stoliki na zewnątrz. Ta kawiarnia jest zaraz przy wejściu do tego bloku, dlatego musiałem schować się do środka. Ale wszystko dobrze się nagrało, sprawdzałem. – S-7 napił się wina, a potem kawy. Roman go nie poganiał. – Czekałem i czekałem, aż w końcu pojawił się nasz gość. Nawet rozglądał się na boki, jakby podejrzewał, że ktoś za nim idzie. Trochę się przestraszyłem, że wejdzie do kawiarni, no, wie pan, przepłukać gardło, to by dopiero był numer. Ale na szczęście przeszedł obok i wszedł do tego domu.

- Nagrał to pan?

Informator skinął głową.

- Jeszcze jak. Sam pan zobaczy. Siedział w środku ze dwie godziny. Ja włączałem kamerę, jak tylko otwierały się drzwi, dlatego parę osób będzie przypadkowych. W końcu wyszedł. Poszedł w przeciwną stronę.

- Jak to w przeciwną?

- No, w przeciwną. – S-7 patrzył na Romana zdziwiony, że nie rozumie. – W drugą stronę, czyli w przeciwną.

- Ale równolegle czy prostopadle do kierunku przyjscia? Niech pan mi to narysuje. - Roman sięgnął po serwetkę, złożył ją na pół i podał informatorowi.

Ten zaczął kreślić coś na niej z mozołem. W końcu oddał serwetkę i chciał wyjaśnić znaczenie rysunku. Co za bazgroły - pomyślał Roman. - Przecież ma to nagrane na kasecie. O czym ja myślę? - zgromił siebie w duchu.

Zgarnął serwetkę ze stołu i zgniótł w dłoni. Potem włożył do kieszeni.

- Dobrze, obejrzę to sobie na video, niech pan mówi dalej.

- Ten człowiek wyszedł i poszedł w drugą stronę, no, nieważne w którą. A ja siedziałem dalej przez pół godziny. - Spojrzał na Romana, który przytaknął głową. - Więc siedziałem i jak ktoś wychodził, to włączałem kamerę. W sumie wyszło trzech mężczyzn i jedna kobieta. Ale wchodzących nie filmowałem, nie kazał pan - zastrzegł się S-7.

- Tak, tak, chodziło tylko o wychodzących - potwierdził Roman.

- No, to ja wszystko zrobiłem, wykonałem zadanie.

- A co dalej?

- Nie chciałem wracać pociągiem, żeby nie natknąć się na naszego człowieka. Pojechałem taksówką na drugi koniec Londynu, a stamtąd wróciłem do Manchesteru rejsowym autobusem. Byłem w biurze jeszcze przed nim.

- Pytał o telefony?

- Tak, pytał. Ale powiedziałem, że załatwiałem przez cały dzień sprawy na mieście.

- Dobrze pan zrobił. No, to pod to zadanie, które pan wykonał. - Roman wznosił kieliszek z winem i obaj z informatorem wypili do

dna. Okazja była dobra do toastu. Roman zamówił jeszcze po koniaku.

– Więc jest pan ze mnie zadowolony. Bardzo się cieszę. Nie chciałbym, żeby pan mnie źle zrozumiał, ale...

– Panie Wilhelmie, naprawdę pan myśli, że o czymś zapomniałem?

– Nie, skąd, wie pan, ja tylko tak... – plątał się S-7.

– Proszę, oto pieniądze. – Roman wyciągnął przygotowany na wszelki wypadek zwitek pieniędzy, który podjął dziś rano z kasy funduszu operacyjnego. – Dwa tysiące jako zwrot kosztów, które pan poniósł. I pięć tysięcy premii. – Podał informatorowi pieniądze pod stołem.

– Och, doprawdy, to świetnie. Nie spodziewałem się aż tyle. No, że tak mnie pan wynagrodzi.

– To nie ja, to firma – podkreślił Roman. – Jeszcze pokwitowanie.

Roman dotknął kieszeni, ale zorientował się, że nie wziął ze sobą notesu i nie będzie miał skąd wyrwać kartki.

– Ma pan coś, żeby napisać? – spytał informatora.

Ten zaprzeczył. Roman znowu sięgnął do pojemnika z serwetkami. Wyjął więcej, żeby łatwiej było pisać i podsunął S-7.

– Co mam napisać?

– Normalnie, że otrzymał pan dwa tysiące jako zwrot kosztów zadania oraz pięć tysięcy premii. Tylko niech pan podpisze pseudonimem, nie nazwiskiem.

Informator podał zapisaną serwetkę Romanowi, który wziął też całą resztę, jaka służyła za podkładkę, i wszystko schował do kieszeni.

- Na serwetkach zostają przebitki - powiedział, widząc zdziwione spojrzenie S-7.

Przez chwilę delectowali się koniakiem. Mogli sobie na to pozwolić, obaj zasłużyli na chwilę swobodnego relaksu.

- A, niech mi pan da kasetę - przypomniało się Romanowi.

Informator otworzył teczkę i przekazał nagranie.

- Zobacz pan, jaka jakość filmu - chwalił się. - Mam wprawę, w każde wakacje kręcę całą swoją rodzinę.

- Panie Wilhelmie, mam dla pana następne zadanie.

- Tak, słucham. - Skupionym wyrazem twarzy S-7 wyrażał gotowość do przyjęcia zlecenia.

- Musi pan zbliżyć się do naszego człowieka. - Roman posługiwał się tym określeniem osoby Izydora, aby nie wymieniać jego nazwiska w miejscu publicznym. Informator, przeszkolony wcześniej w tym zakresie, wiedział dobrze, o kogo chodzi i sam już używał z dużą wprawą operacyjnych synonimów. - Mam na myśli nawiązanie bliższego kontaktu towarzyskiego. Coś pan wymyśli, wspólne zainteresowania, może jakiś interes. Chodzi o to, żeby być przy nim jak najczęściej. I będzie mnie pan o wszystkim informował telefonicznie. W tym przypadku odступujemy od zasady niemówienia przez telefon. Wymaga tego sytuacja.

- Od kiedy mam zacząć?

- Od zaraz.

Informator pokiwał głową w zamyśleniu.

*

Po powrocie do firmy Roman skierował się od razu do Pepsuja. Tylko u niego mógł obejrzeć film. Wydział dysponował jednym

telewizorem i odtwarzaczem video, które znajdowały się w gabinecie naczelnika.

Pepsuj wsunął kasetę do odtwarzacza i obaj zasiedli wygodnie w fotelach. Nagranie zawierało dokładnie to, co zrelacjonował S-7. Izydor wchodzący do budynku i wychodzący stamtąd po prawie dwóch godzinach. Informator filmował z włączonym zegarem, dzięki czemu można było dokładnie określić czas rozgrywających się zdarzeń. Po opuszczeniu miejsca spotkania przez Izydora wyszły stamtąd cztery osoby. Dwie z nich, kobieta i mężczyzna, zaraz po nim. Te można było wyeliminować. Trzecią osobą okazał się mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Wyszedł dwadzieścia minut po figurancie. Ostatni był staruszek z białą laską. Niewidomy. Jego też należało wykluczyć.

Roman i Pepsuj byli zgodni. Ich doświadczenie zawodowe podpowiadało tego samego człowieka. Jeżeli Izydor odbył spotkanie agenturalne, oficerem MI-6 mógł być tylko mężczyzna, który wyszedł jako trzeci z budynku. Ubrany w wytarte dżinsy i podkoszulek. Nie harmonizowało to z innymi szczegółami – błyszczącymi skórzanymi pantoflami oraz eleganckim parasolem z rzeźbioną rączką. Obraz obejrzelikilkakrotnie na zbliżeniach. Do tego fizjonomia i szczupła twarz ze starannie ułożonymi siwiejącymi włosami.

– No cóż, Romku – powiedział Pepsuj. – Chyba znowu zwrócimy się po pomoc do wywiadu.

To było jasne. Twarz z nagrania trzeba wykadrować, a fotografię przekazać do wywiadu. No, i liczyć na to, że wywiad ma w swoich zbiorach zdjęcie tego mężczyzny.

– Tak, załatwię tę sprawę jeszcze dzisiaj – zadeklarował Roman. – I co, Maćku, myślisz o tym wszystkim?

– No cóż, to jeszcze jedno hasło do rozszyfrowania w naszej szaradzie. A do ostatecznego rozwiązania mamy daleką drogę. Musimy działać rozsądnie i bez zbytniego pośpiechu.

Roman zadrżał w duchu. Cholerny Pepsuj – pomyślał. – Czego mu jeszcze potrzeba, żeby zaczął traktować sprawę tak, jak na to zasługuje?

Dziwił go sceptycyzm Pepsuja. Informacje są nie do podważenia. Z jednej strony Anielin i KDB, z drugiej – MI-6. Gdyby były to tylko hipotezy, to w porządku. Jednak tym razem są to fakty. Prawda, że brakuje im wielu elementów, żeby to wszystko poukładać, ale to, co uzyskali, wystarczy do stworzenia podstaw dla własnej, zakrojonej na dużą skalę operacji kontrwywiadowczej. Tymczasem Pepsuj dawał mu do zrozumienia, że czas na to przyjdzie później, kiedy złożą wszystko do kupy. Tylko że wtedy może być za późno.

Roman próbował wyciągać wnioski. Dlaczego Pepsuj zajmuje w jego sprawie takie właśnie stanowisko? Czyste asekuranctwo? Obawa przed tym, że Roman osiągnie sukces, jakiego firma nie miała od lat, i wyrośnie nad niego? A może polecenie z góry? Nie dojdzie prawdy. Może natomiast zrobić jedno. Przyspieszyć bieg działań.

Roman wezwał Jubilera i polecił mu zrelacjonować wiedzę, jaką zgromadził o kobiecie, z którą Stockwell utrzymywał kontakty telefoniczne. Przez piętnaście minut słuchał przekazywanych beładnie informacji. Tak, Jubiler ma sporo do nadrobienia. Nie odróżnia rzeczy ważnych od nieważnych. System szkolenia

w Departamencie nie jest doskonały i młodzi oficerowie właściwą naukę mogą pobierać tylko od starszych kolegów.

Kiedy Jubiler zamilkł, głos zabrał Roman.

– Mamy więc kobietę trzydziestoletnią, Izabelę Rychlińską, tak?

– Tak, no tak, oczywiście.

– Nie przerywaj, Jubiler. To było pytanie retoryczne. Niezameżna, wyższe wykształcenie, jest pracownikiem biurowym w dużej firmie. Ale ma narzeczonego w Gdańsku, jak to ustaliłeś, tak?

Tym razem Jubiler tylko kiwnął głową.

– Trzydzieści lat to piękny wiek dla kobiety na zamążpójście. Panna nie może pozwolić sobie na żaden błąd w sprawach sercowych. I tu wyłania się nam Stockwell. Cóż on robi? Uwodzi pannę, która mocno angażuje się w ich związek. Sprawy z narzeczoną będą jednak swoim torem i wkrótce mają się sfinalizować. – Roman przerwał i popatrzył na Jubilera. – Czy już rozumiesz? – zapytał.

– No pewnie, każdy musi w końcu się ustatkować.

– Ach, Jubiler. – Roman pokręcił głową. – Jaki ma to związek z naszą sprawą?

– Chyba Stockwell nie zawierował jej do współpracy z MI-6?

– Jubiler! – Roman uderzył trzymaną w rękę linijką o blat biurka. – Czego oni uczyli cię na kursie oficerskim?! Słuchaj, Jubiler. Sytuacja panny Izabeli jest nie do pozazdroszczenia. Cóż mogłoby się stać, gdyby o romansie dowiedział się narzeczonego z Gdańska? Oczywiście byłby to koniec ich związku. I to masz tej młodej kobiecie uświadomić. Tylko nie po chamsku, ale misternie, z najbardziej delikatnymi aluzjami. Rozumiesz?

- Teraz rozumiem.

- Słuchaj dalej. Weźmiesz od niej zobowiązanie do współpracy. Od razu. Kwestie formalne zostawisz na razie na boku, bo czas nas goni. Potem zarejestrujesz ją jako aspiranta na informatora.

- A jeśli ktoś się dowie? Bo instrukcja operacyjna...

- Od kogo ma się dowiedzieć? - Roman spojrzał groźnie na Jubilera. - Przygotujesz ją do wykonania jednego zadania. Jednego. Ma przeszukać mieszkanie Stockwella, przeszukać bardzo dokładnie. Ustaliłeś przecież, że przychodzi do niego? No właśnie. Niech spróbuje znaleźć mikrofilm. Wiesz, jak wygląda mikrofilm?

- Wiem, pokazywali nam na kursie ci z Biura Ewidencji i Archiwum.

- To będziesz wiedział, jak dokładnie wytłumaczyć Rychlińskiej, o co chodzi. Daję ci tydzień czasu. Jasne?

- Jasne, szefie.

VIII

Lato kończyło się dokuczliwymi upałami. Mimo późnej pory dnia Roman spociał się, idąc w kierunku budynku położonego naprzeciwko Victorii. Przed wejściem do hotelu musiał wykonać ten sam manewr, co poprzednio.

Obserwacja była w identycznym składzie, czyli dwa samochody i spacerująca para z kamerą. Określną drogą wyszedł na tyły Victorii. Przez kilka minut prowadził obserwację terenu ukryty za śmietnikiem. Żadnego ruchu. Przecież to niedziela.

Podszedł do drzwi prowadzących do kuchni. Znowu natknął się na Henia, który tym razem był bardziej uprzejmy. Wprawdzie nie pozwolił mu przejść przez kuchnię, ale wpuścił do środka, prosząc, by zaczekał. Chociaż właśnie teraz Roman chętnie zaczekałby na zewnątrz, gdyż w kuchni było gorąco i panował zaduch właściwy dla tego miejsca letnią porą. Na szczęście zaraz pojawił się pan Rysiek i przeszli do jego gabinetu.

Z kieliszkami koniaku zasiedli w fotelach.

– Wszystko załatwione, panie Romku. – Pan Rysiek sięgnął do kieszeni i podał Romanowi trzy klucze, każdy z plastikową tarczą, na której widniał numer pokoju. – Tak jak panu mówiłem, Czeczenów jest pięciu. W dwóch pokojach mieszkają pod dwóch, a ich dowódca czy szef zajmuje osobny apartament numer sto piętnaście na tarczy.

– Świetnie, panie Ryśku. Kiedy wracają?

– Tego nie wiem. Nie zamawiali biletów powrotnych. W recepcji mówią, że pewnie pojechali do tego swojego ośrodka czeczeńskiego w Krakowie. Ktoś stamtąd już ich tu odwiedzał.

– Wywiedział się pan czegoś o ich pobycie tutaj?

– No pewnie. Siedzą u nas od paru miesięcy. To znaczy cały czas płacą za pokoje, bo już parę razy wyjeżdżali. Wie pan, ile to kosztuje? Skąd oni biorą forszę? Ale nieważne. Czegoś chyba pilnują, bo zawsze jednego zostawiają. Może mają worek dolarów? Teraz wszyscy wyjechali. Pewnie tak kazali ci z Krakowa. Aha, i sami sprzątajają pokoje. Zabronili przychodzić sprzątaczkom.

Roman spojrział na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Pora zaczynać.

– To ja pójdę się rozejrzeć.

– Tylko niech pan uważa, panie Romku. To jakieś dziwne typy, nie wiadomo, co chowają w pokojach. – pan Rysiek wydawał się trochę zaniepokojony.

– Wszystko będzie dobrze. Mam wprawę w tych sprawach. – Roman chciał uspokoić szefa kuchni, na którego twarzy malował się niepokój.

– Nie, ja nie o to się boję. Wie pan, w hotelu mieszkają też Rosjanie. W ostatnich dniach między nimi a Czeczenami zaczęły się jakieś zatargi. W dzień jest spokój, ale wieczorem, kiedy jedni i drudzy sobie popijają, dochodzi do kłótni. Wyzywają się na korytarzu, stukają sobie do drzwi. Jakby przypadkiem coś ich naszło, to znaczy Rosjan, niech pan nie odzywa się z pokoju, bo awantura gotowa.

– Nie ma obawy, panie Ryśku. Wszystko będzie dobrze.

Roman wyszedł z kuchni bez asysty pana Ryśka. Minął recepcję, szatnię i wszedł schodami na drugie piętro. Było cicho, nikt się nie kręcił. Tylko z baru dobiegała głośna muzyka. Roman wyjął klucze. Pokój dowódcy postanowił zostawić na koniec.

Przeszedł korytarzem i odszukał drzwi, na których złożony numer zgadzał się z tym, jaki był na plastikowej tarczy przy kluczu. Roman jeszcze raz rozejrzał się na boki. Delikatnie przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Wszedł do środka i zapalił światło. Ujrzał standardowy pokój hotelowy. Żadnych przedmiotów poza zwykłym wyposażeniem. Tylko na stole stała butelka po koniaku gruzińskim czy armeńskim i dwie szklanki, a popielniczka była pełna niedopałków. Zajrzał do szafy. Dwie koszule na wieszaku, spodnie, kurtka moro, zapasowa albo odświętna – pomyślał Roman.

Prowadząc przeszukanie, zwracał uwagę na zabezpieczenia, czyli trudne do wychwycenia minielementy w otoczeniu, których zmiana położenia będzie mówić o czyjejs niepożądanym obecności w pokoju. Mogła to być zapalka pod stolikiem, nitka wystająca z szuflady, która po jej otwarciu wypada na podłogę i cały szereg podobnych zabezpieczeń możliwych do zauważenia jedynie przez doświadczone oko. Jednak Roman nic takiego nie znalazł. Czy miało to znaczyć, że Czeczeni niczego się nie obawiali?

Przejrzał szuflady w komodzie, wewnątrz łóżka, szafkę pod telewizorem. Sprawdził wszystkie miejsca, które nadawały się do ukrycia czegokolwiek. Zrolował wykładzinę i rozwinął ją z powrotem. Nic nie było. Stał na środku pokoju i obracając się powoli, jeszcze raz zlustrował dokładnie całe wnętrze. Nie, nic tu nie ma.

Roman podszedł do drzwi i przystawił ucho. Cisza. Otworzył drzwi i zamknął za sobą. Wszedł do następnego pokoju. To samo. Został mu ostatni pokój. Był to apartament złożony z dwóch pomieszczeń. Roman rozpoczął systematyczne przeszukanie. Wreszcie coś jest. Na najniższej półce w szafie leżały dwa czasopisma. Wziął je do ręki. Nie, to nie czasopisma. To prospekty reklamowe firmy Vanex. Na okładce karabin z lunetą. W środku zdjęcia rozmaitej broni ręcznej, granatów, granatników przeciwpancernych, nawet pojazdów opancerzonych. Roman poczuł lekkie zawrócenie w głowie. Wdepnął w coś nieprzyjemnego.

Wtem usłyszał hałas dochodzący z korytarza. Pijane głosy od strony wejścia do holu przybliżały się coraz bardziej. Ktoś walnął pięścią w drzwi pokoju, w którym przebywał Roman, i krzyknął: „Ty, terrorist!”. To pewnie ci Rosjanie, o których mówił pan Rysiek – pomyślał Roman. Nagle uprzytomnił sobie, że po wejściu do środka nie przekręcił w drzwiach zamka. Było już za późno. Spojrzał w głąb szafy i odruchowo ściągnął z wieszaka kurtkę moro, narzucając ją na siebie. Na półce leżała czapka, naciągnął ją sobie na głowę. Zorientował się, że była to kominiarka, ale nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Usiadł przy stoliku i ujął głowę w dłonie. Zastygł w tej pozycji. Dobijanie się do drzwi narastało. Wreszcie ktoś szarpnął za klamkę. W wejściu stanął jakiś człowiek, wykrzykując coś po rosyjsku. Roman wyłapywał tylko niektóre słowa: „Wy wsie terrorysty, nu, pogodzi, my wam pokażem”. Roman ani drgnął. Usłyszał drugi głos: „Wania, chwacit, nu, poszli spać”. I chyba pod adresem Romana: „Praszczajcie, grażdanin”. Drzwi się zamknęły. Temu drugiemu udało się odciągnąć awanturnika. Jeszcze przez chwilę było słychać oddalające się głosy.

Roman odetchnął. Ściągnął kominiarkę z głowy. Otarł pot z czoła. W myślach łajał się za nieostrożność. Nie zamknął drzwi, a pan Rysiek go uprzedzał. Odłożył kurtkę i kominiarkę Czeczena do szafy. Gdy upewnił się, że na korytarzu nie ma już nikogo, szybko opuścił pokój.

Oddał panu Ryśkowi klucze, nie mówiąc o zajściu na górze. Z chęcią zgodził się na propozycję wypicia jeszcze jednego kieliszka koniaku na uspokojenie skołatanych nerwów.

*

Pepsuj chodził wzburzony po gabinecie. Był tak wściekły, że nie mógł powstrzymać nerwowego tik, który przejawiał się w bezustannym zaciskaniu i rozwieraniu szczęki. Roman patrzył na niego z przygnębieniem, a ciągłe ruchy szczęki, wyraźnie widoczne pod skórą policzków naczelnika, napełniały go prawdziwym przestrawem.

– Romku, jak mogłeś wpędzić nas w taką historię? – W ustach Pepsuja nie był to bolesny wyrzut, a zarzut, wykrzyczany z taką bezsilną złością, że ciarki chodziły po plecach.

Roman w duchu przyznawał mu rację. Sam prawie w ogóle nie spał tej nocy. Fatalny ranek po wczorajszym wieczorze. Choć właściwie wszystko zaczęło się w ten dzień, gdyż przeszukanie pokoi Czeczaków zakończył po dwudziestej czwartej, czyli dzisiaj, w poniedziałek.

Długo przemyślał, co powinien zrobić ze swoim odkryciem. Zachować je dla siebie czy powiedzieć Pepsujowi? Nic nie ryzykował, gdyby nikomu o tym nie powiedział. Nie obchodzi go przecież Czeczoni kupujący broń. Nie wchodzi to w zakres jego obowiązków

służbowych ani w zakres działania wydziału zachodnioeuropejskiego. Tylko że Czeczeni mają kontakty z Alicją Jabłońską, a ta siedzi już mocno w sprawie Izydor poprzez swoje kontakty z Jezabel Young i generałem Anielinem. No, i firma Vanex. A tu widać rękę MI-6. Tylko co Anglicy mogą mieć wspólnego z Czeczenami? Czy można brać na poważnie narzucający się wprost wniosek, że negocjują dostawy uzbrojenia? I do tego dostarczanego przez Cenzen? Jeśli tak rzeczywiście jest, wybuch międzynarodowej afery wisi na włosku. Do tego dochodzą informacje od Amerykanów, że Rosjanie mają swoją wtyczkę w MI-6. Czyni to wielce prawdopodobnym nadejście sytuacji kryzysowej, ponieważ SWZ nie zmarnuje okazji, jaką stwarzają im sami Anglicy. Na pewno już wiedzą o kontaktach Czeczenów z Vanexem. Ci Rosjanie, którzy dobijali się do pokoju w Victorii, to agenci albo oficerowie SWZ.

Tak, sytuacja była niezmiernie skomplikowana. Czy tego chciał, czy też nie, Roman znalazł się w centrum tej afery. To może źle powiedziane. Raczej stał się jej czynnym uczestnikiem. Gdyby mógł cofnąć czas, nie poszedłby do Czeczenów. Wolałby widzieć sprawę tak, jak przedtem. Jednak nie dało się tego zrobić. Musiał więc wybrać. I po długim namyśle wybrał – powie o wszystkim Pepsujowi. Powie, ponieważ nie jest w stanie wziąć na swoje barki odpowiedzialności za konsekwencje trudnego do przewidzenia splotu wydarzeń. Jeżeli by teraz zataił informację, jego przełożeni mogliby, w razie kryzysu, działać w ciemno. Podejmowałiby błędne decyzje. Groziło to utratą kontroli nad zdarzeniami i tylko Roman miałby świadomość tego, co naprawdę się dzieje. Dlatego nie mógł zataić nabytej w Victorii wiedzy. Chociaż pamiętał, że dowódca Czeczenów spotykał się z oficerem firmy, był jednak pewien, iż ich

negocjacje z Vanexem odbywają się już bez wiedzy firmy. Dostarczenie uzbrojenia do strefy zakazanej, które miałyby zostać wykorzystane przeciwko potężnemu wschodniemu sąsiadowi, skutkowałoby nie tylko ochłodzeniem wzajemnych stosunków, ale wręcz konfliktem na bardzo poważną skalę. I wszyscy, poza Czeczenami, by na tym stracili.

Stało się tak, jak przypuszczał. Na początek, po zrelacjonowaniu odkrycia, został obrzucony przez Pepsuja inwektywami, wśród których do najczęściej powtarzających się należały: głupiec, półmózg, dureń, łobuz i, nie wiedzieć czemu, paralityk. Po pierwszym wybuchu epitety stały się łagodniejsze: bezmyślne indywiduum, knociarz (Roman nie wiedział, co też mógł sknocić) i paranoik. Teraz nastąpiła faza trzecia – faza zarzutów pod jego adresem, w jak niewyobrażalne kłopoty wpędza on swojego naczelnika i swój wydział.

– Przecież to kompletna tragedia, wprost nie mieści się głowie, jak mogłeś wpaść na tak bezsensowny pomysł. Ty chcesz nas wszystkich utopić, wpędzić do grobu, w którym już sam się znalazłeś. Co my ci zrobiliśmy, że tak okrutnie obchodzisz się z nami? Jak ostatni niewdzięcznik. Jesteśmy dla ciebie niczym rodzina, która zawsze o ciebie dbała i myślała o tobie. A ty? Dlaczego odpłacasz nam w tak perfidny sposób? Jesteś niczym syn marnotrawny!

Roman milczał. Niebezpiecznie byłoby teraz zabrać głos. Wiedział, że nic mu się nie stanie. Bo jakby na to nie patrzeć, wykrył aferę, jeżeli nie handel, to przynajmniej negocjacje w sprawie sprzedaży broni do strefy zakazanej. Nie ulegało wątpliwości, że jego działanie było samowolne, niezgodnione z przełożonymi i przez

nich nieakceptowane. Jednakże ta kwestia schodziła na dalszy plan wobec efektu, jaki udało mu się osiągnąć.

Problem tkwił w tym, że był to efekt niechciany. Nielegalny handel bronią to dziedzina pionu antyterrorystycznego firmy. Zajmowali się nią ci, którzy musieli to robić. Wszyscy inni umywali ręce, w szczególności Departament Kontrwywiadu. Jeżeli jakaś informacja w tym temacie została uzyskana przez któryś z wydziałów kontrwywiadu, bezzwłocznie przekazywano ją do antyterrorystów z zaznaczeniem, że jest przypadkowa i niemożliwa do pogłębienia. W ten sposób uciekano od handlarzy bronią. Babranie się w tych sprawach groziło różnymi nieprzyjemnymi konsekwencjami. Za dostawami broni do stref zakazanych stało nie tylko potężne lobby producentów, ale i wpływowe koła polityczne. Ukryci za szczelnym parawanem sieci powiązań niemożliwych do wykrycia organizatorzy kanałów przerzutowych dysponowali ogromnymi wpływami i mogli skutecznie zablokować działania firmy. W efekcie większość spraw prowadzonych przez antyterrorystów nie przynosiła żadnych wyników. Z prostej przyczyny. Działania realizowano rachitycznie, niby z powodu jakichś obiektywnych przeszkód. Do oficera prowadzącego sprawę docierały sugestie, że przecież może się mylić, nie powinien podejmować pochopnych decyzji, że wszystko należy sprawdzić jeszcze raz od początku. W tym czasie statek wypływał z portu, podejrzane spółki rozwiązywały się albo zaczynały handlować mydłem. Młodzi i ambitni oficerowie, łaknący szybkich awansów, prędko pojmowali, w czym rzecz. I już nie działali pochopnie. A jeśli odporność na sugestie mieli wyższą od przeciętnej, byli spychani do drugiego, a potem do trzeciego szeregu za brak efektów w pracy

operacyjnej. Pozostawało im tylko oczekiwać na przejście do logistyki. Tam nie musieli wykazywać się inicjatywą. Wystarczyło, jeśli potrafili liczyć spinacze, flamastry i inny sprzęt biurowy.

Dlatego pion antyterrorystyczny osiągał sukcesy na stosunkowo niewysokim pułapie. Zazwyczaj wyjaśniano sprawy kradzieży pistoletów albo granatów w fabrykach, a sprawcami okazywali się robotnicy, co najwyżej kierownik zmiany. Skradzioną broń odkopywano, bo ulubionym miejscem ukrycia były lasy państwowe. To chyba taka tradycja jeszcze z czasów wojny. Sukces był z pozoru niewielki, lecz umiejętne sterowanie medialne ogromnie podnosiło jego rangę. I rosła świadomość, że firma skutecznie zabezpiecza niekontrolowany wypływ broni z fabryk i magazynów. Ale powstawał też efekt uboczny. Sukcesy firmy na tym polu wpływały na pogłębienie rozdźwięków z WSI, gdyż zakłady metalowe stanowiły domenę wojskowych.

Roman podzielał niepokój Pepsuja. Odkrycie prospektów Vanexu u Czeczenów stawiało ich w sytuacji patowej. Informacji nie mogli przekazać do antyterrorystów, ponieważ zbyt ściśle wiązała się ze sprawą Izydor. Byłoby to sprzeczne z ich własnym interesem. Hunek bez wątpienia nakazałby im skoordynowanie działań. Antyterrorysty dostaliby wątek czeczeński, ale wszelkie przedsięwzięcia musieliby uzgadniać z wydziałem zachodnioeuropejskim i odwrotnie. To nie rokowało dobrze ich własnej sprawie, czyli jej wątkom kontrwywiadowczym. Ospalność antyterrorystów, zamierzona czy nie, mogłaby rozciągnąć się na Izydora. Pepsuj wprawdzie doradzał Romanowi spowolnienie niektórych działań, ale nie było jego zamiarem wtrącanie sprawy w całkowity marazm. Izydor stawał się sztandarowym osiągnięciem wydziału i pozbawienie się go z własnej

woli, przy całkowitym braku jakichkolwiek sukcesów ze strony innych oficerów, granaczyłoby z samobójstwem. Dobrze zapowiadające się naczelnikowanie mogło się raptownie zakończyć, a tego Pepsuj zdecydowanie sobie nie życzył. Nikt już mu nie da drugiej szansy.

Z tego wszystkiego Roman doskonale zdawał sobie sprawę. Pepsuj był nieprzewidywalny, ale ostatnio kilkakrotnie zaskoczył go rozsądkiem i umiarem. Na to teraz liczył Roman. I się nie zawiódł.

Pepsuj powoli się uspokajał. Przestał mówić i otępiałym wzrokiem wpatrywał się w Romana. Pod maską bezmyślnego spojrzenia dokonywała się chłodna ocena rzeczywistości. Tak, Pepsuj już wiedział, jak należy postąpić.

– Co się stało, to się nie odstanie, Romku – zaczął. – Przez te twoje... – Mimowolnie chciał kontynuować zarzuty pod adresem Romana, ale się zatrzymał. – Wiesz, co chciałem powiedzieć. Ale zostawmy to. – Usiadł za biurkiem. – Po tym, co zobaczyłeś, trzeba uznać za bezsporne, że Czeczeni dążą do zdobycia broni za pośrednictwem Vanexu i tej Jabłońskiej. Broń ma pochodzić z Cenzenu, to jasne. Jak oni to kupią, jak zamierzają wywieźć broń z kraju, co chcą z nią zrobić, to nas zupełnie nie interesuje. Ani ciebie, ani mnie, ani naszego wydziału. Ale my o tym wiemy i nie możemy przejść nad całą tą sprawą do porządku dziennego. Zrobimy tak. Wepchniesz Czeczenów do sprawy Izydor. Jako kontakt Jabłońskiej. Przecież Jabłońska siedzi po uszy w Izydorze, bo jest w kontakcie z Anielinem z KDB, z którym z kolei współpracuje albo współpracował sam Izydor.

Roman kiwał aprobująco głową. Już domyślił się, do czego zmierzał Pepsuj. Jednak nie był taki głupi ten jego naczelnik.

- Oczywiście, nie ma mowy o żadnej broni. Skąd my mamy wiedzieć o takich rzeczach? Czy ci coś o tym wiadomo?

Roman gwałtownie zaprzeczył.

- No widzisz. Czeczeni wchodzą do naszej sprawy jako kontakt osoby przez nas podejrzewanej. Dlatego musimy wziąć ich pod kontrolę. W ten sposób będziemy wiedzieć o ich ruchach. W końcu i tak prześlemy ich antyterrorystom. Ale do tego czasu może uda się nam dokończyć naszą sprawę. Wiesz, co masz robić?

Tak, Roman wiedział.

- Obstawić Czeczenów obserwacją.

Pepsuj rozłożył ręce na znak, że wszystko zostało powiedziane. Roman wstał i skierował się do drzwi. Naciskał już klamkę, gdy usłyszał głos naczelnika:

- Pamiętaj, że na drugi raz to ja...

*

Dochodziła szesnasta. Roman zbierał się do wyjścia. Zamknął metalową szafę, włożył sznurek w kapsel i obłożył go plasteliną. Przytrzymując w dłoni kapsel, odcisnął referentkę. Strzepnął z palców resztki plasteliny i podszedł do okna. Miał stąd widok na wejście do firmy. Teraz wylewał się z niej tłum ludzi. Jak zwykle byli to pracownicy pionów logistycznych. Ci nigdy nie mogą doczekać do czwartej. Zresztą po co? I tak mają niewiele do roboty - zadumał się.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Sekretarka wydziału, pani Maryla, poinformowała go, że ma do odebrania przesyłkę z Departamentu Techniki. Roman westchnął. Będzie musiał opóźnić swoje wyjście do domu, gdzie miał nadzieję odpocząć po nieprzespanej prawie nocy.

W sekretariacie pokwitował odbiór przesyłki w dzienniku wydziałowym. Pani Maryla milczała z nadąsanym wyrazem twarzy, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że jest to nieodpowiednia pora do załatwiania spraw służbowych. Roman też nic nie mówił, było mu wszystko jedno. Powlókł się z powrotem do swojego pokoju. Zerwał plombę z szafy metalowej i otworzył drzwi. Sięgnął po odłożoną na biurko przesyłkę i rzucił ją do środka. Zatrzasnął drzwi szafy i wziął się do plombowania. Zastygł na moment. Dopiero teraz dotarło do niego, że odebrał przesyłkę o niezwyklej porze. Na obieg korespondencji przeznaczano godziny poranne i tak zwaną pocztę przyjmowano i rozdzielano do godziny jedenastej. Może więc otrzymał coś ważnego? Pilnego? Jeszcze chwilę medytował, po czym zrezygnowanym ruchem ponownie otworzył szafę. Rozciął zapieczętowaną żółtą kopertę. Zwrócił uwagę, że przesyłka nosiła dzisiejszą datę i miała nadruk „Bardzo pilne”. Dlatego dotarła do niego tak szybko. W kopercie znajdowała się kartonowa obwoluta z godłem firmy, a w niej plik kart maszynopisu. Były to tłumaczenia stenogramów rozmów telefonicznych Stockwella i Young. Do obwoluty przypięto karteczkę z odręcznie zapisaną treścią: Romku, to chyba istotne. Zbyszek.

No, tak. To pułkownik Sobierajski, inspektor kontrolny Departamentu Techniki, kontrolując pracę innych pracowników swojego Departamentu, chce pewnie udowodnić, jaki jest bystry i potrafi wychwycić bardzo interesujące momenty rozmów telefonicznych figurantów kontrwywiadu. Roman przerzucił karty tłumaczeń i znalazł miejsce podkreślone przez Sobierajskiego na czerwono. Przeczytał raz i drugi. Otrząsnął się i zmęczenie gdzieś z niego uleciało. Spokojnie analizował tekst.

Wczoraj po południu Stockwell zadzwonił do Young. Prosił o przypomnienie daty wyjazdu. Young podała środę. „Dobrze – odpowiedział Stockwell – wobec tego ja wyjadę o dziesiątej do Łodzi”. Chyba właściwie przetłumaczono nazwę miasta, bo Anglik miał pewnie trudności z jej wymówieniem. Potem Young pytała Stockwella, jak się czuje, ten odpowiedział, że nadal ma wysoką gorączkę i do środy raczej nie wstanie z łóżka. Zaraz po tej rozmowie odbyła się druga. Tym razem zadzwoniła Young. Poprosiła Stockwella, żeby zamiast do Łodzi pojechał gdzieś dalej, najlepiej do Wrocławia, bo wtedy czas ich nieobecności będzie podobny i wrócą mniej więcej o tej samej porze.

Sens rozmów Stockwella z Young był dla Romana oczywisty. To, co zamierzali zrobić w środę, nazywano w kontrwywiadzie rozprawianiem. W ten sposób oficerowie rezydentur wywiadowczych w ambasadach i uplasowani w różnych instytucjach robili zamieszanie, gdy jeden z nich wykonywał ważne zadanie. W teren wyruszało jednocześnie dwóch lub więcej oficerów, czym wprawiali w konsternację obserwujących ich przeciwników. Jeżeli obserwacja ruszała za pozorantem, ten właściwy mógł spokojnie wykonać zadanie. Jeśli przypadkiem pracownicy obserwacji przykleili się do właściwego oficera, odstępował on od realizacji tego, co miał zrobić. Pod warunkiem, że zauważył ogon.

Z rozmów telefonicznych wynikało, że wykonującym zadanie będzie Jezabel Young. Stockwell miał odgrywać rolę zająca. Jakie zadanie ma Young? Spotkanie z agentem? Jeśli tak, to z którym? W celu odebrania jakichś materiałów? Nie dojdzie tego teraz. Jedno jest pewne. Jeśli Stockwell ma jechać aż do Wrocławia, to Young

potrzebuje dużo czasu. Albo wyjeżdża równie daleko co on, albo jej zadanie jest szczególnie skomplikowane.

Co dalej? W środę trzeba uruchomić obserwację towarzyszącą za obojgiem Anglików. Nie ma innego wyjścia. Roman wzdrygnął się na myśl o rozmowach, jakie będzie musiał przeprowadzić w Biurze Obserwacji. Zabrał im już tyle podstawek, ponadto dwie najlepsze sekcje do obserwowania Izydora i Jabłońskiej. Może lepiej zacząć od razu? Spojrzał na zegarek. Było po szesnastej. Szybkim krokiem wyszedł z pokoju i skierował się do sekretariatu. Pani Maryla plombowała ostatnią szafę.

- Czy naczelnik jeszcze... - Nie zdążył dokończyć pytania.

- Wyszedł przed chwilą - oznajmiła sucho, nie odwracając głowy.

Prawie biegiem opuścił wydział. Skierował się do głównych schodów. Na korytarzu ruch był już rzadki. Dochodziło dziesięć po czwartej i wychodzili ostatni spóźnialscy.

Roman wybiegł z budynku i zatrzymał się. Patrzył za idącymi w stronę ogrodzenia oficerami. Wreszcie dostrzegł Pepsuja. Szedł w towarzystwie naczelnika wydziału orientального. Dobiegł do nich i chwycił Pepsuja za łokieć.

- Przepraszam, Maćku - wysapał, uśmiechając się przepraszająco. - Mam do ciebie dwa słowa.

Pepsuj najpierw popatrzył na niego z wyrazem zdumienia na twarzy, a potem skinął głową towarzyszącemu mu naczelnikowi i odszedł z Romanem na bok. Ten zrelacjonował po cichu zawartość przesyłki z Departamentu Techniki. Pepsuj wysłuchał spokojnie i powiedział:

- Ten wyjazd jest w środę, tak?

- Tak - przytaknął Roman.

– To po co zawracasz mi teraz głowę? Przecież mamy poniedziałek.

– Ja wiem, ale z Biurem Obserwacji trzeba...

– Romku, Romku, opanuj się. Spójrz, która godzina. – Pepsuj podciągnął rękaw marynarki i podsunął Romanowi pod nos zegarek. – Ta sprawa zaczyna na ciebie źle działać. Zobaczysz, że nabawisz się nerwicy. No, do jutra.

Pepsuj odwrócił się i odszedł niespiesznym krokiem. Roman potarł dłonią czoło. Chyba rzeczywiście przesadza. Robi tyle rabanu, jakby się paliło. Spokój, spokój – mówił do siebie w myśli.

*

Do sprawy powrócili nazajutrz rano. Pepsuj wykazywał zadziwiające opanowanie i pewność siebie. Odwrotnie niż Roman, który, nieobecny duchem, bez przerwy zastanawiał się nad tym, jaki związek ze sprawą Izydor mają środowowe wyjazdy Young i Stockwella. Wbrew własnemu operacyjnemu rozsądkowi wymyślał najróżniejsze kombinacje, wiedząc, że jest to zabawa w zgaduj-zgadulę.

– Sytuację mamy następującą – zaczął Pepsuj, gdy usadowili się już wygodnie w fotelach w jego gabinecie. – Dwoje figurantów wyjeżdża w teren. Jeden jest rozprawdzającym. To oczywiście Stockwell. Ale w takich sprawach nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności. Ponieważ przeciwnik zawsze podejrzewa, że kontrolujemy jego ruchy, czyli że mamy go na podsłuchu telefonicznym. Dlatego kieruje nasze myślenie na fałszywy trop. Przełożenie jest wtedy proste. Ruszamy nie za tym, co trzeba. Węc tym razem obstawimy obserwacją oboje Anglików.

Pepsuj ma rację – myślał Roman. Ot, zwyczajna gra wywiadu z kontrwywiadem. Tylko że w tym wypadku wydaje się to zbyt proste. Ilość możliwych do wystąpienia wariantów jest niewielka, a więc stawia pod znakiem zapytania skuteczność przedsięwzięcia podejmowanego przez Young i Stockwella, nawet jeśli miałyby to być zwyczajna czynność, jak podjęcie martwej skrzynki kontaktowej. Nazwą tą określano atrapę przedmiotu, w której umieszczano materiały szpiegowskie, na przykład atrapa kamienia polnego podrzuconego przez agenta w umówione miejsce. Czy Anglicy by tak ryzykowali? Przecież nie mogli wykluczyć, że będą obserwowani. A może jest to działanie osłonowe dla przedsięwzięcia, które przeprowadzi ktoś inny? No tak. Znowu domysły bez dostatecznych ku temu przesłanek operacyjnych. Takie hipotetyczne rozważania są dobre w szkole kontrwywiadu, ale nie w szarej codziennej rzeczywistości. Trzeba wrócić na ziemię.

– Zgadzam się z tobą, Maćku. Ale jak to zrobić? – Chyba obaj zdawali sobie sprawę z trudności. – Na długie trasy potrzebujemy do każdego figuranta trzy pełne sekcje obserwacji towarzyszącej. Razem sześć. Właściwie to dwie już mamy. Chodzą za Izydorem i Jabłońską. Możemy je przerzucić na Anglików. Ale skąd wziąć następne cztery? Wierzysz, że uda się aż tyle wyrwać z Biura Obserwacji?

– Spokojnie, Romku. – Pepsuj uśmiechnął się chytrze. – Z nimi trzeba sposobem. Trochę ponegociujemy. Oni to lubią.

Roman spojrzał pytająco na naczelnika.

– Ty pójdziesz pierwszy. Pogadasz z Roberkiem, ale bez nerwów. On oczywiście odmówi, bo zamówienia na obserwację złożyli już inni, część ludzi jest na urlopach i temu podobne dyrdymały.

– I co dalej?

– Wtedy pójdziemy razem i spotkamy się z dyrektorem Malinowskim.

– I...?

– Jakoś dogadamy się z nimi. – Pepsuj nie chciał zdradzić szczegółów swojego planu.

Pobył Romana w Biurze Obserwacji był bardzo krótki. Roberek kategorycznie odmówił dodania choćby jednej sekcji obserwacji towarzyszącej. Przytoczył szereg argumentów, które dla kogoś nieorientowanego czyniłyby odmowę uzasadnioną z powodów obiektywnych. Zgodnie z przyjętą taktyką, Roman nie podjął dyskusji, wykazał jedynie głębokie zatroskanie.

Pepsuj nie był zdziwiony wynikiem spotkania. Wysłuchał relacji Romana, po czym zatelefonował do dyrektora Malinowskiego, uprzejmie zwracając się o przyjęcie ich w ważnej sprawie. Uzyskawszy zaproszenie, poszli na górę. Zabrali po drodze Roberka, który szedł za nimi, uśmiechając się ironicznie, jakby z góry przewidywał wynik zabiegów Pepsuja i Romana.

Malinowski przyjął ich bardzo uprzejmie, chyba ucieszony tym, że będzie mógł z kimś porozmawiać. Pamiętał, iż Roman niedawno złożył mu wizytę, i traktował go jak starego dobrego znajomego. Witając się z Pepsujem, powiedział:

– A, to pan wędruje po wydziałach Departamentu Kontrwywiadu. Słyszałem, słyszałem. Dużo razy zmieniał pan wydziały? – zapytał z autentyczną ciekawością.

– Nie tak znowu dużo. Nie pamiętam dokładnie ile. – Pepsuj zgrzytnął zębami ze złości. Stary piernik nie ma za grosz taktu,

myśli, że może na wszystko sobie pozwolić.

Roberek dyskretnie się uśmiechnął. Pepsuj przedstawił potrzeby wydziału zachodnioeuropejskiego na obserwację w dniu jutrzejszym. Malinowski słuchał uważnie, chociaż Roman miał wrażenie, że słucha, bo musi, a tak naprawdę zupełnie go to nie interesuje.

Gdy Pepsuj skończył, dyrektor zwrócił się do Roberka:

– I co o tym sądzisz, Wicku?

– Ja już mówiłem koledze – Roberek wskazał głową na Romana – że to niemożliwe. Mamy sezon urlopowy, a inne departamenty operacyjne złożyły zamówienia wcześniej. Praktycznie to nie mam wolnej ani jednej pełnej sekcji obserwacyjnej.

– Oj, to niedobrze – zmartwił się Malinowski.

– Ja wiem, że ostatnio mocno was angażujemy do naszych działań – zaczął Pepsuj. – I wiem, że inni też mają swoje uzasadnione potrzeby. Dlatego mam propozycję. Zrezygnujemy z podstawek, ze wszystkich. Ponadto te dwie wasze sekcje, które już wykorzystujemy, przetrzucimy do jutrzejszej operacji.

Roman popatrzył na swojego naczelnika trochę zdziwiony. Chce tak łatwo pozbyć się podstawek? No fakt, korzystają aż z ośmiu pojazdów już od jakiegoś czasu. Może rzeczywiście należałoby dla przyzwoitości zrezygnować z podstawek, przynajmniej na jakiś czas?

– Dla mnie nie stanowi to żadnej różnicy. – Roberek nie dawał się przekonać. – Podstawki to nie mój wydział. A zmontowanie teraz czterech sekcji... – pokręcił głową.

– Ale pan naczelnik wykazał dobrą wolę – wtrącił Malinowski. – Chce nam zwrócić podstawki. Może jednak coś się da zrobić, Wicku?

Roberek milczał, marszcząc czoło. Czuł się panem sytuacji, lecz nie mógł przesadzić, aby nie zostać posądzonym o złą wolę czy celowe utrudnianie innym pracy.

– No, nie wiem, nie wiem – powiedział po chwili. – Ostatecznie jedną sekcję dałoby się wykroić. Plus te dwie, co są u was, to będzie obsługa jednego figuranta.

Roman zaczynał tracić nadzieję. Jednak pomysł Pepsuja oparty na zasadzie, że jak my coś oddamy, to wy nam dodacie, chyba nie wypali.

– Widzi pan, w tym wypadku ogon za jednym figurantem nic nam nie daje. – Pepsuj mówił całkowicie spokojnie. – Nam potrzebna jest obserwacja jedynie na kilka godzin, no, może na cały dzień. Ja wiem, że sześć sekcji to dużo. Ale mam propozycję, oddajemy podstawki, zatrzymamy na potem tylko te dwie sekcje, które już dla nas pracują. Pan da nam na jutro cztery sekcje. A my podpiszemy protokół na jutrzejszą operację... – Pepsuj zawiesił na chwilę głos – razy dwa.

Teraz Roman zrozumiał, na czym polegał pomysł jego naczelnika. Żeby dogadać się z Biurem Obserwacji, stosowano czasami ten chwyt. Chodziło o to, że zamawiający, czyli któryś wydział jednego z departamentów operacyjnych, brał obserwację, na przykład, na dzień, ale we wspólnym protokole pisano o dwóch lub więcej dniach. I obserwacja pobierała z kasy firmy pieniądze na kilka dni pracy, na opłacenie paliwa, noclegów i jedzenia. Zazwyczaj chodziło o operacje w terenie, bo te się najlepiej opłacały. Zarobioną w ten sposób kwotę przeznaczano w Biurze na ciche nagrody i premie. Jak rozliczali się z kasą funduszu operacyjnego, Roman

mógł się tylko domyślać. Zdobyć lewych rachunków nie nastęczało im chyba trudności.

Roberek zastanawiał się. Długo coś kalkulował w myśli. W końcu z siebie wyrzucił:

– Razy cztery.

– Nie, to za dużo jak na skromną operację. – Pepsuj był wyraźnie zde gustowany zachłannością Roberka. – Ktoś mógłby się przyczepić. Razy trzy.

Roberek spojrział na Malinowskiego, który aprobująco kiwał głową.

– Niech będzie, razy trzy – powiedział i ponad stołem wyciągnął rękę, którą przybił Pepsuj.

– No, widzicie panowie, jak to ze wszystkim można się dogadać. – Malinowski był ucieszony. Jako człowiek skłonny do kompromisów nie lubił stawiać spraw na ostrzu noża. – Tak, tak, zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Trzeba to uczcić. – Wziął do ręki słuchawkę telefonu i wcisnął przycisk. – Pani Lodziu, poprosimy po lampce koniaku.

*

Z Biura Obserwacji wracali w dobrych humorach. Pepsuj spoglądał co chwila na Romana rozradowanym i dumnym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko można załatwić, jak ma się głowę na karku”. Rzeczywiście, były powody do zadowolenia. Pokonali najtrudniejszą przeszkodę, reszta zależała od nich. Trzeba zatem przedyskutować szczegóły. Przechodząc przez sekretariat, ominęli grupę oficerów, którzy czekali w kolejce po odbiór codziennej poczty.

- Tu, nie, o, tu niech pan pokwituje. Zaraz, panie Staśku, przecież się nie rozerwę, wiem, że czeka pan na pismo z Gdańska. Panie Grzegorzu, kolejka jest tam, z drugiej strony. Nie, panie Jurku, teraz panu tego nie załatwię. - Roman słyszał dochodzący zza biurka poirytowany głos pani Maryli.

Pepsuj wspiął się na palcach i krzyknął ponad głowami oficerów.

- Pani Marylo, niech pani poda dwie kawy do gabinetu... i ciasteczka też.

- Już podaję, panie naczelniku. - Głos pani Maryli złagodniał. - Panowie, musicie chwilę poczekać - powiedziała w stronę oblegających biurko oficerów i odwróciła się do stolika, na którym stał czajnik.

Roman poczuł zawstydzienie. W spojrzeniach kolegów odczytywał niemy wyrzut. Nie dlatego, że z jego powodu musieli dłużej czekać na swoją pocztę. On nie należał już do ich grona. Mieli świadomość, że wyrósł ponad nich, że udało mu się coś osiągnąć. Coś chyba całkiem sporego, co stawiało Romana w uprzywilejowanej sytuacji. W ich oczach był człowiekiem pozbawionym kłopotów, z którymi oni się borykali. Nie groziło mu przeniesienie do logistyki albo na dyżurkę. Czy naprawdę miał prawo być spokojnym, nie martwić się o przyszłość? Chyba tak. Sprawa Izydora go ustawiła. Ale to wcale nie oznaczało, że był wolny od kłopotów. Wręcz przeciwnie. Co prawda, jego problemy miały już inny wymiar. I to też przyczyniało się do tego, że zaczynał czuć się wyobcowany we własnym wydziale.

W gabinecie Pepsuj przeszedł od razu do sedna.

- Podsumujmy, co mamy. Likwidujemy podstawki. Przeznaczamy obserwację towarzyszącą, którą teraz wykorzystujemy, na Young

i Stockwella. Czyli jutro Izydor i Jabłońska zostają bez obstawy. Ale po operacji bierzemy ich znowu pod obserwację, bo przecież zatrzymujemy dwie sekcje, tego, no...

– Galindy i Chrzanowskiego – odpowiedział Roman.

– Tak, Galindy i Chrzanowskiego. Ale, ale... A co zrobimy z Czeczenami?

– Ano właśnie. – Spojrzenie Romana mówiło, że nie ma on w tej kwestii żadnego pomysłu.

– Pał ich lichu. – Pepsuj szybko podjął decyzję. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Roman przytaknął.

– Są jeszcze podsłuchy. Ale z tym to nigdy nie wiadomo. Może coś będzie, a może nie. A jak tam twój nowy informator?

– Nie zleciłem mu nic konkretnego. Ma zbliżyć się do Izydora.

– No tak. To może trochę potrwać. Co jeszcze?

– Jubiler dostał zadanie, żeby zwerbować kochankę Stockwella. Wiesz, tak na szybko. Zlecimy jej przeszukanie mieszkania tego Anglika. Może coś znajdzie. – Nie wypowiedział słowa „mikrofilm”, żeby nie zapeszyć.

– Tylko delikatnie, Romku. Wiesz, że instrukcja nie zezwala na zadaniowanie tego, kto formalnie nie jest jeszcze osobowym źródłem informacji.

– Nie ma powodu do obaw, Maćku. Mamy mocne argumenty do werbunku. Nie powinno być wpadki.

Przerwała im pani Maryla, wnosząc kawę i ciasteczka. Milczeli, czekając, aż wyjdzie. Przy drzwiach odwróciła się.

- Panie naczelniku, jest pilna przesyłka z wywiadu. Czy przynieść teraz?

- Dobrze, niech pani przyniesie.

Wrócili do rozmowy.

- Dużo będzie zależało od wyniku jutrzejszej operacji - powiedział w zamyśleniu Pepsuj.

- Jeżeli obserwacja nie spartoli roboty.

- Ach, Romku, to twoje czarnowidztwo!

Znowu weszła pani Maryla. Jedną ręką podała Pepsujowi kopertę, a drugą podsunęła dziennik podawczy, w którym pokwitował odbiór przesyłki. Roman obserwował go, jak otwiera kopertę i czyta pismo.

- No, zgaduj, co mamy. - Pepsuj, mówiąc to, starał się ukryć uśmiech zadowolenia.

- Skąd mam wiedzieć? A... może to o tym gościu z Londynu?

- Zgadłeś. Wywiad pisze, że mężczyzna na przekazanym im zdjęciu to bez żadnych wątpliwości pułkownik Andrew Malcolm, kierownik sekcji Europy Środkowo-Wschodniej w MI-6.

Roman zaniemówił z wrażenia. Andrew Malcolm to znana postać w kręgach służb specjalnych całej Europy. Człowiek legenda, który swoje życie poświęcił na walkę z KGB, a potem z jego pogrobowcami, SWZ i FSB⁸. Wyrwał im wiele tajemnic, udaremniał przygotowywane całymi latami operacje, a jego agenci podobno zasiadali w kierownictwie na Łubiance. Miał też niewątpliwie sukcesy i u nas, ale o tym nie było wiadomo nic pewnego.

- No, to jesteśmy w domu - powiedział cicho Roman.

- Niezupełnie, Romku - zaproponował Pepsuj. - Mamy potwierdzenie, i to niezbite, że Izydor jest ich agentem. A Young i Stockwell to oficerowie MI-6, którzy kontaktują się ze swoim

przełożonym. Nadal jednak nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Jedno jest jasne. Sprawa musi być piekielnie ważna dla Anglików, skoro sam Malcolm spotyka się w Londynie z polskim agentem. Zobaczymy, może jutro dowiemy się czegoś więcej.

Zastanawiali się nad nową sytuacją, próbując przeniknąć przez zasłone przyszłych wydarzeń i połączyć je z hipotezami, które wyprowadzali ze znanych im faktów.

– Ale wiesz co, Romku – ożywił się nagle Pepsuj – przecież na jutrzejsze działania możesz zabrać Amerykanina. Jak on się nazywa?

– Tadzik, to jest... Dembowsky.

– Nadarza się doskonała okazja, aby pokazać Amerykanom naszą dobrą wolę, czyli chęć współdziałania, niesienia pomocy. Rozumiesz, o co chodzi.

– No nie, Maćku, chyba nie każesz mi ciągnąć ze sobą Dembowsky'ego.

– Nie czujesz sprawy, Romku. My wiemy bardzo dużo, więcej niż CIA. To będzie trochę taka zabawa z nimi. A poza tym... chyba wspomną o tym na górze? Nam to nie zaszkodzi.

Roman wiedział, że nie przekona Pepsuja. Za mocno wbił sobie do głowy ten pomysł. Ostatecznie, może to nie jest takie złe. Amerykanie docenią ich otwartość i w dobrej wierze pochwalą przed szefami.

– Przekonałeś mnie. Jak zawsze, Maćku.

*

Po powrocie do siebie Roman odsłuchał pocztę głosową. Zgłosił się S-7, prosząc o kontakt. Roman oddzwonił.

– No, co tam słychać, panie Wilhelmie?

- Ja w tej sprawie, co mówiliśmy ostatnio.

- Tak?

- Jestem umówiony z gościem na jutro. Na obiad. W takiej małej restauracyjce pod Domami Centrum.

- To dobrze. Niech pan z nim pogada, tak po przyjacielsku, że trzeba sobie wzajemnie pomagać, że jest pan otwarty na propozycje i że w ogóle to pan go bardzo lubi.

- Ja to wiem, panie Romanie. Ale pomyślałem, że może zleci mi pan coś konkretnego.

- Na razie tyle wystarczy. Aha, przez następne kilka dni będę trochę zajęty. Sam do pana zatelefonuję – zakończył rozmowę, bo myślami był już gdzieś indziej.

Wezwał Jubilera, który natychmiast zjawił się w jego pokoju. Był szeroko uśmiechnięty, co, nie wiedzieć czemu, zdenerwowało Romana.

- Mów – powiedział krótko.

- Usiłuję pana złapać od rana, szefie. Ale pan cały czas był zajęty z naczelnikiem. A ja mam dobre nowiny.

- Jakie?

- Wszystko poszło jak z płatka. Rychlińska mocno się zdenerwowała, kiedy pokazałem jej legitymację. No i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziałem, że firma interesuje się nią od dawna. Bo ona może nam dużo pomóc, chociaż sama nie zdaje sobie z tego sprawy. A to jest dla nas bardzo ważne i nie tylko dla nas, ale dla wszystkich. Że chodzi o interes zbiorowy, nie, nadrzędny – poprawił się. – Mówiłem, jak pan mnie uczył. – Roman patrzył na Jubilera wyczekująco. – A ona na to, że to ją mało obchodzi. Że nie chce się mieszać w takie sprawy, ma swoje życie, zna prawa, jakie jej

przysługują, a my nie możemy jej do niczego zmusić. – Jubiler przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Roman lekko się uśmiechnął. – Więc ja mówię, to dobrze, że ma pani swoje życie. Każdy układa sobie życie, jak chce. Ludzie po to są, żeby się kochać, żenić, zakładać rodziny. Wtedy ona trochę zbystrzała. „Co pan chciał przez to powiedzieć” – zapytała. Na to ja: „Nic takiego, pani też przecież założy rodzinę”. „A skąd pan wie, że nie jestem zamężna?” Ja się tylko znacząco skrzywiłem. I powiedziałem: „Odmawia nam pani pomocy, a nawet pani nie wie, z czym do niej przyszedłem”. „Z czym?” – pyta. To ja mówię: „Zna pani Stockwella?”. Jakby nią zatrzęsło, ale babka jest opanowana. „No, znam. I co z tego?” „Może mało, może dużo” – powiedziałem. „My nie chcemy wtrącać się w pani prywatne życie, lecz powinna pani zrozumieć, że są sytuacje, które nas do tego zmuszają. Dopiero wtedy naprawdę się zdenerwowała. Ręce tak jej latały, aż wylała kawę z filiżanki. Musiałem ją uspokajać z piętnaście minut. Jak doszła do siebie, wiedziałem, że jest moja. Rozmawialiśmy już na spokojnie. Początkowo nadal odmawiała. Nie może tego zrobić, bo chociaż łączy ją ze Stockwellem zwyczajny stosunek pomiędzy kobietą a mężczyzną, bez prawdziwego uczucia, to jednak poczucie przyzwoitości nie pozwala jej wykonać tego, o co proszę. Musiałem ją długo przekonywać. Tyle się nagadałem jak nigdy. – Jubiler zamilkł na chwilę. – W końcu zgodziła się. Pod warunkiem, że będzie to jeden jedyny raz. Ale nam o to właśnie chodzi, prawda, szefie?

– Tak, Jubiler, tak. Masz kwit?

– No jasne. Nawet nie miała specjalnych oporów, żeby podpisać.

Jubiler wyjął z kieszeni marynarki pomietą kartkę, rozłożył ją i podał Romanowi. Zobowiązanie do współpracy spełniało wszelkie

wymogi. Tylko pseudonim był jakiś dziwny – Jutrzenka.

– Kto wybrał pseudonim?

– Ona sama. Nawet specjalnie się nie zastanawiała.

– Omówiłeś z nią wszystko szczegółowo?

– Pewnie, szefie. Wie, jak i czego ma szukać. Delikatnie, żeby nie został żaden ślad.

– Kiedy to zrobi?

– Może jutro albo pojutrze. Zależy, na kiedy umówi się ze Stockwellem. Przyjedzie do jego mieszkania, zanim on wróci z pracy. Ma własne klucze. Dwie godziny powinny jej wystarczyć.

Roman musiał pochwalić Jubilera. Werbunek poprowadził wzorowo. Na pewno przeżywał emocje podczas rozmowy. Żeby opanować nerwy, trzeba lat treningu. Roman wiedział to ze swojego doświadczenia.

– Bardzo dobrze, Jubiler, tylko tak dalej, a będą z ciebie ludzie. Kwit schowaj głęboko w szafie. Jak Jutrzenka wykona zadanie, zniszcz go. Nie będzie nam już potrzebna. Ani ona, ani jej zobowiązanie. Potrzymamy trochę jej rejestrację jako aspiranta na informatora, żeby sprawdzić, czy ktoś nie będzie przy niej chodził.

– Dobrze, szefie. A wie pan, to ekstra dziewczyna. Na początku trochę się boczyła na mnie, ale potem rozmawiało się całkiem miło. Z taką to bym się umówił na randkę.

– Nawet o tym nie myśl, Jubiler. Jest to zakazane przez instrukcję. A ponadto etyka zawodowa nie pozwala nam na podejmowanie takich związków. – Roman powiedział to nie jak starszy kolega, ale jak zwierzchnik przypominający pracownikowi o obowiązujących zasadach.

– Przecież wiem. Pomyślałem tylko, że fajnie byłoby spotkać się z kimś takim. Bez tych naszych spraw, tak po prostu.

W głosie Jubilera Roman wyczuł nutę żalu czy smutku.

– Trudno, takie są zasady. A jak twoje sprawy sercowe?

– E, jak zawsze. – Jubiler ze zniechęceniem machnął ręką. – Wszystko to prowizorka. Jedno, dwa spotkania i po wszystkim. Czasami myślę, dlaczego tak jest. Chyba te dziewczyny są teraz inne niż kiedyś. Skaczą z kwiatka na kwiatek. Nie da się żadnej dłużej zatrzymać.

– A może przyczyna tkwi w tobie? Nie zastanawiałeś się nad tym?

– Bo ja wiem. Jestem normalny facet, jeśli chodzi o te sprawy.

– A może właśnie chodzi o coś innego? Zastanów się. Może tym dziewczynom chodzi o coś więcej niż o „te sprawy”. Ale o tym innym razem. Wracaj do siebie, ja muszę trochę popracować.

Roman zapadł się w fotelu. Tak, z Jubilerem jest coś nie tak. Ma problemy z dziewczynami. On w jego wieku był bardziej obrotny. No, może jest to też kwestia urody. Roman, mimo że wkroczył w wiek średni, miał w firmie spore powodzenie u kobiet. Nie znaczy to, że nawiązywał flirty czy romanse. Trzymał się od tego z daleka. Po co komplikować sobie wygodne w końcu życie? Ale nie mógł nie zauważyć spojrzeń, jakimi obrzucały go sekretarki, maszynistki czy kobiety oficerowie. Nie odpowiadał na ich zaczepki, chociaż nie powiedziałby, że nie sprawiało mu to przyjemności. Jak skończą tę sprawę, zabierze Jubilera na wódkę. Może chłopakowi potrzebna jest pomoc.

Przypomniawszy sobie o telefonie do Dembowski'ego. Odszukał wizytówkę i wystukał numer.

– Cześć, Tadzik. Mówi Roman.

– Cześć! Co słyszeć u ciebie?

– Świetnie – mówiąc to, Roman pomyślał, że tak chyba odpowiadają Amerykanie. – Słuchaj, Tadzik. Czy moglibyśmy się dzisiaj spotkać? Mam dla ciebie pewną propozycję.

– Oczywiście, Roman. Gdzie się spotkamy?

– Może w restauracji hotelu Forum? To taki duży budynek w śródmieściu.

– Nie ma sprawy, będę tam. O której?

– O trzeciej. Dobrze? To na razie.

Roman odłożył komórkę. Zerknął na zegarek. Już po jedenastej. Przez tę sprawę przestał regularnie jadać drugie śniadanie.

*

Przed bufetem w kantynie nie było kolejki. Pierwsza fala śniadaniowiczów zaspokoila już swoje apetyty. Oficerowie odnosili do okienka talerze, przytrzymując pobrzękujące na nich sztuce i kubki. Roman odebrał zamówienie i szedł w pusty kąt sali, gdy spostrzegł, że ktoś macha na niego ręką. Pułkownik Sobierajski, żując potężnymi szczękami, zapraszał go do swojego stolika.

– Cześć, Zbyszku – powiedział, sadowiac się przy jego stoliku.

– Cześć, Romku. – Sobierajski przełknął kęs.

Roman zaczął jeść kanapkę, popijając herbatą. Nagle przypomniała mu się przesyłka, jaką dostał z Departamentu Techniki. Przecież to Sobierajski był jej nadawcą. Grzeczność wymagała, żeby mu podziękować.

– Dzięki, Zbyszku, za przesyłkę, którą mi przekazałeś. Twoja uwaga była słuszna, informacje miały istotne znaczenie.

Sobierajski skinął głową na znak, że docenia uprzejmość Romana. Nie uważał, że zrobił coś niezwykłego. I tak się nie dowie, czy rzeczywiście to, co wyłowił z podsłuchu, było ważne. Wypełniał rolę usługową wobec kontrwywiadu i nie miał prawa wnikać w jego sprawy. Interesowało go co innego.

- Jak ci się żyje z Pepsujem?

- Można wytrzymać. Wiesz, że nie jest taki nerwowy, jak kiedyś? Stołek naczelnikowski chyba dobrze na niego podziałał.

Sobierajski spojrział na niego zdziwiony.

- Naprawdę? Słyszałem, że robi u was czystki. Robcio Winnicki już wylądował w logistyce, a podobno jest lista następnych do liczenia gaci.

Roman nie wiedział, co odpowiedzieć. Tak, faktycznie stracił kontakt z kolegami z wydziału. Nie wie nawet, co się dzieje na jego własnym podwórku, że są kolejni do odstrzału. Dowiaduje się o tym od kogoś obcego, z innego Departamentu.

- Widzę, Romku, że jesteś zajęty innymi sprawami. Może to i dobrze. Każdy w końcu dostaje to, na co zasłużył.

Roman wyczuł przyganę w głosie Sobierajskiego, że nie obchodzi go los kolegów, z którymi przepracował tyle lat i z którymi wspólnie niejedno przeszedł. Starsi oficerowie trzymali się razem i jeśli któremuś przytrafiło się nieszczęście, to przynajmniej inni, nie mogąc mu pomóc, okazywali współczucie. A Roman? Roman żałował Winnickiego, przykro mu będzie, jeżeli podobny los spotka też innych, lecz jego współczucie było powierzchowne. Zdawał sobie z tego sprawę, jednak nie mógł inaczej. Od czasu, kiedy zaczął prowadzić sprawę Izydor, coś się w nim zmieniło. Nie była to gwałtowna przemiana, ale postępująca, razem z rozwojem wydarzeń

w sprawie. Czy to dlatego, że pierwszy raz udało mu się zbliżyć na wyciągnięcie ręki do agentów i oficerów innych służb? Możliwe. Było też coś więcej. Roman uwierzył we własne siły, w realność osiągnięcia tego, o czym marzył w młodych latach. Wtedy nie miał doświadczenia, bardzo chciał znaleźć szpiega, ale nie za bardzo wiedział, jak to zrobić. Teraz jest inaczej. Złapał trop i już go nie zgubi. Potrafi przechytryć przeciwnika. Może nie od razu, może trzeba będzie jeszcze poczekać, zanim go dopadnie. Nic nie szkodzi. W tym fachu trzeba umieć być cierpliwym.

I narastało w nim przekonanie, że inni też mogą tego dokonać. Wystarczy mocno się postarać. Czy było to słuszne, sprawiedliwe przekonanie? Czy wystarczy mocno chcieć, a ziści się największe pragnienie każdego oficera kontrwywiadu? Czy raczej jest to przypadek? Czysty przypadek, który trafia się tak, jak szóstka w totolotku? To prawdziwy dylemat i nie da się go rozstrzygnąć, jedząc śniadanie z Sobierajskim.

– Tak, Zbyszku, to prawda. Byłem ostatnio rzeczywiście mocno zajęty. Więc mówisz, że jest przygotowana lista przeniesień do logistyki?

– To już ty o tym powinieneś najlepiej wiedzieć. To przecież twój wydział.

– Masz rację, Zbyszku, trochę się zaniedbałem w tych sprawach. – Roman nie zamierzał spierać się z Sobierajskim.

– Pogadaj z kolegami, to się dowiesz. A wiesz, jak to jest: nie obchodzą cię inni, to i twój los będzie każdemu obojętny – powiedział chłodnym tonem Sobierajski i wstał od stolika.

A niech to diabli wezmą! Czego oni wszyscy ode mnie chcą? – pomyślał z rozgoryczeniem Roman. – Co ja takiego zrobiłem, że

patrzą na mnie jak na wyrzutka? Ze złością gryzł ostatnią kanapkę, która przestała mu smakować. Tak do końca nie rozumiał pretensji pod swoim adresem. Nie spotyka się z kolegami, nie łowi plotek korytarzowych, bo zwyczajnie nie ma na to czasu. No i co z tego? To ma być powód, żeby stawiać go poza nawiasem wspólnoty koleżeńskiej? A może po prostu zazdroścą mu sukcesu? Bo to, co już osiągnął, można tak nazwać. W wydziale zachodnioeuropejskim podobnej sprawy, jak Izydor, nie było od niepamiętnych czasów. Niezależnie od tego, jak się zakończy, pozycja Romana będzie dostatecznie mocna. Nie powinny dotknąć go ruchy kadrowe. Ale coś za coś. Na swoją pozycję haruje od świtu do nocy. No, może to lekka przesada, jednak naprawdę mocno się zaangażował w pracę. W służbę, mówiąc językiem firmy. A inni są solidarni w swoim strachu przed przeniesieniem. To właśnie trzyma ich w kupie. Nie, chyba się zagalopował. Jest niesprawiedliwy. Musi inaczej spojrzeć na te sprawy. Przecież to jego koledzy. Tylko mają mniej szczęścia od niego. Tak naprawdę to, co by zrobił, gdyby nie dostał Izydora od Klepacza? Byłby teraz razem z nimi. Rozmawialiby godzinami, zamknięci w czterech ścianach pokoju, zastanawiając się, jak zapobiec temu, co bezlitośnie wychodzi im naprzeciw. I nie znajdowałiby odpowiedzi, popadając w coraz większe przygnębienie.

Ach, dosyć już tego – Roman przerwał niewesołe rozmyślenia. Odniósł talerz i kubek do okienka. Pora iść do Biura Obserwacji, żeby ustalić szczegóły jutrzejszej operacji.

IX

Roman z mieszanymi uczuciami wsiadał do samochodu Dembowsky'ego. Spodziewał się jakiegoś nierzucającego się w oczy pojazdu, dlatego przystał na propozycję Tadzika, żeby pojechali jego autem, a tymczasem sadowił się w luksusowym krążowniku szos marki cadillac. Całe szczęście, że nie ma z tyłu tabliczki z oznakowaniem CD. Obserwacja by im nie odpuściła.

– No co, Roman, dobre wybrałem auto? – Dembowsky był bardziej niż zazwyczaj uśmiechnięty, wręcz rozradowany.

– Niezły wózek, Tadzik. Tylko charakterystyczny, u nas jest mało takich samochodów.

Propozycję Romana, aby towarzyszył mu podczas obserwacji za Yezabel Young, Dembowsky przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Pewnie nie osiągnął do tej pory niczego konkretnego, jak przypuszczał Roman, a zaproszenie do uczestnictwa w operacji firmy dawało mu szansę wykazania się przed zwierzchnikami. Oczywiście nie zdradził Dembowsky'emu prawdziwych powodów, dla których Young jest obserwowana, ani też nie powiedział, że równolegle idzie ogon za Stockwellem. Drugiej grupie towarzyszył Jubiler. „Chcemy wyjść naprzeciw waszym potrzebom – mówił do Tadzika podczas spotkania w Forum. – Dostaliśmy ze źródeł operacyjnych niepotwierdzoną informację o wyjeździe Young w teren. Pomyśleliśmy, że może mieć to związek z waszą sprawą”. Dembowsky powtarzał ciągle: „To świetnie, to naprawdę świetnie”

i zamawiał kolejne porcje napoju amerykańskiego, po których dzisiaj Romanowi łupało w głowie. Zgodził się, żeby pojechali samochodem Tadzika, za co teraz w duchu się przeklinał.

Roman wyjął z futerału radiotelefon. To podobno hit sezonu, jak mu powiedziano w Biurze Obserwacji. Z trudem pojął zasady łączności i użytkowania tego luksusowego aparatu. Radiotelefon miał urządzenie szyfrujące głos. To znaczy, że jeśli coś do niego mówiono, głos zamieniany był na sygnał cyfrowy, który deszyfrował aparat odbiorczy. Romanowi nie bardzo się to podobało, bo urządzenie zmieniało brzmienie mowy. Odbiorca słyszał metaliczny pogłos, co znacznie utrudniało zrozumienie treści podawanych przez nadawcę.

Czekając na sygnał od obserwacji, rozmawiał z Dembowskim. Oceniał go jako miłego i towarzyskiego człowieka. Miał szczery uśmiech, który budził zaufanie. Wydawałoby się, że nigdy nie kłamie. Pokazywał fotografie żony i dzieci, chłopca i dziewczynki, patrząc na nie z czułością. Ale Roman miał się na baczności. Jak by nie było, Dembowski jest oficerem obcej służby, sojuszniczej, ma się rozumieć, jednak wzajemna otwartość musi mieć swoje granice.

Wreszcie rozległ się sygnał z radiotelefonu. Roman wcisnął przycisk i przyłożył aparat do ucha.

– Tu Benito, tu Benito, Gonzalez, jak mnie słyszysz, odbiór – usłyszał zniekształcony głos.

– Tu Gonzalez, słyszę cię dobrze, Benito, odbiór. – To „słyszę cię dobrze” było na wyrost, bo ledwie rozumiał wywiadowcę.

– Pelargonia wyruszyła do ogrodu, powtarzam, Pelargonia wyruszyła do ogrodu, kieruje się na Terespol. Jak mnie słyszysz, Gonzalez?

- Słyszę cię dobrze, Benito, zrozumiałem. Bez odbioru - zakończył połączenie.

Dembowsky przyglądał mu się z ukosa. Pewnie śmieszyły go te idiotyczne kryptonimy, które wymyśliła obserwacja, a które Roman zmuszony był głośno wypowiadać.

- Możemy ruszać. Young jedzie na wschód, wyjechała już z miasta.

W końcu przebili się przez korki. Roman wskazywał Dembowsky'emu kierunek jazdy. Gdy wyjechali z Warszawy, rozparł się wygodnie na siedzeniu. Tak, to jest jazda - pomyślał. - Amerykanie wiedzą, jak umilać sobie życie. Prawie wcale nie słyszał pracy silnika. Do tego muzyka country, którą włączył Dembowsky. Nawet coś nucił, spoglądając na Romana.

Obserwacja przekazywała meldunki co piętnaście minut. Young jechała cały czas główną trasą. Roman odprężył się. Czuł się rozluźniony, nie myślał o niczym. Z błogostanu wyrwał go Dembowsky, trącając w ramię. Z uśmiechem pokazał głową, żeby spojrzeć na lewo. Roman nieco się wychylił i zamarł z wrażenia. Równolegle do cadillaca jechał polonez. Jego silnik był przeciągle, gdyż kierowca starał się dotrzymać prędkości rozwijanej przez samochód Dembowsky'ego. Mężczyzna siedzący obok kierowcy poloneza trzymał na wysokości szyby torbę, zachowując obojętny wyraz twarzy. Z torby błyskało ku nim oko kamery, dobrze widoczne, gdyż okular wysunął się poza małe wycięcie w kamuflującym etui.

Czy oni powariowali? Zachowują się jak kompletni durnie. Nawet nie potrafią zamocować aparatu, jak należy. - Roman przeklinał w duchu jadących obok pracowników Biura Obserwacji. - Po co oni to robią? Mieli jechać za Young.

Dembowsky był wyraźnie rozbawiony. Wskazywał co rusz głową na poloneza, nie przestając się uśmiechać.

Przecież to kompromitacja – Roman myślał gorączkowo, jak zareagować. W końcu pochylił się od swojej strony nad kierownicą, by zostać zauważonym przez obserwację. Pasażer poloneza obrzucił go wzrokiem i skonsternowany powiedział coś do kierowcy. Ten gwałtownie przyhamował. Roman obserwował przez boczne lustro, jak polonez powoli zostaje w tyle. Odetchnął. No tak, nie spodobał im się samochód z amerykańską rejestracją – podsumował w myśli.

Dembowsky wydawał się nie przejmować sytuacją, chociaż pewnie domyślał się, kto jechał obok nich przez dłuższą chwilę.

Roman odebrał kolejny meldunek od obserwacji. Miał ochotę zrugać ich od ostatnich, ale powstrzymał się przez wzgląd na Dembowsky'ego. Young skręciła z trasy, kierując się na Białą Podlaską. Przed miastem zatrzymała się i zjadła posiłek w motelu.

Roman z Dembowskim także przystanęli i wysiedli z samochodu rozprostować kości. Przeciągając się, Dembowsky rozglądał się wokół siebie.

– Ładnie tu u was – powiedział. – Dużo takiej prawdziwej przyrody, łąki, lasy. O, krowy. – Wskazał na pasące się nieopodal drogi stado. – U nas, pod Waszyngtonem, nie ma tego. Wszędzie domy i strzyżone trawniki. Czasami myślę, że dobrze byłoby przenieść się w Góry Skaliste. Ale wiesz, to takie marzenia.

Roman słuchał Dembowsky'ego, dzieląc jego zdanie co do przyrody.

– Mam działkę pod Warszawą – odezwał się w końcu.

– A co to jest działka?

– To taki kawałek ziemi. Mój własny. Mam tam krzaki, drzewa, kwiaty.

– To miłe.

– Tylko przez tę robotę dawno tam nie byłem. Wszystko pewnie zarosło – zamyślił się nad tym, ile pracy go czeka, żeby doprowadzić działkę do porządku.

Zabrzączał radiotelefon. Roman podszedł do samochodu i odebrał połączenie. Kiedy skończył rozmowę, powiedział do Dembowski'ego:

– Young wjechała do centrum Białej. Wyszła z samochodu i poszła na targowisko. To taki plac, gdzie wszyscy handlują, czym się da – wyjaśnił, odpowiadając na pytające spojrzenie Tadzika. – Jest tam dużo ruskich, to znaczy cudzoziemców z za naszej wschodniej granicy, Białorusinów, Rosjan i innych.

– O! – Dembowski ożywił się. – W tym może coś być. Jedziemy?

Roman skinął głową i wsiedli do samochodu. Zatrzymali się na obrzeżu miasta. Trzeba było zapytać o drogę. No, i ukryć gdzieś samochód Dembowski'ego. Za bardzo rzucał się w oczy. Zwłaszcza w takim mieście. Roman spytał przechodnia o drogę. Zatrzymali się kilka ulic od targowiska w zadrzewionej uliczce.

Przez radiotelefon zgłosił się kierownik sekcji, Galinda. Po chwili zjawił się obok samochodu. Zdziwionym wzrokiem obrzucił cadillaca i poprosił Romana na bok.

– Na razie nic się nie dzieje – relacjonował przyciszonym głosem. – W motelu z nikim się nie spotkała. Tutaj zaparkowała po przeciwnej stronie targowiska. Chodzi teraz od stoiska do stoiska. Ogląda różne rzeczy i odkłada z powrotem. Nie zauważyliśmy, aby coś odbierała lub przekazywała. Jak chcecie – spojrzal w kierunku

Dembowsky'ego – mogę was podprowadzić do miejsca, skąd będzie można bezpiecznie popatrzeć.

Poszli z Galindą między uliczkami. Przystanęli pod jakąś starą dwupiętrową rudera ukryci za przybudówką.

– To tam. – Galidna wskazał głową.

Poniżej na dużym placu rozciągało się targowisko. Stoisko przy stoisku, tylko niektóre przykryte plandekami na stelażach. Wszędzie pełno ludzi. Plac nie był utwardzony, więc po obfitym deszczu, jaki spadł ostatniej nocy, ludzie brodzili w błocie. Wśród sprzedających przeważali cudzoziemcy. Roman bez trudu ich rozpoznawał po asortymencie towarów, jakie oferowali, i po wyglądzie. Oprócz Białorusinów i Rosjan było sporo kaukazczyków i ze środkowego wschodu Turkmenów czy Tadżyków. Prawdziwie orientalny bazar.

Po dłuższej chwili Roman wyłowił wzrokiem Jezabel Young. Tak jak mówił Galinda, przechadzała się bez pośpiechu po targowisku. Roman chciał ją pokazać Dembowsky'emu, ale Tadzik już wodził za nią wzrokiem. Patrzyli w milczeniu. Young zatrzymywała się przy każdym straganie. Interesowało ją wszystko, brała do ręki garnki, sztucce, zegarki, rozpościerała bluzki i sukienki. Po dokładnym obejrzeniu odkładała z powrotem, uśmiechając się uprzejmie do sprzedającego.

Roman nachylił się ku Galindzie.

– Filmujcie wszystko dokładnie, każdy szczegół może być istotny. Zwracajcie uwagę na ręce, czy z towarem nie bierze czegoś więcej od handlarza. To samo przy odkładaniu, czy nie dokłada jakiegoś przedmiotu, kartki, no, wie pan, o co chodzi.

– Niech pan się nie martwi. Moi ludzie działają ściśle według instrukcji.

– Instrukcja instrukcją, a szczegóły szczegółami.

– Wszystko będzie dobrze, panie Romanie. Nie ma powodu do obaw.

– I niech trzymają się od niej w przyzwoitej odległości. Mówiłem panu, że ta kobieta jest przeszkolona.

Galinda obruszył się.

– Moi ludzie też są przeszkoleni. Może mi pan wierzyć, nie będzie żadnej wpadki.

Roman podszedł do Dembowsky'ego.

– I co? – zapytał.

– Na razie zwyczajnie. Chodzi i ogląda. Moja żona robi to samo w supermarketach... Cicho, popatrz!

Roman spojrzał w kierunku wyciągniętej ręki Dembowsky'ego. Young stała przy stoliku jakiegoś wschodniego handlarza, może Turkmena, ubranego w tradycyjny strój swojej nacji. Handlarz rozwijał przed nią różnobarwne materiały, a ona śmiała się i klepała go po ramieniu. Najdziwniejsze, że oboje z ożywieniem o czymś rozmawiali.

Po jakimu oni gadają? – zastanawiał się Roman.

Young wybrała zwój barwnego materiału, z którego Turkmen odciął kawałek i zapakował do plastikowej torby. Oboje dalej rozmawiali, może targowali się o cenę. Wreszcie Young sięgnęła do torebki, otworzyła portmonetkę, coś z niej wyjęła i włożyła do ręki Turkmena. Ten od razu zamknął dłoń, nawet nie patrząc, co dostał, i nie sprawdzając, czy zapłata równa się cenie towaru. Zaczął giąć się w ukłonach, a kiedy Young odwróciła się i odeszła, włożył rękę do kieszeni, gdzie zostawił to, co od niej dostał.

Niebywałe. Nawet nie spojrział na pieniądze – pomyślał Roman. – A może to nie były pieniądze?

Miał nadzieję, że ludzie Galindy zarejestrowali dokładnie całą scenę.

Young zaczęła kontynuować swoją wędrówkę wzdłuż rzędów stoisk. Obserwowanie jej stawało się nużące. Tak też chyba odczuwał to Dembowski, bo zaczął ziewać, zasłaniając się dyskretnie dłonią.

Po drugiej godzinie stania pod przybudówką Roman miał już dość.

– Wiesz co, Tadzik – powiedział do Dembowsky'ego. – Chodź, pójdziemy coś zjeść.

Znaleźli małą restaurację w przyzwoitej odległości od targowiska. Zamówili lokalne specjalności i raczyli się nimi bez pośpiechu. Potem leniwie gawędzili przy kawie. W końcu Roman zakończył sjęstę.

– Pora wracać do pracy, Tadzik.

Dembowski pokiwał bez przekonania głową. Wyszli na zewnątrz. Roman uruchomił radiotelefon. Galinda zameldował, że Pelargonia wyszła z ogrodu i wyruszyła w drogę powrotną.

Nie pozostało im nic innego, jak zrobić to samo.

– I co ty o tym myślisz, Roman? – zapytał Dembowski po dłuższej chwili milczenia.

– Trudno powiedzieć, Tadzik. Spodziewałem się czegoś innego. No, jakiegoś spotkania, wymiany materiałów, teczki czy czegoś w tym stylu.

– A ten Azjata?

Roman nie miał zamiaru ujawniać swoich przypuszczeń przed Dembowskim. Wzruszył ramionami.

- Wątpię, żeby miało to coś znaczyć.

W drodze powrotnej do Warszawy nic już się nie działo. Galinda, Chrzanowski i kierownik trzeciej sekcji obserwacyjnej meldowali kolejno, że Pelargonia nigdzie nie skręca, jedzie prosto trasą, przy czym zauważali, że nie dostosowuje prędkości do ograniczeń na znakach drogowych. To ostatnie mogli sobie darować - myślał sennie Roman, który podrzemywał pomiędzy kolejnymi meldunkami.

*

Już od kilku godzin siedzieli w gabinecie Pepsuja, wpatrując się w ekran telewizora, na którym odtwarzali materiał filmowy dostarczony przez obserwację. Było to bardzo żmudne zajęcie, bo niektóre sceny powtarzali klatka po klatce, powracając kilkakrotnie do tego samego obrazu. Musieli przyznać, że film zrobiono profesjonalnie, z dużą dbałością o szczegóły istotne dla kontrwywiadu. Częste zbliżenia postaci Young, gdy zatrzymywała się przy stoiskach, ruchy jej rąk, rąk handlarza. Niemożliwe, żeby coś mogło umknąć oku kamery. Zwłaszcza długo oglądali rozmowę Young z Turkmenem. Niestety, ich głosów nie dało się wychwycić na tle szumu wielkiego targowiska. Wciąż na nowo przypatrywali się, jak Young sięga do torebki, wyjmując coś z portmonetki i daje sprzedawcy, a ten - po jej odejściu - chowa owo coś do kieszeni. Przywoływali zbliżenia każdej pojedynczej sekwencji. Wtem Pepsuj klasnął w ręce.

- Mam! Popatrz, Romku, tu z ręki Azjaty coś wystaje.

Podszedł do ekranu i wskazał linijką. Był to ten moment zaraz po tym, jak Turkmen odebrał przedmiot od Young, pożegnał ją

głębokimi ukłonami, a potem rękę z tym czymś kierował do kieszeni chałata. Rzeczywiście, z jego dłoni coś wystawało, jakby kawałek papieru.

– Wykadruj to i daj zbliżenie.

Roman sterował pilotem, ale nie potrafił uchwycić właściwego kadru.

– Ech, daj mi go, Romku.

Pepsuj umiejętnie przechodził kolejne fazy przybliżania obrazu i po chwili na ekranie pojawiła się dłoń Turkmena, z której z jej wewnętrznej części wystawał fragment zadrukowanej kolorowej kartki. Obaj wlepili spojrzenie w telewizor.

– To... to chyba banknot – powiedział Roman, intensywnie wpatrując się w przedmiot trzymany w zagięciu dłoni przez handlarza.

– No chyba. – Pepsuj podszedł bliżej do telewizora i wskazał kartkę linijką. – O, widzisz, tu są dwie cyfry, pięć i zero, razem pięćdziesiąt, to znaczy taki jest nominał, tu banknot jest zmięty, ale można dojrzeć jakąś postać. Spójrz, w tym miejscu jest korona, pod nią włosy i twarz. Kobieta w koronie... Jasne, przecież to pięćdziesiąt funtów!

Przez chwilę milczeli. To miało być wszystko? Takie proste, prozaiczne?

Resztę taśmy przejrzeni już szybciej. Byli zawiedzeni tym, co zobaczyli w dłoni Turkmena. Obaj liczyli w duchu na coś znacznie więcej, na coś, co będzie dowodem na szpiegowską działalność Yezabel Young. Srogo się zawiedli. Zwyczajny banknot. Tylko dlaczego Young zapłaciła za kawałek materiału aż pięćdziesiąt funtów? Może nie miała drobnych ani w polskich złotych, ani

w angielskich funtach, a materiał bardzo jej się spodobał? Takie są kobiety. Jeśli coś wpadnie im w oko, nie liczą się z żadnym wydatkiem. Zastanawiają się potem. Myśl, że na tym banknocie coś było, jakaś zapisana informacja, na przykład szyfrem w postaci rzędu cyfr, Roman odrzucił jako niedorzeczną. Trzeba znać granice swoich domysłów, hipotez, aby nie popaść w paranoję.

Gdy nagranie się skończyło, Roman włożył do odtwarzacza kasetę z obserwacji Stockwella. Wcześniej Jubiler zrelacjonował mu, co działo się na trasie i we Wrocławiu. Stockwell zachowywał się uderzająco podobnie jak Young. Zatrzymał się na trasie, żeby zjeść posiłek, we Wrocławiu zostawił samochód na parkingu i poszedł do centrum. Przez kilka godzin chodził po domach handlowych, ale nic więcej poza parą skarpetek nie kupił. Odwiedził też kilka księgarń, wykazując szczególne zainteresowanie pozycjami z fantastyki. Nawet wybrał jakąś książkę.

Film potwierdził relację Jubilera. Pepsuj wyłączył telewizor. Pora na podsumowanie.

– I co, Romku? Wychodzi na to, że trafiliśmy kulą w płot.

– Jedno jest pewne. Stockwell i Young nie wyjechali na cały dzień bez przyczyny. Przecież nie zrobili sobie wycieczki krajoznawczej ani nie wybrali się na zakupy w drugi koniec kraju.

– A dlaczego? Im też należy się chwila odpoczynku – zakpił Pepsuj. – Mówiąc poważnie, to rozprawdzali kogoś trzeciego. Oboje wystąpili w roli zajęców.

– Właściwie można to było przewidzieć – powiedział w zadumie Roman.

– Można, można! I co z tego? – zaczął mówić ze złością Pepsuj. – Ja wiem, że można było przewidzieć. Że ogony powinni też dostać

i Izydor, i Jabłońska. Tylko skąd wziąć tyle obserwacji? A może rozprawdzali jakiegoś oficera z rezydentury ich ambasady i odciągali nasze siły?

Roman nic nie odpowiedział. Nie musiał nic mówić. Byli starymi wygami i rozumieli dokładnie całą sytuację tak samo.

– Trudno, Romku. – Pepsuj pogodził się już z wynikiem operacji. – Taka jest nasza robota. Nie zawsze wszystko się udaje. Nie ma w tym niczyjej winy, ani twojej, ani mojej. Nie jesteśmy wszechwiedzącymi. Przy skromnych środkach musimy wybierać jeden wariant spośród wielu. A że nie zawsze wybieramy ten właściwy... – splótł dłonie w geście bezradności – nic na to nie poradzimy.

Po wejściu do swojego pokoju Roman stanął przy oknie. Patrzył w zamyśleniu na korony drzew. Kończyło się lato i liście nabierały matowego odcienia. Odnosiło się wrażenie, że zostały posypane szarym pyłem. Niektóre już zrudziały i zaczynały się skręcać. Niedługo będą opadać – pomyślał Roman.

Chociaż do końca dnia pracy pozostało jeszcze trochę czasu, postanowił nic już dzisiaj nie robić. I myśleć też nie będzie. Usiadł w fotelu i zaczął czytać gazetę. Starał się skupić nad jakimś artykułem, lecz nie szło mu to za dobrze.

W drzwiach stanął Jubiler. Chciał coś powiedzieć, ale Roman gwałtownie zamachał przecząco ręką i wskazał dłonią, że ma wyjść. Jubiler przyjął zdziwiony wyraz twarzy. Uszanował jednak wolę Romana i cicho zamknął za sobą drzwi.

Od problemów nie da się uciec. Roman to wiedział, dlatego nazajutrz rano zadzwonił do Roberka. Chciał się upewnić, czy dwie sekcje podjęły przerwana wczoraj obserwację Izydora i Jabłońskiej. Potem zadzwonił po Jubilera. Gdy przyszedł, usiedli przy ławie.

– No, co tam chciałeś ode mnie wczoraj? – zapytał.

– Nic specjalnego, szefie.

Jubiler nie miał wesołej miny i nie kwapił się, żeby mówić od razu. Roman nie poganiał go, ale kiedy chwila milczenia przedłużała się, zakasłał znacząco. Jubiler zrozumiał to właściwie.

– Telefonowała do mnie wczoraj Rychlińska – zaczął. – Powiedziała, że miała okazję spokojnie przeszukać mieszkanie, bo przedwczoraj Stockwell wyjechał gdzieś z samego rana na cały dzień.

– I co?

– I nic. Nie znalazła ani żadnego mikrofilmu, ani czegoś innego, co by mogło nas zainteresować.

Jubiler miał zrezygnowaną minę. Bardzo się przejął niepowodzeniem. Romanowi zrobiło się żal młodszego kolegi. On też liczył na łut szczęścia.

– Nie martw się, stary. – Pierwszy raz powiedział do niego tak konfidencko. – Nic się nie stało. To tylko drobny epizod w całej sprawie. Przemyślimy wszystko od początku i na pewno coś wykombinujemy.

Po śniadaniu Roman zadzwonił do S-7. Jednak w komórce usłyszał tylko głos informujący, że abonent jest poza zasięgiem sieci. Wobec tego wybrał numer telefonu stacjonarnego w firmie informatora.

Poprosił szefa, ale uprzejmy młody mężczyzna powiadomił go, że pan prezes wyjechał do Anglii i nie będzie go w kraju przez kilka najbliższych dni. Mężczyzna dopytywał się, czy ma podać numer telefonu w filii spółki w Manchesterze. Nie, Roman podziękował, niech tylko zawiadomi szefa po powrocie, że dzwonił Zenobiusz Korzeń.

*

Następnego dnia skontaktował się z Romanem Dembowski i poprosił o spotkanie. Jeśli to możliwe, to w miarę szybko. Spieszno mu poznać szczegółowe wyniki obserwacji za Young – domyślał się z przekazem Roman. Nawet był ucieszony tym telefonem. Nie miał nic pilnego do zrobienia, a po ostatnich niepowodzeniach jakoś mu się nie chciało, przynajmniej teraz, przeprowadzać na nowo analizy sprawy Izydor, by wytyczyć kierunki następnych działań.

Spotkali się w małej kawiarni na Mokotowie. Było ciepło, więc usiedli na zewnątrz pod parasolem. Roman nie dał się tym razem namówić na „napój amerykański” i zamówił sok pomidorowy. Dembowski musiał zadowolić się pepsi z lodem.

– Ty wiesz, Roman, że ja polubiłem twoje miasto?

– Tak? Naprawdę?

– Naprawdę. Daję słowo. Ja tu się tak dobrze czuję. Nie wiem, dlaczego, ale jest mi tu dobrze. Tak jakoś spokojnie. Ludzie uprzejmi. Jak kogoś zapytam, gdzie co jest, to wytłumaczy, pokaże ręką, a jak ma chwilę czasu, to podprowadzi bliżej. Naprawdę, fajne miasto.

– Nie mów, że u ciebie jest tak źle.

– Nie, źle to za dużo powiedziane. Jest inaczej. Jak spytasz o coś człowieka, to popatrzy i sobie pójdzie. Albo nawet udaje, że nie słyszy, co do niego mówisz. No, w samym Waszyngtonie może tak nie ma, ale w Nowym Jorku czy w Chicago to strach gębę, przepraszam, usta do kogoś otworzyć. Jeszcze jak jest w szczególnie złym humorze, może cię przedziurkować.

– Jak to, przedziurkować? – zdziwił się Roman.

– No, zwyczajnie. – Dembowski wyciągnął przed siebie rękę i zgiął wskazujący palec, udając, że naciska na spust pistoletu. – Paf, paf i już masz parę dziurek. Ja cię zaproszę do siebie, Roman, przyjedziesz i sam zobaczysz. Ameryka to piękny kraj, ale z ludźmi trzeba ostrożnie.

Roman przez chwilę pomyślał, jak to by było, gdyby Dembowski rzeczywiście przysłał mu zaproszenie. Musiałby napisać raport do szefa głównego o zezwolenie na wyjazd do USA. Do raportu trzeba dołączyć załącznik, czyli dokładny opis znajomości z osobą zapraszającą. A to dopiero początek. Zapraszającym jest oficer obcej służby. Należy zatem dokładnie sprawdzić i prześwietlić ich znajomość. Romana poproszono by o uszczegółowienie danych zawartych w załączniku do raportu. Sprawa trafiłaby wówczas do Inspektoratu Nadzoru i Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli do tak zwanej wewnętrznej bezpieki firmy. Zaczęłyby się rozmowy wyjaśniające, nie jedna albo dwie, ale cały ich cykl. Każda rozmowa ciągnęłaby się godzinami niczym przesłuchanie świadka koronnego w prokuraturze. Po jakimś miesiącu bądź dwóch Roman byłby kompletnie wypompowany. Odechciałoby mu się wszelkich wyjazdów. Nie, niech Dembowski lepiej nie przysyła zaproszenia. Dlatego zagaił:

- Wracając do naszej sprawy, Tadzik...

- O, o właśnie – podchwycił Dembowski.

- Niestety, nie udało się nam nic wyłapać z nagrań. Pamiętasz tego Kazacha czy Turkmena? Young wcisnęła mu w rękę banknot pięćdziesięciofuntowy.

- To sporo pieniędzy. – Dembowski pokręcił głową. – Hojna kobieta.

- Jak myślisz, to coś znaczy?

- Że dała mu tyle pieniędzy za trochę materiału? Może nie miała drobnych?

- Tak samo i my pomyśleliśmy. Ale mi to nie daje spokoju.

- Słuchaj, Roman. Ja też mocno się zastanawiałem. Ten wyjazd nam nie wyszedł. Musimy to sobie jasno powiedzieć. Wiesz, co u nas się robi w takiej sytuacji?

Roman popatrzył pytająco na Dembowsky'ego.

- Przechodzi się do czołowego natarcia. My zrobimy coś, czego druga strona się nie spodziewa. Po prostu pójdziemy do niej i dokładnie przeszukamy cały dom.

Roman oniemiał. Nie spodziewał się aż tak szalonej propozycji.

- Jak... jak chcesz to zrobić?

- Całkiem zwyczajnie. Pójdziemy, jak Young nie będzie mogła nam przeszkodzić. Pojutrze ona i Stockwell idą po południu na party do ambasady brytyjskiej. To dla nich ważna impreza. Będą wasi ministrowie, ambasadorzy i całe mnóstwo innych osób. O wszystkim dokładnie się dowiedziałem. Wtedy wejdziemy i poszukamy, czego trzeba.

- Co ty, Tadzik! W razie wpadki rozpęta się burza.

- Ty nic się nie bój, Roman. Idziesz ze mną. - Dembowski powiedział to z pewnością siebie godną kowboja namawiającego kolegę do obrabowania banku.

- A jak dostaniemy się do środka?

- Moja w tym głowa.

Roman gorączkowo myślał. Propozycja była nęcąca. To przeszukanie mogłoby stanowić dopełnienie tego, co zrobił do tej pory. Obserwacja, podsłuchy. Przeszukanie mieszkania Stockwella. Zostało tylko miejsce zamieszkania Jezabel Young jako brakujące ogniwo, które zamknie łańcuch dotychczasowych wysiłków. Może to przyniesie efekt, jakiego oczekiwał. Bo w siedzibie British Council nie warto było szukać. Oficer wywiadu nie zostawia materiałów w jakimś biurze. Zwłaszcza w angielskim. Ale z drugiej strony... Gdyby im się nie udało, gdyby ktoś ich nakrył... Wybuchnie afera dyplomatyczna. I to nie byle jaka. Najście na dom wiceszefowej British Council to nie przeszukanie pokoju hotelowego jakiegoś tam Czeczena. Nie, nie może decydować samodzielnie w tak ważnej sprawie. Powinien to uzgodnić z Pepsujem, a może jeszcze z kimś wyżej.

- Nie odpowiem ci teraz, Tadzik. Muszę przemyśleć twoją propozycję. To zbyt poważna sprawa, aby podejmować decyzję bez spokojnego zastanowienia się.

- Ja ciebie rozumiem, Roman. Wiem, że cię zaskoczyłem. Ale ty przecież wiesz: jak się nie podejmuje ryzyka, to niewiele można zdziałać. A jak nam się uda, będzie sukces. I mój, i twój. Pomyśl, ile dobrego możemy zrobić dla naszych krajów.

- Wiem, Tadzik, wiem. Musisz jednak dać mi trochę czasu na odpowiedź.

*

Zreferował Pepsujowi propozycję Dembowski'ego. Wstrzymał się z przedstawieniem własnego stanowiska, czekając, co powie naczelnik. Ten milczał chwilę. Medytował.

– Znakomity pomysł! – krzyknął Pepsuj tak nagle, że Roman mało co nie wypuścił z ręki filiżanki z kawą.

– Dlaczego wydaje ci się, Maćku, że pomysł jest znakomity? – zapytał ze spokojem. Był przeświadczony, że jego argumenty przeciwne zamierzeniu Dembowski'ego, które miał w zanadrzu, wezmą górę.

– Bo to jest to, czego nam brakuje do naszej układanki.

– Wiem o tym. Ale jeśli położyć na szali argumenty za i przeciw, to te drugie przeważą.

– A niby dlaczego mają przeważać? I co to za argumenty?

– Właściwie to jeden argument. W przypadku wpadki podczas tej akcji leżymy. Rozpęta się piekło. I nie będzie przeprosił. Posypią się głowy, od dołu do góry albo odwrotnie, ale to bez znaczenia. Nasze na pewno polecą jako pierwsze.

– Te twoje argumenty, to znaczy... argument, jeden argument – podkreślił Pepsuj. – To, nie gniewaj się, żaden argument. Po pierwsze, nasz uzysk operacyjny nie podlega dyskusji, niezależnie od wyniku. Ważne jest, że sprawdzimy jeszcze jedną hipotezę, którą zresztą zapiszesz dzisiaj w sprawie. A brzmi ona następująco: Z uzyskanych informacji operacyjnych wynika, że Jezabel Young prawdopodobnie przechowuje w mieszkaniu służbowym materiały szpiegowskie przekazywane jej przez Izydora. Niech będzie, że przez Stockwella – poprawił się, widząc protest Romana. – A Stockwell dostaje je od Izydora. Czy musisz być taki drobiazgowy? Po drugie,

twoje obawy nie znajdują uzasadnienia, a nawet więcej, są kompletnie bezpodstawne. – Dwa ostatnie słowa Pepsuj wypowiedział z widoczną lubością.

Roman przyjmował ciosy naczelnika bez mrugnięcia okiem. Czekał na ciąg dalszy.

– Czyli jak mówiłem, twoje obawy są... nieuzasadnione – powtarzając to, Pepsuj wybrał łagodny wariant oceny zastrzeżeń Romana. – A dlaczego? Z prostej przyczyny. Gdyż jakby coś się schrzaniło, tfu, na psa urok, to zwalimy wszystko na Amerykanów. Tak, tak, nie patrz tak na mnie. To ich pomysł. Głównym wykonawcą jest ich oficer. A ty, Romku? Ty próbowałeś go odwieść od tego szaleństwa, jak przecież należy nazwać propozycję Dembowski'ego. Usiłowałeś mu to wyperswadować do ostatniej chwili, ba, szedłeś za nim do willi, gdzie mieszka ta Young, chciałeś go nawet siłą wyprowadzić ze środka, ale się nie dało. Jest chyba lepiej zbudowany od ciebie? – Pepsuj krytycznym wzrokiem obrzucił szczupłą sylwetkę Romana.

– Rozumiem cię, Maćku, doskonale. Ale jakby naprawdę coś się stało, to kto uwierzy w taką wersję?

– Wszyscy, Romku, wszyscy. Czy myślisz, że ktoś da wiarę temu, że oficer z naszej firmy idzie na własną rękę przeszukać dom wysokiego urzędnika brytyjskiego?

Roman uchwycił się ostatniego stwierdzenia Pepsuja jak koła ratunkowego.

– Właśnie, Maćku – powiedział, patrząc mu prosto w oczy. – Może powinniśmy udać się z tym do naszych przełożonych?

– Nie ma takiej potrzeby. – Głos Pepsuja zabrzmiał zasadniczo. – Słyszałeś, co mówił Hunek? Dał nam, to znaczy mnie, wolną rękę we

wspieraniu Amerykanów. A ja nie zamierzam pytać Hunka, co mi akurat wolno zrobić, a czego nie wolno, bo w końcu uzna mnie za niezdolnego do podejmowania prostych decyzji.

Już po dyskusji – podsumował w duchu Roman. – Uparł się na amen. W Pepsuju odezwała się żyłka ryzykanta. Tak to widział Roman. Oby tylko ten nawrót do ryzykanctwa się nie pogłębił. Na dłuższą metę byłoby to groźne dla nich obu.

– Czyli mamy jasność co do twojej wspólnej operacji z Dembowskim – podsumował Pepsuj. – Ale jest jeden szkopuł. Nie mamy żadnego zabezpieczenia.

– Jakiego zabezpieczenia? – Nie zrozumiał Roman, który swoje myśli kierował w inną stronę.

– Zabezpieczenia tyłów, Romku. Po zdjęciu podstawek Young jest poza naszą wizualną kontrolą. Zresztą to i dobrze, że obserwacja nie stoi pod jej domem. Nie zarejestrują twojej obecności. No i nikt poza nami nie powinien dowiedzieć się o Dembowskim. Misja Amerykanów jest ściśle tajna. Tak mówił Hunek. Dlatego, Romku – Pepsuj wyraźnie delectował się tym, co za chwilę miał powiedzieć – ja będę was ubezpieczał.

Roman nie dowierzał własnym uszom.

– Maćku, tak nie można – próbował wyperswadować mu ten pomysł. – Pomyśl, co się stanie, jak nas ktoś nakryje. Ty, naczelnik w Departamencie Kontrwywiadu, zamieszany w taką sprawę. Toż to prawdziwy skandal.

– Nie doceniasz mnie, Romku. Wszystko przemyślałem. Pożyczę dwa radiotelefony z Biura Techniki. Mam tam znajomego w sekcji napraw, da mi po cichu aparaty. To nam zapewni stałą łączność. Jak

ktoś będzie chciał wejść do willi, dam ci znać, a delikwenta zatrzymam pod jakimś pozorem, żebyście mogli zwiać.

Roman słuchał Pepsuja zrezygnowany. Jakakolwiek perswazja nie miała żadnego sensu. Biernie poddawał się pomysłom naczelnika.

– Ale to nie wszystko. Muszę się ucharakteryzować. Jakies stare ciuchy znajdę w domu. Przydałaby się peruka. Tylko skąd ją wziąć? Do tych naszych specjalistów od kamuflażu przecież nie pójde.

– Co? Peruka? – Romanowi coś chodziło po głowie. – Mam. Jeden z moich informatorów ma dojście do charakteryzatora w teatrze.

– To świetnie, tylko niech dobierze... coś odpowiedniego.

*

Romanowi nie pozostało nic innego, jak zatelefonować do Tarpana. Informator zdawkowo odpowiadał na jego pytania: co słyhać, jak leci, czy wszystko w porządku. Chyba się obraził, że Roman go zaniedbywał. To prawda, już dawno się nie spotkali.

– Mam do pana jedną sprawę, panie Zdzisławie. – Roman przeszedł do sedna.

– Tak? Jaka? – W głosie Tarpana dało się wyczuć skrywane zainteresowanie.

– Jakiś czas temu mówił pan, że ma znajomego w teatrze, charakteryzatora. Pamięta pan, brał pan od niego... no, wtedy.

– Tak, tak, pamiętam.

– Właśnie ja chciałem skorzystać z czegoś podobnego – mówiąc to, Roman zżymał się przy słuchawce, że musi z taką sprawą zwracać się do swojego informatora. – Chodzi mi o perukę. Męską.

– Nie ma sprawy. Już ją pan ma, panie Romanie.

– Tylko że ja bym potrzebował na jutro.

– Da się zrobić. Ale musi mi pan podać trochę szczegółów. No... jaki to rozmiar?

– Niestety, nie znam się na tym.

– W takim razie niech mi pan powie, na jaką głowę ma być nakrycie. Bo to jest ważne. Czy to dla pana?

– Nie, dla kogoś innego.

– Muszę więc wiedzieć, czy głowa jest kwadratowa czy podłużna, mała czy duża.

Roman zastanawiał się. Jaką głowę ma Pepsuj? Chyba zwyczajną, raczej podłużną, bez żadnych wypukłości.

– Głowa jest przeciętna – powiedział w końcu.

– Rozumiem. Jaki ma być kolor włosów?

– Jasny, tak, jasny.

– Blond?

– Uhm, ale taki trochę ciemniejszy.

– To wszystko już wiemy. O której mam panu dostarczyć?

– O jedenastej. Będę czekał na pana.

Roman odłożył słuchawkę. Perukę ma załatwioną.

Przerzucił leżący na biurku stos stenogramów z podsłuchów i tłumaczeń, czytając je pobieżnie. Zwrócił uwagę, że Izydor zamówił bilet lotniczy na samolot do Londynu. Spojrzał na datę w stenogramie, potem na kalendarz na biurku. Tak, leci dzisiaj. Ale nie zrobiło to na Romanie wrażenia. Nic dziwnego, że biznesmen jedzie za granicę załatwiać swoje interesy. S-7 też tam jest. Może się spotkają. Może jego informatorowi uda się uzyskać coś interesującego. S-7 to łebski facet, szybko wciągnął się we

współpracę z firmą. Zależy mu na każdym groszu, będzie się starał, żeby dostać kolejną wypłatę od Romana. Byle nie przeszarżował.

Potem przejrzał komunikaty z obserwacji za Jabłońską i Izydorem. Tak jak dawniej. Żadnych zmian. Pewnie dzisiaj obserwacja odprowadzi figuranta na lotnisko – pomyślał, odkładając komunikaty.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Jubiler. Nie wpadł, jak dawniej, pędem, ale zatrzymał się i spojrzał pytająco na Romana, który skinął głową. Jubiler zamknął powoli drzwi i usiadł, a raczej klapnął na fotel.

– No, stało się coś?

– A!

– Gadaj – nakazał Roman.

– Bo nie wiem, co mam robić – zaczął Jubiler. – Z tym przeszukaniem nie wyszło. Pan mi nie zleca nic nowego. Muszę siedzieć w pokoju z tymi moimi młodziakami. A oni cały czas grają w karty. Normalnie szlag mnie trafia.

– A ty co myślałeś, że zaczniemy łapać szpiegów na pęczki? To nie jest tak, bracie. Zbliżyliśmy się mocno do agentów obcych służb, namierzyliśmy u nas oficerów MI-6 i to jest bardzo dużo. Pokaż mi drugą taką sprawę w wydziale. A widzisz. Musisz zrozumieć, że kontrwywiad nie polega na bezustannej pogoni, na ciągłym deptaniu komuś po piętach, jak to jest u tych od narkotyków czy od spraw ekonomicznych. Przeprowadziliśmy sporo różnych działań, jedne dały dobre wyniki, inne nie, a teraz trzeba nad wszystkim się zastanowić. Jakie zadania zlecić informatorom, a może poszerzyć siatkę osobowych źródeł informacji? Może wrzucić pluskwy do British Council, tego jeszcze przecież nie zrobiliśmy. Ale to są

kierunki działań. Najpierw musimy wypracować nową koncepcję, ogólną, z której te kierunki będą wynikać. Rozumiesz?

– Tak, szefie, rozumiem. Uczyli nas tego na szkole, tylko nikt nie powiedział, jak to się stosuje w praktyce.

– Ja ci to powiem, Jubiler. Za parę dni usiądziemy sobie spokojnie, przeanalizujemy każdy, najdrobniejszy nawet szczegół i będziemy wyciągać wnioski. Zgoda?

– Pewnie, szefie. – Jubiler uśmiechnął się po raz pierwszy podczas ich rozmowy. – Przy panu odzwyczałem się od tego siedzenia na tyłku od ósmej do czwartej.

– Chcesz coś już zrobić? Dobrze. Pamiętasz te listy absolwentów British Council, które wyciągnąłeś z uniwerku? Wytypuj z nich kilku aspirantów na informatorów i przeprowadź rozmowy. Tylko nie werbuj od razu. – Pogroził mu palcem. – Działamy zgodnie z instrukcją.

– Sie wie, szefie. – Jubiler wyraźnie poweselał. – To ja już pójde, popatrze w te listy.

Roman zamyślił się. Coraz bardziej przywiązywał się do tego chłopaka. Jubilera rozpierała energia, którą chciał właściwie spożytkować. Wręcz palił się do pracy. Roman uważał go za wyjątek, bo generalnie nie miał dobrego zdania o narybku firmy. Uważał młodych oficerów za obiboków, którzy chyłkiem wymykają się do baru po przeciwnej stronie ulicy, żeby wypić piwo i pograć w bilard. Chociaż może po prostu nie mają kogoś takiego jak Roman? Już przerabiał ten temat. To nie jego sprawa, a jego przełożonych. Ale obiecał sobie, że zaraz po przeszukaniu u Young usiądzie z Jubilerem nad Izydorem.

*

Roman przyszedł do Niezapominajki na długo przed umówionym spotkaniem. Lubił atmosferę kawiarni i chciał się zrelaksować po ostatnio przebytych stresach i przed czekającą go jutro operacją. Znad swojego stolika dyskretnie spoglądał po sali. Oficerowie i informatorzy rozmawiali półgłosem, nachyleni ku sobie. Odbierano informacje, zlecano zadania, gawędzono towarzysko. Nad salą unosił się duch spokoju, wszyscy byli wyciszeni, nikt nerwowo nie pokrzykiwał, uśmiechano się do siebie, wyjaśniano, tłumaczono zawiłe kwestie. Tak, to jest to, czego brakowało Romanowi, aby się odprężyć, uspokoić wewnątrz. Popijał kawę, rozmyślając nad ulotnością rzeczy ważnych i nieważnych. Sprawy zrealizowane i sprawy niezrealizowane, prawdziwe i nadmuchane jawiły mu się w tym momencie jako coś nierzeczywistego, nieistotnego. Figuranci, faktyczni szpiedzy i Bogu ducha winni podejrzani, informatorzy, których niemal siłą trzeba zmuszać, żeby coś zrobili dla firmy, i ci, którzy swoją misję wypełniają z zapalem, i cała reszta – wszystko to wydawało się teraz Romanowi pyłem historii unoszonym przez łagodne podmuchy wiatru gdzieś w przestworza. Liczył się tylko spokój i ten gwar przyciszonych rozmów przynoszący ukojenie.

Z kontemplacji wyrwało Romana szurnięcie krzesłem. To Tarpan sadowił się na swoim miejscu. Jak zwykle elegancki, emanował dystyngowaną uprzejmością. Z twarzy Romana znikło zadumanie, pojawił się delikatny uśmiech, w którym można było wyczytać życzliwość, ale i stanowczość.

Po przywitaniu się informator zagaił:

– To co, panie Romanie, szykuje się akcja?

- E, nie, panie Zdzisławie, kolega organizuje coś w rodzaju balu maskowego i zwrócił się do mnie o jakiś rekwizyt. Pomyślałem o panu, bo wspomniał pan kiedyś o swoim znajomym w teatrze.

Wyraz twarzy Tarpana wyrażał ironiczne niedowierzenie. Ten to wszędzie węszy tajne działania - pomyślał Roman. - Chociaż tym razem się nie myli.

- Co słyhać ciekawego? - zapytał raczej z obowiązku.

Informator zaczął opowiadać. Jak zazwyczaj przeplatał prozaiczne informacje o urzędnikach i urzędniczkach ministerstwa własnymi podejrzeniami. Gdyby ktoś brał na poważnie jego opowiadania, musiałby dojść do przekonania, że w wysokim urzędzie państwowym wprost roi się od szpiegów. Roman wyłączył się i to tak skutecznie, że mowa Tarpana docierała do niego jak brzęczenie owada. Nie przeszkadzało to energicznemu potakiwaniu wywodom informatora, wyrażaniu autentycznie wyglądającego zdziwienia, artykułowanego czasami zwrotem „No, no, co pan powie”.

Kiedy Tarpan na chwilę zamilkł, aby zwilżyć gardło łykiem wina, Roman wykorzystał moment i zapytał:

- A wracając do mojej prośby, udało się panu załatwić... ten rekwizyt?

Informator spojrzał na niego pewnym siebie wzrokiem.

- Panie Romanie, dla mnie nie ma problemu, jeśli chodzi o nasze sprawy - odpowiedział.

Sięgnął do teczki i wyjął zawiniątko w plastikowej torbie. Uniósł pakunek i zaczął wyjmować zawartość.

- Nie, nie - zareagował pośpiesznie Roman. - Niech pan nie wyjmuje. Proszę mi to podać.

– Chciałem panu zademonstrować, jak się tego używa. To nie jest takie proste – powiedział ze zdziwieniem Tarpan, ale posłusznie przekazał zawiniątko pod stołem.

– Jakoś sobie poradzę, to znaczy ten mój znajomy, niech on się martwi.

– Gdyby pan potrzebował więcej rekwizytów, bardziej różnorodnych, jestem do usług – ofiarował się informator. – Mogą być różne przebrania, akcesoria dla inwalidy, wąsy, broda, tę już pan widział, barwiczki...

– Barwiczki? A co to jest?

– Zestaw pudrów w najrozmaitszych odcieniach. To, co kobiety noszą w torebkach, tyle że asortyment jest bez porównania bogatszy. Może pan się zrobić na Chińczyka, Mulata, Murzyna, a nawet na Indianina – zaśmiał się Tarpan.

– Orle pióro też mógłbym dostać? – zązartował Roman.

– A wie pan, że nie wiem. – Informator zmarszczył czoło.

– Nieważne. Kiedy mam zwrócić perukę?

– O, może pan zatrzymać, ile pan zechce. Była wykorzystywana w sztuce, która miesiąc temu zeszła ze sceny.

Roman chciał już zakończyć spotkanie.

– To fajnie. Oddam panu, jak zobaczymy się następnym razem.

– Nie ma o czym mówić. Ach, panie Romanie, ten czas tak leci. – Informator zmienił temat. – Pan nie wie, a ja wkrótce kończę pięćdziesiąt lat. Okrągła pięćdziesiątka. Niby nie tak dużo, a czuje się wiek w kościach.

Roman zanotował to sobie w pamięci. Tarpan przypomniał mu delikatnie o swoich urodzinach. Trzeba będzie wyasygnować z funduszu operacyjnego większą kwotę na poważny prezent.

Pięćdziesiąt lat to nie byle co. Do tego musi doliczyć zwiększony wydatek w Niezapominajce, aby urodzinom nadać właściwą oprawę.

*

Przejechali most Berlinga i wjechali w aleję Stanów Zjednoczonych. Pepsuj siedział za kierownicą służbowej nubiry.

– Którędy teraz? – zapytał. – Nigdy nie byłem na Saskiej Kępie.

– Skręć w lewo, w Międzynarodową, Maćku – powiedział Roman, który zerkał co chwilę do planu stolicy.

Wjechali na Saską Kępe, w dzielnicę eleganckich domów wynajmowanych przez dyplomatów, szefów firm i instytucji zagranicznych. Ruch był niewielki, nie czuło się tu pośpiechu właściwego dla innych dzielnic.

– Romku, nie zamyślaj się tak, bo pojedziemy za daleko – napomniął go Pepsuj.

Roman zajrzał do planu. Rzeczywiście, pilotował samochód okrężną drogą do celu.

– Teraz znowu w lewo, w Londyńską, jedziemy dalej, to Holenderska, jeszcze raz w lewo, przejedziemy Walecznych. – Już przykładał się do wskazywania drogi. – Tym razem w prawo, jesteśmy na ulicy Saskiej, zatrzymaj się tu, na parkingu, Maćku. Następna w lewo będzie Irlandzka, tam mieszka pani Young.

Wysiedli z samochodu. Pepsuj był ubrany w wytarte dżinsowe spodnie i czarną skórzaną marynarkę. W rękę trzymał swoją elegancką dyplomatkę. Roman nie przebierał się do operacji i pozostał w garniturze.

Poszli w kierunku Irlandzkiej. Na rogu, po wejściu w ulicę, był sklep spożywczy, potem pub.

- O, jest dobre miejsce - powiedział Pepsuj. - Zaczekaj, Romku.

Wszedł do pubu, a Roman został na chodniku. Zaczął się rozglądać. Uliczka była wąska, zabudowana po obu stronach willami. Wzdłuż chodników ciągnęły się szpalery drzew. Nieźle by było tu mieszkać - zamyślił się. - Cisza i spokój. Niestety, to nie dla takich jak ja. Spojrzał na wejście do pubu, potem rozejrzał się wokół siebie. Między pubem a sklepem spożywczym siedział żebrak w starym, znoszonym i poplamionym płaszczu, z długimi włosami o barwie słomy, sięgającymi do ramion. Miał tabliczkę z tektury na piersiach. Roman podszedł bliżej i przeczytał: „Wspomuszcie bezdomnego starca”. Ależ błędy - pomyślał i odruchowo sięgnął do kieszeni po długopis, ale zmitygował się w porę. Wyjął z portmonetki dwa złote i wrzucił do stojącego obok nogi żebraka filcowego kapelusza. Ten nawet nie uniósł wzroku. Siedział ze spuszczoną nisko głową. Roman nie widział dokładnie rysów twarzy, bo zasłaniała je dosyć bujna grzywka. Biedni ludzie ci bezdomni - zdobył się na współczującą refleksję.

Z pubu wyszedł Pepsuj. W pierwszym odruchu Roman spojrzął i odwrócił głowę, jednak zaraz skojarzył nagłą przemianę w postaci naczelnika. Pepsuj był w peruce! I to w jakiej. Obfita czupryna blond, cała w kręcone loczki. Roman zakrztusił się, usiłując zdławić wybuch wesołości.

- Co cię tak śmieszy, Romku? - zapytał poirytowany Pepsuj.

- Nie, nic, tylko ta peruka skojarzyła mi się z pewnym filmem.

- Z jakim? - Pepsuj poprawiał perukę, która jakoś nie chciała trzymać się prosto.

- No, z takim starym. Z braćmi Marx. W tej peruce jesteś podobny do jednego z nich.

- Do którego?

- Do tego niemowy, co najwięcej pajacował na filmie - odpowiedział wesoło Roman i zaraz zgromił się w duchu.

- Tak? Na pewno? - Pepsuj popatrzył na niego niezbyt przychylnym wzrokiem. Ciągłe poprawiał perukę. - Ten rekwizyt ma jakieś zaczepy pod spodem, ale nie umiałem ich zamocować. Chodźmy, zbliża się czas twojego spotkania, Romku.

Przeszli razem jeszcze kawałek.

- Włączyłeś radiotelefon? - chciał się upewnić Pepsuj.

- Tak, Maćku. - Roman wyjął z kieszeni marynarki aparat i popatrzył na zielone światełko sygnalizatora. - Zrobiłem to jeszcze w firmie i ustawiłem częstotliwość. Tylko nie nawiązuj łączności bez wyraźnej potrzeby.

- Dobrze, dobrze. Dalej idź sam, Romku. - Pepsuj zatrzymał się przy słupie ogłoszeniowym. - Będę stąd obserwował okolicę.

Roman machnął ręką na pożegnanie i poszedł przed siebie. Odnalazł miejsce, gdzie mieszkała Young. Na furtce ogrodzenia widniał numer osiemnaście. Roman rzucił okiem w głąb posesji. Za furtką był bujny, trochę zaniedbany ogród, przez który wąska ścieżka prowadziła do drzwi domu. Szedł dalej jak zwykły spacerowicz. Do siedemnastej pozostało jeszcze kilka minut. Zaraz powinien zjawić się Dembowski. Roman przespacerował się do końca Irlandzkiej i zawrócił z powrotem. Naraz aż podskoczył, słysząc obok siebie klakson samochodu. To Dembowski podjechał swoim cadillacem. Jeszcze tego brakowało - Roman się zdenerwował. - W razie czego namierzają nas bez problemu. Dembowski uprzejmie uchylił drzwi samochodu. Roman zasiadł obok niego.

– Słuchaj, Tadzik. Tu zaraz mieszka Young. Nie możesz stawać pod jej domem swoim samochodem.

– Chyba jesteś przeczulony. – Dembowski uśmiechnął się do niego tym swoim szczerym, rozbijającym uśmiechem. – Ale jeśli masz takie życzenie... – Wjechał samochodem na chodnik nieopodal miejsca, w którym wsiadł Roman.

Było to nadal zdecydowanie zbyt blisko domu Young, lecz nie mógł przecież dalej perswadować tego Tadzikowi. On wymyślił tę operację i on nią kierował.

Przeszli kilkanaście metrów i zatrzymali się przed furtką z numerem osiemnaście. Dembowski nacisnął klamkę. Furtka była zamknięta. Wyciągnął z kieszeni marynarki pęk niby-kluczy. Były to wytrychy, niklowane i o różnych kształtach. Dembowski potrząsnął pękiem i się uśmiechnął. Dopasowując kolejne wytrychy w zamku furtki, mówił:

– Dostałem te klucze od kumpla z FBI⁹. Oni mają je na wyposażeniu obok broni i kamizelki kuloodpornej. Już nieraz mi się przydały. Wiesz, jak trzeba coś sprawdzić, poszukać czegoś, to raz i dwa i sprawa załatwiona.

– Jak to? – Roman był zdziwiony. – To nie piszecie raportów? Żeby dostać zgodę na przedsięwzięcie specjalne?

– A kto by się bawił w takie rzeczy? Szkoda czasu.

Zamek ustąpił i furтка się uchylila.

– Wchodzimy – rzucił Dembowski.

Wszedł pierwszy. Roman spojrzal w lewo i zobaczył Pepsuja wychylającego się z za słupa ogłoszeniowego. Kilka metrów za nim stał żebrak, ten sam, który siedział przy wylocie ulicy. Roman kiwnął głową Pepsujowi, dając znak, żeby odwrócił się, ale on nie

zrozumiał, o co chodzi, więc wskazał ręką, gwałtownie gestykulując. Pepsuj w końcu się odwrócił. Zobaczył przed sobą żebraka, który stał bez ruchu. W jego wyglądzie zaszła zmiana. Miał na nosie okulary.

– Pójdiesz stąd, dziadu. – Pepsuj tupnął nogą na żebraka, który nie ruszał się z miejsca.

Roman obserwował tę scenę, ociągając się z wejściem do środka. Pepsuj poszukał w kieszeni spodni i wyciągnął zmięty banknot dziesięciozłotowy.

– Masz. – Podał żebrakowi. – I jazda stąd.

Bezdomny wziął pieniądze bez słowa i zaczął iść na drugą stronę ulicy.

– Chodź tu, szybciej! – zawołał Dembowski od drzwi domu.

Roman zamknął za sobą furtkę i pobiegł ścieżką. Wszedł do domu. Dembowski zamknął delikatnie drzwi.

– Ciii... – Położył palec na ustach. – Musimy najpierw sprawdzić na wszelki wypadek, czy nikogo nie ma.

Roman skinął głową. Rozejrzeli się po wnętrzu. Stali w niewielkim pomieszczeniu. Znajdowały się w nim, po lewej i prawej stronie, dwa wejścia prowadzące zapewne w głąb domu.

– Idź tamtędy, ja pójdę w tę stronę – szepnął Dembowski.

Rozeszli się. Roman skierował się w lewo i poszedł przed siebie korytarzem, który biegł półokręgiem. Po obu jego stronach były drzwi, na końcu otwarte wejście, do którego zbliżył się, idąc jak najciszej. Stał w progu niewielkiego pokoju z kanapą i komodą na środku. Przeszedł dalej. Zatrzymał się w otwartych drzwiach do sporego pomieszczenia, chyba gabinetu, bo po drugiej stronie widział wysokie pod sufit szafy z książkami. Zrobił krok do przodu i stanął jak wryty. Pod oknem stał odwrócony tyłem do pokoju

ogromny fotel. Ktoś w nim siedział. Widział w szybie balkonowej, przesłoniętej firanką, odbicie zarysu czyjejś sylwetki widoczne dzięki silnym promieniom słonecznym przebijającym się przez chmury. Romanowi wydało się, że postać jest pochylona nad książką. Ostrożnie stawiając stopy, cofnął się tyłem do wejścia do pokoju. Zamierzał wrócić tą samą drogą, skąd przyszedł.

Wtem w otwartych drzwiach naprzeciwko stanął Dembowski, który zapewne okrążył dom z drugiej strony i zeszli się właśnie w tym miejscu. Roman zamachał ku niemu rękami, dając znaki, aby był cicho. Dembowski zatrzymał się, patrząc na niego pytającym wzrokiem. Jak mu to wytłumaczyć? – zastanawiał się Roman, wiedząc, że każda chwila jest cenna. Zaczął pokazywać, składając dłonie, jakby trzymał przed sobą książkę. Potem palcem wskazującym pokazał w głąb pokoju.

Twarz Dembowski'ego wyrażała zrozumienie. Delikatnie wychylił głowę za framugę drzwi. Kiedy zorientował się w sytuacji, spojrzał na Romana i uczynił uspokajający gest. Znaleźli się w trudnym położeniu. Rozsądek nakazywał natychmiastowy odwrót. Roman podniósł do góry rękę i zatoczył koło, co miało oznaczać, że powinni się wycofać. Nagle zamarł z wrażenia. Zdążył tylko pomyśleć: Zwariował.

Dembowski wszedł powoli do pokoju, starając się poruszać bezszelestnie. Delikatnie uniósł stojący na inkrustowanym stoliku duży wazon. Ujął go mocno w dłonie i nagle gwałtownie rzucił się ku fotelowi, waląc z góry na oślep w głowę siedzącej postaci. Rozległ się brzęk, wazon rozsypał się na tysiące kawałków, a Roman w odbiciu na szybie ujrzał, jak sylwetka przechyla się bezwładnie na bok. Na podłogę spadła książka.

Roman stał jak sparaliżowany. Nie, to niemożliwe – myślał obronnie. – To nie może być naprawdę. To mi się tylko śni. Albo tylko tak sobie wyobrażam. Muszę się otrząsnąć. Zaczął poruszać głową, ale straszliwy obraz nie znikał. Poczuł, że robi mu się słabo. Oparł się plecami o ścianę. Na całym jego ciele wystąpił zimny pot.

– Już po wszystkim. Możesz wejść. – Usłyszał głos Dembowsky’ego.

Roman wiedział, że musi coś zrobić. Nie może przecież tak stać oparty o ścianę i czekać na dalszy rozwój wypadków. Otarł pot z czoła i wszedł do pokoju.

– Tadzik, Tadzik, coś ty zrobił. Zabiłeś ją – wyszeptał.

– Co ty się tak przejmujesz, Roman? To był kryształowy wazon. – Dembowsky grzebał w szufladach biurka. – Może z tego wyjdzie. Zobacz lepiej w tamtej szafce.

Roman posłusznie otworzył szafkę i zaczął bezwiednie przerzucać leżące w niej papiery. Litery skakały mu przed oczami. Co ja robię? – Mimo pustki w głowie zareagował jego odruch warunkowy. – Zostawię odciski palców. Zamknął szafkę grzbietem dłoni.

W tym czasie Dembowsky przeszukiwał szuflady pod regałem bibliotecznym. Czytał półgłosem fragmenty znalezionych kartek i wrzucał je z powrotem. Roman stracił poczucie czasu. Wydawało mu się, że ten straszny czyn wydarzył się dawno temu. Bardzo dawno temu.

– Nie ma tu nic ciekawego – mówił Dembowsky. – Jakieś sprawozdania, programy szkolenia. Wiesz co? Jest jeszcze jedno miejsce, gdzie kobieta może chować swoje tajemnice. No, gdzie? – spytał, jak gdyby to był quiz. – W sypialni, oczywiście.

Przyjrzał się Romanowi i pokiwał głową.

– Jesteś mało odporny – podsumował. – Widzisz, ja mam wprawę. Mnie nic nie zaskoczy. Musicie robić więcej takich akcji, to się przyzwyczaisz.

Roman nie odpowiadał. Głos Dembowski'ego docierał do niego jak z oddali. Był przytłumiony. Z trudem zastanawiał się nad sensem wypowiedzianych przez niego słów.

– Chodź, idziemy. – Widząc nieruchomy wzrok Romana, Dembowski ujął go za łokieć i poprowadził korytarzem. – Zaczekaj tutaj, ja skoczę do sypialni. Pewnie jest na piętrze. – Postawił Romana przy drzwiach, a sam zniknął w głębi korytarza.

Romanowi powoli wracała zdolność myślenia. Ustępowało pulsowanie w skroniach, pot na ciele obsechł. Brał się w garść. To coś już się stało i nic na świecie nie jest w stanie tego odwrócić. Pora się zastanowić. Nad czym? Nad tym, co się stało? Raczej nie. Nad konsekwencjami, jakie z tego mogą wyniknąć. A więc Jezabel Young prawdopodobnie nie żyje. Co to oznacza? Wielką aferę. Burzę. Po odkryciu... zwłok rozpocznie się śledztwo. Ze względu na to, że ofiara – bardziej właściwym będzie tu użycie określenia denatka – była obywatelką brytyjską i do tego wiceszefową poważnej instytucji zagranicznej, do poszukiwania sprawcy zostanie zaangażowany, oprócz policji, pion śledczy firmy. Ci zaraz zaczną węszyć i zwrócą się, rzecz jasna, do kontrwywiadu. Bo kto inny mógłby mieć więcej informacji o British Council i Jezabel Young niż wydział zachodnioeuropejski? Poproszą Romana na rozmowy, będą wypytywać, co mu jest wiadomo o... wypadku. Nie, będą wypytywać o wszystko. A on opowie im, co wie, ale zatrzyma się tuż przed rozmową z Dembowskim. O jego propozycji i tym zdarzeniu dzisiaj

nic nikomu nie powie. Tylko czy to pozwoli wybrnąć mu z tej sytuacji? Czy nie zdradzi go własne zachowanie, wygląd? Drżenie głosu i rąk, czego nie będzie mógł opanować, pot na czole i inne symptomy wzbudzające podejrzenia?

Usłyszał cichy szelest od strony korytarza. Opanował przemożną chęć, aby czmychnąć już z tego domu, ot, otworzyć drzwi i biec, biec przed siebie, nie myśląc o niczym. Nadszedł Dembowski. Z niezadowoleniem kręcił głową.

– Nic nie znalazłem. Ale przecież gdzieś musi trzymać dowody swojej działalności. Przynajmniej jakieś meldunki, tablice kodowe – mówił, zastanawiając się. – Chyba będziemy musieli wkraść się do jej biura. – Popatrzył na bladą twarz Romana, która wyrażała niemy sprzeciw. – Pogadamy o tym innym razem.

Dembowski otworzył drzwi i rozejrzał się.

– No, możemy iść.

Przepuścił Romana i pokręcił wytrychem w zamku. Poszli dróżką do furtki.

– Może cię podwieźć? – spytał.

Roman potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję, pójdę pieszo – powiedział cicho.

– No, to cześć. – Dembowski uściśnął mu rękę. – Ty się tak nie przejmuj, stary. Wszystko będzie okey. – Zacisnął dłoń i uniósł kciuk do góry.

Roman stał przez chwilę i patrzył, jak Dembowski wsiada do cadillaca, zawraca i odjeżdża. Popatrzył bezmyślnie przed siebie. Jego wzrok prześlizgnął się po postaci siedzącego po drugiej stronie ulicy żebraka. Temu to dobrze – pomyślał bezwiednie. – Przynajmniej nie ma takich kłopotów.

Roman poczłapał wolnym krokiem. Minał słup ogłoszeniowy. Usłyszał za sobą głos Pepsuja:

– Romku, zaczekaj.

Ale on szedł dalej. Pepsuj go dogonił.

– Opowiadaj, jak poszło – spytał z ciekawością, ale spojrzawszy na twarz Romana, odgadł od razu, że stało się coś złego, coś bardzo, bardzo złego.

Szli obok siebie w milczeniu.

– Zdarzyło się nieszczęście, Maćku – mówił powoli Roman. – Weszliśmy do środka i wszystko było normalnie. Ale w jednym pokoju ona siedziała w fotelu. Pod oknem. I Tadzik, to znaczy Dembowski, wziął taki duży wazon, podszedł i... – Głos mu się załamał.

– I co? Gdzie podszedł?

– Dembowski podszedł do fotela i tym wazonem... – Roman znowu urwał.

– I co on tym wazonem? – spytał Pepsuj, ale jego spojrzenie mówiło, że domyśla się, jaki był ciąg dalszy.

– I on tym wazonem... bęc.

– Jak to bęc? Mów wyraźnie. – Pepsuj wiedział, że dręczy tymi pytaniami Romana, ale dla pewności chciał, aby to, co przypuszczał, że się stało, usłyszeć od niego.

– Palnął tym wazonem Jezabel Young prosto w głowę, a ona wywróciła się na fotel i... książka upadła.

– Sprawdziłeś, czy żyje?

Roman przecząco pokręcił głową.

– Nie, nie mogłem do niej podejść.

- Może jeszcze żyje? Trzeba jej było pomóc – gorączkował się Pepsuj. – Pewnie jest tam apteczka, no, wiesz, bandaż, woda utleniona, jodyna.

Po cholere mi jodyna? – pomyślał Roman, a głośno powiedział:

- Maćku, tam jodyna ani woda utleniona nic nie pomogą. Żebyś ty widział ten wazon. A jak on się rozprysł. – Zatrzymał się, przypominając sobie tę okropną scenę, po czym ruszył powoli dalej.

Pepsuj stał jeszcze przez chwilę. Wyglądał śmiesznie w przekrzywionej peruce. Ale nie było mu do śmiechu. Już wiedział, co się stało. Wiedział wszystko. A on był jednym z winnych temu, co się stało. Mówiąc językiem śledczych, należał do grona współsprawców czynu. Tak, był współsprawcą. To on zaakceptował wariacki pomysł szalonego Amerykanina i zmusił Romana do uczestniczenia w idiotycznym przeszukaniu domu Jezabel Young. Gdyby nie to, siedzieliby sobie teraz wygodnie w swoich mieszkaniach i popijali piwo albo coś innego. Dembowsky sam musiałby zrealizować swój plan, a oni dowiedzieliby się o tym strasznym zdarzeniu z poniedziałkowych gazet. Może z telewizji, jeżeli odkryto by zbrodnię wcześniej.

Wreszcie ruszył za Romanem. Po drodze ściągnął z głowy zsuwającą się perukę i wrzucił do kosza na śmieci. Jednak po paru krokach przypomniał sobie, że powinien ją oddać. Wrócił i wyciągnął perukę z kosza, po czym schował do teczki.

X

Zdecydowanie Roman jeszcze nigdy nie wkraczał do firmy w tak fatalnym nastroju. Był przygotowany na wszystko. Ale ta gotowość nie miała nic wspólnego z determinacją, chęcią czynu, lecz oznaczała nastrój pełen zrezygnowania i poczucia winy.

Przez cały weekend siedział przed telewizorem albo leżał na łóżku. Nie docierały do niego żadne zewnętrzne bodźce. Nie rozumiał słów płynących z ekranu ani tego, co mówiła do niego żona bardzo zmartwiona jego stanem. A on myślał, początkowo nieskładnie, skupiając się na tym jednym, jedynym obrazie z willi na Saskiej Kępie, potem myślenie stawało się szersze i wreszcie udało mu się ten jeden obraz postawić obok wielu innych. Zaczął analizować. Zastanawiał się nad poszczególnymi składnikami znanej mu rzeczywistości, oceniał je na różne sposoby, odrzucał te oceny, które uznał za ułomne, a wprowadzał do pamięci właściwe i przechodził do kolejnego składnika. Powoli wyłaniał się mu obraz całości złożony z obrazów sytuacyjnych.

Na początku otrzymał z wydziału wschodniego sprawę Izydora do prowadzenia, co nie było szczególnie dziwne. Uznał wtedy, że Klepacz zwyczajnie się jej pozbył. Wypchnął Izydora do jego wydziału, jak tylko pojawił się wątek brytyjski. Nie ma powodów, aby podejrzewać, że za przekazaniem mu sprawy stał ktoś czy raczej czyjś celowy zamysł.

On próbował coś zrobić w tej sprawie. Dlaczego? Wiadomo. Naczelnikiem wydziału został Pepsuj, a to zapowiadało niełatwą przyszłość. Dlatego zdecydował się na uczestniczenie w raucie zorganizowanym przez British Council. Czy to, co wówczas zauważył, miało związek z dalszymi wydarzeniami? Poza tym, że zaczął pracować jeszcze intensywniej? A ten jego nieszczęśliwy upadek i nagłe zetknięcie się z Jezabel Young? Czy to zbieg okoliczności, czy też nie? Nie, nie było żadnych przesłanek, żeby twierdzić, że jego pobyt na raucie i to, co się tam wydarzyło, pozostawało w jakimkolwiek związku przyczynowym z „wypadkiem”, jak zaczął w myślach nazywać wynik operacji przeprowadzonej wspólnie z Dembowskim w willi Young. Co robił później? Wykorzystał przypadkowy kontakt z Wilhelmem Janikiem, aby zawerбовать go do współpracy z firmą. Zrobił to szybko, może zbyt szybko. Gdyby wtedy działał zgodnie z instrukcją operacyjną, musiałby wyhamować realizację tej czynności. To wpłynęłoby na spowolnienie tempa innych działań i może dzisiaj stałby blisko punktu wyjścia. A czy kontakt z Janikiem był rzeczywiście zupełnie przypadkowy? Może ktoś sterował jego obecnym informatorem? Nie, to niemożliwe. Jest jeden przeciwny argument nie do zbiccia. S-7 sfilmował spotkanie agenturalne Izydora z pułkownikiem Malcolmem. MI-6 nigdy nie pozwoliłoby sobie na ujawnienie faktu, który potwierdzał prowadzenie przez Anglików działalności wywiadowczej. S-7 był zatem poza podejrzeniem.

Jabłońska i Czeczeni. Początkowo wydawało się, że jest to wątek całkowicie poboczny. Potem odkrywał, on i Jubiler, kolejne nici łączące Jabłońską z MI-6. Nie były to wprawdzie niepodważalne dowody, ale poszlaki na tyle mocne, że Roman nie miał co do tego

wątpliwości. Czeczeni stanowili raczej tło sprawy. Czy naprawdę Vanex chciał sprzedać im broń? Roman w to powątpiewał. Może MI-6 prowadziło jakąś kolejną grę, niemającą związku ze sprawą Izydor? Ale kontakt Jabłońskiej z Anielinem pozostawał faktem. Jeżeli Jabłońska była agentem Anglików, to jej związki z KDB zapewne wynikały z relacji występujących pomiędzy nią a MI-6. Czy zastąpiła Izydora w charakterze łącznika pomiędzy służbami? Bardzo prawdopodobny wniosek. Jaki to ma związek z wypadkiem? Nie widać go, jeśli nie weźmie się pod uwagę, że to zapewne Jezabel Young prowadziła Jabłońską, a Amerykanie obawiali się osoby o inicjałach JY.

Kiedy pojawili się Amerykanie? Roman natężył pamięć. Tak, to było po tym, jak ustalił, że Jabłońska kontaktowała się z generałem Władymirem Anielinem. Roman wtedy szedł jej tropem. W tym czasie przeszukał też pokoje Czeczenów w Victorii. Nie, to nastąpiło później.

Z czym przyszli Amerykanie? Byli zaniepokojeni o bezpieczeństwo swoich operacji, bo podejrzewali, że u współpracujących z nimi Brytyjczyków SWZ albo KDB uplasowało kreta. Sytuacja faktycznie wydawała się dla nich groźna, przynajmniej tak to wtedy przedstawili. To, z czym przyszli, pokrywało się częściowo z wnioskami Romana. Hunek nakazał im, jemu i Pepsujowi, podjęcie współpracy z Amerykanami. Nie tak znowu ścisłej, ale mieli wspierać ich poczynania. Roman podchodził do tych kontaktów z rezerwą. Pepsuj wyśmiewał jego indywidualizm operacyjny, mile polechtało go, że stał się partnerem dla CIA. Gdyby Roman oparł się wtedy naciskom, może dzisiaj byłoby inaczej. Ale

nie mógł się oprzeć. Oficer w firmie podlega tym samym prawom, co żołnierz w armii.

Była szansa przerwania tego łańcucha, który prowadził do nieszczęścia. Wystarczyło nie zabrać Dembowski'ego na obserwację Young do Białej Podlaskiej. I tak wynik operacji był negatywny, a Roman by to przeboleał w samotności. Wtedy doszedłby zapewne do wniosku, że pora przestać działać zbyt prędko, przecież to kontrwywiad, a nie pogoń za złodziejem. Ale Pepsuj wpadł na pomysł. Jeśli weźmie Amerykanina – mówił – to ten na pewno wspomni przełożonym, a oni zapunktują. Jakie to płytkie! Dembowski'emu chyba zaczęło się spieszyć, bo zaproponował przeszukanie domu, który wynajmowała wiceszefowa British Council. I jeszcze wtedy była szansa, aby nie dopuścić do wypadku albo przynajmniej w nim nie uczestniczyć, ale Pepsuj znowu się uparł, chociaż Roman od samego początku miał sceptyczne podejście do tego pomysłu. Kto więc zawinił? Jasne, że wszyscy. Bez wyjątku wszyscy, którzy brali udział w przeszukaniu. Bądź je ubezpieczali.

Dlaczego doszło do wypadku? Dembowski miał złe rozpoznanie. Jezabel Young nie wyszła na żadne spotkanie do ambasady. A może miała iść, tylko że później. Teraz to nieistotne. Rozpoznanie było złe, a on – stary oficer operacyjny – zawierzył Amerykaninowi, którego tak na dobrą sprawę w ogóle nie znał.

Ale... zaraz, zaraz. Czy można wierzyć w to, że Amerykanie działali bez żadnego głębszego przygotowania? Że Dembowski nie sprawdził, nie upewnił się, czy Young wyszła z domu? Przecież mają w rezydenturze swojej ambasady sekcję obserwacji. Mogli też dowiedzieć się o tym na różne inne sposoby. Na pewno ktoś z ich

rezydentury był obecny na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej. Wystarczył telefon do Dembowsky'ego. Tak, coś tu nie gra. I Roman nagle zrozumiał. No jasne! Oni chcieli zlikwidować Jezabel Young, czyli osobę, która w meldunkach ich agenta występowała pod inicjałami JY! Dlaczego wybrali takie rozwiązanie? To też jest bardzo proste. Zdecydowali się na radykalne posunięcie, gdyż za wszelką cenę chcieli przerwać wpływ informacji z MI-6 do Rosjan. Nie informowali o całej sprawie Anglików, bo było to zbyt ryzykowne. Nie mieli wystarczających dowodów na współpracę Young z Rosjanami czy z KDB. Gdyby powiedzieli o tym MI-6, ci wdrożyliby zwykle procedury przewidziane dla takich przypadków. To nie gwarantowało, że szpiegostwo zostanie Young dowiedzione. Na tym polu też obowiązuje brytyjska demokracja. Wiceszefowa British Council mogłaby wtedy dalej prowadzić swoją grę. No, stałaby się bardziej ostrożna, co dodatkowo utrudniłoby znalezienie czegokolwiek świadczącego o jej winie.

Roman był przekonany, że wyciągnął prawidłowy wniosek. Tym bardziej że wypływał z niego następny. Dembowsky zabrał go na przeszukanie, aby jego, zresztą nie tylko jego, ale i całą firmę, uczynić świadkiem wypadku. Nie, nie świadkiem, lecz współnikiem. To dawało Amerykanom gwarancję bezpieczeństwa. Gdyby Dembowsky wykonał wyrok na Young samodzielnie, firma na równi z policją poszukiwałaby zabójcy. Istniały wówczas duże szanse, że zostanie on złapany. Amerykanie musieli więc zapewnić sobie neutralność ze strony firmy. I osiągnęli to. Sama policja nie będzie w stanie ustalić sprawcy. Nawet nie zbliży się do niego na kilometr. A firma w tej sytuacji nie wspomże ich wysiłków. Byłoby to samobójcze działanie. Zostaną przeprowadzone czynności, pozorne

oczywiście. Są od tego specjaliści w firmie. Potem ogłosi się wynik poszukiwań – negatywny. I to w tonie wyrażającym głębokie ubolewanie. Zabójstwa dokonano na tle rabunkowym, sprawca wybrał obiekt kradzieży przypadkowo, a w stolicy był na tak zwanych gościnnych występach i w takim razie odnalezienie go jest niemożliwe. Roman przypomniał sobie, że Dembowski poszedł po wypadku do sypialni Young. Pewnie porzucił tam wszystko, aby motyw rabunku stał się prawdopodobny, co miało ułatwić firmie wyciągnięcie właściwych wniosków śledczych.

Roman został zatem użyty w charakterze narzędzia. Wykorzystano go jako tarczę, dokonując strasznego czynu. Świadomość tego jeszcze bardziej pogłębiała jego przygnębienie, o ile było to możliwe. Należało zastanowić się, co dalej. Tu, Roman, niestety, nie mógł znaleźć rozwiązania. Przekraczało to nie tylko jego siły intelektualne, ale i kompetencje. Czuł się bezradny. Decyzję, co robić, powinni podjąć jego przełożeni. Tak, zostawi to Pepsujowi. Poniekąd to on wpędził ich w tę kabałę. Niech idzie z tym do Hunka, do szefa głównego, do kogo tylko zechce. A może nie zechce? Może przyjmie taktykę milczenia? Oczekiwania na rozwój wypadków? To byłoby złe rozwiązanie. Śledztwo zaszłoby za daleko i wtedy nic nie mogłoby im pomóc. Nie, będzie nalegał na Pepsuja, aby poszedł ze sprawą do wyższych przełożonych. Może istnieje jednak dla nich jakaś szansa. Myśl o tym była pociechą dla Romana chroniącą go przed całkowitym załamaniem nerwowym.

Roman podpisał w sekretariacie listę obecności i poszedł do pokoju. Po drodze zdawkowo odpowiadał na powitania kolegów. Ci

odprowadzali go wzrokiem. Dlaczego tak patrzą? – pytał siebie w duchu. – Chyba, do diabła, jeszcze o niczym nie wiedzą?

Rzucił się na fotel i zaczął wertować codzienną prasę. Przejrzał szybko gazety. Potem przeczytał powoli nagłówki artykułów. I jeszcze raz. W końcu oddał się dokładnej lekturze całości. Pomiął tylko ogłoszenia i informacje sportowe. Nie, nic nie ma o wypadku. Co to ma znaczyć? Czy jeszcze nie odkryto zbrodni? Włączył radio i kręcił gałką, słuchając aktualnych doniesień różnych stacji.

Siedział tak do jedenastej. Nie chciało mu się zaparzyć kawy, a tym bardziej iść na śniadanie. Nic by nie przełknął. W końcu postanowił, że musi zrobić pierwszy ruch. Przeszedł przez pusty korytarz do sekretariatu i zapytał pani Maryli, czy naczelnik jest wolny.

– Nie, naczelnika jeszcze nie ma. – Usłyszał.

– Jak to, nie ma? – Roman był zdumiony, bo odpowiedź pani Maryli oznaczała, że Pepsuj nie przyszedł do firmy. Może zachorował? Ale to nie jest żadne wyjście z sytuacji.

– Jak naczelnik przyjdzie, zawiadomię pana – stwierdziła oschle sekretarka, dając mu do zrozumienia, że nie zamierza kontynuować rozmowy.

Roman powrócił do siebie. Znowu usiadł w fotelu i czekał. Ale Pepsuj już nie przyszedł.

*

Następnego dnia Pepsuj znowu nie przyszedł o ósmej do pracy. Roman czuł rosnące zdenerwowanie. Zaczynał wewnątrz dygotać. Czy ze strachu? Może to rozstrój nerwowy? Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Pepsuja do domu albo na jego komórkę, lecz

ostatecznie się nie odważył. Działo się coś niedobrego, tak przeczuwał, i próba nawiązania kontaktu mogła pogorszyć jego sytuację. Telefony Pepsuja były już pewnie na podsłuchu. Czy jego telefony też?

Przesiedział godzinę w sekretariacie, tłumacząc się oczekiwaniem na naczelnika z niesłuchanie ważną sprawą. Potem wyszedł na korytarz. Przechadzał się tam i z powrotem. Koledzy wychodzili i wchodzili do pokojów, szli do sekretariatu, wracali. Popatrywali na Romana ze zdziwieniem, ale go nie zaczepiali. Po kolejnej godzinie zrezygnował. Wrócił do siebie i usiadł za biurkiem. Zapatrzył się w ścianę.

Co ma dalej robić? Przecież to nie może trwać tak bez końca. Wpadnie w chorobę nerwową, dostanie ataku szału albo czegoś podobnego. Ktoś zadzwoni po pogotowie i odwiozą go w kaftanie.

A był tak blisko sukcesu. Na wyciągnięcie ręki. Już prawie do końca rozpracował oficerów MI-6 działających pod przykryciem w British Council i ich agentów. No, i tego szefa w Londynie. Popełnił jeden zasadniczy błąd. Zaczął działać pośpiesznie. Zapomniał, że w kontrwywiadzie nie wolno tak pracować. Mniej działań, więcej analizowania. Tymczasem on postępował dokładnie odwrotnie. Podniecił go sukces. Tak, sukcesem były informacje, które zdobył o działalności MI-6. Wcześniej nikt tego nie dokonał. Wywiad angielski był mitem, a on ten mit obalał. Już niewiele brakowało. Znał nie tylko siatkę oficerów i agentów, ale miał też w ręku łączące ich nici, chociaż nie do końca wyjaśnił znaczenie zachodzących pomiędzy nimi powiązań. Gdyby spowolnił swoją pracę, więcej myślał, kalkulował i jeszcze raz kalkulował, odkryłby

resztę. Nie teraz, lecz za pół roku, za rok, a może i za pięć lat. Jakie to miało znaczenie? Żadne. Liczyłyby się ostateczny rezultat.

Teoria dwóch znaczeń sprawdza się jednak w praktyce. Wydawało mu się, że sięga po swój największy życiowy sukces, a został strącony na samo dno. Poniósł klęskę, której rozmiarów jeszcze nie zna i które trudno ostatecznie przewidzieć.

Z gorzkiej zadumy wyrwało go brzęczenie telefonu. Zgłosił się S-7.

– Dzień dobry, panie Romanie. Dopiero co wróciłem z Anglii. Zostawił pan dla mnie wiadomość.

– Tak, dzień dobry.

– Rozumiem, że mamy się spotkać?

Spotkać się? Czy warto? Jaki to ma teraz sens? Może jednak pójdzie na spotkanie. Wyjdzie z firmy, oderwie się choć na chwilę od dręczących go myśli, porozmawia ze zwykłym człowiekiem.

– Panie Wilhelmie, a znajdzie pan teraz dla mnie trochę czasu?

– Już? Zaraz? Dobrze. Może być za godzinę? Do zobaczenia.

Roman wyszedł z firmy prawie natychmiast. Przeszedł na drugą stronę Rakowieckiej. Postanowił zrobić sobie dłuższy spacer bocznymi uliczkami. Nie myślał o niczym. Spoglądał na niewysokie drzewa. Zielonożółte liście rozjaśniały szarość budynków. Niektóre opadały zerwane mocnym podmuchem wiatru. Szeleściły, gdy Roman po nich stąpał. W końcu doszedł do Niezapominajki i usiadł na zwykłym miejscu. Pokręcił przecząco głową, gdy kelner zbliżył się, by przyjąć zamówienie.

Wszedł S-7. Uśmiechnięty przywitał się z Romanem i rozparł się wygodnie w krześle. Zaczął gładzić klapy marynarki. Pewnie tymi gestami chciał zwrócić uwagę Romana, że coraz lepiej wypełnia jego

zalecenie co do ubioru w miejscu ich spotkań. Miał na sobie ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Chyba wstąpił przed spotkaniem do domu, żeby się przebrać – pomyślał Roman obojętnie.

– Co słysząc, panie Wilhelmie? – wypowiedział pytanie jakby z musu. – Wrócił pan z Anglii?

– Tak, wczoraj wieczorem. A w Anglii? Nic szczególnego. Niedawno przyjechała osoba, która pana interesuje. Przyglądałem mu się. Nic jednak nie zauważyłem. Chciałem panu powiedzieć o moim spotkaniu z nim, tym zanim jeszcze wyjechałem. – Informator popatrzył na Romana, który kiwnął głową, żeby mówić dalej. – Pamięta pan, zlecił mi pan zadanie, abym zbliżył się do tej osoby. Spotkałem się więc z nim w restauracji pod Domami Centrum. Zamówiliśmy obiad, gadaliśmy sobie o interesach oczywiście, a on ciągle popatrywał na zegarek. W pewnej chwili powiedział, że musi wyjść, ale na krótko i zaraz wróci. Coś mnie tknęło. Poszedłem za nim. Skręcił w przejście, którym idzie się do kina Polonia. Ja za nim. O mało na nich nie wpadłem. To znaczy na niego i drugiego faceta. Stali w przejściu i rozmawiali. Ja stanąłem za budką z gazetami i ich obserwowałem. Coś tam gadali. Nie słyszałem, bo byłem za daleko. W końcu ten drugi facet podał temu naszemu do ręki jakiś przedmiot. Chyba mały, nie zauważyłem, co to było. A ten nasz wyjął z marynarki kopertę i dał temu drugiemu.

Roman początkowo słuchał opowiadania, nie zastanawiając się nad słowami informatora, ale jego zmysł operacyjny włączył się mu samoczynnie.

– Jak wyglądał ten drugi facet?

– Taki jakiś nijaki, niewysoki. Miał marynarkę z szerokimi klapami, zwróciłem na to uwagę, bo już dawno ten fason wyszedł

z mody.

- Co jeszcze?

- Hm... - zastanawiał się informator. - Jest łysy na głowie, jak wiatr zawiał, to ta, no... pożyczka, spadła mu na bok, a on ją poprawiał, przyglądał. Potem to już nic nie było. Zaczęli się żegnać, a ja szybko wróciłem do restauracji. Zaraz przyszedł nasz człowiek. Dokończyliśmy obiad i rozstaliśmy się.

Roman nie musiał się wysilać, aby zrozumieć znaczenie opowiadania informatora i odgadnąć, kim był ten drugi człowiek. Tym drugim był oczywiście generał Władimir Józefowicz Anielin. Przekazał Izydorowi mikrofilm, a figurant coś mu za to dał. Może pieniądze. Co zawierał mikrofilm? Nieistotne. Może jakieś białoruskie tajemnice, prawdziwe albo spreparowane przez Rosjan. Klasyczna dezinformacja. Dla kogo był mikrofilm? Dla Stockwella. Jeśli tak i jeżeli Stockwell jest najważniejszą postacią w grze MI-6 z KDB, to czy Jezabel Young rzeczywiście była kretem? I czy jej poczynaniami sterowało SWZ, a ona pod dyktando Rosjan manipulowała Stockwellem i całym MI-6? Możliwe. Bo wszystko jest możliwe. Tak, różne konfiguracje nakładały się w tej grze wzajemnie na siebie, a jemu nie starczyło wyobraźni, aby to wszystko poukładać, poszufladkować.

Z relacji S-7 jasno wynikało, że Stockwell i Young rozprawdzali Izydora. Zauważyli podstawki. Izydor może też zorientował się, że ciągnie za sobą ogon. Musieli wyczyścić pole przed spotkaniem z Anielinem. Wiedzieli, że na dwa wyjazdy w teren potrzebne są duże siły obserwacji. No i udało się. Zrobili swoje. A on i Jubiler gonili na darmo w dwa różne końce kraju. Jedno jest pewne: tracąc Jezabel Young, SWZ straciło duży punkt w tej grze wywiadów.

Amerykanie byli chyba pod ścianą, skoro nie zawahali się przed tak drastycznym rozwiązaniem problemu.

Roman analizował sytuację bez emocji. Wtedy poszedł w złym kierunku. Nie przemyślał dokładnie różnych wariantów. Mógł zagrać *va bank*. Zostawić Stockwella i Young bez ogonów, a skoncentrować się na Izydorzcie i Jabłońskiej. Na niej też, bo to pewnie ona umówiła spotkanie figuranta z Anielinem. Gdyby wykonał ten manewr, mógłby już świętować wielki sukces. Miałby w garści i Anielina, i Izydora, a oni sypnęliby Anglików. Wystarczyłoby ich trochę przycisnąć. Dalej jak po sznurku doszedłby do SWZ. Wtedy zahaczyłby o sprawy CIA. I co? Rozwiązałyby szaradę. Wielką kontrwywiadowczą szaradę.

Poczuł niesmak w ustach. Gorzkie żale nic tu nie pomogą. Nie da się cofnąć czasu. Jedyne, co może zrobić, to zapomnieć o wszystkim. Chociaż na krótko.

– Panie Wilhelmie, jeśli panu się nie śpieszy, to zaproponuję coś mocniejszego.

S-7 był wyraźnie uradowany.

– Chętnie się z panem napiję, panie Romanie. Ja pana naprawdę szanuję i cenię, i lubię tę naszą robotę.

Siedzieli jeszcze długo, ponawiając często zamówienie. Roman trochę się odprężył. Słuchał z uwagą informatora, który opowiadał mu o swojej żonie, o kochankach, jakie miał tu, w kraju i w Manchesterze, o kłopotach swoich dzieci w szkole. Rozrzewnili się obaj.

W środę sytuacja nie uległa zmianie. Pepsuja nadal nie było w pracy. I sekretarka, i inni przeszli nad tym do porządku dziennego. Przynajmniej tak się Romanowi zdawało. Każdy zajmował się sobą. Chociaż nadstawiał uszu, nie słyszał komentarzy o tym nadzwyczajnym przecież fakcie. Może były to tylko pozory, a w pokojach aż huczało od domysłów i fantastycznych przypuszczeń? Tego Roman nie wiedział i tak naprawdę nie chciał wiedzieć. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, bo był przekonany, że nieobecność Pepsuja jest związana z wypadkiem na Saskiej Kępie. Jak co dzień przeczytał dokładnie wszystkie gazety, ale nie znalazł w nich najmniejszej nawet wzmianki o Jezabel Young.

O dziesiątej zadzwoniła pani Maryla, informując, że jest natychmiast wzywany do gabinetu Hunka. To, iż położyła akcent na słowie natychmiast, zwiększyło roztrzęsienie Romana. No, to już po mnie – pomyślał bezradnie, niezdolny do podjęcia logicznego rozumowania. – Teraz się wszystko rozegra.

Wszedł do gabinetu dyrektora Departamentu Kontrwywiadu, usiłując opanować drżenie rąk. Hunek podniósł się z fotela za biurkiem i podszedł ku niemu.

– Dzień dobry, panie Romanie, proszę. – Wskazał Romanowi miejsce przy stole konferencyjnym. Sam usiadł naprzeciwko.

– Tak, mamy parę spraw do omówienia – powiedział, zastanawiając się, od czego zacząć.

Roman patrzył na niego, oczekując na najgorsze.

– Po pierwsze, jak pan niewątpliwie zauważył, naczelnika Pepsuja nie ma od kilku dni w pracy. Nie jest to żadną zagadką, że u nas w służbie rozwiązuje się pewne sprawy w dość specyficzny sposób. To normalne. Informację o przyjęciu takiego, a nie innego

rozwiązania podajemy niekiedy do wiadomości post factum. To jasne?

- Jak najbardziej, panie dyrektorze - odpowiedział Roman, zastanawiając się, jakie to rozwiązanie przyjęła firma wobec Pepsuja w związku z wypadkiem. Może już siedzi w areszcie przy Rakowieckiej.

- Naczelnika Pepsuja od poniedziałku nie ma w kraju. Obecnie przebywa w Langley, gdzie pełni funkcję oficera łącznikowego pomiędzy CIA a naszą firmą.

Nic bardziej nie mogłoby zdumieć Romana. Firma poszła więc w kierunku zatuszowania wypadku. Pepsuja wysłano za granicę. O jednego świadka mniej.

- Ale przecież naczelnik Pepsuj nie zna angielskiego. - Wiedział, że to było niemądre, lecz nic innego nie przyszło my do głowy, a czuł, że musi coś powiedzieć.

- Nie stanowi to żadnej przeszkody w pełnieniu przez niego tej funkcji, gdyż wielu oficerów amerykańskich posługuje się dobrze językiem polskim. Na przykład ten Dembowski, prawda?

Roman potaknął. O co w tym wszystkim chodzi? Czy i jego też zamierzają się pozbyć? Do NATO chyba go nie wyślą. Może zostanie skierowane do rezydentury placówkowej, na przykład w Bukareszcie albo gdzieś w Afryce.

- Mamy zatem wakat na stanowisku naczelnika wydziału zachodnioeuropejskiego. Naczelnik Pepsuj gorąco polecał pana jako swojego następcę. Ja też uważam, że jest pan właściwym oficerem do objęcia tej funkcji. Pańskie sukcesy w ostatnim czasie są dowodem na słuszność podjętej przeze mnie decyzji o powierzeniu panu

pełnienia obowiązków naczelnika. Już zresztą wystąpiłem do szefa głównego o zatwierdzenie pana nominacji na to stanowisko.

Roman zdumiał się niepomiarownie po raz drugi. Znowu zadał sobie to samo pytanie. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego Hunek nic nie mówi o Jezabel Young? Czy wypadek został już zatuszowany ostatecznie? Musiał się czegoś o tym dowiedzieć.

- Dziękuję, panie dyrektorze. A co będzie ze sprawą Izydor? Są poważne poszlaki wskazujące, że Stockwell i Young to oficerowie MI-6 pod przykryciem.

- Tak, wiem, że zdobył pan istotne informacje. To jednak staje się bez znaczenia, ponieważ Stockwell i Young zakończyli swoją pracę w Polsce. Wyjeżdżają za kilka dni do swojego kraju.

- To Young żyje?! - krzyknął niemal Roman.

- A dlaczego miałyby nie żyć? - zapytał ze zdziwieniem Hunek. - Widzę, panie Romanie, że ma pan inklinacje do uśmiercania swoich przeciwników. W myślach, oczywiście - dodał, uśmiechając się.

W głowie Romana kłębiło się całe mnóstwo różnych przypuszczeń. Nic wprawdzie nie rozumiał z tego, co się dzieje, ale czuł potrzebę powiedzenia Hunkowi czegoś więcej o swojej sprawie.

- Izydor ma także inne wątki - zaczął. - Wpadłem na trop firmy Vanex. Tu też nici prowadzą do MI-6.

- Panie Romanie, firma Vanex jest szansą dla naszego przemysłu metalowego. Dzięki pomocy Anglików zdobędziemy nowe rynki zbytu. Zresztą to dziedzina antyterrorystów. To ich zadaniem jest czuwać, aby Vanex działała we właściwym kierunku... Jest jeszcze WSI - dorzucił po chwili bez przekonania.

- Tak, tak, ja to rozumiem, panie dyrektorze - mówił pośpiesznie Roman, bojąc się, że Hunek zakończy rozmowę, a on nie zdąży

poruszyć innych kwestii. – Są też Czeczeni, mieszkają w Victorii i chcą...

– O Czeczenów też niech się pan nie martwi. Już nie mieszkają w Victorii. Nasz informator w ośrodku czeczeńskim w Krakowie spowodował odwołanie ich do kraju. Do ich kraju. Odpoczęli sobie u nas solidnie i nadeszła pora powrotu na pozycje polowe.

– A ten ich dowódca? – Roman pamiętał, że widział go w Niezapominajce. – Czy był na kontakcie majora Mędrackiego?

Hunek spojrzał na niego wymownym wzrokiem. Roman poczuł występujący mu na policzki rumieniec. Tak, zagalopował się. Nie powinien pytać o nie swoje sprawy. Nie dawał jednak za wygraną.

– Jest jeszcze generał Anielin z KDB. Ma kontakty z Izydorem i Jabłońską. Umawiają się telefonicznie i...

– Zwracam panu uwagę, że rozpracowywanie służb wschodnich nie leży w pana kompetencji. Gdyby tak każdy wkraczał w dziedzinę swoich kolegów, wkrótce opanowałyby nas kompletny chaos – powiedział Hunek stanowczym tonem. – Informacje, jakie pan uzyskał o Anielinie, proszę przekazać do wydziału wschodniego.

– Więc co mam zrobić ze sprawą Izydor? – zapytał Roman z rezygnacją w głosie.

– Zakończyć i złożyć w archiwum. To była dobra sprawa i dużo pan w niej zdziałał. To dzięki tej sprawie poznałem pana jako wytrawnego i zdolnego do poświęceń oficera kontrwywiadu. Tym niemniej dalsze prowadzenie sprawy Izydor byłoby bezprzedmiotowe.

– Ale Izydor ma kontakty z pułkownikiem... z MI-6 – próbował jeszcze Roman. – Mam dowody, że odbywa z nim spotkania agenturalne. Nagranie video i... mój informator widział, jak...

– Ach, dowody, panie Romanie... – Hunek zamyślił się. – Dowody są zawsze rzeczą względną. Najważniejsza jest interpretacja rzeczywistości. A jak pan wie, my kształtujemy rzeczywistość i przyjmuje ona zawsze postać, jaką my jej nadamy. – Hunek milczał chwilę, patrząc w stół, potem powiedział: – Jeżeli Izidor miał jakieś związki z MI-6, to już ich nie ma. Jest zwykłym, energicznym obywatelem, który swoją przedsiębiorczością i pracą wpływa pozytywnie na relacje gospodarcze naszego kraju z innymi państwami.

– A Amerykanie?

– Cóż Amerykanie? Mieli do rozwikłania swoją sprawę i daliśmy im w tym wolną rękę. Czy im się udało, to ich problem. W każdym razie Dembowski wkrótce wróci do siebie. Mam nadzieję, że spotka się z panem i podziękuje za współpracę.

Chyba wszystko zostało powiedziane. Czy Roman zrozumiał, co Hunek chciał mu przekazać? Zastanowi się nad tym później.

– Od kiedy mam zacząć pełnić obowiązki naczelnika?

– Od zaraz. Zwoła pan w wydziale odprawę oficerów i poinformuje ich, że od dzisiaj pan zajmuje miejsce Pepsuja.

– A o Pepsuju też?

– Też. Nie ma takiej potrzeby, abyśmy tę informację zachowywali tylko dla siebie. Objęcie funkcji oficera łącznikowego z CIA przez naczelnika wydziału to zaszczyt dla wydziału i docenienie jego osiągnięć.

Roman zmusił się do przyjęcia na twarzy uśmiechu wyrażającego zawstydzoną skromność. Hunek podniósł się z krzesła.

– Serdecznie panu gratuluję, panie Romanie. Spodziewam się, że jako naczelnik wykaże pan nie mniejsze zaangażowanie od tego,

które było pana udziałem jako zwykłego oficera. A teraz do pracy, do nowych obowiązków. – Otwierając drzwi gabinetu, Hunek mrugnął do niego, dodając mu otuchy. A może mrugnięcie znaczyło coś innego? Że powinien traktować swoją pracę z lekkim przymrużeniem oka, nie do końca serio? Żeby tak się nie przejmował? Nie, chyba nie o to mu chodziło.

– I jeszcze jedno – przypomniał sobie Hunek. – Pułkownik Winnicki może wrócić do wydziału. Odcierpiał już swoje w logistyce. Nie ma potrzeby trzymać go tam dłużej. Niech mi pan przedstawi stosowny raport. A... dalszych przeniesień nie będzie.

*

Roman przenosił swoje rzeczy z pokoju, jaki dotychczas zajmował, do gabinetu Pepsuja. Nie, teraz to był jego gabinet. Pani Maryla biegła za nim zaaferowana, dopytując się, czy mu czegoś nie potrzeba.

Jak na osiągnięcie niezwykłego awansu, Roman zachowywał wręcz kamienny spokój, niemalże obojętność. Czuł się znużony, wypalony. Nie potrafił się cieszyć. Było to zrozumiałe, zważywszy na ciężkie doświadczenie, jakie ostatnio go dotknęło, a więc przeżyty stres, niemalże całkowite załamanie spowodowane wypadkiem, który jednak w końcu okazał się czymś innym. Nie wiedział, co o tym myśleć. Jeśli Young nie poniosła uszczerbku na ciele, nie było żadnego wypadku. A może miejsce w fotelu zajmował ktoś inny? Nie, to niemożliwe. Wypadek zostałby wówczas odkryty przez samą Young i byłoby już o tym głośno. Co zatem tak naprawdę się stało? Nic? Czyżby Roman padł ofiarą ułudy, którą sam wytworzył? W kontrwywiadzie może to się zdarzyć. Ale przecież nigdy nie miał

brutalnych czy krwiożerczych wizji. Nie, tej zagadki nie uda mu się samodzielnie rozwikłać.

Czy właściwie odczytał odniesienia Hunka do sprawy Izydor? Uważał, że tak. Z zastrzeżeniem, że kreatywnej roli firmy w kształtowaniu otaczającej nas rzeczywistości nikt nie jest w stanie pojąć do końca. Należy to sprowadzić do wspólnego mianownika, że wszystko to gra. Gra uprawiana na różnych szczeblach i poziomach. Gra rzeczywista i gra abstrakcyjna, przemieszane ze sobą i uzupełniające się wzajemnie. Tu nie ma prostych rozwiązań. Może nawet takie w ogóle nie istnieją. A jeżeli istnieją, są niedostępne dla zwykłego uczestnika gry, takiego jak Roman. Dlatego zdawał sobie sprawę, że pełne zrozumienie wszystkich znaczeń jest dla niego nieosiągalne. Co najwyżej może mu być dostępne zrozumienie względne. I na tym powinien poprzestać.

Poprosił panią Marylę o klucze do metalowej szafy naczelnika. Musi schować tam swoje teczki, zanim złoży je w Biurze Ewidencji i Archiwum.

Zabierał się do otwierania szafy, gdy sekretarka zaanonsowała szyfranta z Biura Szyfrów z pilną depeszą. Szyfrant rozłożył na biurku dziennik podawczy i poprosił o pokwitowanie odbioru dokumentu. Na pytające spojrzenie Romana powiedział:

– Otrzymaliśmy depezę od oficera łącznikowego Pepsuja do szefa głównego. Ostatni fragment jest przeznaczony dla pana.

Podał mu skrawek podłużnego szarego papieru ze zdeszyfrowanym tekstem. Roman przebiegł wzrokiem małe literki, jakie odbiło na taśmie urządzenie szyfrantów:

„Romku. Rekwizyt zostawiłem w szafie. Pozdrawiam. Maciek”.

Po wyjściu szyfranta otworzył szafę. Na najniższej półce leżało zawiniątko w plastikowej torebce. Roman wziął je w rękę i zamyślił się.

*

Piątek przebiegł spokojnie. Roman zapoznawał się ze stanem wydziału. Czytał sprawozdania, bilanse. Zestawiał osiągnięcia oficerów. Sprawy, informatorów, informacje.

Pracę przerwała mu pani Maryla.

– Dzwoni niejaki pan Dembowski i chce rozmawiać z Romanem.

– Cześć, Roman. Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. – Dembowski chyba to spodziewał się usłyszeć.

– U mnie też. Słuchaj, ja wkrótce wracam do Stanów. Ale nie mogę wyjechać bez pożegnania z tobą. Spotkajmy się jutro.

– Chętnie, Tadzik. Też chciałbym się z tobą pożegnać.

– To bardzo dobrze. Więc jutro o jedenastej. Może być w Niezapominajce? To fajnie. Cześć.

– Cześć.

Dopiero gdy odłożył słuchawkę, dotarło do niego, gdzie umówił się Dembowskim. W Niezapominajce! Czy Tadzik wybrał miejsce spotkania zupełnie przypadkowo, czy też uczynił to świadomie? Nie, w ich branży takie przypadki się nie zdarzają. Więc wiedzą wszystko o Niezapominajce.

XI

Roman zajął swoje zwykłe miejsce, ale po namyśle przesiadł się na drugi koniec sali. Po raz pierwszy był w Niezapominajce w dzień wolny od pracy i ze zdziwieniem spoglądał na odmienną niż zazwyczaj klientelę. Kilka par nastolatków trzymających się za ręce i szepczących cicho do siebie, mamusie i tatusiowie z małymi dziećmi, których buzie były umazane lodami, para emerytów rozgrywających partię warcabów. Oni nie wstępowali do tego lokalu w zwykły dzień. Dlaczego? Może krępowali się mężczyźni w garniturach zasiadających parami przy stolikach. Może wyczuwali, że omawiane są tu ważne sprawy, a oni przeszkadzaliby swoją beztroską i czułością wobec partnera.

Spokojnie oczekiwał na przybycie Dembowski'ego. Nie liczył na to, że ich rozmowa coś wyjaśni. Zresztą już przestał zastanawiać się nad sprawą Izydor i nad wypadkiem na Saskiej Kępie. To było poza nim. I tak nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich zdarzeń, a domysły na nic się nie zdadzą. Trudne doświadczenia ostatnich dni spowodowały w Romanie przemianę. Nabrał większego dystansu wobec rozgrywających się wokół niego wydarzeń. Nigdy więcej nie pozwoli wplątać się w kłopoty, będzie omijał wszelkie rafy i płycizny z daleka. Solennie to sobie obiecał. I nie dopuści, aby cokolwiek zachwiało stanem jego równowagi duchowej.

W wejściu do sali stanęła elegancka para. Roman uniósł wzrok. Obok Dembowsky'ego zobaczył Jezabel Young we własnej osobie, ubraną w elegancki błękitny żakiet z przypiętą na sercu czerwoną różą.

Roman wstał i przywitał się z przybyłymi. Podając rękę Young, powiedział:

– Miło widzieć mi panią w dobrym zdrowiu.

– Och, Roman, my ci wszystko zaraz wyjaśnimy – pośpieszył z zapewnieniem Dembowsky, wyraźnie zakłopotany.

Przejrzeni w milczeniu menu i złożyli zamówienie.

– Słuchaj, stary, winni ci jesteśmy opowieść o tym, co się ostatnio zdarzyło – zaczął mówić Dembowsky. – Chociaż jestem pewien, że wszystkiego się domyśliłeś. Zanim jednak nas osądzisz, posłuchaj naszych racji. – Spojrzał na Young. – Może ty zaczniesz, moja droga.

Jezabel Young poprawiła odruchowo okulary na nosie i chrząknęła.

– Panie Romanie, mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, bym tak pana nazywała. Moje opowiadanie rozpocznę od przypomnienia pewnych faktów historycznych.

Roman ze zdziwieniem słuchał wiceszefowej British Council, a raczej pani pułkownik Young, bo tak się przedstawiła, nie z powodu tego, co mówiła, ale za przyczyną płynności języka polskiego w jej wypowiedziach. Doskonale pamiętał, jak kaleczyła mowę, zamieniając z nim na raucie w Victorii parę zdań po polsku, a także potem, gdy odsłuchiwał taśmy z podsłuchu.

Young chyba zrozumiała, co tak dziwi Romana.

– Jak pan widzi, a raczej słyszy, mówię płynnie w pana języku. Tak, to moje dukanie, że tak powiem „urzędowe”, rzeczywiście było

udawane. Pan rozumie dlaczego. Ale ja z pochodzenia jestem Polką. Moi rodzice po drugiej wojnie pozostali w Anglii. Ojciec walczył... no, nieważne. Oni nigdy nie zapomnieli o swojej ojczyźnie i dopilnowali, abym poznała język i historię pana, no i mojego kraju. – Roman pokiwał głową. – Wracajmy jednak do tematu. Wszystko zaczęło się w czasie, gdy rozpadał się Związek Sowiecki. Z pewnością jest panu znane nazwisko generała Władymira Józefowicza Anielina. Generał Anielin to rodowity Białorusin, niezbyt przychylny Rosjanom. Ma to duże znaczenie, gdyż pracował w bardzo ważnym dla Rosjan wydziale KGB w Mińsku. Ale o tym też chyba pan wie. Kiedy dla Rosjan stało się jasne, że będą musieli się wycofać, nakazali zniszczyć całe archiwum operacji specjalnych prowadzonych z terenu Białorusi na zachodzie Europy i w USA. Ze względu na usytuowanie geograficzne i inne uwarunkowania Mińsk był w ZSRR drugim co do rangi, po Moskwie, ośrodkiem operacyjnym dla wywiadu KGB. Anielin chciał zachować materiały, bo liczył na to, że powstanie niezależne państwo białoruskie, a dla władz takiego kraju informacje zawarte w tych materiałach mogły być ważnym tajnym argumentem dla nowych sojuszników, w wyobrażeniu Anielina znajdujących się na zachodzie. Dla nas te zasoby informacyjne miały, co później się okazało, ogromne znaczenie, ponieważ dawały szansę na zidentyfikowanie kretów, których przez lata Rosjanie uplasowali w MI-6 i CIA. Zasoby archiwalne składały się z teczek, kartotek i mikrofilmów. Jasne, że teczek i kartotek Anielinowi nie udało się ukryć, wynieść i przechować. Pozostawały mikrofilmy. Gdy spisano protokoły zniszczenia i znoszono materiały do pieca w piwnicy mińskiego KGB, Anielin wrócił się do swojego pokoju pod pozorem, że czegoś

zapomniał. W ręku miał plastikową torbę z mikrofilmami. W pokoju wymienił ją na taką samą, którą wcześniej przygotował, a w której miał puste opakowania po kliszach fotograficznych. Zszedł więc na dół i w obecności komisji inwentaryzacyjnej wrzucił torbę do pieca. Wszystko było w porządku. Przez kilka kolejnych dni Anielin wyносił po trochu mikrofilmy w swojej teczce. Ukrywał je w różnych miejscach. Na wszelki wypadek. Niestety, część z nich została bezpowrotnie stracona, gdyż strawił je pożar na dacy Anielina pod Mińskiem.

Roman już rozumiał. To, co przed chwilą powiedziała Young, było brakującym elementem jego układanki, tak jakby kluczowym klockiem czy puzzlem.

– Późniejsze wydarzenia na Białorusi – ciągnęła Young – głęboko rozczarowały Anielina. Szybko zrozumiał, że sytuacja nie dojrzała do tego, by mogło funkcjonować niezależne państwo białoruskie. Rosjanie powrócili i zajęli kluczowe stanowiska w KDB. Oni dyktowali warunki. To był koniec marzeń Władymira Anielina, ale nie załamał się. Zaczął pracować w wydziale polskim i odnosił sukcesy. Co do mikrofilmów, przeorientował swoje zamiary. Chciał je sam przekazać którejś ze służb zachodnich, najchętniej Amerykanom lub Brytyjczykom. Nie miał jednak żadnych możliwości nawiązania odpowiedniego kontaktu. Nie czekał z założonymi rękami, lecz przyjął koncepcję, którą zaczął realizować, jak tylko nadarzyła się okazja. I tu wkroczył na scenę nasz agent Byron, którego pan namierzył.

Aha, mówi o Izydorze – domyślił się Roman.

– Nasz agent miał kontakty gospodarcze na Białorusi, gdzie często jeździł, ale, jak pan wie, jednocześnie działał w Anglii.

Takiego człowieka było potrzeba Anielinowi. Jak już go bliżej rozpoznał, sprokurował rozmowę z nim. Zaryzykował prośbą o powiadomienie MI-6, że chce kontaktu. Bayron nie był wtedy naszym agentem, zwerbowaaliśmy go, gdy przyszedł do nas z propozycją Anielina. Oczywiście nie od razu. Długo go sprawdzaliśmy. Tu także pomógł nam przypadek. Byrona znał kapitan Stockwell jeszcze z okresu, gdy kierował jedną z firm w Manchesterze. Później zwerbował go też Anielin, ale wyłącznie dla ułatwienia sobie z nim kontaktów. Dalej potoczyło się zwyczajnie. Bayron jeździł do Mińska, spotykał się Anielinem, otrzymywał od niego jeden albo dwa mikrofilmy i przywoził z powrotem w specjalnej skrytce. Niech pan wybaczy, lecz nie zdradzę, w jakiej. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie skłonności Byrona do alkoholu. Podczas jakiejś imprezy w białoruskim ministerstwie gospodarki obraził po pijanemu wysokiego dostojnika w rządzie Łukaszenki. To wystarczyło, by Bayron dostał bezwzględny zakaz pobytu na terenie Białorusi. Nakazano także KDB zerwać z nim współpracę. Rozstając się z Byronem, Anielin przekazał mu hasło, którym powinien posłużyć się następny łącznik, docierając do niego. Zadbął również o jego interesy gospodarcze z przedsiębiorstwami białoruskimi.

Young przerwała, ażeby chwilę odpocząć. Wykorzystał to Roman.

- I wtedy pojawiła się Jabłońska - powiedział.

- Tak, musieliśmy tak zrobić. Sytuacja znacznie się skomplikowała. Opowiem w skrócie. Przygotowaliśmy nowy plan operacji. Przeszkoliliśmy Jabłońską i utworzyliśmy firmę Vanex. Jabłońska wyjechała do Mińska na coroczne targi, gdzie skontaktowała się z Anielinem, podając hasło. Zgodnie z przyjętą

taktyką dała mu się zawerbować. Po zakazie przyjazdów dla Byrona na Białoruś należało jednak zmienić sposób, a zwłaszcza miejsce przekazywania materiałów. Pan wie, jakie są zasady. Vanex był przynętą. Firma zaczęła prowadzić tajne negocjacje z Czeczenami w sprawie sprzedaży broni. Jasne, że nie mieliśmy nigdy zamiaru sprzedawać im czegokolwiek. Działając według planu, pani Alicja poinformowała o rozmowach z Czeczenami Anielina, on z kolei swoich przełożonych, a ci Rosjan. To ogromnie zelektryzowało SWZ. Wtedy Jabłońska przestała... jak to się mówi... z powodów obiektywnych przyjeżdżać na Białoruś. Nie mogła zatem zdawać relacji Anielinowi o rozmowach Czeczenów z Vanexem i dopływ niesłuchanie ważnych dla Rosjan informacji został przerwany. Wówczas KDB, po uzgodnieniu z SWZ, zrobiło ruch, na który czekaliśmy. Anielin otrzymał polecenie łącznikowania Jabłońskiej w Polsce. O to nam chodziło. Alicja umawiała telefonicznie spotkania z Anielinem w Warszawie. On przyjeżdżał, spotykał się z Byronem, przekazywał mikrofilm i zabierał raport Jabłońskiej, który sprawiał SWZ wiele satysfakcji. Dlaczego spotykał się z Byronem, a nie z Jabłońską? Tak chciał, a my uszanowaliśmy jego wolę. Była to jedyna rozsądna droga dostarczania nam materiałów przez Anielina. Kontakty poprzez rezydenturę placówkową MI-6 w Mińsku nie wchodziły w rachubę ze względu na groźbę dekonspiracji naszych oficerów. Wiadomo, jak jest tam obstawiona ambasada brytyjska. Należało też dbać o bezpieczeństwo Anielina. Dlatego każdorazowo przewoził tylko jeden mikrofilm ukryty w aparacie fotograficznym w opakowaniu na kliszę. Operacja toczyła się swoim normalnym torem, dopóki nie pojawił się pan, panie Romanie.

Young przerwała i spojrzała znacząco na Romana, który oświadczył:

– Chyba już wiem, w którym momencie.

– Cóż, nikt nie jest wolny od błędów. Lecz tym razem pomógł nam przypadek. W Victorii natknął się pan na Manciniego.

– On też jest waszym agentem?

Young pominęła milczeniem to pytanie.

– Mancini powiedział nam o tym, że widział pana w hotelu, i wyjaśnił, skąd pana zna. Sprawdziliśmy osoby zaproszone na raut. Nie było wśród nich Zenobiusza Korzenia, a tak pan się przedstawił. Stanowiło to dla nas poważny sygnał. Zwłaszcza musieliśmy wziąć pod uwagę, że zauważył pan, jak Byron przekazuje Stockwellowi mikrofilm, który tego dnia odebrał od Anielina. Umocniliśmy się w naszych przypuszczeniach, gdy zaczął nas pan obserwować z podstawionych pojazdów. Uznaliśmy, że nadszedł czas, aby wykonać jakiś ruch. I wtedy do akcji wkroczył Thaddeus. – Young spojrzała na Dembowsky'ego, który odpowiedział jej uśmiechem. – Thaddeus skierował podejrzenie na mnie. Liczyliśmy, że wywoła to u pana duże zainteresowanie i nawiąże pan z nim ściślejszą współpracę. Niestety, nie kwapił się pan do niej, tymczasem nasza operacja zbliżała się ku końcowi. Pozostał do odebrania jeden mikrofilm. Tymczasem Bayron zauważył, że jest obserwowany, czyli ciągnął za sobą ogon. Sytuacja stawała się gorąca. Gdyby zatrzymał pan Byrona i Anielina podczas przekazywania mikrofilmu, skutki mogły być trudne do przewidzenia. Pozostawało tylko jedno. Spróbować rozprowadzić Byrona i liczyć, że to się uda. Kiedy zaproponował pan Thaddeusowi uczestniczenie w obserwowaniu nas, byliśmy już pewni swego. W dniu, w którym wyjechałam do

Białej Podlaskiej, a John do Wrocławia, Byron zrobił trasę sprawdzającą. Okazało się, że jest czysty. Mógł sfinalizować operację. Dla bezpieczeństwa nie spotkał się już z kapitanem Stockwellem, lecz osobiście dostarczył mikrofilm do Londynu. To wszystko.

Roman potarł dłonią czoło. Oni wiedzieli wszystko. Nie, prawie wszystko. Bo chyba umknął ich uwadze jego informator S-7, a to dzięki niemu Roman wiedział, kto kierował operacją z Londynu, i miał na to dowód. Ale po co było to przeszukanie na Saskiej Kępie?

– Rozumiem. Z tego, co pani mówi, wynika, że wejście moje i Thaddeusa do pani domu było niepotrzebne. Bo i tak nic nie dawało.

Young wyglądała na zawstydzoną. Dembowski chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziła.

– Panna Rychlińska otrzymała od was zadanie, aby przeszukać mieszkanie Stockwella. Tak, nie wytrzymała obciążenia psychicznego i powiedziała mu o tym. Postanowiliśmy wyzyskać sytuację czy raczej skorzystać z waszego pomysłu. Dlatego Thaddeus zaproponował wspólne przeszukanie mojego domu. To miał być żart. Chcieliśmy w ten sposób trochę zemścić się na panu za to, że przez pana przeżyliśmy tyle niepokojów. Już dawno nie zdarzyło się nam tak poważne zagrożenie. Niebezpieczeństwo ocenialiśmy na osiem koma dwadzieścia pięć, a więc blisko punktu krytycznego w SZOZ, czyli w Skali Zagrożeń Operacji Zagranicznych. Odkrywał pan naszą operację krok po kroku i coraz bardziej deptał nam po piętach. My naprawdę pana podziwialiśmy. Nikomu od wielu lat nie udało się zbliżyć tak bardzo do MI-6 jak panu. Nie tylko zresztą do MI-6, bo tę operację prowadziliśmy wspólnie z CIA.

– Więc to był żart?

- Ty się nie gniewaj, Roman - zaczął Dembowski trochę zmieszany. - Posadziliśmy w fotelu manekina, ja go trzasnąłem w głowę i po wszystkim.

Po wszystkim, tak? - myślał Roman. - Ja o mało nie wpadłem w jakąś chorobę.

- Ale po coś ty poszedł wtedy na górę, do sypialni? - Chciał się dowiedzieć, bo nie dawało mu to spokoju.

- Wiesz, musiałem napisać kartkę do Jezabel, że bardzo przepraszamy za bałagan i za to, że nie zdążyliśmy posprzątać. - Roman westchnął. - Nie mogło się zdarzyć nic nieprzewidzianego - ciągnął Dembowski. - Obaj byliśmy ubezpieczani.

Ubezpieczeni? Obaj? Roman spojrzał na Young. Na jej krótkie ciemne włosy przetykane siwizną.

- Tak, panie Romanie. To ja byłam tym żebrakiem.

Young żebrakiem. O słomianych włosach. Niebywałe. Niebywałe? Cholernie śmieszne. Roman zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Dopiero teraz tak naprawdę odreagowywał wydarzenia ostatnich dni. Zawtórował mu Dembowski, a po chwili przyłączyła się do nich Young. Opuszczał Romana nastrój śmiertelnej powagi i fatalistyczne wizje, powracał do siebie.

- A co z Anielinem? - zapytał, gdy się uspokoili.

- Z Anielinem? - Young spojrzała na zegarek. - Godzinę temu przyleciał z rodziną na lotnisko w Montevideo, gdzie miał objąć stanowisko zastępcy szefa rezydentury w ambasadzie swojego kraju. Ale nie dotrze do placówki. Właśnie wsiadł do samolotu z żoną i córką. Paszporty brytyjskie przekazał im na lotnisku nasz człowiek. Lecą do Londynu.

Tak, Anglicy i Amerykanie dokładnie zaplanowali całą operację, a on mógł im pokrzyżować plany. Niewiele brakowało. Czy powinien żałować, że tak się nie stało? Trudne pytanie. Chyba nie potrafi dać na nie jednoznacznej odpowiedzi.

Dembowsky zauważył zamyślenie Romana.

– Stary – położył rękę na jego ramieniu – fajnie było cię poznać. Świetny z ciebie gość.

Roman spojrział na niego i się uśmiechnął.

– Z ciebie też, Tadzik.

Young uniosła kieliszek z białym wytrawnym winem.

– Panowie, wypijmy za nasze zdrowie i za pomyślność naszych przyszłych operacji.

*

Wchodząc do firmy w poniedziałek, Roman zauważył rzucane ku niemu spojrzenia. Były inne niż zazwyczaj. Wyrażały zdziwienie, może trochę zazdrości, ale nie zawiści. Raczej zdawały się mówić: „Temu to się udało, tak, trzeba mieć sporo szczęścia, żeby osiągnąć w firmie sukces”. Wieść o jego awansie rozniosła się już po wszystkich departamentach i biurach. Wiedziano też, że Pepsuj został oficerem łącznikowym w Langley. Łączono te dwie sprawy i wyciągano wnioski, że obaj dokonali czegoś niezwykłego. Czego, tego nie będzie im, niestety, dane poznać do końca. Będą musieli zadowolić się niesprawdzonymi plotkami korytarzowymi. Jak to zazwyczaj bywa.

Gdy przechodził przez sekretariat, pani Maryla stanęła za biurkiem na baczność. Już chciał powiedzieć „Spocznij”, ale zrezygnował. Jego żart mógłby zostać niewłaściwie zrozumiany.

Odebrał kilka telefonów z gratulacjami od naczelników wydziałów. W ten sposób witali go w swoim gronie.

Po porannej odprawie zamknął się w gabinecie i zaczął przeglądać pocztę. W pewnej chwili usłyszał delikatne stukanie do drzwi. Wyrzwał zza nich Jubiler.

– No, chodź, chodź – zawołał Roman.

Jubiler wszedł i przyjął postawę zasadniczą.

– Daj spokój, siadaj. Mów, jestem trochę zajęty.

– Więc, szefie... chciałem panu powiedzieć... to znaczy chciałem panu pogratulować – dukał z przejęciem Jubiler. – Bardzo się cieszę, że jest pan naszym naczelnikiem.

Roman zastanowił się, co go uderzyło w wyglądzie kolegi. A, tak. Zniknęły złote gadzety. Roman popatrzył na przeguby jego rąk i na palce.

– Jubiler, a gdzie masz te, no...

– Błyskotki? Rozstałem się z nimi. Wiem, że pan ich nie lubił. Zresztą człowiek wyrasta z takich rzeczy.

– To dobrze. Wiesz przecież, że oficer kontrwywiadu... – Roman przerwał. To głupie wygłaszać młodszemu koledze mentorskie nauki na ten temat.

– Myślę, szefie, że teraz będziemy mogli razem dużo zrobić. To znaczy, ja postaram się, aby pan był ze mnie zadowolony.

– Tak, Jubiler, na pewno zrobimy to, co do nas należy. Dziękuję za gratulacje. Wybacz, ale mam sporo pracy.

Jubiler zerwał się z krzesła i podszedł do drzwi. Roman popatrzył na niego.

– Trzymaj się prosto, Józiu – powiedział miękko, zwracając się do podporucznika Jarząbka po raz pierwszy po imieniu. – Będzie dobrze.

*

Po śniadaniu złożył mu wizytę Robcio Winnicki. Stary oficer wyglądał na uszczęśliwionego. Roman zaprosił go na pogawędkę.

– I co, Robcio, już przeniosłeś się z powrotem na swoje miejsce?

– Piorunem, Romku, piorunem. Nie chciałem być ani chwili dłużej przy tych urzędasach z logistyki. Jestem ci ogromnie zobowiązany.

– Nie ma o czym mówić.

– Jest, jest. Teraz, gdy nie ma tego wariata, wszystko będzie po staremu.

Roman zamyślił się. Winnicki coś mówił, ale on nie słyszał. Zastanawiał się.

– Widzisz, Robciu – zaczął w końcu Roman – to nie jest takie proste. Firma dużo nam daje, ale liczy też na to, że i my coś z siebie damy. I nie chodzi tu o żadne cuda, niewyobrażalne osiągnięcia. Rzecz jest bardzo prozaiczna i możliwa do spełnienia przez każdego, kto ma odrobinę dobrej woli. Zatem to zrobimy.

– Co takiego, co takiego mamy zrobić, Romku? – dopytywał się Winnicki.

– Zrobimy to, czego oczekuje od nas firma. A ona oczekuje bardzo niewiele. Niech każdy z nas da jej kilku informatorów, parę spraw i trochę ciekawych informacji. To przecież możemy zrobić. Chodzi o to tylko, byśmy wypełnili normę...

1 MI-6 – cywilny wywiad brytyjski.

2 Legenda – w nomenklaturze służb specjalnych to celowo dorobiona „historia” uwiarygadniająca agenta lub oficera.

3 CIA – Centralna Agencja Wywiadowcza (wywiad cywilny USA).

4 KDB – białoruskie służby specjalne.

5 KGB – służby specjalne byłego ZSRR.

6 WSI – Wojskowe Służby Informacyjne.

7 SWZ – Służba Wywiadu Zagranicznego (rosyjski wywiad cywilny).

8 FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa (rosyjski kontrwywiad i służba bezpieczeństwa wewnętrznego).

9 FBI – Federalne Biuro Śledcze (m.in. kontrwywiad USA).